

Centrum Stosunków Międzynarodowych Instytutu Spraw Publicznych

Przeprosić za wypędzenie?

Wypowiedzi oficjalne oraz debata prasowa
o wysiedleniu Niemców po II wojnie światowej

pod redakcją **Klausa Bachmanna i Jerzego Kranza**

ZNAK
Kraków 1997

***Niniejsza publikacja ukazuje się dzięki wsparciu finansowemu
Fundacji Konrada Adenauera***

© 1997 Centrum Stosunków Międzynarodowych

Centrum Stosunków Międzynarodowych Instytutu Spraw Publicznych
Dyrektor: Janusz Reiter

ul. Mikołaja Reja 7
PL 00-922 Warszawa 54
tel. (48 – 22) 25 59 08
ISBN 83-7006-730-1

Spis treści

Wstęp

Ważniejsze wypowiedzi biskupów polskich i niemieckich (fragmenty)

Orędzie biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym Urzędzie Pasterskim, Rzym, 18 listopada 1965

Przemówienie Józefa kard. Glempa, Prymasa Polski, w ramach spotkania biskupów polskich i niemieckich, Gniezno, 20–22 listopada 1990

Przemówienie biskupa Josefa Homeyera w ramach spotkania biskupów polskich i niemieckich Gniezno, 20–22 listopada 1990

Wspólne słowo polskich i niemieckich biskupów z okazji trzydziestej rocznicy wymiany listów (1965–1995), Warszawa, 21 listopada 1995

Ważniejsze wypowiedzi polityków polskich

Jan Józef Lipski, fragment eseju pt. Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy

Wojciech Jaruzelski, fragment przemówienia we Wrocławiu, 7 maja 1985

Krzysztof Skubiszewski, wypowiedź dla „Deutschland Sender Berlin“, 1 września 1990

Krzysztof Skubiszewski, fragment przemówienia wygłoszonego w gmachu dawnego Parlamentu Rzeszy (Reichstag), 5 października 1990

Władysław Bartoszewski, fragment przemówienia na specjalnej sesji Bundestagu i Bundesratu, 28 kwietnia 1995, Bonn

Dariusz Rosati, Klaus Kinkel, Wspólnie kształtować Europę, 15–16 czerwca 1996 (fragment)

Głosy prasowe

Adam Krzemiński, Pamięć szorstkiego kraju

Wiesław Wiśniewski, Jaka lekcja? (artykuł polemiczny)

Mały kawałek ziemi, z Horstem Bienkiem rozmawia Adam Krzemiński

Wysiedlałem Horsta Bienka, z socjologiem Andrzejem Ziemilskim rozmawia Adam Krzemiński

Piotr Madajczyk, O wysiedleniach inaczej

Maria Podlasek, W skórze Niemca. Ten kraj już nie był ich ojczyzną.

Listy i polemiki po opublikowaniu artykułu Marii Podlasek

Piotr Madajczyk, Wszystko jest zemstą

Ryszard Kaczmarek, Były gwałty

Edward Krawiec, Nie wybielać UB-owców,

Władysław Chlebowski, * * *

Jan Likowski, * * *

Michał Starzyk, * * *

Krystyna Kersten, Przymusowe przemieszczenie ludności – próba typologii. Stulecie przesiedleńców

Wojciech Pięciak, Kolejność według Klausa

Sklejanie historii, z Arturem Hajniczem rozmawia Edward Krzemień

List po opublikowaniu rozmowy z Arturem Hajniczem

Prof. Roman Mycielski, Prosić Niemców o przebaczenie?

Kazimierz Wóycicki, Wschód utracony. Belka i oko – niemiecko-polski dialog wypędzonych

Klaus Bachmann, Przeprosić za wypędzenie?

Artur Hajnicz, Zbrodnia i odpowiedzialność

Katarzyna Kołodziejczyk, Porozmawiajmy bez kompleksów

Kazimierz Wóycicki, Przesunięcie ku Zachodowi

Głosy czytelników po artykule Klausa Bachmanna „Przeprosić za wypędzenie?”

Wacław Kruszewski, * * *

Władysław Chlebowski, * * *

Stanisław Markowski, Przeprosić za wypędzenie? – trudny problem emocjonalny i moralny

Edmund Dmitrów, Ku porozumieniu bez nieporozumień

Helga Hirsch, Nowy styl, stary temat

Jerzy Holzer, Zło historyczne, ale zło. Wysiedlenie – *Vertreibung* – Przesiedlenie – Repatriacja

Janusz Jasiński, Tragedia osobista i społeczna. Powojenne wysiedlenia z perspektywy Warmii i Mazur.

Krzysztof Skubiszewski, Stanowisko rządu RP z roku 1990 w sprawie wysiedlenia Niemców

Klaus von Bismarck, Moja ziemia rodzinna, która należy dziś do Polski

Jan Baranowski, Ten wspólny los

Krzysztof Karwat, Pociągi pod (sowieckim) nadzorem

Magdalena Bajer, Proszę porównać...

Jerzy Kranz, Rany, prawdy i blizny

Piotr Madajczyk, Jest nad czym dyskutować

Listy do Redakcji „Tygodnika Powszechnego“

Obóz, Henryk Krzyczkowski

Tam był mój ojciec, Rudolf C. Kalka

Leszek Wołoski, Na wschód od Zachodu, na zachód od Wschodu

Listy do Redakcji „Tygodnika Powszechnego“

Winne są mocarstwa, Michał Siera,

Nie tylko Niemcy, Maria Stańkowa,

Małgorzata Ruchniewicz, „Oni też płakali“. Niemcy i przesiedleńcy Polacy z kresów po roku 1945

Klaus Bachmann, Życie w „trójkącie“

Zamiast posłowania

Fritz Stern, Utracona ojczyzna

Autorzy i rozmówcy

Wybór bibliografii

Wstęp

„Patriotyzm – to nie tylko szacunek i miłość do tradycji, lecz również nieublagana selekcja elementów tej tradycji, obowiązek intelektualnej pracy w tym zakresie. Wina za fałszywą ocenę przeszłości, za utrwalanie fałszywych moralnie mitów narodowych, za służące megalomanii narodowej przemilczanie ciemnych plam własnej historii – jest zapewne mniejsza z moralnego punktu widzenia, niż praktykowanie zła wobec bliźnich, lecz przecież jest przesłanką aktualnego zła i drogą do przyszłego“.

Jan Józef Lipski, *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* (1981)

Wysiedlenie ludności niemieckiej z obszarów dzisiejszej Polski należy do najbardziej drażliwych problemów w stosunkach polsko-niemieckich po 1945 roku. Jeden z autorów niniejszej publikacji (E. Dmیتrów) stwierdza między innymi: „Jeszcze silny jest odruch po polskiej stronie, aby myślenie o Niemcach w kategoriach odpowiedzialności i winy kończyć na ostatnim dniu okupacji nazistowskiej. Jeszcze wielu Niemców chętnie rozpoczyna refleksję na temat Polaków dopiero od momentu nadejścia frontu wschodniego. Tutaj leży źródło konfliktu odmiennej pamięci“. Przez kilkadziesiąt lat dialog polsko-niemiecki w tej dziedzinie był jednak obciążony politycznie, a jednocześnie utrudniony lub uniemożliwiony.

W powojennej RFN dotkliwe skutki wojny, w tym wysiedleń, przesłoniły początkowo ogrom zbrodni niemieckich na terenie Polski i innych państw europejskich, co pozwalało pokoleniu wojennemu widzieć siebie przede wszystkim w roli ofiary. Szczególnie w pierwszych kilkunastu powojennych latach, dyskusji o związkach między niemiecką okupacją Europy Środkowej i Wschodniej a utratą ziem na Wschodzie i wysiedleniami Niemców prawie nie było, natomiast krytyczne refleksje pozostawały niezauważone. Warto jednak przypomnieć Waltera Dirksa i Eugena Kogona, którzy już w 1947 r. zastanawiali się nad tym, czy okrucieństwa powojenne na ludności niemieckiej postrzegać należy jako „zrozumiałą zemstę“, czy też jako „zarażenie się przemocą“ niegdysiejszych ofiar niemieckiego faszystwu¹?

Stuttgarcka „Karta Wysiedleńców“ z 1950 r., w której środowisko to wyrzekło się „zemsty i odwetu“, odbiła się w RFN szerokim echem, lecz nie wspominała ani jednym słowem o przyczynach wysiedleń. W kręgach prawicowych Karta była traktowana jako dowód, że środowiska ziomkowskie są gotowe do dialogu i pojednania, w kręgach lewicowych uznano ją za przejaw arogancji, hipokryzji i wybiórczej pamięci.

Świadomość historyczną Niemców (przynajmniej w Niemczech zachodnich) budowano wtedy na przekonaniu, że „inni też popełniali zbrodnie“, a przykładami były nalot na Drezno lub właśnie wysiedlenie Niemców z Europy Środkowej i Wschodniej. Opublikowano w tym czasie całą masę wspomnień opisujących cierpienia wysiedleńców, powstała pod auspicjami oficjalnych instytucji RFN znana powszechnie dokumentacja, brakowało jednak analiz i refleksji.

W latach 1960-tych doszło do buntu nowej generacji przeciw pokoleniu ojców. Ważnymi etapami tej ewolucji były pierwsze procesy niemieckich załóg obozów koncentracyjnych oraz wiosenne demonstracje roku 1968. Mit Niemiec jako „wiecznej ofiary“ zastąpiony został obrazem Niemiec jako kata historii. Zadawano pytanie, czy cała historia Niemiec od początku XIX wieku nie prowadziła prostą drogą do Hitlera, czy Hitler nie był negatywnym uwieńczeniem niemieckiej historii.

¹ Walter Dirks, Eugen Kogon, *Verhängnis und Hoffnung im Osten. Das deutsch-polnische Problem, Betrachtungen im Mai 1947, Frankfurter Hefte 1947*, s. 470–487.

Tak jak wcześniej przypominano o wysiedleniach Niemców, próbując moralnie zrównoważyć wcześniejsze zbrodnie, teraz albo przemilczano sprawę wysiedleń z obawy, że wcześniejsza tendencja mogłaby się utrwalić albo też przypominano zbrodnie hitlerowskie, aby uzasadnić wysiedlenia. Był to konflikt nie tylko pokoleniowy, ale i polityczny: Lewica skupiała się na zbrodniach hitlerowskich, prawica skierowała światło na zbrodnie komunistyczne. Widać na tym tle wyraźnie, iż problematyka wysiedlenia była w RFN w znacznym stopniu politycznie instrumentalizowana. Tylko nieliczni wysiedleńcy opowiadali się za dialogiem polsko-niemieckim.

Nie bez znaczenia był też fakt, iż wysiedleńcy stanowili w RFN liczącą się grupę wyborców, których należało zintegrować. Na płaszczyźnie polityki rządowej kwestia wysiedleń stanowiła również część tzw. pozycji prawno-politycznych RFN. Dopiero zjednoczenie Niemiec doprowadziło do przewartościowania niektórych opinii kół rządowych i wysiedleńczych.

Z punktu widzenia niniejszej publikacji istotniejsze znaczenia ma jednak sposób postrzegania wysiedleń w Polsce. Jednym z punktów wyjścia była historycznie skomplikowana, wręcz dramatyczna sytuacja polityczną polskiego rządu na emigracji, który w wyniku decyzji mocarstw musiał się zgodzić na odstąpienie części terytorium Polski (inna rzecz, iż obszaru wielonarodowościowego) na rzecz ZSRR. Nie było na to poparcia społecznego, tereny te bowiem od kilku wieków należały do Polski, jednak rozwój sytuacji wojennej, polityka sowiecka oraz akceptacja zachodnich sojuszników postawiły Polskę przed faktami dokonanymi.

Nie oceniając polityki mocarstw, ani polityki ówczesnych władz polskich, widać podobieństwo z sytuacją Niemiec, które utraciły w wyniku wojny część swojego terytorium, przy czym w obu przypadkach łączyło się to z wysiedleniem ludności. Różnica polegała natomiast na tym, że Niemcy wywołały wojnę, po czym zostały pokonane, Polska zaś należała do obozu zwycięzców. W obu jednak przypadkach zmiana granic i wysiedlenia wykroczyły poza wąską relację zwycięzca–pokonany i wiązały się z ustanawianiem przez mocarstwa nowego kształtu geopolitycznego w Europie Środkowej.

Narzucenie w Polsce dominacji sowieckiej uniemożliwiło jakąkolwiek dyskusję na temat b. polskich ziem wschodnich, co spowodowało, iż z upływem czasu sprawa ta – aczkolwiek bolesna dla części ludności – nie stała się przedmiotem emocji społecznych na szerszą skalę. W odróżnieniu od sytuacji w Polsce, utrata przez Niemcy części ich obszarów wschodnich była stale obecna w debacie publicznej, zaś rząd RFN nie miał zamiaru zamknąć tej kwestii aż do rozstrzygnięcia w traktacie pokoju ze zjednoczonymi Niemcami. Okres dochodzenia do akceptacji zaistniałych zmian terytorialnych oraz wysiedleń ludności był zatem w Polsce krótszy.

W konsekwencji, mamy dziś do czynienia z sytuacją, w której kwestia wysiedleń i zmian terytorialnych nie stanowi w Niemczech zasadniczego tematu dyskusji, w Polsce natomiast odżywa dyskusja nie tyle nad powrotem na utracone ziemie, co nad utwaleniem i udokumentowaniem w świadomości społecznej historycznej obecności Polski na utraconych obszarach oraz dramatu polskich tułaczy. W wyniku zmian politycznych w Polsce możliwa stała się jednak równocześnie dyskusja publiczna oraz badania naukowe nad wysiedleniem Niemców, a także nawiązanie konstruktywnego dialogu ze środowiskami niemieckimi.

O ile polska opinia nie zmieniła się w kwestii zasadności decyzji politycznej o wysiedleniu Niemców, to podstawowa zmiana dotyczy moralnego aspektu tej kwestii oraz dochodzenia do prawdy o wydarzeniach tamtego okresu. Wiele pozostaje jeszcze do zrobienia, by społeczeństwo polskie znalazło prawdziwy obraz swych stosunków z sąsiadami (szczególnie z Niemcami, Rosjanami oraz Ukraińcami), jednak proces ten jest w toku i uległ wyraźnemu przyspieszeniu po roku 1989.

Trzeba w tym miejscu przypomnieć, iż komunistyczna propaganda (wspierana przez niektóre kręgi nacjonalistyczne) przedstawiała obraz wysiedleń Niemców jako rzecz dość banalną i oczywistą, podtrzymując jednocześnie obraz polskiej martyrologii i odwiecznie polskich ziem

piastowskich, przy jednoczesnym przemilczaniu ciemniejszych stron wysiedleń i ich niehumanitarnego przeprowadzenia.

Wielu polityków i komentatorów uważało w momencie zakończenia wojny, iż zbrodnie niemieckie, przesunięcie granicy polskiej na zachód i związane z tym wysiedlenia ludności niemieckiej stanowiąc będą przez pokolenia źródło napięć i nienawiści. Stalin widział w tym element utrzymywania Polski w sferze wpływów ZSRR, komuniści polscy postrzegali zaś ten fakt jako jedno z uzasadnień dla swych rządów, zaś „przyjaźń“ z ZSRR uzasadniali między innymi koniecznością zagwarantowania polskiej granicy zachodniej. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, iż również polityka RFN wniosła swój wkład w utrwalenie tego poglądu.

Wysiedlenie ludności niemieckiej nie było w Polsce tematem, na który nakładałby się podział na „my“ i „oni“, czyli komunistyczna władza i społeczeństwo (przykładem istnienia takiego podziału były natomiast długoletnie fałszerstwa dotyczące wymordowania przez NKWD polskich oficerów w Katyniu). Próby wyłamania się z szeregu, podjęte np. w orędziu biskupów polskich do biskupów niemieckich w 1965 r. (wybaczymy i prosimy o wybaczenie) lub w eseju Jana Józefa Lipskiego pt. „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy“ (1981), dowiodły jak trudno w Polsce przełamywać pewne stereotypy. Inna rzecz, iż inicjatywom tym nie pomogły reakcje strony niemieckiej.

Trudności Polaków biorą się nie tylko z upowszechnionej w opinii publicznej mentalności ofiary, lecz również z pokiereszowania świadomości społecznej przez przeinaczenia i tendencyjną interpretację faktów historycznych (w czym znaczny udział ma powojenna propaganda oraz narodowe stereotypy), przemilczania niektórych kart historii, a także z niedostatków dyskusji publicznej. Mimo odrodzenia się wolnej Polski w 1989 r. społeczeństwo polskie nie bez trudu próbuje uporać się z własną historią, o czym świadczą niektóre kontrowersje polsko-rosyjskie, polsko-ukraińskie czy polsko-żydowskie. Nie mają one dziś zasadniczego znaczenia politycznego, lecz wychodzić trzeba z założenie, iż dopiero prawda o przeszłości prowadzić może do lepszego kształtowania teraźniejszości i przyszłości. Wielu narodom (nie tylko Polakom) łatwiej jest jednak celebrować własne cierpienia, niż wspominać własne przewiny.

Nie lekceważąc wielu pozytywnych zmian, debatę historyczną w Polsce ułatwia odzyskanie niezależności w 1989 r., a jednocześnie utrudnia skomplikowany i trudny okres przemian społecznych i gospodarczych, które zatrzymują uwagę ludzi na innych, często doraźnych sprawach. W rezultacie dostrzec można niekiedy niedostateczną wrażliwość na losy i cierpienia innych narodów, brak zdolności współczucia i swego rodzaju zobojętnienie. Nie jest to wprawdzie zjawisko wyłącznie i typowo polskie, skłania ono jednak do refleksji tym bardziej, że historia najnowsza nie oszczędzała Polski i Polaków.

Od kilku lat widać jednak zmianę tonu i ożywienie dyskusji w Polsce na temat wysiedleń ludności niemieckiej. Nie można wykluczyć, iż subiektywne postrzeganie historii przez jednostki i narody nie pozwoli dojsć do pełnej zgodności poglądów i ocen Polaków i Niemców na kwestię wysiedlenia. Takie różnice istnieją od dawna jeśli chodzi o postacie Bismarcka czy Fryderyka II. Nie powinno to jednak być przeszkodą dla rozwijania dialogu, współpracy różnych środowisk czy badań naukowych (w tym badań wspólnych), co może w konsekwencji doprowadzić do lepszego zrozumienia racji drugiej strony. Ważną rolę ma tu do spełnienia szkoła (obraz Polski i Niemiec w podręcznikach szkolnych), współpraca młodzieżowa, a także publiczna debata.

Lektura tej książki pozwala zorientować się w kwestiach, które wymagają pogłębionej dyskusji polsko-niemieckiej ze względu na istniejące nadal różnice w ocenie i w interpretacji faktów.

Pojawiają się tu między innymi pewne kwestie terminologiczne. Otóż w języku polskim używa się często słowa „wysiedlenie“ (niemieckie *Aussiedlung*), które – nawiasem mówiąc stosuje się również do przymusowych wysiedleń ludności polskiej w okresie II wojny. Równolegle jednak funkcjonuje termin „wypędzenie“, jako (nieudolne) tłumaczenie używanego w tym kon-

tekście w Niemczech terminu „*Vertreibung*“ (czyli wygnanie). Różnice te nie mają dziś, jak się zdaje, poważniejszego znaczenia politycznego, niemniej słowo „wypędzenie“ ma charakter bardziej emocjonalny i zakłada w znacznym stopniu polską samodzielność w kwestii wysiedleń, termin zaś „wygnanie“ zakłada (na podobieństwo wygnania z raju) kolektywną winę wysiedlonych.

W tym kontekście (co widać między innymi na tle dyskusji o niemiecko-czeskim oświadczeniu z końca 1996 r.) niektórzy dostrzegają różnicę między wysiedleniem w wyniku decyzji podjętych podczas konferencji poczdamskiej oraz wypędzeniem (lub wygnaniem) w krótkim okresie poprzedzającym te decyzje. Fakty nie podlegają tu dyskusji, różnice poglądów uwidaczniają się jednak co do tego, iż decyzje o zmianie granic Niemiec oraz o wysiedleniu ludności niemieckiej (nie tylko z Polski) zapadły znacznie wcześniej, natomiast formalną i publiczną akceptację uzyskały one dopiero w Poczdamie po zakończeniu działań wojennych.

Wspomniana różnica językowa ma pewne znaczenie dla kwalifikacji różnego rodzaju przymusowych transferów ludności (by użyć tu terminu neutralnego) na kontynencie europejskim w XX wieku. Nie przesądzając w tej kwestii wyniku rozważań, trzeba w każdym razie badać stan prawny i faktyczny, przesłanki historyczne i polityczne. Nie wydaje się, by wszystkie te transfery były identyczne. W kontekście aktualnego konfliktu jugosłowiańskiego, Tadeusz Mazowiecki zwrócił uwagę na to, że przy ocenie tzw. czystek etnicznych należy uwzględnić czy były one celem, czy też skutkiem wojny. Nie bez znaczenia jest też fakt, czy takie decyzje podjęte zostały przez międzynarodowe konferencje (zakończone podpisaniem traktatu) czy też arbitralnie przez jedną ze stron wojujących.

Druga kwestia terminologiczna łączy się z niemieckim terminem „*Unrecht*“ (stosowanym w odniesieniu do wysiedleń), które oznacza zarówno bezprawie, jak i krzywdę (moralną). Język niemiecki nie dysponuje zatem, jak polski, dwoma różnymi słowami. Z punktu widzenia polskiego przynajmniej (a świadczą o tym teksty w niniejszym tomie), iż wysiedlenia łączyły się z krzywdą ludzką. Z drugiej jednak strony stanowisko polskie jest w miarę jednoznaczne gdy chodzi o ocenę, iż nie było to bezprawie. Mamy tu zatem do czynienia z kolejną różnicą opinii między Polakami i Niemcami, dotyczącą stosunku prawa i moralności².

Argumenty polskie, które do dziś nie są podzielane w Niemczech, polegają przede wszystkim na przywołaniu odpowiedzialności prawnej Niemiec za wojnę oraz wiążącego prawnie charakteru decyzji poczdamskich (popartych przez społeczeństwo i elity polskie). Strona niemiecka odwołuje się w tym kontekście do argumentów prawnych oraz moralnych, twierdząc, iż zwycięska koalicja nie może się posuwać do działań niemoralnych. W Polsce odpowiada się na to dwoma argumentami. Po pierwsze, z prawnego punktu widzenia nie istniał w 1945 r. zakaz wysiedleń ludności, decyzje zaś mocarstw w Poczdamie nie tylko stosowały prawo międzynarodowe, lecz również je tworzyły (taka jest zresztą natura tego prawa). Po drugie, zwycięskie mocarstwa (wspierana zresztą przez Polskę) dążyły do ułożenia nowego ładu geopolitycznego i osłabienia ekspansjonizmu niemieckiego na Wschodzie.

Stosując i tworząc prawo uwzględnia się jednak nie tylko normy moralne, lecz dokonuje wyważenia celów i metod, w świetle pewnych wartości politycznych, w tym utrzymania pokoju w Europie. Również w tym punkcie opinie Polaków i Niemców różnią się do dziś, przy czym – na szczęście – nie rzutują to na stabilność regionu, współpracę europejską oraz stosunki dwustronne.

² Warto odnotować w tym miejscu charakterystyczne rozmiękanie się argumentów polskich i niemieckich. W przypadku wysiedleń Polacy powołują się na podstawę prawną w decyzjach konferencji poczdamskiej, Niemcy natomiast uważają tę umowę za niemoralną. W przypadku braku (przez ponad 40 lat) odszkodowań dla polskich pracowników przymusowych w III Rzeszy Niemcy powoływali się stale na argumenty prawne, np. brak traktatu pokoju, umowę londyńską w sprawie długów zagranicznych Niemiec, przedawnienie itp. nie ustosunkowując się w ogóle do kwestii moralnych.

Pojawiają się w tym kontekście opinie, że bolesne dla wielu państw i ludzi zmiany terytorialne w 1945 r., zamknięte ostatecznie w latach 1989/90 wraz ze zjednoczeniem Niemiec i upadkiem Związku Sowieckiego doprowadziły do stabilniejszego układu geopolitycznego niż w okresie międzywojennym³. Nie da się zaprzeczyć, że operacja ta była politycznie bardzo ryzykowna, z ludzkiego zaś punktu widzenia nader bolesna. Pewną rolę w tym procesie odegrał szczęśliwy zbieg politycznych okoliczności, którego finałem jest jednak pomyślny dziś stan stosunków polsko-niemieckich.

Na tym tle pojawia się w polskich wypowiedziach wątek zła koniecznego, co oznacza akceptację dla ważnych politycznie i prawnie decyzji, które niosą dolegliwości dla poszczególnych osób i grup ludności. Jan Józef Lipski pisał w tym kontekście – a potwierdził to Władysław Bartoszewski – o złu koniecznym, które pozostaje jednak złem, i które trzeba nazwać złem nawet wtedy, gdy było nie do uniknięcia. Mało kto jest dziś w Polsce skłonny usprawiedliwiać okrucieństwa wobec Niemców stosowane w obozach dla wysiedleńców albo napady rabunkowe na pociągi transportujące wysiedleńców. Trudno zaliczyć te zjawiska do zła koniecznego.

Nawiązując do tego wątku, przypomina się słusznie w polskiej dyskusji, że zapowiedziany w Poczdamie humanitarny charakter przeprowadzenia wysiedleń pozostawiał wiele do życzenia, szczególnie jeśli uwzględnić dość powszechną brutalność i szykany wobec niemieckiej ludności w pierwszych latach powojennych.

W niniejszej publikacji autorzy nie pomijają problemu odpowiedzialności poszczególnych ludzi i państw za wojnę i jej skutki: odpowiedzialności Niemiec i Niemców za jej wywołanie i za popełnione zbrodnie, odpowiedzialności mocarstw, które podjęły w Poczdamie zasadnicze decyzje polityczne dotyczące kształtu Europy (w tym o przesunięciu granic i o wysiedleniach ludności), a także Polski i Polaków za sposób przeprowadzenia wysiedleń i traktowanie ludności cywilnej lub zabytków kultury pokonanych Niemiec.

Warto tu przypomnieć głos Jana Błońskiego, który pisząc o postawie społeczeństwa polskiego wobec niemieckiej eksterminacji Żydów rozróżniał między winą (związaną z dokonaniem określonych czynów) a odpowiedzialnością (polegającą na istnieniu swoistego klimatu niechęci i zobojętnienia, a także przymykania oczu na dziejące się zło). Jest to również temat dla dyskusji polsko-niemieckiej o czasie wojny, o postawach Polaków i Niemców – poruszany zresztą przez autorów publikowanych w tym tomie tekstów.

Nawiasem mówiąc, w pierwszych latach powojennych – uwzględniając szerokie poparcie polityczne Polski i Polaków dla decyzji poczdamskich – dostrzec można niekiedy wyrazy zaniepokojenia i krytyki ze strony poszczególnych osób oraz władz lokalnych wobec niehumanitarnego przeprowadzenia wysiedleń. Głosy te nie docierały wówczas do szerszej publiczności, jednak ujawniają je dostępne obecnie dokumenty. Pojawia się tu kwestia „zarażenia się złem“ przez tych, którzy przeżyli totalną wojnę, masowe zbrodnie i przeprowadzone już w czasie wojny wysiedlenia milionów Polaków.

³ Stanisław Ossowski: Na tle wydarzeń kieleckich, „Kuźnica“, nr 38 (56) z 1946 r. (przedruk w „Gazecie Wyborczej“ z 4.7.1996), pisał między innymi: „Przesunięcie się obszaru państwa polskiego na zachód możemy oceniać nie tylko ze względu na przyszłe bezpieczeństwo Polski i na sprawy ważne w naszej narodowej skali. Przesunięcie to może odegrać doniosłą rolę w kształtowaniu się życia społecznego środkowej Europy – może pociągnąć za sobą zwrot w wielkich procesach dziejowych na jej obszarach. Utrata wschodnich prowincji Rzeszy, na których wyrosła potęga Prus, zamknie być może okres pruskiej dominacji w życiu Niemiec – i tą drogą ułatwi wewnętrzne przeobrażenie tego kraju. W Polsce zaś, jak słusznie chyba się mniema, zmiany terytorialne, połączone z utratą dawnych ośrodków kultury polskiej na Wschodzie – zamykając wielki rozdział dziejów Polski szlacheckiej – ułatwią głębokie przeobrażenia społeczne i odtworzą nowe możliwości współżycia z sąsiadami. Biorąc pod uwagę wieloraką doniosłość owych przeobrażeń, a zdając sobie równocześnie sprawę z trudności budowania nowego ustroju i niebezpieczeństw zagrażających młodej państwowości, musimy uznać słuszność argumentów za przymusowym wysiedleniem Niemców, bez ulegania propagandzie nacjonalistycznej. Traktując ten przymusowy proces jako zabieg chirurgiczny, z którego skutków trzeba się będzie jak najrychlejš uleczyć, musimy zaprotestować przeciw utożsamianiu chwilowych norm policyjnych z postulatami kultury“.

Dyskusja o sprawie wysiedleń stała się też po roku 1989 r. tematem badań polskich naukowców. Otwarte zostały archiwa, nie istnieje państwowa cenzura, pojawia się nadzieja na lepszą dokumentację i zrozumienie omawianych tu wydarzeń. Służyć to będzie nie tylko polsko-niemieckiej współpracy, lecz również samoświadomości historycznej Polaków. Jednym z przykładów jest między nimi zakończony niedawno program badawczy zrealizowany pod auspicjami polskiej Fundacji im. Roberta Schumana przez Artura Hajnicza i Włodzimierza Boro-dzieja.

Z powyższych uwag wynika, że dyskusja w Polsce, jak i dialog polsko-niemiecki w sprawie wysiedleń są niezbędne i okazać się mogą przydatne i pożyteczne dla lepszego kształtowania stosunków obu narodów w przyszłości. Minister spraw zagranicznych RP, Krzysztof Skubiszewski, przypomniał w jednym ze swoich przemówień w 1990 r., iż straszny okres wojennej historii Polaków i Niemców musi pozostać w pamięci jako przestroga, nie zaś jako źródło nienawiści i uprzedzeń.

Świadomość historyczna i mentalność społeczeństw polskiego i niemieckiego podlegają zmianom, nie są one jednak (i być prawdopodobnie nie mogą) ani szybkie, ani mechaniczne. Każde z nich niesie swój bagaż historyczny. Niezmiernie ważne jest jednak w jakim duchu oddziałuje na opinię społeczną oficjalna polityka i w jakiej atmosferze toczą się dyskusje o sprawach trudnych i bolesnych.

Z badań socjologicznych wynika między innymi, że połowa Polaków, w tym 59 procent w wielu poniżej 24 lat, nie wie nic o wysiedleniach Niemców. Z drugiej jednak strony badania te dowodzą, iż przy dużym poparciu (50–65 procent) dla decyzji o wysiedleniu Niemców, 47 procent Polaków uważa je za krzywdę, „która dotknęła cywilną ludność niemiecką zamieszkującą te ziemie od wieków”⁴. Przy całej ambiwalencji, charakteryzującej te opinie, mamy dziś do czynienia z uspokojeniem nastrojów. Minął czas wielkich emocji, epoka wojenna odchodzi do przeszłości (co nie oznacza po obu stronach zapomnienia), nastaje czas intensywnego dialogu i współpracy nie tylko Polski i Niemiec, ale także Polaków i Niemców.

Temu też celowi służyć ma niniejsza publikacja, która zbiera w jednym miejscu ważniejsze wypowiedzi publiczne z ostatnich lat, poświęcone wysiedleniom Niemców po drugiej wojnie światowej. Zaczynam dyskusji, która w latach 1995–1996 miała miejsce w polskiej prasie – głównie w „Rzeczpospolitej” i w „Tygodniku Powszechnym” – był artykuł Klausa Bachmanna pt. *Przepraszam za wypędzenie?* („Rzeczpospolita” z 10 sierpnia 1995).

Książka niniejsza nie ma charakteru wyczerpującej dokumentacji, ogranicza się ona zatem do artykułów o wysiedleniu, jakie ukazały się w ramach dyskusji w obu wymienionych gazetach. Pamiętaliśmy jednak o niektórych prekursorskich tekstach, publikowanych pod koniec lat 1980-tych w tygodniku „Polityka”. Dla pełniejszego zobrazowania czytelnikowi omawianej tematyki zamieściliśmy też ważniejsze wypowiedzi biskupów obu krajów oraz polityków. Tom ten odzwierciedla jednak stan dyskusji publicznej w Polsce w konkretnym czasie.

Pamiętać też trzeba o rozwoju badań naukowych w Polsce, których rezultaty nie są wprawdzie znane szerszej publiczności, jednak przyczyniają się do odkrywania faktów mało dotąd znanych lub zupełnie nieznanymi. Ukazało się też w Polsce w ostatnich latach kilka książek publicystycznych poświęconych wybranym aspektom wysiedleń ludności niemieckiej.

Warto też na zakończenie wspomnieć o dziele literackim gdańskiego pisarza powojennej generacji. Stefan Chwin opublikował w 1995 r. powieść pt. „Hanemann”, w której w przejmujący i piękny literacko sposób splatają się losy Gdańska, jego dawnych i jego nowych mieszkańców w pierwszych powojennych latach⁵. Przeczytawszy tę książkę można sądzić, że los przypisał mieszkańcom polskich ziem wschodnich i niemieckich ziem wschodnich rolę przegranych. Przemielili ich żarna historii, na którą mieli tylko niewielki lub żaden wpływ. Pozostało jednak

⁴ A. Hajnicz w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” z 7–8/12/1996, s. 20.

⁵ Z informacji prasowych wynika, że przygotowuje się niemieckie tłumaczenie powieści Chwina.

Miasto, pozostała ziemia i region, których historia, teraźniejszość i przyszłość nie może i nie powinna być obojętna ich dawnym i nowym mieszkańcom. Niemcy i Polacy pozostają też sąsiadami, którzy nie muszą być skazani na powtarzanie historii.

luty 1997

Ważniejsze wypowiedzi biskupów polskich i niemieckich (fragmenty)

Orędzie biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym Urzędzie Pasterskim

„Polska granica na Odrze i Nysie jest, jak to dobrze rozumiemy, dla Niemców nad wyraz gorzkim owocem ostatniej wojny masowego zniszczenia, podobnie jak jest nim cierpienie milionów uchodźców i przesiedleńców niemieckich. (Stało się to na międzyaliancki rozkaz zwycięskich mocarstw, wydany w Poczdamie 1945 r.). Większa część ludności opuściła te tereny ze strachu przed rosyjskim frontem i uciekła na Zachód. Dla naszej Ojczyzny, która wyszła z tego masowego mordowania nie jako zwycięskie, lecz krańcowo wyczerpane państwo, jest to sprawa egzystencji (Nie zaś kwestia większego 'obszaru życiowego')“. (...)

„Prosimy Was, katoliccy Pasterze Narodu niemieckiego, abyście na własny sposób obchodzili z nami nasze chrześcijańskie *Milenium*: czy to przez modlitwy, czy też przez ustanowienie w tym celu odpowiedniego dnia. Za każdy taki gest będziemy Wam wdzięczni. I prosimy Was też, abyście przekazali nasze pozdrowienia i wyrazy wdzięczności niemieckim Braciom Ewangelikom, którzy wraz z wami i z nami trudzą się nad znalezieniem rozwiązania naszych trudności.

W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do Was, siedzących tu na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie. A jeśli Wy, niemieccy biskupi i Ojcowie Soboru, po bratersku wyciągnięte ręce ujmiecie, to wtedy dopiero będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić nasze *Milenium* w sposób jak najbardziej chrześcijański.

Zapraszamy Was na te uroczystości jak najserdeczniej do Polski. Niech tym kieruje miłosierny Zbawiciel i Maryja Panna, królowa Polski, *Regina Mundi i Mater Ecclesiae*“.

Rzym, dnia 18 listopada 1965 r.

**Przemówienie Józefa kard. Glempa, Prymasa Polski,
w ramach spotkania biskupów polskich i niemieckich,
Gniezno, 20–22 listopada 1990**

„Nasze dzisiejsze spotkanie jest nie tylko świętowaniem rocznicy. Chcemy dokonać czegoś więcej. Chcemy dokonać czegoś więcej. Chcemy, aby duch pojednania przez wzajemne przebaczenie, jaki objawił się wtedy, został potwierdzony teraz na nowe czasy. Chcemy także, aby w nowym okresie doprowadzić do skutków te zamierzenia, których w mijającym 25-leciu zrealizować się nie dało.

Idea Chrystusowego przebaczenia, którą dwa Episkopaty zadeklarowały jako siłę inspirującą pojednanie dwóch narodów, była zdziwieniem dla ówczesnych społeczeństw. Zdziwienie to zostało wywołane nie tylko przez to, że społeczeństwa były duchowo nie przygotowane do wprowadzenie na teren międzynarodowy radykalnych zasad chrześcijańskiej miłości, ale przede wszystkim przez to, że biskupi dwóch narodów wyciągnęli do siebie ręce ponad murem politycznego podziału ludów, który miał podsycać nienawiść“.

„Tygodnik Słowa“ (Powszechnego) 13.12.1990

**Przemówienie biskupa Josefa Homeyera
w ramach spotkania biskupów polskich i niemieckich,
Gniezno, 20–22 listopada 1990**

„Ze strony niemieckiej w dalszym ciągu, jak sądzę, o wiele za mało uwzględnia się fakt, jak wielkie piętno na obrazie Niemców i polityki niemieckiej wycisnął udział państw niemieckich w rozbiorach Polski w XVIII wieku, a także późniejsze podejmowane kosztem Polski zbliżenia niemiecko-radzieckie. Pakt Ribbentrop–Mołotow prowadził do wymazania państwa polskiego z mapy. Dlatego musimy się u nas nauczyć lepszego rozumienia polskich obaw. Ale i to trzeba powiedzieć: Polacy długo byli skłonni bagatelizować swoją własną winę w stosunku do Niemców, którzy zostali wypędzeni. Bezprawie [*Unrecht*⁶], jakiego doznali Niemcy od Polaków, również głęboko zraniło i napełniło goryczą miliony niewinnych ludzi.

Polakom przez długie lata z trudem przychodziło zrozumienie i otwarte przyznanie ze swojej strony, że bezprawie jest bezprawiem [*Unrecht*], a wina winą, i że doznanie krzywdy [*Unrecht*] nikomu nie daje prawa do wyrządzenia krzywdy drugiemu“.

„Tygodnik Słowa“ (Powszechnego) 13.12.1990

⁶ Słowo *Unrecht* ma w języku niemieckim podwójne znaczenie: bezprawie oraz krzywda (moralna).

**Wspólne słowo polskich i niemieckich biskupów
z okazji trzydziestej rocznicy wymiany listów (1965–1995)
Warszawa, 21 listopada 1995 r.**

„1. Przed trzydziestu laty, pod koniec II Soboru Watykańskiego, biskupi polscy skierowali do biskupów niemieckich słowa, które po gorzkich doświadczeniach wojny wzywały do dialogu, pojednania i braterstwa. Pomimo iż sami byli ofiarami wojny, pisali: 'Przebaczamy i prosimy o przebaczenie'. Z perspektywy trzydziestu lat dostrzegamy wręcz profetyczne znaczenie tego gestu. Biskupi niemieccy przyjęli podaną dłoń 'z braterskim szacunkiem', prosząc Boga, 'by upiór nienawiści już nigdy nie rozłączył naszych rąk'. (...) Tak oto Kościoły wytyczyły drogę ku pojednaniu i w istotny sposób przyczyniły się do zburzenia muru wrogości, muru, jaki między naszymi narodami wzniosła II wojna światowa i jej następstwa. Jako chrześcijanie staraliśmy się otrzymany od Boga dar pojednania przekazać dalej i urzeczywistnić prośbę Modlitwy Pańskiej: 'Odpuść nam nasze winny, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom',,

„Dziś, w 50. rocznicę zakończenia wojny światowej wypowiadamy wspólnie: 'Przebaczamy i prosimy o przebaczenie'. Pamiętamy przy tym o całej krzywdzie [Unrecht], jaka została wyrządzona w trakcie wojny i w jej następstwie. Tylko prawda może nas wyzwolić (por. J 8,32); prawda, która niczego nie upiększa i niczego nie pomija, która niczego nie przemilcza i nie dopomina się wyrównania krzywd, gdyż byłoby to sprzeczne z prośbą, którą ustawicznie zanosimy: 'Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom'. Mamy przy tym przed oczyma zbrodniczą agresję narodowosocjalistycznych Niemiec i bezmiar krzywd [Unrecht], jakie w następstwie zostały wyrządzone Polakom przez Niemców. Tą prośbą obejmujemy krzywdę [Unrecht], jaka wskutek wygnania i utraty rodzinnych stron, na mocy decyzji zwycięskich mocarstw, została również wyrządzona wielu Niemcom przez Polaków. Tak oto rozpętana przez hitlerowskie Niemcy przemoc zwróciła się w końcu przeciwko swojemu narodowi. Dopiero dzisiaj, kiedy w Polsce można mówić o tym swobodnie, uświadamiamy sobie bezmiar krzywd [Unrecht], które w łączności z tym samym postanowieniem doprowadziły do utraty ziem ojczytych na wschodzie“.

„Tygodnik Powszechny“, 24–31 grudnia 1995

Ważniejsze wypowiedzi polityków polskich⁷ (fragmenty)

Jan Józef Lipski

Fragment eseju *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*⁸

„Wzięliśmy udział w pozbawieniu ojczyzny milionów ludzi, z których jedni zawinili na pewno poparciem Hitlera, inni biernym przyzwoleniem na jego zbrodnie, jeszcze inni tylko tym, że nie zdobyli się na heroizm walki ze straszliwą machiną terroru – w sytuacji, gdy ich państwo toczyło wojnę. Zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest jednak i nie może być usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy. Wysiedlanie ludzi z ich domów może być w najlepszym razie mniejszym złem, nigdy – czynem dobrym. To prawda, że z pewnością nie byłoby sprawiedliwe, by naród napadnięty przez dwóch zbirów miał płacić na dodatek sam wszystkie tego koszty. Wybór wyjścia, które – jak się zdaje – jest mniejszą niesprawiedliwością, wybór mniejszego zła, nie może jednak znieczulać na zagadnienia moralne. Zło jest złem, a nie dobrem, nawet gdy jest złem mniejszym i niemożliwym do uniknięcia. (...)

Po wiekach rozwoju kultury niemieckiej obok polskiej na Śląsku, Ziemi Lubuskiej, Warmii i Mazurach, w Gdańsku (przytłaczająco niemieckim) – i od dawna wyłącznie niemieckiej na Pomorzu Zachodnim – przypadł nam w wyniku historycznych przemian bogaty spadek architektury i innych dzieł sztuki oraz pamiątek historycznych niemieckich. Jesteśmy wobec ludzkości depozytariuszami tego dorobku. Zobowiązuje nas to, by z całą świadomością, że strzeżemy kultury niemieckiej, bez zakłamań i przemilczeń w tej dziedzinie – chronić te skarby dla przyszłości, również naszej“.

⁷ Szerszy opis i objaśnienie stanowiska władz polskich po 1989 r. zamieszczony został w artykule Krzysztofa Skubiszewskiego dla „Rzeczpospolitej“ z 11 października 1995, zob. niżej.

⁸ Esej Jana Józefa Lipskiego pt. *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*, ukazał się w periodyku „Nowa“ (nr 144, czerwiec 1981) oraz w miesięczniku „Kultura“ (Paryż, nr 409, 10/1981). Ostatnio w: Jan Józef Lipski, *Powiedzieć sobie wszystko. Eseje o sąsiedztwie polsko-niemieckim* (red. Georg Ziegler), Gliwice–Warszawa 1996. Tekst niemiecki opublikowano w RFN w czasopiśmie „Kontinent“ (wydanie specjalne, nr 22/1982).

Wojciech Jaruzelski

Fragment przemówienia wygłoszonego we Wrocławiu

7 maja 1985

„Nie twierdzimy, że niemieckość to synonim zła. Ten pracowity, utalentowany naród wniósł do europejskiej nauki i kultury wartości trwałe i uniwersalne. Wydał wielkich uczonych i myślicieli, kompozytorów i poetów. Był kolebką ruchu robotniczego. Godna najwyższego szacunku jest postawa niemieckich komunistów i antyfaszystów. Oni pierwsi padli ofiarą hitlerowskiej tyranii, pierwsi zapełnili obozy koncentracyjne. (...)

Zgodnie z postanowieniami poczdamskimi dokonane zostało przesiedlenie ludności niemieckiej. (...) Nie kierowało nami pragnienie zemsty. Rozumiemy dziś i rozumieliśmy wtedy, że konieczność opuszczenia rodzinnego domu była dla wielu Niemców ciężkim przeżyciem. Niekiedy towarzyszyło jej zrozumiałe ludzkie cierpienie“.

Tekst z prywatnego archiwum Wojciecha Jaruzelskiego

Krzysztof Skubiszewski

Wypowiedź dla „Deutschland Sender Berlin“

1 września 1990

„Rocznica agresji niemieckiej na Polskę skłania nas do zadumy nad ciężkimi przeżyciami Polaków, a potem i Niemców, które spowodowane zostały przez ówczesny rząd Rzeszy Niemieckiej i przez narodowosocjalistyczne Niemcy.

Ciężkie zbrodnie oraz cierpienia czasu wojny odchodzą w przeszłość, szczególnie w oczach młodych pokoleń. Ten straszny okres musi jednak pozostać w pamięci jako przestroga, nie zaś jako źródło nienawiści i uprzedzeń. Słowa polskich biskupów o wzajemnym przebaczeniu win stanowią trwałą część naszej polityki i politycznej filozofii. Mam głębokie zrozumienie dla cierpień tych Niemców, którzy w wyniku działań wojennych, wypędzenia i wysiedlenia utracili swe strony rodzinne.

Niemcy ci doznali wielu cierpień i niesprawiedliwości. Jest mi z tym ciężko i boleję, iż do tego doszło.

Dziś jednak wydarzenia te należą do przeszłości. Polacy i Niemcy potrzebują pokoju w umysłach i w sercach. Dzisiejszym zadaniem jest dla nas ukształtowanie pokojowego współżycia“.

Tekst z prywatnego archiwum Krzysztofa Skubiszewskiego

Krzysztof Skubiszewski

**Fragment przemówienia
wygłoszonego w gmachu dawnego Parlamentu Rzeszy (Reichstag)⁹,
5 października 1990**

„Jestem optymistą co się tyczy zgody niemiecko-polskiej. Są problemy i przeszkody, jednak dzięki kontaktom między ludźmi oraz dzięki zmianie pokoleń pojednanie już się było w dużym stopniu dokonało. Wobec zjednoczenia Niemiec i jednoczenia się Europy druga wojna światowa i jej skutki należą do przeszłości. Niemniej wojna ta skłania nas do przemyślenia trudnych ludzkich przeżyć.

Ciężkie wojny i cierpienia z okresem wojny stają się tym, co przeminęło, szczególnie w oczach młodych generacji. Wszakże owe straszne lata, dni i godziny muszą pozostać w pamięci jako ostrzeżenie, nie zaś jako źródło nienawiści i uprzedzeń.

Odważne inicjatywy kościelne w obu państwach spowodowały przełom w myśleniu o stosunku niemiecko-polskim. Przed 25 laty słowa polskich biskupów rzymskokatolickich o wzajemnym przebaczeniu wypowiedziane zostały w imieniu narodu polskiego. Wówczas rząd nie był reprezentantem narodu, a Kościół Katolicki w Polsce często przemawiał za cały naród skoro naród ten utracił był swą suwerenność. Słowa biskupów o wzajemnym darowaniu win wciąż zachowują swą ważność i są częścią składową naszej polityki i naszej filozofii politycznej.

Mam głębokie zrozumienie dla cierpień tych Niemców, którzy utracili swe strony ojczyste na skutek działań wojennych, wypędzenia lub wysiedlenia. Niemcy ci doświadczyli wiele cierpienia i niesprawiedliwości. Jest mi z tym ciężko i fakt, że do tego doszło, boli mnie.

Ale dziś wydarzenia te należą do przeszłości. Polacy i Niemcy potrzebują pokoju w umysłach i sercach. Musimy zwrócić się ku przyszłości. Dzisiejsze nasze zadanie polega na tworzeniu pokojowego współżycia i współdziałania“.

⁹ Przekład z języka niemieckiego, za: Europa nach dem Wege zu neuen Institutionen, Bonn 1991, Deutsches Helsinki Menschenrechtskommittee e. V., Internationales Symposium „Europa auf dem Wege zu neuen Institutionen“, 5. bis 6. Oktober 1990, Berlin. Textbearbeitung: Hartwig Bierhoff, Bonn 1991, s. 61. Przedruk również w: Hans-Adolf Jacobsen, Mieczysław Tomala (red.), Warszawa – Bonn 1945–1991. Stosunki polsko-niemieckie. Analiza i dokumenty, Warszawa 1992, s. 387.

Władysław Bartoszewski

**Fragment przemówienia na specjalnej sesji Bundestagu i Bundesratu,
Bonn, 28 kwietnia 1995**

„Podczas wojny i po jej zakończeniu miliony ludzi musiały opuścić swe ziemie rodzinne. Dla wielu Polaków były to ziemie za Bugiem, dla wielu Niemców – za Odrą i Nysą. Te dwie grupy ludzi nie mogły ze sobą rozmawiać – gdyby tak było, oba narody mogłyby się znacznie wcześniej porozumieć i zrozumieć. Ale polscy wysiedleńcy ze wschodu nie mogli nawet prowadzić monologu w tych sprawach. A jeżeli osiadali na polskich Ziemiach Zachodnich, to zjawili się tam nie jako zwycięzcy, raczej uważali się za ofiary wojny, której nigdy nie chcieli i której wybuchu nie zawinił. Przełom roku 1989 stworzył możliwości swobodnej dyskusji politycznej. Skoro wolno już mówić o losie wysiedlanych z Wilna i Lwowa, łatwiej też dostrzec ludzki wymiar dramatu wysiedleń z Wrocławia czy Szczecina. Prawno-polityczne uregulowanie problemu zjednoczenia Niemiec i ich granic sprawiło, że dzisiaj rozmowa o „utrąconej ojczyźnie“ nie musi budzić obaw o pokojowy ład w Europie.

Polska odzyskała suwerenność polityczną. Odzyskuje też suwerenność duchową. Jej miarą jest poczucie moralnej odpowiedzialności za całą historię, w której – jak zawsze – są karty jasne i ciemne. Jako naród szczególnie doświadczony wojną poznaliśmy tragedię wysiedleń przymusowych oraz związanych z nimi gwałtów i zbrodni. Pamiętamy, że dotknęły one także rzesze ludności niemieckiej i że sprawcami bywali także Polacy.

Chcę otwarcie powiedzieć, iż bolejemy nad indywidualnymi losami i cierpieniami niewinnych Niemców dotkniętych skutkami wojny, którzy utracili swe strony ojczyste.

Pamiętamy z wielką odwagą sformułowane zdania nieżyjącego już dziś wybitnego polskiego myśliciela i eseisty, Jana Józefa Lipskiego, ideowego polskiego socjaldemokraty, który w 1981 roku z goryczą powiedział:

„Wzięliśmy udział w pozbawieniu ojczyzny milionów ludzi, z których jedni zawinił na pewno poparciem Hitlera, inni biernym przyzwoleniem na jego zbrodnie, jeszcze inni tylko tym, że nie zdobyli się na heroizm walki ze straszliwą machiną terroru – w sytuacji, gdy ich państwo toczyło wojnę. Zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest jednak i nie może być usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy. Wysiedlanie ludzi z ich domów może być w najlepszym razie mniejszym złem, nigdy – czynem dobrym“.

Odwołując się do spisku przeciw pokojowi Hitlera ze Stalinem w 1939 roku, dodawał:

„To prawda, że z pewnością nie byłoby sprawiedliwe, by naród napadnięty przez dwóch zbirów miał płacić na dodatek sam wszystkie tego koszty. Wybór wyjścia, które – jak się zdaje – jest mniejszą niesprawiedliwością, wybór mniejszego zła, nie może jednak znieczulać na zagadnienia moralne. Zło jest złem, a nie dobrem, nawet gdy jest złem mniejszym i niemożliwym do uniknięcia“.

W pełni identyfikuję się z tezami mojego zmarłego przyjaciela Jana Józefa Lipskiego, z którym działaliśmy razem w opozycji demokratycznej. Chcę przypomnieć, iż tekst ten wzbudził wówczas burzliwą dyskusję wśród myślących Polaków. Myślę też, iż źle się stało, że odwaga cywilna jego autora nie została wówczas w pełni dostrzeżona w Niemczech“.

Dariusz Rosati, Klaus Kinkel

Wspólnie kształtować Europę

„Istniała obawa, że kwestia ogromu zbrodni i krzywd powstałych w wyniku niemieckiej dyktatury nazistowskiej, w tym utrata przez licznych Polaków i Niemców ich stron rodzinnych, będzie stała pomiędzy nami jako coś nieprzewycięzalnego. Tymczasem okazało się, że pamięć o bolesnych wydarzeniach historycznych nie musi uniemożliwiać porozumienia. Udział prezydenta federalnego Romana Herzoga w obchodach 50. rocznicy Powstania Warszawskiego oraz udział ministra spraw zagranicznych Władysława Bartoszewskiego w obchodach 50. rocznicy zakończenia wojny, w niemieckim Bundestagu, były wzruszającymi momentami“.

„Rzeczpospolita“, 15–16 czerwca 1996

Głosy prasowe

Adam Krzemiński

Pamięć szorstkiego kraju

Na niemiecką przeszłość Śląska, Prus Wschodnich i Pomorza Niemcy spoglądają w różny sposób: jedni widzą tylko cywilizacyjny wkład niemczyzny w rozwój tych ziem, a powojenne zmiany uważają za krzywdę wyrządzoną przez zacofanych i agresywnych Słowian. Inni z wojennej i powojennej zawieruchy starają się wyciągnąć wnioski umożliwiające bardziej partnerski model współżycia Niemców i Polaków oparty na uznaniu istniejącego stanu rzeczy.

Oto omówienie dwóch książek dokumentujących te spojrzenia. Małżeństwo Ruge opisuje swe spotkania z Polską i resztkami niemieckich pozostałości w taki sposób, by udowodnić polityczną i kulturową niższość Polaków. Christian von Krockow, opisując swą podróż przez dzisiejsze Pomorze, stara się z sentymentem, ale bez upiększeń pokazać nie tylko ubogi wymiar tej ziemi, ale i odkryć ludzi, którzy na niej mieszkają.

W odróżnieniu od Prus Wschodnich, Śląska, czy wschodniej części dawnej Marchii Brandenburskiej z Gorzowem i Kostrzynie Pomorze nie ma w literaturze niemieckiej swej legendy.

Jest to „kraj przemilczany“ – pisze w „Podróży na Pomorze“ Christian hr. von Krockow. Jego książka, znajdująca się właśnie na liście bestsellerów „Spiegla“ stara się wypełnić tę lukę. A że autor – znany liberalny publicysta, politolog i wykładowca uniwersytecki – nie jest ani poetą o wyobraźni Grassa czy Lenza, ani historykiem z eseistyczną fantazją Golo Manna, więc i jego sympatyczna i ciepła książka na tle bogatej już literatury niemieckiej (zarówno w RFN, jak i NRD) poświęconej powstrzymywaniu utraconego czasu i odzyskiwaniu w pamięci utraconej w rzeczywistości przestrzeni, może wyglądać dość skromnie.

Ale Pomorze to taki kraj: „niezbyt ciasny i nigdy zbyt stromy, nic wspaniałego i przytłaczającego – nawet nie jest zbyt miły. Niczym się nie chwali, nie lubi reklamy. Być może trzeba by go nazwać szorstkim“. Przez ten kraj jedzie hrabia von Krockow pociągiem pamięci do rodzinnych posiadłości nad Łebą, opisuje życie Pomorzan, zatraća o ich historię, i wreszcie spotyka się z dzisiejszymi mieszkańcami Słupska, Rumska, Główniczyc czy Siodłoni, czuje do nich sentyment, godzi się ze stratą i odzyskuje ją na swój sposób poprzez sympatię do ludzi, którzy tu dziś mieszkają.

Oto piękny fragment ze spotkania z dyrektorem PGR w Siodłoni, gdzie dawniej były majątki Krockowów. Rozmowa schodzi na łowy w pobliskich lasach:

A jak jest z kłusownikami?“ pyta hrabia. „Owszem, oni też są, ale nie tu lecz tam za torfowiskiem...chłopaki z Kluk. No jasne ci z Kluk, stary kłopot! Niemal nie uściśnięłem pana dyrektora za to, z pewnością nie wiedziałby o co chodzi. Ale jaka pociecha, jaka nadzieja przetrwania w tym, że krajobraz i warunki natury mają taką siłę kształtowania ludzi takimi, jacy są.

Mieszkańcy polskich Kluk zachowują się podobnie, jak nieobecni już dawni mieszkańcy niemieckich Klucken. Gdy zaś dyrektor zaprasza byłego właściciela na polowanie mówiąc, że jesienią przyjadą w te lasy trzej Niemcy z RFN, to von Krockow czuje się nieswojo:

Dziwne: poczułem to jak uderzenie w żołądek. I moja siostra – jak mi potem powiedziała – również. Nie mamy nic przeciwko temu, by Polacy, którzy tu dziś mieszkają, cieszyli się tym co mają, a więc również polowaniami. Ale czego szukają tu te typy z Zachodu, ci tłuści panowie krajanie, jak to się dzieje, że strzelają do moich jeleni. Oczywiście jest to reakcja bezsensowna. Zapewne chodzi o uczciwych ludzi, którzy ciężko zapracowali na sprzęt myśliwski. A poza tym to nie „moje“ jelenie, i Polska potrzebuje dewiz, które uzyska od myśliwych z Republiki Federalnej. Spętanie spontanicznych uczuć rozumem wymaga jednak wysiłku, przynajmniej głębokiego nabrania powietrza.

Takich historii jest w tej książeczce kilka, jest też opis zdewastowanego cmentarza i fotografia schodów prowadzących donikąd w zapuszczonym parku, ponieważ pałac został doszczętnie spalony w 1945 roku. Czytelnik dowiaduje się, że plac Sienkiewicza w Słupsku dawniej był placem Bismarcka, że w dzisiejszym gmachu PZPR rezydowała surowa ciotka autora, a w kościele mariackim jest pochowany generał huzarów Wilhelm Sebastian von Belling, który osiadł tu w roku 1763 i rozczarowany ubóstwem kraju, codziennie wzdychał do Boga: „Ojczyźnie w niebie, Ty widzisz w jak smutnych warunkach żyje Twój sługa Belling, spraw zatem ładną wojnę, by wiodło mu się lepiej i nadal mógł chwalić twe imię. Amen“.

Pomorzanie byli na mapie dawnych Niemiec ludźmi mało otwartymi. Tu czas stał niemal w miejscu, żyło się ciężko i skromnie. Najlepsze fragmenty książki von Krockowa to te, w których opisuje życie chłopów, rybaków, a również junkrów pomorskich, wśród których za intelektualistę uchodził ten, kto z Berlina ścigał kalendarz myśliwski.

Milczący, twardy, pracowity lud i wielcy posiadacze, którzy dorobili się fortun dzięki kartoflom i koniczynie, ale również dzięki ślepej wierności wobec korony pruskiej. I tak na przykład z oficerskiej rodziny Kleistów padło w wojnach Fryderyka II 58 osób, wśród nich major i poeta Ewald Christian von Kleist, który ciężko ranny w bitwie pod Kunowicami (1759) poderwał swój batalion do ataku na rosyjskie baterie, po czym zmarł następnego dnia. W czasie wojen fryderycjańskich scementowany został sojusz tronu i szlachty pomorskiej, scementowany „ekonomią śmierci“, jak pisze von Krockow – umieranie za króla i ojczyznę stało się miarą honoru i sensem codziennego życia. To właśnie Pomorze było bazą twardej konserwy, to tu, w Warcinie rezydował Bismarck, to tu lepiej niż gdziekolwiek indziej rozumiano reakcyjne hasło z 1848 roku: „Przeciwko demokratom ufajcie tylko żołdatom“.

Ale ten twardy konserwatyzm odnosił się z pewną rezerwą do zbyt rewolucyjnego nazizmu. Brunatne koszule uchodziły tu za „proletów i pałkarzy“. W elitarnym internacie w Międzyzdrojach, gdzie uczyły się dzieci pomorskich junkrów, ten kto przypinał sobie do kieszulki odznakę Hitler-Jugend uchodził za arywistę: „*coś takiego przywiązuje się u nas psom u obroży*“. Co nie znaczy, że 1 września 1939 chłopcy ze Słupska nie wiwatowali na widok Stukasów wracających z bombardowania Gdyni.

Jednak do tych Pomorzan „ekonomia śmierci“ też dotarła szybciej niż w inne rejony Rzeszy, może ze względu na ich karność. 20 września 1939 r. poległ pod Warszawą jeden brat Christiana, potem drugi. Pomorski świat kończył się szybciej niż niemiecki świat Dolnego Śląska czy Prus wschodnich. Częściowo dlatego, że nie było tu wielkich skupisk miejskich, częściowo też dlatego, że uciec stąd w roku 1945 było łatwiej niż z kotłów wschodniopruskich czy z „twierdzy Breslau“.

Dziś po niemieckich Pomorzanach pozostały ślady, które stają się częścią naszej historii i naszej kultury, a również znakiem ciągłości, od której wcale nie musimy się odżegnywać. Na tych ziemiach bowiem – jak pisze Christian von Krockow – Polacy i Niemcy od stuleci żyli ze sobą. Jego własna rodzina, jak wiele innych niemieckich rodów szlacheckich, miała swą polską gałąź, dygnitarzy służących polskim królom i fundujących polskie kościoły – na przykład Krockowscy z Krokowej. Nie przypadek też, że wśród Niemców wywodzących się z Pomorza jest wielu zasłużonych dla dialogu i zbliżenia polsko-niemieckiego po 1945 roku – Klaus von Bismarck, Rudolf von Thadden, Christian von Krockow – ci ludzie znają ten nasz kawałek Europy na tyle, by wiedzieć, że tu wszyscy nawzajem siebie potrzebowali, mimo waśni i wojen. I dlatego nie ma powodu wątpić w szczerłość takiego oto wyznania autora „Podróży na Pomorze“:

Jeśli naprawdę kochamy kraj na wschodzie i chcemy tam bez kłopotów jeździć, jeśli chcemy tam być odpowiednio przyjmowani, to na prawdę nie ma innej drogi: musimy zdobyć się na całkowite i prawdziwe uznanie tego co jest. Granice usztywniają i zamykają się, gdy się je narusza – mogą być pomostem, gdy się je akceptuje.

Warto by wydać u nas tę książkę, z jednej strony jako dowód, że jeśli na tych terenach kamienie niekiedy mówią po niemiecku, to nie zawsze mówią przeciwko nam, a z drugiej strony

dlatego, że ci, którzy dziś żyją w Słupsku czy Łebie, lepiej poznają historyczny charakter tej naszej ziemi.

„Polityka“, 31 sierpnia 1985

Wiesław Wiśniewski

Jaka lekcja?

(Artykuł polemiczny)

W początkach bieżącego roku w RFN ukazała się książka „*Die Reise nach Pommern – Bericht aus einem verschwiegenen Land*“, pióra Christiana Grafa von Krockowa. Książka napisana jest barwnie, bez jednoznacznych antypolskich akcentów, cechujących podobne wydawnictwa, ukazujące się dość obficie w RFN. Jedyne, co może nieprzyjemnie uderzać polskiego czytelnika, nieobeznanego z historią Pomorza, jest nieukrywana nostalgia autora za ziemią utraconą – choć patrząc z ludzkiego punktu widzenia należałoby to zrozumieć.

Inaczej jednak ma się sprawa, jeżeli książkę czytają ludzie związani z Pomorzem czymś więcej niż wspomnieniami z plaży w Łebie, Ustce lub Rowach. A zwłaszcza ludzie tu, w Słupsku, Łebie, Głównycach, urodzeni, wychowani, i to niekoniecznie po roku 1945, w wielu przypadkach grubo przed tą datą. Jest takich ludzi na Pomorzu Środkowym wraz z rodzinami jeszcze kilkadziesiąt tysięcy. Dla Kaszubów, Słowińców i Gochów – bo o nich tu mowa – książka byłego pomorskiego junkra zawiera wyłącznie jego osobisty punkt widzenia, bardzo ograniczony społeczną pozycją autora względem rdzennej ludności pomorskiej. I niewiele tu zmienia wyrażana w kilku miejscach książki świadomość autora o słowiańskiej przeszłości Pomorza, jak również deklaracja o pogodzeniu się z losem przymusowego emigranta ze stron rodzinnych. Ta przeszłość jest widziana przez autora bardzo subiektywnie i selektywnie, zaś opis tych jej fragmentów, które trafiły do książki tworzy obraz jednoznacznie tendencyjny. Pozornie pojednawczy ton wspomnień byłego junkra, w rzeczywistości budzi w pomorskich czytelnikach większy niepokój niż niejeden wulgarny, tępy, zacietrzewiony atak ze strony różnych heroldów zachodnio-niemieckich tzw. ziomkostw.

W jeszcze gorsze samopoczucie wprowadza pomorskiego czytelnika zamieszczony w „Polityce“ komentarz Adama Krzemińskiego do tej książki. Odnosi się wrażenie, iż polskiego publicystę Krockow do tego stopnia zjednuje owym „pojednawczym“ tonem, iż ten bezkrytycznie przyjmuje tezy autora za oczywiste i własnym komentarzem zachęca polskiego czytelnika do ich zaakceptowania. Gorzej – w pewnym miejscu A. Krzemiński, mówiąc o potrzebie wydania tej książki w Polsce, uzasadnia swój wniosek: „dlatego, że ci, którzy dziś żyją w Słupsku czy Łebie, lepiej poznają historyczny charakter tej naszej ziemi“.

Poznać oczywiście nigdy nie zawadzi, ale tu żyją tysiące ludzi, którzy tę historię mają wypisaną batami najemników von Krockowów na własnej skórze. Tu nie ma jednej kaszubskiej rodziny, w której nie byłoby krwawych ofiar: mężów, ojców, braci i sióstr mordowanych w miejscowych więzieniach w Słupsku, Bytowie, a także w berlińskim Moabicie oraz w licznych obozach – za chęć bycia nie tyle nawet Polakami, co Kaszubami czyli Pomorzanami.

Adama Krzemińskiego zafascynował następujący fragment książki von Krockowa:

– A jak z kłusownikami? (pyta hrabia). Odpowiada dyrektor PGR Siodłonie: – Owszem, oni też są, ale nie tu, lecz tam za torfowiskiem... Chłopaki z Kluk. A hrabia na to: No jasne, ci z Kluk, stary kłopot! Niemal nie uścisnąłem pana dyrektora za to, z pewnością nie wiedziałby o co chodzi....

Krockow uzupełnia tę scenkę refleksją, że to krajobraz i warunki natury mają taką siłę kształtowania ludzi takimi, jakimi są. Krzemiński zaś opatruje cały ten fragment komentarzem: „Mieszkańcy polskich Kluk zachowują się podobnie, jak nieobecni już dawni mieszkańcy niemieckich Klucken“.

Jeżeli przytoczona przez Krockowa scenka sygnalizuje nam coś prawdziwego, choć do końca nie wyjaśnionego, to komentarz Krzemińskiego zawiera kilka zafałszowań.

Niewątpliwie, niemiecki hrabia nie jest zainteresowany tym (bo nie sądzę, by to czynił z nieświadomości), aby wyjaśniać na czym polegał niemiecki problem słowiańskiej wsi Kluki,

w obfitej już literaturze pomorzoznawczej zwanej także ostatnim bastionem Słowińców. Na pewno jednak nie na kłusownictwie, które – jak utrzymują ówczesni, a jednocześnie współcześni (choć już rzeczywiście nieliczni) mieszkańcy tej wsi – było za czasów von Krockowa karane śmiercią w obozie, podobnie jak zwykle świnioobicie we własnej zagrodzie bez zezwolenia odnośnych władz. Niemiecki problem Kluk polegał na tym, że wieś ta stała się synonimem całego pasma buntów – o szkołę dla dzieci w języku słowińskim, zwanym przez nich samych wandejskim, o kazania pastorów w tymże samym języku, wreszcie głośnego buntu klukowian przeciwko dziedzicowi von Bandemerowi, który ich kosztem zbudował drogę przez własne włości (por. F. Tetzner, *Die Slaven in Deutschland*, Braunschweig 1902 r.). Jak wykazały badania prowadzone nad kulturą Słowińców, m.in. pod kierunkiem Bożeny Stelmachowskiej z Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu (B. Stelmachowska, *Słowińcy i ich kultura*, Poznań-Słupsk 1963 r.) nawet w 50 lat po pierwszych buntach, przetrwała w Klukach pamięć i tradycja tych walk, manifestująca się systematycznym ignorowaniem lub nawet sabotowaniem niemieckich zarządzeń.

Jeszcze raz podkreślam – Niemcowi się nie dziwię, ale czy polskiemu komentatorowi wypada nie wiedzieć, że z „nieobecnych, dawnych mieszkańców niemieckich Klucken“ w roku 1945, ani w kilku latach następnych nie wyjechała z tej wsi ani jedna rodzina, że ich staraniem powstał tu skansen kultury Słowińców (dziś placówka Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku), że aczkolwiek późniejsza polityka „łączenia rodzin niemieckich“ zmieniła znacznie ten stan, to przecież nie w takim stopniu, aby miał tu zastosowanie taki komentarz.

W całej swej książce Krockow stara się udowodniać, że znany w całych ówczesnych Niemczech konserwatyzm junkrów pruskich miał podłoże humanistyczne, a w kontekście – prawie internacjonalistyczne. I Krzemiński znów „kupuje“ ten wątek i stara się własnym komentarzem jakoś go uwiarygodnić. Stwierdza mianowicie: „Na tych ziemiach bowiem – jak pisze Christian von Krockow – Polacy i Niemcy od stuleci żyli ze sobą“. Otóż obaj panowie nie mają racji. Na tych ziemiach od stuleci Polacy i Niemcy żyli przeciwko sobie. Polacy, bo chcieli tu przetrwać. Niemcy – bo chcieli te ziemie zgermanizować, i czynili to z całą sobie właściwą sumiennością i konsekwencją, zaś w ostatnich kilkunastu latach obecności w tych stronach Christiana von Krockowa – ze zwierzęcą wręcz brutalnością. Ścinanie toporem, topienie, wieszanie bez sądu – oto sposób bycia Niemców, jakiego doznały tysiące kaszubskich rodzin. Adam Krzemiński wdzięczny Krockowowi za kilka ludzkich słów pod adresem Polaków przyświadcza mu w komentarzu: „jeżeli na tych terenach kamienie niekiedy mówią po niemiecku, to nie zawsze mówią przeciwko nam“. A kto policzy te nieme kamienie, które tu płaczą po polsku? Kto wskaże, gdzie są groby ściętych w Moabcie oraz w innych więzieniach i obozach członków tutejszych rodzin: Styp-Rekowskich, Schroderów, Gliszczyńskich i dziesiątków innych? Jakim głosem mówi ocalała do dziś sosna pod bytowską wsią Rokitki (kiedyś Gross Rokiten), na której powieszono Polaka Niebrzegowskiego, za to, że ośmielił się mieć dziecko z Niemką, Elfridą Schowe? Przecież działo się to niemal dosłownie na oczach Christiana von Krockowa, a w każdym razie opisy takiej właśnie formy „bycia Niemców z Polakami“ mógł codziennie wyczytać w każdej tutejszej gazecie.

Adam Krzemiński

Od autora:

Skrót często prowadzi do uproszczeń i skrzywień. I tak też się stało. W mojej krótkiej recenzji „Podróży na Pomorze“ Christiana von Krockowa chodziło mi o pokazanie psychiki Niemców, którzy odwiedzają swe dawne strony rodzinne jako ziemię polską, nie rezygnując zarazem z własnej pamięci i własnej historii. Chciałem też zwrócić uwagę, że warto znać te wspomnienia, opisy codziennego życia, obyczajowości i sposób widzenia regionu, ponieważ dawny materialny

dorobek ich przodków jest częścią naszej rzeczywistości. Warto też wciąż pamiętać, że nadal będziemy w tej naszej Europie sąsiadami skazanymi na współzycie, więc wrogość oraz rachunek naszych krzywd nie mogą być jedynym sposobem dialogu Niemców i Polaków. Takie są moje poglądy dotyczące zresztą naszego stosunku nie tylko do Niemców, ale i wszystkich innych narodów, z którymi stykaliśmy się w gniewie i w radości.

Oczywiście, trudno to wszystko wyłożyć w niewielkiej recenzji, toteż Wiesław Wiśniewski – dziennikarz ze słupskich „Zbliżeń“ miał prawo odczytać zdanie dotyczące Kluk tak jak je odczytał, bo istotnie sformułowane zostało niezręcznie. Chciałem pokazać jak mimo zmienionej przynależności państwowej Kluk, mimo wyjazdów na Zachód mieszkańców wioski (o czym pisze sam Wiśniewski) i wymierania starej generacji *genius loci* sprawia, że dzisiejsi mieszkańcy Kluk zachowują się tak jak ich poprzednicy – i byłbym ostrożny z upolitycznianiem każdego aktu samowolnego polowania w lesie, gdyż wnioski na dziś mogłyby być zaskakujące. Nie było też moim zamiarem ani przemilczanie słowiańskich wysp na Pomorzu, ani bagatelizowanie agresywnego junkierstwa. W końcu sam w swej recenzji cytowałem modlitwę pruskiego generała błagającego Boga o wojnę, na której mógłby się dorobić. Nie widzę jednak żadnego powodu, by za taką modlitwę uznać również książkę Christiana von Krockowa. Ten znany publicysta nie raz dawał dowody swej rzeczywistej sympatii do Polski i nawet w momentach dla nas najtrudniejszych szukał w swych artykułach dróg partnerskiego porozumienia z Polską, polemizując z najbardziej zajadłymi głosami prawicy. Jego tekst z miesięcznika SPD „Die Neue Gesellschaft“ cytowałem w relacji ze zjazdu Ślązaków w Hanowerze. Używanie wobec niego pojęć „były junkier“, „nie jest zainteresowany tym, aby wyjaśniać...“ itp. ma w tekście Wiśniewskiego stworzyć znane skojarzenia, że oni wszyscy są tacy sami i nie ma w ogóle co się bawić w jakieś rozróżnienia. Tymczasem Christian von Krockow w czasie, gdy wyjeżdżał na zachód miał siedemnaście lat, wojnę spędził w szkole w Międzyzdrojach i stawianie go w jednym szeregu z tymi, którzy wieszali, ścinałi i topili jest szkodliwym dla nas daltonizmem.

Niczego nie należy przemilczać, ale też nie można być zamkniętym na cudze sprawy. I dlatego w żaden sposób nie mogę się zgodzić z programowym zdaniem Wiesława Wiśniewskiego, że „pozornie pojednawczy“ ton wspomnień von Krockowa budzi większy niepokój „niż niejeden wulgarny, tępy, zaciętrzewiony atak“. To znaczy, że Wiśniewski lepiej się czuje wśród wrogów, bo wtedy wszystko jest prostsze i jednoznaczne – tam odwieczny wróg, tu heroiczna walka o przetrwanie. Ale samo życie jest bardziej wieloznaczne. Nawet na losy konkretnych ludzi, o których wspomina W. Wiśniewski, można spojrzeć z różnych stron. Sosna, o której wspomina mój Polemista, oczywiście jest świadkiem hitlerowskiego terroru wobec ludności polskiej, ale również świadkiem tragicznej miłości Polaka i Niemki wbrew nieludzkim prawom. I jakże tu mówić, że „na tych terenach od stuleci Polacy i Niemcy żyli przeciwko sobie“, a skąd te dzieci, a skąd niemieckie nazwiska wśród Polaków i polskie wśród Niemców? Otóż Niemcy i Polacy żyli przeciwko sobie, ale też żyli ze sobą, po prostu było bardzo różnie, i bardzo różnie jeszcze będzie. W swej recenzji napisałem, że „Jeśli na tych terenach kamienie niekiedy mówią po niemiecku, to nie zawsze mówią przeciwko nam“. I jest to prawda, zaś kamienie, które – jak pisze Wiśniewski – płaczą po polsku staramy się pieczołowicie zbierać. Ale to nie znaczy, by zaraz nimi ciskać.

„Polityka“, 26 października 1985

Mały kawałek ziemi

Z Horstem Bienkiem rozmawia Adam Krzemiński

Adam Krzemiński: – *W niemieckiej tradycji literackiej istniało coś w rodzaju „mitu Wschodu“ – Prusy Wschodnie, Pomorze, Śląsk. Prusy Wschodnie to był obraz odległych lasów gdzieś na skraju cywilizowanego świata, gdzie szaleją Tatarzy, gdzie wilki szczerzą kły, a samotni ludzie są skazani na siebie i na własny pomyślunek. Pomorze było po wojnie trzydziestoletniej białą plamą – junkrzy na kartofliskach i piosenka „Pomorze poszło z dymem“. A Śląsk, skąd pan pochodzi i który pan opisał w swej tetralogii... No właśnie, jakim mitem literackim był Śląsk?*

Horst Bienek: Śląsk jako mit literacki; to przede wszystkim obie śląskie szkoły poetyckie w XVII wieku, bez których w ogóle nie można sobie wyobrazić baroku. To romantyzm, który w Eichendorffie znalazł swego najczystsze i najznamienitsze przedstawiciela. Ale istnieje też na Śląsku mit ziemi – który nie ma zresztą nic wspólnego z nazistowskim mitem „Krwi i Ziemi“ – wynika on ze słowiańskiego pokrewieństwa, które było silniejsze na Górnym Śląsku niż na Dolnym, wiązało się ze wspólnym katolicyzmem i przemieszaniem językowym na przykład na wsi. Ten mit tak wyglądał: ta dana od Boga ziemia należy do ciebie, na niej jest twoje miejsce, i w niej się w proch rozpadniesz. Może pana w tym micie wyczytać Mickiewicza, a także Dostojewskiego.

– *A na czym polegał ów element słowiański?*

– Choćby właśnie na owym micie ziemi, micie babki, micie rodziny, babki, „Babuszki“, która trzymała w garści cały klan. Mogę panu opowiedzieć historię Gerharda Hauptmanna, który był protestantem z Dolnego Śląska. Gdy chowano go na bałtyckiej wyspie Hiddensee, jego żona rzuciła mu do grobu trzy garści śląskiej ziemi...

– *Ja również przywiozłem kilka garści ziemi z Wilna i Grodna, choć moje więzi rodzinne z Litwą są już bardzo odległe.*

– No widzi pan, żaden człowiek Zachodu by tego nie zrobił, trudno by sobie coś takiego wyobrazić na przykład u Tomasza Manna czy Ericha Kaestnera. Również katolik z Kolonii nie postąpiłby w ten sposób.

– *Czego przejawem jest to, że my jesteśmy gotowi do takich gestów, a oni nie?*

– Panu tego nie muszę wyjaśniać: napisał pan szkic dla „Die Zeit“ – „Wschód w nas“. I to jest właśnie to. My, którzy pochodzimy ze Wschodu – a przede wszystkim mam na myśli rodowód duchowy, choć nie wyłącznie – mamy tę dwoistość Duszy i Rozumu, Mitu i Oświecenia, od ciemnej wiary po przejrzysty protest. Tę dwoistość my Niemcy znaleźliśmy u Dostojewskiego i dlatego stał się on dla nas tak wielkim pisarzem. Pan wie, że pierwsze tłumaczenia Dostojewskiego ukazały się w Niemczech, i że na przełomie wieków dyskutowano na jego temat z namiętnością nie znaną nawet w Rosji.

I tak też jest ze mną. Głową, rozumem jestem Kartezjaninem. Ale moja dusza ma jakieś słowiańskie korzenie. Nigdy nie wypierałem się tych słowiańskich powiązań i słowiańskiego podglebia, wiąże się to pewnie również z moim katolicyzmem. Wie pan, urodziłem się w atmosferze katolickiej pobożności ludowej, która w niczym się nie odróżnia od atmosfery w Wadowicach.

– *Czy w 1987 roku była to pańska pierwsza podróż do Polski, w pańskie śląskie ojczyście strony?*

– Tak. Gdy przekroczyłem granicę w Zgorzelcu, szukałem brzoźowych lasów, które pamiętam z dzieciństwa i które opisałem w moich powieściach, ale ich nie znalazłem. I wtedy pomyślałem: jednak przesadziłem. Jednak dalej, za Bolesławcem, zaczęły się lasy brzoźowe i ciągnęły się aż do Katowic. I znowu wróciło do mnie dzieciństwo z dawnymi zapachami i dźwiękami, żurkiem i ogórkami kwaszonymi, znowu zobaczyłem Odrę, która spokojnie sobie płynie tak jak wtedy...

– *Ale nie ma tamtych ludzi.*

– Tak, nie ma. Jednak ci ludzie, którzy tam mieszkają, wcale nie są inni, mają te same twarze...

– *Wszystko jedno, czy to byli Niemcy, czy są to Polacy?*

– Tak. W Katowicach, w Zabrze, w Gliwicach widziałem twarze mego dzieciństwa, te słowiańskie twarze, nieco szerokie, z wystającymi kośćmi policzkowymi, takimi, jakie pan widzi u mnie. Te blade, zmęczone, spracowane twarze były również wtedy. Na Górnym Śląsku praca wciąż jest bardzo ciężka. Ludzie stąd byli zawsze wykorzystywani... Jedyna różnica, że ci ludzie dziś mówią po polsku.

Byłem w Gliwicach w kościele, w którym przyjmowałem Pierwszą Komunię i przypadkowo znów była Pierwsza Komunia. I znów dla mnie wszystko było tak jak wtedy, w dzieciństwie. Wiedziałem, kiedy mam się przeżegnać, kiedy mam powiedzieć: „moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina“, kiedy mam się uderzyć w piersi. Ja nie rozumiem po polsku, ale wyczuwałem, co się dzieje, i nagle zacząłem śpiewać po polsku „święty, święty, święty“... dawniej było to „heilig, heilig, heilig“.

– *Przed dwoma laty napisał pan dla „Die Zeit“ artykuł, który został w Polsce przedrukowany w „Forum“. Była to polemika ze Związkiem Wypędzonych. Tłumaczył pan, że strony ojczyste to nie tylko krajobraz, ale przede wszystkim ludzie dzieciństwa. I ponieważ dawni ludzie nie mieszkają już na Śląsku, więc swe strony ojczyste nosi pan ze sobą jako wspomnienie dzieciństwa – ale również jako pożegnanie z dzieciństwem. Czy coś w tym nastawieniu zmieniło się po podróży do Polski?*

– Nie. Właśnie w Gliwicach pojąłem, jak dziwaczne są niektóre nasze interpretacje stron ojczystych. Utraciłem moje strony ojczyste, ponieważ utraciłem moje dzieciństwo. Dzieciństwo i *Heimat* są dla mnie jednym i tym samym. Ale z dzieciństwa człowiek zostaje wygnany, gdy staje się dorosły. Tutaj w Gliwicach odnalazłem wszystko takie, jakie było, nic – poza ludźmi – się nie zmieniło. A przecież wszystko jest inne. Wróciłem teraz, że tak powiem, głową do krainy mego dzieciństwa, ale nie wróciłem duszą. W duszy ani dzieciństwa, ani stron ojczystych nigdy nie straciłem. I w zasadzie chętniej mówię o dzieciństwie niż o „stronach ojczystych“. Chętniej też używam słowa „dziecizna“ (*Kinderland*) niż „ojczyzna“. Również Rosjanie, a także Włosi, albo w ogóle nie mówią o ojczyźnie, albo bardzo patetycznie. Z uczuciem mówią o macierzy.

– *A jak pan wówczas odbierał swoje strony rodzinne, jako tereny graniczne Niemców i Polaków, nienawiść, wojnę? Opisuje pan to w swych powieściach, ale jak pan to doświadczył w dzieciństwie?*

– W książkach zawarte jest moje dzieciństwo. Oczywiście przetworzone literacko. Gdy pisze pan dziś powieść, ma pan jako pisarz zobowiązania moralne. Nie wolno panu kłamać. Ale uprzedzenia, wrogość, nienawiść niewątpliwie istnieją między naszymi narodami, była wykorzystywana przez określone kierunki polityczne. Było też wiele wspólnego i mnie zależało na pokazaniu możliwości współzycia. Po obu stronach byli szowiniści. Niemcy chętnie z pogardą mówili „*polnische Wirtschaft*“ i „*Polaken*“, ale niech pan nie zapomina, że Polacy mieli dość paskudne przysłowie: „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem“. Zapewne dlatego właśnie katolicyzm odgrywa w moich powieściach tak ważną rolę, gdyż przejawiało się w nim najwięcej wspólnego.

Dla mnie jako dziecka Polska zawsze oznaczała coś obcego, nieznanego, innego, krył się w tym również lęk, ale i ciekawość oraz pokusa. Kiedyś wyraziłem to w takim obrazie: mieszkaliśmy w Gliwicach pod lasem. Jako dzieci wiedzieliśmy, że gdzieś tam zaczyna się Polska, a dalej Rosja. Mówiono nam, że tam są borsuki i wilki, a ponoć także i żubry, mówiono też, że tam są smolarze mieszkający w lasach i wypalający węgiel drzewny... Kiedyś śniło mi się, że zgubiłem się w lesie i w ciemności podeszły do mnie wilki. Bałem się potwornie, a one zbliżały się coraz bardziej i bardziej, aż zaczęły lizać moje ręce i moją twarz. Potem już się nie bałem

wilków... Wiedziałem też, że mam co się bać obcych. Nienawiść powstaje, gdy się zna drugiego człowieka.

– *No tak, ale przecież było dosyć powodów do nienawiści.*

– Nie wiem tego i nie sądzę, by tak było. Oczywiście były powstania, był plebiscyt. Ale też wciąż były gesty pojednania. Gdy Piłsudski i Hitler w 1934 roku zawarli układ o nieagresji, nagle zaczęto mówić, że granica jest pomostem. Przedtem wciąż mówiono: granica jest barierą. Nagle Śląsk widziano jako teren wymiany... Niestety tak było tylko przez krótki czas. Wie pan, jako dziecko często chodziłem z matką z pielgrzymką do Piekar, które nazywaliśmy Deutsch-Piekar, choć leżały w polskiej części Górnego Śląska. Moja matka dobrze mówiła po polsku, modliła się tylko po polsku śpiewała polskie pieśni i gdy wracała stamtąd nie było w niej żadnej zmiany, potrzebowała tego jako przeżycia religijnego. Nie, nienawiść zawsze przychodziła z zewnątrz.

– *Musiały jednak być ogromne różnice między niemieckimi i polskimi Górnoszlązakami...*

– Wcale nie tak ogromne.

– *W swej książce „Opis pewnej prowincji“ cytuję pan słowa Theweleita na temat mentalności niemieckich ochotników, którzy walczyli przeciwko polskim powstańcom na Śląsku. Tej mentalności, tej koszarowej erotyki...*

– i sadyzmu...

– *...nie znajduję w polskiej tradycji wojskowej, która jest wprawdzie sentymentalna, ale i bardziej wrażliwa na klęskę, ukształtowana przez nieszczęście upadku. Jest patetyczna, ale bez tej arogancji. Chodzi mi tu o pewien wzorzec literacki.*

– Ale niech pan nie zapomina, że ci ochotnicy, którzy walczyli na Śląsku, wcale nie pochodzili ze Śląska, lecz z Bawarii, z Zagłębia Ruhry, z krajów bałtyckich. Śląscy naziści mieli właściwie komunistyczne korzenie, to byli często rozczarowani komuniści, którzy przeszli pod swastykę.

– *Tą drogą poszli nie tylko śląscy komuniści. Jeden z tych nacjonalistycznych ochotników, Beppo Roemer, który pod Górą Świętej Anny walczył po niemieckiej stronie, potem organizował bojówki komunistyczne, a w końcu flirtował z nim nacjonałiści, by zamordować go ostatecznie w Buchenwaldzie. W Niemczech zdarzały się bardzo pokręcone życiorysy...*

– Nie tylko w Niemczech. Górnoszlązacy być może byli szczególnie podatni na uwodzenie, gdyż byli „naiwni“. Ale wybory wypadły na Górnym Śląsku wcale nie tak korzystnie dla Hitlera, wiązało się to z katolicyzmem Górnoszlązaków. Mimo to myślę, że narody żyjące na pograniczu są szczególnie podatne na manipulację, ponieważ ze względu na swą historię, mają bardzo pokręconą psychikę, dostosowują się do okoliczności, skłaniają do kolaboracji, gdyż inaczej nie mogą przetrwać.

– *Jako „tutejsi“?*

– Tak, mają trudności ze swą tożsamością. Czy to przypadek, że większość wachmanów w Oświęcimiu wywodziła się właśnie z Górnego Śląska? Kaduk przecież nawet nie umiał porządnie mówić po niemiecku...

– *Wściekłość i agresywność pochodzące z rozbitej tożsamości?*

– Tak, facet wewnętrznie rozbity, sfanatyzowany, który wreszcie może nacieszyć się swoją przewagą, przedtem dla niego niedostępną. Nareszcie może odplacić wszystkim za wszystko.

– *A jak pan to wszystko przeżywał, chodząc w Gliwicach do hitlerowskiej szkoły? Teraz tak wiele się o tym pisze, znane są u nas wspomnienia Christy Wolf. A jak to było z panem?*

– Hitlerjugend była u nas bardzo słaba, to również wiązało się z katolicyzmem, który wciąż walczył z ingerencją państwa w wychowanie rodzinne. Dochodziło do tego, że u nas żadne grupa HJ nie mogła się utrzymać dłużej niż dwa miesiące, czegoś takiego nie było gdzie indziej.

Moja matka zawsze mówiła, że mam chodzić do Kościoła i bardziej bałem się nie pójść na mszę niż opuścić zbiórką HJ.

– *A potem nadszedł wrzesień 1939, hitlerowska prowokacja z rzekomym napadem Polaków na rozgłośnię w Gliwicach, którą opisuje pan w „Pierwszej polce” – zarówno książka, jak i film są w Polsce znane – następnie było upojenie Niemców zwycięstwem, temat drugiej części tetralogii gliwickiej „Wrześniowy blask”, następnie to dziwne poczucie: zwyciężamy, ale wszystko zmierza do przepaści. Czy to były autentyczne przeczucia już wówczas?*

– To poczucie opisałem w trzeciej części w „Czasie bez dzwonów”, a więc już po Stalingradzie. Ale faktem jest, że narody pogranicza są bardzo wrażliwe na takie sprawy, wcześniej przeczuwają zmiany. W głębi Rzeszy jeszcze świętowano zwycięstwa – ale my byliśmy bliżej Wschodu. Ludzie czuli, że front się zbliża, że oni są bardziej narażeni niż w Kolonii czy Hamburgu, mimo bombardowań.

– *Hrabina Doenhoff powiedział mi w wywiadzie, że już w 1937 przeczuwała zbliżającą się wojnę i utratę Prus Wschodnich. Czy takie przeczucia były również na górniczym i drobnomieszczańskim Górnym Śląsku?*

– Mogę sobie wyobrazić, że hrabina Doenhoff przenosi w przeszłość swą późniejszą świadomość, ale też jest ode mnie znacznie starsza, toteż mogła myśleć o wiele dojrzej niż ja, który wtedy miałem 12 czy 13 lat. Wiem tylko, że moja rodzina bała się Rosjan. O tym, że przyjdą Polacy wcale nie myślano, również nie obawiano się tego. Polacy zawsze byli naszymi sąsiadami. Teraz byliby zwycięzcami, no dobrze, ale uciekać przed nimi nie trzeba.

– *Naziści dali rozkaz ewakuacji?*

– Owszem, ale dopiero w ostatnim momencie. Przedtem było hasło trwania w miejscu. Jeszcze trzy dni przed wkroczeniem Rosjan ucieczka uchodziła za dezercję. Niech pan nie zapomina, że Górny Śląsk był jedyną jeszcze nienaruszoną maszynierią zbrojeniową Niemców. Oczywiście chciano ją utrzymać. Gdy uciekli bonzowie partyjni, to zezwolili na ucieczkę również robotnikom. Ale wtedy było już za późno. Pociągi nie jeździły, klin rosyjski przecięzł odciał przemysłowe tereny od Zachodu. Rosjanie również chcieli mieć przemysł nie zniszczony.

Pamiętam, że większość ludzi wcale nie chciała uciekać. Wojna była przegrana. Dlaczego więc miano by jeszcze stracić osobisty dobytek. Gdy byłem teraz w Lubowicach, gdzie urodził się Eichendorff, spotkałem chłopca, który powiedział mi: mam tylko mały kawałek ziemi, ale on należy do mnie, uprawiał go mój ojciec i mój dziadek. Raz zarabia się tu więcej, raz mniej, raz mówi się po niemiecku raz po polsku. To moja ziemia, tu jest moje miejsce, i tu chcę umrzeć. Czy to nie piękne?

– *A jak ukształtowała pana ucieczka na Zachód?*

– Ja nie uciekłem. Zostałem w Gliwicach do roku 1946. Już była polska administracja, życie wracało do normy. Otwarto polskie szkoły. Można było zostać, ale trzeba było przyjąć polskie obywatelstwo. Polacy po doświadczeniach okresu międzywojennego nie chcieli tak silnych mniejszości narodowych. Notabene rząd londyński nie chciał mniejszości tak samo, jak i lubelski. Moi krewni wówczas podpisali obywatelstwo i zostali...

– *I żyją tam po dziś dzień?*

– Nie, potem wszyscy wyjechali. Ja miałem wówczas 15 lat i chciałem chodzić do niemieckiej szkoły, zawsze chciałem być pisarzem, i to w języku niemieckim...

– *Dlaczego pan chciał zostać pisarzem?*

– Wcześniej zacząłem pisać wiersze.

– *I o czym chciał pan pisać, co chciał pan przekazać ludziom?*

– W tym wieku człowiek się nad czymś takim nie zastanawia. Chciałem pójść w górę. Chciałem wyjść z tego drobnomieszczańskiego i proletariackiego środowiska. Pisanie było dla mnie szansą. Oczywiście nie wiedziałem jak daleko zajdę. Ale starałem się. Widzi pan, takie

piętno odcisnęło się na całej niemieckiej literaturze powojennej – Boell, Grass, Lenz, Johson. Dlatego też tak dokładny jest w niej opis drobnomieszczańskiego faszystwu. Faszystw arystokracji – na ten temat nie ma żadnych książek.

– A więc pisanie było drogą awansu?

– Tak, oraz emancypacji.

– *Najpierw chciał pan uciec w literaturę, a potem w świat?*

– Można by to tak nazwać. Sądzę, że i tak opuściłbym Gliwice, ten drobnomieszczański świat mego dzieciństwa. Ale zapewne później i nie w tak dramatycznych okolicznościach. Kotik w czwartym tomie mojej tetralogii „*Ziemia i ogień*“, to oczywiście ja sam, on również chce się stamtąd wyrwać na Zachód, ku Oświeceni. Aby dalej od Wschodu, od ciemnego katolicyzmu, który mówi ludziom: cierp, ukorź się, padnij na kolana. Mój Kotik mówi: módl się, ale podnieś głowę, patrz w górę, broń się. Wziąłem plecak, z dwiema koszulami i parą podartych butów i poszedłem na dworzec, gdzie właśnie formowano transport wysiedleńców i powiedziałem im jak Matka Courage: weźcie mnie ze sobą! Na Zachód.

To znamienne: w tym samym roku przyjechał do Gliwic inny Polak, również dla niego to była podróż na Zachód. Był to późniejszy polski pisarz: Adam Zagajewski.

– *To była wówczas loteria, do której strefy okupacyjnej się trafiło?*

– Tak. Niczego nie wiedzieliśmy. Krążyły różne plotki. Nagle zatrzymaliśmy się w Koethen koło Lipska, i przez trzy tygodnie żyliśmy w obozie na kwarantannie. Wieczorami przechodziłem przez płot i szedłem do tamtejszego teatru, gdzie właśnie grano „*Nielegalnych*“ Guentera Weisenborna. To był ten rodzaj rozprawy z tamtymi czasami, który mi się podobał. Musi pan pamiętać, że właśnie głośno było o okropieństwach popełnionych w obozach koncentracyjnych, starsi to wszystko uważali po prostu za aliancką propagandę. My byliśmy pierwszą generacją, która te oskarżenia brała serio i szukała oczyszczenia.

– *No cóż, uciekł pan na Zachód, ale znalazł się pan na Wschodzie, i to daleko na Wschodzie, w Workucie, skazany na kilka lat obozu pracy...*

– Moja ucieczka na Zachód była ukoronowaniem tęsknoty, której nie tylko ja uległem. Już w XIX wieku mówiło się o „ucieczce ze Wschodu“ (Ostflucht), zresztą nie tylko Niemców, również Polaków, którzy wyjeżdżali do Zagłębia Ruhry, do Belgii czy Francji. Do roku 1917 te rozgraniczenia narodowe na Śląsku nie odgrywały większej roli. Jeśli pańska matka modliła się z panem po niemiecku, to był pan Niemcem, a jeśli po polsku to Polakiem. Ale w obu przypadkach był pan Prusakiem.

Kiedys pewna nauczycielka napisała do mnie oburzone moimi książkami. Pisała, że mieszkała w Gliwicach przez szesnaście lat i nie wypowiedziała po polsku ani jednego słowa. I jeszcze była z tego powodu dumna. A powinna się była wstydzić, gdyż granica przebiegała sześć kilometrów od miasta i znajomość języka sąsiadów usunęłaby być może niejedno uprzedzenie.

– *A i w czasie plebiscytu padło na tym terenie jakby nie było 40 procent za Polską.*

– Tak, zawsze to mówię ludziom, którzy twierdzą, że to wszystko było czysto niemieckie. Jeszcze w czasach mego dzieciństwa na wsi często mówiono po polsku. Wiedzieli o tym również naziści, bo gdyby było inaczej, to nie umieszczaliby wszędzie plakatów: TU MÓWI SIĘ TYLKO PO NIEMIECKU?

– *Został pan zesłany do Workuty na cztery lata. Swe przeżycia więzienne opisuje pan w powieści „Pudło“, która jest dla mnie o tyle ciekawa, że w literaturze niemieckiej doświadczenie obozowe często jest stylizowane na „uniwersytet życia“. Tak jest w „Nagich wśród wilków“ Apitz, tak jest w „Pobycie“ Hermanna Kanta. Tak jest też i u pana...*

– To nie takie proste. Apitz był więźniem hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, Kant był niemieckim jeńcem wojennym. Mój przypadek był całkiem inny. Byłem uczniem Brechta w NRD, uprzywilejowanym, wprawdzie nie byłem komunistą, ale zdawałem sobie sprawę, że

faszystów został zdruzgotany przez aliantów i że powinienem być zdruzgotany, jeśli ja sam – choć przez nazistów zaliczany do „rasy panów“ – mam wieść życie godne człowieka. A gdy aresztowano mnie w czasach stalinowskich ani na moment nie czułem nienawiści do Rosjan, może to pan wyczytać z wszystkich moich książek. Do systemu, do ideologii – owszem, ale nie do ludzi.

– *I teraz muszę głęboko nabrać powietrza, zanim postawię następne pytanie: W tak zwanym „sporze historyków“, nie tylko porównywano Oświęcim z „bolszewickim terrorem“, ale i usprawiedliwiano zbrodnie Hitlera zbrodniami stalinowskimi. Czy właśnie pana, więźnia Workuty, można zapytać, co czuje pan przy takich porównaniach?*

– To porównanie jest nie do przyjęcia i wyraźnie to u nas powiedziałem. Uważam, że zbrodni w ogóle nie można porównywać. Nawet jeśli w czasach Stalina zginęły miliony ludzi, to dziś wiemy, że jest to nieporównywalne ze zbrodniami Hitlera. Nawet jeśli baraki w obozach hitlerowskich byłyby zbudowane według wzoru baraków rosyjskich, to Niemcy i tak nie mają prawa mówić o „azjatyckim czynie“ bolszewików, który rzekomo zmusił nazistów do czegoś w rodzaju „zbrodni prewencyjnej“, jak to się u nas mówiło. Nie mam zamiaru bagatelizować zbrodni stalinowskich, ale Niemcom nie przystoi relatywizować Oświęcimia.

– *Wycierać sobie ręce o cudze kamizelki?*

– Tymczasem wiemy, że w stalinowskich obozach pracy zginęły miliony ludzi: z głodu, w wyniku wycieńczenia pracą, na epidemie (...). Zresztą przeważnie Rosjan, przeważnie więźniów politycznych.

Ale czymś zupełnie innym jest, gdy jakiś rząd postanawia utrzymać cały naród (jak na przykład Polaków) na poziomie niewolników, czy wytępić całą rasę (jak Żydów), w sposób przemysłowy, tak że buduje fabryki śmierci, oblicza wydajność komór gazowych i pieców krematoryjnych. Oczywiście, zabitemu jest obojętne, w jaki sposób został zgładzony – ale historyk musi znać mechanizmy.

– *I jak Workuta ukształtowała pana?*

– W odróżnieniu od Hermana Kanta nie trzeba mnie było wychowywać na antyfaszystę, jak to miało miejsce z nim w polskim więzieniu. Gdy mnie aresztowano, już byłem demokratą z przekonania, antyfaszystą w szerszym sensie. Workuta była dla mnie czymś w rodzaju uniwersytetu życia, tak jak to rozumiał Gorki, który powiedział, że jego uniwersytetami były polne drogi. Moimi uniwersytetami były więzienia. Będę musiał jeszcze raz opisać ten „Wschód we mnie“. Było nas w obozie około 30 Niemców wśród 3 000 Rosjan, Ukraińców, Litwinów. Wszyscy rozmawialiśmy ze sobą po rosyjsku. Wtedy poznałem wszystkie odcienie rosyjskiej duszy, rosyjskich odczuć, przekleństw i modlitw, i to z intensywnością, panie Krzemiński, której w normalnym życiu się nie poznaje. Cztery lata w jednym baraku z 70 mężczyznami, których zna się tak intymnie, od obcinania paznokci u nóg do szczania, od najcięższej pracy do krańcowego wyczerpania. Wówczas zdobywa pan znajomość ludzi, zdobywa pan znajomość duszy. I sądzę, że to właśnie uczyniło ze mnie pisarza. Większość naszych autorów przecież nie ma nic do powiedzenia. To nie w formalizmach, ogląda swe bebechy, stylizuje swe małe, trywialne problemy na problemy ogólnoświatowe. Moje pisarstwo jest inne. „Pudło“ nie jest wesołą lekturą, to prawda, ale to książka, jakich w literaturze nie ma zbyt wiele. Jest napisana od wewnątrz, od środka człowieka, który jest zamknięty. Sądzę zresztą, że bez doświadczenia więziennego nie napisałbym też moich powieści śląskich, choć nie wiążą się one z nimi bezpośrednio. Doświadczenie obozowe dało mi zdolność zbliżenia się do duszy człowieka, zajrzenia w jej głębię. Sądzę, że Dostojewski dopiero po doświadczeniu zsyłki mógł napisać „Zbrodnię i karę“.

– *A więc współczesność interesuje pana mniej niż przeszłość?*

– Przeszłość nie jest martwa, mało, ona nawet nie przeminęła, jak powiedział wielki znawca ludzkiej duszy i prozaik – William Faulkner. Nasza współczesność przygląda się w przeszłości. Zaś co do mnie, to napisałem te cztery powieści o moim dzieciństwie jako POWIEŚCI HISTORYCZNE ZE WSPÓŁCZESNOŚCI.

– *To prawda swą tetralogią włączył się pan przecież w aktualną debatę na temat „utraczonego Wschodu“.*

– Dzięki moim powieściom wielu Ślązaków odkryło w sobie swe słowiańskie pokrewieństwo. Otrzymałem wiele listów, w których ludzie wyrażali mi wdzięczność, że przypomniałem im zatarte lub zapomniane słowa dzieciństwa.

– *A jak odnajduje się pan na Zachodzie, pan – człowiek Wschodu?*

– Czuję się na Zachodzie nieco obco.

– *To samo powiedział mi Dedecius.*

– Mogę to poznać po tym, że łatwo znajduję wspólny język z takimi ludźmi jak Ota Filip, który urodził się 30 kilometrów od Gliwic, w Ostrawie, i tam wychował się w innym języku. Tę spontaniczną sympatię odczuwam również do pisarzy rosyjskich, których poznałem tu na Zachodzie. Tę spontaniczną sympatię czuję rzadko w zetknięciu z pisarzami wyrosłymi na Zachodzie. Niech pan mi wybaczy, że tak często używam słowa „dusza“, ale myślę, że zarówno Polacy, jak i Rosjanie wiedzą, co mam na myśli używając je.

– *Owszem, wyczuwają to.*

– Natomiast z Niemcami jest bardzo trudno rozmawiać o duszy.

– *Ale można rozmawiać o duchu, na przykład duch czasu jest teraz w modzie.*

– E tam, to nie to samo. Opowiem panu pewną historię. Miałem odczyt w Stuttgarcie. Potem podszedł do mnie młody człowiek i powiedział: nazywam się Holoubek, a wszyscy wokoło nazywają się Pfaefflin...

– *Albo Schiller.*

– Albo Moericke. I już w szkole spostrzegłem, że jestem inny. Nie wiedziałem dlaczego, ale gdy przeczytałem pańskie książki, zrozumiałem dlaczego. Moja rodzina pochodzi z Górnego Śląska. Ja urodziłem się już tutaj, mówię szwabskim dialektem, a jednak jestem inny. Moje nazwisko było zewnętrznym znakiem mojej odmienności, ale teraz wiem, że jestem inny, mam inne korzenie. To jest to...

– *A więc jest to coś z krajobrazu i z ludzi, co się dziedziczy nawet po latach?*

– Na to wygląda. Odra czy Wisła modelują człowieka inaczej niż Rodan. Zapach jaśminu jest inny niż zapach głogu. Połyskliwe lasy brzozowe kształtują człowieka inaczej niż ciemne lasy jodłowe. Posunąłbym się tak dalece, by twierdzić, że dzieciństwo wśród bajek o Liczyrzepie i Utopcach – słowiańskich duchach rzecznych i górskich – tworzą inne mity i lęki niż opowiadania o Kanitverstanie i Machandelboomie. I w ten sposób wróciliśmy do mitu, od którego zaczęliśmy.

– *A miał pan echo z Polski, gdy „Pierwsza polka“ ukazała się po polsku?*

– Owszem. Pierwsze wydanie miało nakład 30 tysięcy i zostało rozchwytnięte w ciągu tygodnia. Dostałem prezent od czytelników, którzy zawinęli mi w chusteczkę garść kamyków z Wisły. Piękny gest, prawda?

– *Rzeczywiście. Jak ta garść ziemi, którą wozimy ze sobą poprzez granicy. Serdecznie dziękuję za tę rozmowę.*

„Polityka“, 5 marca 1988

Wysiedlałem Horsta Bienka

Z socjologiem Andrzejem Ziemilskim rozmawia Adam Krzemiński

Andrzej Ziemilski: – Może nie dosłownie, ale w Gliwicach znalazłem się bardzo wcześnie. W lutym 1945 r. wyszedłem z partyzantki akowskiej w Tatrach, w Krakowie zgłosiłem się do PPS, partii mego ojca. Pierwszymi osobami, które spotkałem byli Jan Mulak i Maciej Weber, (serdeczny przyjaciel Jana Strzeleckiego jeszcze z czasów wojny). Oni mnie namówili, bym z grupą operacyjną PPS pojechał na już zdobyty, ale jeszcze nie urządzony Górny Śląsk.

– *Ile pan miał wówczas lat?*

– O, dużo, miałem już 22 lata i parę doświadczeń wojennych oraz ogromną potrzebę działania. Zajechaliśmy na ulicę św. Jana w Katowicach, gdzie była PPS i pełniłem różne funkcje, np. zostałem wiceprzewodniczącym OM TUR. Byłem też komendantem milicji PPS, trwało to przez tydzień i było zupełną fikcją, ale wtedy byłem z tego dumny. Potem w Urzędzie Wojewódzkim trafiłem do wydziału informacji i propagandy, którego szefem był major Stahl, przedwojenny nauczyciel, bardzo sympatyczny człowiek. Przez parę dni byłem „referentem świetlicowym“. Ale pewnego dnia zamknięto nas w urzędzie, wszedł generał Zawadzki i zostaliśmy pełnomocnikami rządu do spraw administracji polskiej na ziemiach przyłączonych czy odzyskanych, bo używano obu nazw. Mnie skierowano do Gliwic.

– *Z rozkazu czy na ochotnika?*

– I jedno i drugie. W ciężarówce jechało nas czterech nie znających się młodych ludzi (jeden później wyładował w UB, widywałem go w Warszawie) oraz trzech przyszłych prezydentów. Był więc wśród nas pan Szpaltowski, przedwojenny działacz chadecki z grupy Korfantego, pochodził z rodziny niemieckiej, ale nazwisko zmienił na polskie jeszcze przed wojną. Było też dwóch wiceprezydentów, jeden z nich nazywał się Gruszczyński, był komunistą, a drugi, bardzo elegancki i kulturalny pan, szybko wywiał do Francji. Przyjechaliśmy do Gliwic i zgłosiliśmy się do komendanta miasta, Torisznego.

– *Radziecki komendant miasta?*

– Tak. Ukrainiec, zajmował pałacyk – zdaje się – dawnych administratorów majątku Hohenlohów, na przeciwko dworca. Przyrzekł nam pomoc. Ja zająłem mieszkanie przy Klosterstrasse 27, która potem nazywała się Klasztorna, a dziś Wieczorka. Wybraliśmy wspólnie ten dom dla bezpieczeństwa, bo był na przeciwko radzieckiej prokuratury. W tym domu jeszcze mieszkali ludzie. Niemieccy Ślązacy, przeważnie o słowiańskich nazwiskach, ale nie mówili po polsku, choć w bramie ktoś napisał kredą: „Twische zapschetsch“, „dzwierze zaprzeć“, zamykać drzwi. W mieszkaniach wisiały zdjęcia synów w mundurach najróżniejszych formacji. Po tyłu milionach trupów po naszej stronie w tej wojnie nie miałem zbyt cierpliwego i słodkiego serca.

– *To było już po Jalcie?*

– Już było pewne, że te tereny będą przyłączone do Polski. Zastaliśmy tam niemiecki komitet antyfaszystowski, który nas przyjął kwaśno, ale ja z nimi nie rozmawiałem. Mówiono, że bardzo szybko postarał się, by wielu Polaków z okolicznych wsi, jak na przykład z Wójtowej Wsi, zadenuncjować u władz radzieckich jako zagorzałych hitlerowców, a były to czasy, kiedy się z nikim nie patyczkowano.

– *To byli niemieccy komuniści?*

– Sądząc z wypowiedzi i powieści Horsta Bienka to byli ludzie dość podejrzani, być może karierowicze, trudno mi to dziś ocenić. Sytuacja była strasznie skomplikowana, ale ja to rozumiem dzisiaj. My na fali zaczynającego się napływu Polaków zza Buga czy Sanu, nie bardzo mieliśmy ochotę na roztrząsanie tych spraw. Staliśmy się nieprawdopodobnymi entuzjastami tych ziem i prawdopodobnie zachowywaliśmy się w stylu „How the West was won“. Mieliśmy poczucie pionierstwa. Było to przeniesienie naszych klęsk, kompleksów i upokorzeń, na triumf nowej przestrzeni, na jej zdobywanie i uruchamianie.

– *Poczucie utraty Wschodu nie było tak silne jak poczucie obejmowania ziem odzyskanych?*

– I ten Paryż wart był mszy. To było zdumiewające, ja bym tego dziś nie potrafił wytłumażyć. Przyjeżdżały transporty z repatriantami. I myśmy pomagali lokować Polaków usuwając miejscową ludność z ich mieszkań, albo domagając się, żeby dość szybko pakowała manatki.

– *A jak wyglądało miasto?*

– Potem na seminarium socjologicznym u Stanisława Ossowskiego zrekonstruowałem układ narodowościowy Gliwic według układu przestrzennego. Wokół rynku, ratusza i kościoła Wszystkich Świętych było małe stare miasto, gdzie zostało trochę dawnych mieszkańców, często o słowiańskich nazwiskach. Księża doskonale mówili po polsku. Wokół tego starego miasta było miasto dziewiętnastowieczne, właściwie niemieckie, które w plebiscycie 1921 r. głosowało zdecydowanie za Niemcami i z którego w latach 1944–45 uciekła większość mieszkańców. Dalej był pierścień zewnętrzny: paradoksalnie im bardziej na zachód, a więc dalej od płyty węglowej, tym więcej było wsi polskich, a im bardziej na wschód wraz z przemysłem, koleją i administracją proces germanizacji posunął się bardzo daleko.

– *Przybyliście w drugiej fali zajmowania Gliwic.*

– Wyprzedzili nas tylko kolejarze, ale myśmy przyjechali, kiedy jeszcze dymił „Haus Oberschlesien“. Gdzie w „Pierwszej polce“ Bienka odbywa się to wesele 31 sierpnia 1939. Jeszcze widziałem w gruzach trupy chłopaków z Hitlerjugend, którzy próbowali się bronić. Jeszcze dymił spalony teatr. Trzeba sobie zdawać sprawę, że wojska radzieckie wchodząc do miasta nie bardzo się patyczkowały. W wąskich zaułkach i piwnicach żołnierze przyświecali sobie płonącymi gazetami. I myślę, że połowa z tego, co spłonęło na Śląsku to nie skutek rozmyślnych podpałów, lecz braku wody, elektryczności, ludzi i ochoty do gaszenia pożarów.

– *A morderstwa, gwałty i rabunek?*

– Trochę tego było. Zauważyłem jedno, mężczyzn już w ogóle nie było, poszli do roboty i znikli.

– *To Bienek opisuje w ostatniej części swej gliwickiej tetralogii w „Ziemi i ogniu“.*

– Natomiast wszystkie kobiety zostały skierowane do pracy przy demontażu maszyn. Nawiasem mówiąc, myśmy parokrotnie interweniowali u generała Zawadzkiego w Katowicach w sprawie demontażu. Zawadzki dzwonił do Rokossowskiego do Legnicy, a raz dzwonił przy mnie w dość drastycznej sprawie.

– *Jakiej?*

– Był chyba 1 maja, Berlin już zdobyto. Radość, strzelanina. W Gliwicach u prezydenta miasta i u komendanta wojennego zorganizowano uroczyste przyjęcie. Na wielkim placu, za owym Haus Oberschlesien w pewnym momencie rozległy się polskie wołania na ratunek, ktoś napadł na nowych repatriantów. Zawsze w takich wypadkach mówiono, że wysiedlani Niemcy stawiali opór. Prezydent Gruszczyński chwycił pistolet i pobiegł na drugą stronę placu, za nim woźny magistracki, pan Szostak, to jego syn był pierwszym polskim dzieckiem urodzonym w naszych Gliwicach, ja byłem jego ojcem chrzestnym. Po chwili usłyszeliśmy strzały i pan Szostak wrócił przerażony. Okazało się, że na schodach w jednym z domów Gruszczyński natknął się na jakiegoś żołnierza radzieckiego, może któregoś z rannych, tam były dziesiątki lazaretów, wyglądało, że tamten rabuje. Obaj strzelili jednocześnie i obaj padli trupem. Potem byłem na uroczystym pogrzebie Gruszczyńskiego w Zagłębiu. Nie byłem z nim w najlepszych stosunkach – to był KPP-owiec – ale uznaliśmy w nim siłę charakteru. I był też demonstracyjny pogrzeb tego żołnierza radzieckiego. Za trumną szli ranni, bez rąk, o kulach...

– *Demonstracja pod własnym adresem?*

– Tak.

– *I w tej sprawie Zawadzki dzwonił do Rokossowskiego?*

– Komisja porozumiewawcza złożyła skargę w sprawie rabunków dokonywanych na Polakach. Muszę powiedzieć, że ja ten list redagowałem i lekko przesoliłem. Zaatakowaliśmy komendanta wojennego, że toleruje ekscesy. On miał oficera do spraw gospodarczych, który prawdopodobnie nie był uczciwym człowiekiem, a sprawy gospodarcze są śliskie. I przypuszczalnie był nagradzany przez Niemców, za interwencje przeciwko Polakom szturmującym owe mieszkania. Zwykle, gdy Polacy wdzierali się do mieszkań, pojawiał się patrol radziecki... I muszę powiedzieć, że ja dziś nie umiem się utożsamić z sobą samym z tamtego okresu, ale pamiętam swoje zachowanie, swój język. Nie byliśmy nadmiernie czuli i mało kto zdaje sobie dziś z tego sprawę. Kiedy na zjeździe kombatantów PPS w Warszawie (czerwiec 1946) Osóbka-Morawski przedstawił nam jakiegoś niemieckiego antyfaszystę, sala zaczęła gwizdać, nie wierząc, że coś takiego w ogóle istnieje. I Osóbka zaczął krzyczeć, że to hańba. Myśmy przechodzili jak kolumna czołgów. Ja zdruzgotałem w sobie z marszu najmniejsze wątpliwości.

Byłem świadkiem makabrycznej sceny. Przyjechał na gliwicki dworzec pociąg z repatriantami, nagle rozległy się krzyki, ludzie z widłami wyskakiwali z wagonów, wrzask mordowanego człowieka i straż ochrony kolei strzelająca bezradnie w powietrze. Okazało się, że jakaś kobieta rozpoznała banderowca, mordercę z jej wsi. Tłum rzucił się na niego, zadźgał go na śmierć, nim zdążył uciec. Ale potem bardzo sprawnie działał urząd repatriacyjny, komitety społeczne, Czerwony Krzyż. Póki nie zaczęły się papiery, przydziały, spory i pokusy, którym trudno się było przeciwstawić. Między innymi pewien działacz komunistyczny z Zagłębia musiał odejść, bo zaczął kraść. Po pierwszej fali egalitaryzmu repatrianckiego zaczęły działać mechanizmy różnicowania społecznego, cwaniactwo. Ale zasiedlanie było bardzo sprawne. Już jesienią miasto było w pełni zasiedlone przez Polaków, wszystkie sklepy otwarte, kawiarnie czynne, wszędzie polskie napisy. Moim wstępnym zadaniem w marcu 1945 r. było usunięcie napisów niemieckich. Wydałem afisz wzorowany na afiszach znanych mi z okupacji w Warszawie – po polsku i po niemiecku. Oczywiście nie było mowy o *Stadt Gleiwitz*, lecz o Stadt Gliwice, tak jak na hitlerowskich plakatach było „miasto *Warschau*“. Ten rozkaz zaczynał się tak: „*Im Auftrage des* Pan Wojewoda śląskozagłębiowski generał dywizji Aleksander Zawadzki *befehle ich hiermit...*“ a kończył się tym, że nieściąganie napisów niemieckich napisów będzie karane śmiercią.

– *Zgodnie z treścią hitlerowskich „Bekanntmachungen“?*

– Dokładnie. Ja to tak miałem zakodowane. I kiedy przyjechała polska milicja to się wściekli: człowieku, czyś ty zwariował, według ciebie trzeba by na każdym rogu postawić karabiny maszynowe. Zresztą nie było komu ściągać tych niemieckich napisów w dzielnicach zupełnie wyludnionych, w spalonych domach. Mieli do mnie pretensję, że chcę stosować najwyższą karę w sprawie, która już im wydawała się błaha. Ale u mnie decydowało doświadczenie warszawskie.

– *A jak wyglądały pańskie zetknięcia z Niemcami, przecież znał pan język. Czy wdawał się pan w jakieś rozmowy, dyskusje?*

– Panie Adamie, toczyła się jeszcze wojna, a pomagałem przy wysiedlaniu. Tzn. Zmuszaliśmy tych ludzi aby przynosili się (tymczasowo) do innych mieszkań, do swych rodzin itd. Kiedy lamentowano „O Jezu, o Jezu!“ to ja mówiłem, że jesteśmy szalenie humanitarni, bo dajemy ileś tam (np. 12) godzin na zabranie rzeczy, a w poznańskim w 1939 roku Niemcy dawali pół godziny na jedną walizkę. W pewnym sensie byłem okrutny, wstydzę się tego dzisiaj, jako człowiek, ale także trochę siebie rozumiem z tamtego okresu. Czy pan wie, że w lutym 1945 r. w jednym z pierwszych numerów *peperowskiej „Trybuny Robotniczej“* w Katowicach ukazał się wiersz Romana N. – byłego więźnia obozów – był tam taki fragment:

I ciebie także odnajdę,
Herr Obersturmfuehrer Wiese,
Swastykę w twej piersi wyciętą

do trupa twej przypnę Elizy...

a kończył się:

CZASZKAMI ZABITYCH NIEMCÓW
WYBRUKUJĘ ULICE BERLINA

Czułem niesmak, ale nie protestowałem. Nawet internacjonalista, gen. Aleksander Zawadzki powiedział wtedy, że „Z Niemcami rozdzieliła nas przepaść, której nie zapełnią wieki...” (mowa z 11 marca 1945 r. na utworzenie województwa śląsko-zagłębiowskiego). I chyba mało kto myślał wtedy inaczej. I tym bardziej w „Gleiwitz”. Poza tym trzeba zdać sobie z tego sprawę, że już uprzednio w Katowicach mieliśmy do czynienia z ostrym problemem narodowościowym na Śląsku. Niech pan pamięta, że te najbardziej niemieckie Volkslisty (I i II) broniły się teraz w ten sposób, że kiedy ich ściągano na UB, to niejeden wychodził w roli konfidenta; szli na całość, akceptowali wszystko. Oczywiście dokładnej prawdy trzeba by szukać w archiwach, ale pamiętam, że my w PPS byliśmy oburzeni na te praktyki.

– *Że się werbuje ludzi z taką przeszłością?*

– Których można od siebie całkowicie uzależnić. Brałem później także udział w wysiedlaniu Katowic. To była nocna akcja, dość tragiczna, dla nas rodzaj mobilizacji. Mieliśmy listę adresową, chodziliśmy od mieszkania do mieszkania i wysiedlaliśmy pierwszą Volkslistę. W Gliwicach ten problem nie istniał, natomiast istniał problem opcji za Polską z 1921 r., ale tych ludzi, kiedy przyszlismy w większości już nie było.

– *Bienek powiedział, że można było „podpisać obywatelstwo”.*

– Można było. Ale bardzo dużo ludzi się wahało. Oto przykład. Moja matka zaczęła pracę w Gliwicach najpierw w muzeum, potem w bibliotece. Dyrektorem muzeum był niedawno zmarły profesor UJ, wtedy jeszcze doktor. Uroczy człowiek. Pracowała u niego Ślązaczka, piękna dziewczyna, stanowili parę. Matka tej dziewczyny należała przed wojną do Związku Polaków, mówiły świetnie po polsku. Pewnego dnia matka moja dowiedziała się, że obie postanowiły wyjechać do Niemiec. Szok! Otóż dyrektor niestrudzenie zbierał ze zniszczonych w okolicy zamków i pałaców wartościowe rzeczy dla muzeum i robił top wspaniale. (Odnalazł np. obraz ze szkoły Holbeina, który służył już jako deska pod taczki). Na strychu była graciarnia z gipsowymi popiersiami. Postanowił je wyrzucić, by zyskać miejsce na. Wyrzucał na dziedziniec, wśród tych popiersi był Goethe, szkolny gips z obtłuczonym nosem. I gdy dziewczyna zobaczyła Goethego leżącego na podwórzu, uświadomiła sobie, że ciąży bardziej w tamtą stronę. Myślę, że tak dramatycznych sytuacji było o wiele więcej.

– *Uczestniczył pan w wysiedlaniu ludzi, panie Andrzeju, chodził pan po cudzych mieszkaniach, co pan czuł, co pan robił?*

– Coś panu powiem, kilka miesięcy wcześniej, na Podhalu brałem udział w wykonywaniu wyroku na pewnym góralu, kolaborancie. Stałem obok jego żony i dzieci, gdy strzelano do niego. On ocalał. Trzy lata później, gdy już go wypuszczono z obozu dla kolaborantów, bo jednak był jakoś kolaborantem, znalazłem się tam znowu. Szedłem w południe słoneczną ulicą od stacji kolejowej i widzę, że on, żona i dorastające dzieci wpatrują się we mnie zza płotu. I wtedy pierwszy raz pomyślałem sobie, że jednak dobrze, że go nie zabiliśmy. Nikt mu nadal nie podawał ręki, odsuwano się od niego w kościele, ale w tej podhalańskiej wiosce uważano, że kara nasza była zbyt surowa. Ale tuż po wojnie, na Śląsku miałem jeszcze serce twarde. Tak kto trzeba widzieć.

– *Wojna jako środek generalnie znieczulający.*

– Oczywiście. Kiedy po raz pierwszy widziałem film według powieści Bienka „Pierwsza Polka” i gdy czytałem jego tetralogię, uświadomiłem sobie, że oni w tę noc z 31 sierpnia na 1 września 1939 jeszcze są niewinni, jak łza, ale wiosną 1945 r. było już 6 milionów trupów po naszej stronie, i to jest owa *petite différence*. To było już nieporównywalne. Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, co miał zrobić młody człowiek w Niemczech w czasie wojny, zdezertero-

wać z Wehrmachtu.? Ale w mych oczach niewinny nie był nawet jeśli sądził, że przez te lata wojny nie zrobił nic złego. Poza tym nie było moim obowiązkiem odpowiadać na to pytanie. Wchodził pan do mieszkania, w którym widział pan fotografie mężczyzn w mundurach, SA, Wehrmachtu czy SS i na łóżku znajdował pan poduszeczkę z napisem: „*Fuer ein kleines Mittagsschlaefchen*“. Zabrałem taką poduszeczkę, by ją pokazywać jako kuriozum.

– *Czy nasi przesiedleńcy ze Wschodu na Zachodzie od razu czuli się jak u siebie, czy na obcym oddanym na szaber?*

– Byliśmy wszyscy obdarci, nie mieliśmy niczego. To co wywozłem w czasie wojny ze Lwowa, spaliło się w czasie powstania w Warszawie. I nagle wpadliśmy w sytuację pewnego komfortu, bezpieczeństwa rzeczy, bezpieczeństwa, lub prawie bezpieczeństwa mieszkania. Łatwo się było ześlizgnąć w rabunek. Miałem bardzo przykrą sytuację, bo musiałem zeznawać w sądzie przeciwko urzędnikowi miejskiemu, panu z dobrej warszawskiej rodziny, zaręczonemu z córką polskiego generała. On szabrował dla siebie maszyny budowlane, ja mu zdałem warsztat, a on to rozgrabił. Widywałem go potem w Warszawie, jego nienawistny wzrok. Tak to było. Może dziś bym na to patrzył inaczej, nie wiem. Trzeba sobie zdawać sprawę, że myśmy wtedy przenieśli się na drugi brzeg cywilizacji, zwłaszcza ludność wiejska, małomiasteczkowa ze wschodu.

– *Ale przecież nie pan, inteligent ze Lwowa, Gliwice nie były aż takim awansem...*

– W Gliwicach z tego mieszkania na Klasztornej przenieśliśmy się do zupełnie wyszabrowanej, ale wspaniałej willi Windhukstr. 30, czyli na Płowieckiej. To też symboliczna zmiana nazwy, od stolicy niemieckich kolonii w Afryce, do bitwy z Krzyżakami. To jednak był i dla mnie szok cywilizacyjny. Mój ojciec był lwowskim lekarzem z prywatną praktyką, ale nam się nie śniło o takim standardzie. Gliwice oczywiście to nie Lwów, ale Wrocław?

– *Z tego co pan opowiada wyczuwam wyraźną dwoistość: z jednej strony uznaje pan to co się działo za słuszne i konieczne, z drugiej, wstydzi się pan jako człowiek.*

– Nie wstydzę się tego co robiłem, tylko tego jak to robiłem. Na przykład okrucieństwa słownego. Gdy oni lamentowali, mówiąc że spotyka ich niegodziwość, odpowiadałem, że wojna się jeszcze toczy, że jeszcze może uratuje was *Wunderwaffe* i wielki *Fuehrer*. Prawdopodobnie wbijałem im igłę pod serce. Ja nikogo nie dotknąłem ręką, nie uderzyłem. Ale w jakiejś mierze się znęcałem. Na przykład wchodziłem do mieszkania, stawałem przed biblioteką, otwierałem okno i zaczynałem wyrzucać książki.

– *I to pan, intelektualista?*

– A tak. Wyrzucałem Johsta, „*Mein Kampf*“, Goebbelsa „*Od Kaiserhofu do Kancelarii Rzeszy*“. Wyrzucałem ten szmelc i pokazywałem im, że wiem co wyrzucam. Znajdowałem jakiegoś ukrytego Heinego i drwiłem: a cóż u was robi ten żydowski poeta. Chciałem, żeby zdawali sobie sprawę, że nie przyjechałem na czołgach radzieckich na rabunek. To była taka moja infantylna, trochę dziecinna zemsta. Ale widziałem ich nienawiść, bo orientowali się, że nie wyrzucam tego Eichendorffa o którym wspominał panu Bienek. Ale nie starałem się o rozmowy, przekonywania, kontakty. Zresztą w tych mieszkaniach przeważały stare lamentujące, albo młode, już cyniczne kobiety. Zdarzały się poruszające sytuacje, na przykład przyjaźń mojej matki ze starym Ślązakiem – ogrodnikiem, byłem powstańcem, dobry, spokojny, zmęczony tymi burzami. Człowiek z prawdziwego śląskiego plebsu, przyjaciel Ziętka, szanowałem go i podziwiałem. Czy i on wyjechał do Niemiec? Ja nie miałem kontaktu ze wsią, ale przechodząc przez cmentarz do tej mojej willi na Płowieckiej widziałem groby: „Tu leży Paweł Lebek, rolnik z Wójtowej Wsi“. Nie wiem czy zachowaliśmy te groby. Boję się, że je starannie zniszczyliśmy likwidując cmentarz.

– *A jak wygląda pański stosunek dziś do tego przejścia ze wschodu na zachód. Czytał pan całą tetralogię Bienka, czytał pan Grassa. Zna pan również całą tę naszą falę odkrywania dawnego polskiego Wschodu. Gdzie dziś bardziej ciągnie, w stronę własnego dzieciństwa?*

– Nie. To zresztą nie tylko dzieciństwo, bo ja spędziłem we Lwowie 18 lat. Proszę pana, ja chcę, żeby to trwało, żeby się nie waliło. Chcę żeby grób Fredry był uszanowany zarówno przez

Ukraińców jak i przez Polaków, a nie działo się tak, że ktoś podwiózł po wojnie polskiego uczonego pod kryptę Fredrów, odłamał Fredrze kawałek palca, by Polak zabrał ze sobą na pamiątkę do Wrocławia! Drastycznych przypadków byłoby więcej. Zwłaszcza jeśli chodzi o Ukrainę to jest to sprawa pewnej polsko-ukraińskiej wspólnoty, ratowania tych wartości, które razem tworzyliśmy. Myślę, że naród wypierający się obcych wpływów, czy to z Rosji czy z Polski nie bardzo może funkcjonować. Nie można wszystkiego budować na tańcach i ukrainizowaniu wszystkiego na siłę. I dlatego los zamków i pałaców na Śląsku jest dla mnie tak samo ważny jak los tamtych dworów i pałaców na naszych dawnych kresach. Ja po prostu mam poczucie europejskiej więzi kulturowej, mówiąc bardzo patetycznie. I zniszczenie tu i tam sprawia mi straszliwą przykrość.

– *Wróćmy do Bienka.*

– Bienka czytałem z dużym przejęciem, choć ten jego cykl jest miejscami rozwlekły. Ale nasuwały mi się przy lekturze różne myśli. Kiedy ta młoda dziewczyna jedzie w czasie okupacji do Warszawy, żeby pójść do kościoła Świętego Krzyża, by zobaczyć serce Szopena, chciałbym wiedzieć, czy była to dla niej wycieczka turystyczna jak do Sacré-Coeur w Paryżu, czy coś więcej. Czy ona zauważyła Warszawę pod okupacją, czy to tylko figura literacka. Rozumiem, że Bienek nie ma obowiązku zastanawiać się nad wszystkim, bo on patrzy z tamtej strony, ale jeśli już posuwa się tak daleko, to chciałbym rozszyfrować, jak głęboka jest jego więź z polskością.

– *I czytał pan książki Bienka ze wzruszenie.*

– Tak, bo pomyślałem sobie, że to byli ci sami ludzie, do których włąziłem z butami. I wzruszyło mnie to, że można było niejako cofnąć mój własny zegar. Zobaczyć tych ludzi przed ich klęską moralną i fizyczną. I wymazać ich współudział w złem, chociaż historia wypycha ludzi we współudział w złem często bez ich chęci czy woli.

– *Tu nasuwa się wieczne pytanie, gdzie zaczyna się mój, czy czyjś udział w zbiorowej winie, i czy coś takiego istnieje. Cóż bowiem winne były te kobiety, które pomstowały na pana „mój Bosche“. Subiektywnie niewinni, ofiary historii, a zarazem uczestniczki w największej zbrodni, popełnionej w ich imieniu i za ich przyzwoleniem. Teraz wyrzucane z mieszkań przez Polaków, których dawniej nie dostrzegały.*

– Albo uważali nas za ludzi bardziej prymitywnych, nasze struktury za bardziej proste. Ale myśmy nie byli barbarzyńcami pędzącymi na tatarskich koniach pod Legnicę w 1241 r. Widzi pan, wyzwolenie ziem zachodnich w 1945 r. przez armię radziecką było tragiczne. Oto armia utraciwszy 20 mln zabitych wkracza na tereny wroga, trzeba sobie z tego zdawać sprawę. Przecież oni nie wkroczyli do żadnych Gliwic, tylko do goroda Głajwic, taki napis widniał na pomniku postawionym zaraz po zwycięstwie, dopiero potem zmieniono na Gliwice. Podobnie było na Mazurach. Było to pierwsze dopadnięcie wroga na jego terenach. Wroga, wobec którego palano żądzą zemsty. Kto ze zwycięskich żołnierzy miał czas zastanawiać się, że na tych terenach są Polacy?

– *Myśmy wielu z tych Polaków utracili już naszą politykę, po wojnie.*

– Na to złożyło się wiele przyczyn. Stanisław Ossowski prowadził badania na Opolszczyźnie i zostały one opublikowane. Wynikało z nich, że germanizacji mogli się oprzeć jedynie zamożni rolnicy, bo nie musieli posyłać swoich dzieci do Deutsche Reichsbahn czy do przemysłu.

– *A potem jako kulacy stali się wrogami klasowymi, zostali starci na proch między kamieniami młyńskimi stalinowskiej doktryny i narodowej nieufności.*

– Badaliśmy też z Ossowskim sytuację pogranicza warmińsko-mazurskiego. Warmia dłużej należała do Polski, zachowała katolicyzm, była stolicą biskupstwa, Mazury zaś po hołdzie pruskim przeszły na protestantyzm. Gdy w 1947 r. robiliśmy badania, to już spora część Mazurów wyjechała do Niemiec, ale Warmiacy jeszcze byli. Zapisywaliśmy piosenki, które nam śpiewały miejscowe dziewczyny: „Wszystko jedno wojna, wszystko jedno Krieg, komm panienka schlafen, morgen kommst zurueck“. A także piosenka na melodię Lili Marlen: Stalin hat befohlen...

co należy robić z niemieckimi dziewczynami. I te dziewczyny nam to śpiewały. Ale i tak w końcu losy wielu Warmiaków i Mazurów złączyły się ze sobą w Republice Federalnej.

– *A jak widzi pan przyszłość tej tradycji niemiecko-polskiej. Czego zapowiedzią jest fakt, że tu i tam powstaje bogata literatura piękna, czy to znaczy, że kiedyś Niemcy i Polacy będą wspólnie spisywać historię tej ziemi?*

– Historię trzeba będzie napisać taką, jaką była i na nią składają się również niemieckie świadectwa, ale nie widzę „sentymentalnej wspólnoty“, o której pan mówił. Przypuszczam, że w jakiejś białej księdze wysiedlonych figuruje również moje nazwisko jako jednego z „katów“ niemieckich Gliwic. I nie ma znaczenia, że ja takim katem nie byłem. Rozumiem, że szereg ludzi mogło mnie zapamiętać jako sprawcę ich nieszczęścia, jako tego, który wyrzucił ich z rodzinnego mieszkania. Dlatego dostrzegam potrzebę epiki nie liryki. Bienka czytałem ze wzruszeniem, ale bez fascynacji. Należę do innego pokolenia niż pan i pogłębienie historii rozumiem bardzo pozytywnie. Zgadza się, że istnieje oczyszczająca rola sztuki, która się nie mieści w nauce. Conrad, Tolstoj, Vargas Llosa... Literatura dysponuje sposobami przełamania czysto behawioralnego punktu widzenia. Literatura może się starać odtworzyć stany ducha i strumienie świadomości. To się lepiej w RFN udaje Bienkowi, to się gorzej udaje innym.

– *Jednakże również poza literaturą przewartościowanie i odwrócenie nastrojów. Mam tu na myśli Niemców, którzy odwiedzają swe dawne strony ojczyste. Niektórzy jak pastor Heinrich Albertz z Berlina Zachodniego długą chwilę stoją przed swym dawnym domem i nie mają odwagi zapukać do obcych ludzi...*

– Dobrze to rozumiem. Ja tak samo stałem przed bramą domu przy Czarnieckiego 3 we Lwowie. Wszedłem na klatkę schodową, tam był jeszcze dozorca, który mnie pamiętał...

– *Ale też są przykłady, gdy dawni i obecni mieszkańcy zaczynają ze sobą rozmawiać, a nawet się zaprzyjaźniają.*

– Myślę, że ta idea wspólnoty jest dziś dla Niemców o tyle łatwiejsza, że zastają Polskę spauperyzowaną, licho rządzoną przez całe lata. Zaś Polakom łatwiej znaleźć z nimi wspólny język, gdyż są wyzuci z mnóstwa podstawowych rzeczy. Ale gdzie jeden daje, a drugi tylko bierze, nie powstaje jeszcze wspólnota. Myślę, że stosunki między Niemcami a Polakami układałyby się inaczej, choć może równie dobrze, gdybyśmy byli między równymi.. Nie pod względem dochodu narodowego na głowę, bo to jest niemożliwe, ale bez tej dysproporcji zwycięzców–pariasów. Otóż my w 1945 r. nie byliśmy pariasami, mimo naszej nędzy i obdarcia. Proszę pana, profesor Kulczyński tworzył uniwersytet i politechnikę wrocławską, w czasie gdy jego żona z lwowskiej delegatury AK była zesłana na wschód i kopała węgiel w Donbasie. Hart tych tysięcy akowców, którzy mimo wszystko działali, tych ludzi z Ministerstwa Ziem Odzyskanych, z Londynu, z AK, których aresztowano dziesiątkami dajmy na to w Krakowie, ale którzy robili we Wrocławiu cuda...

– *To historia moich rodziców. Gdy w Radzynie zorganizowali teatr szkolny i zaczęli wystawiać Wyspiańskiego, zjawił się u nich oficer NKWD, zresztą Polak, i powiedział: albo natychmiast zniknięcie stąd, albo się obudzicie na wschodzie. Obudzili się na zachodzie we Wrocławiu, gdzie dalej robili swoje.*

– I mnie chciano przymknąć, powiedział mi o tym major Stahl towarzyszący Bierutowi, Osóbce i Zawadzkiemu w uroczystym przejmowaniu Opolszczyzny pod administrację polską. Tyle, że ja zbudowałem wtedy u wlotu do Gliwic wspaniałą bramę triumfalną (z rekwizytów znalezionych w magazynach spalonego teatru) i zapewne to mnie uratowało. Dodam, że przy tej bramie stała mała garstka ocalałych miejscowych Polaków, radzieccy żołnierze stanowili obstawę, a orkiestra NKWD odegrała hymn polski... Mimo wszystko to był naprawdę wielki, wspaniały zryw narodowy, który został starannie storpedowany, posiekany dogmatami, scholastyką, tępotą, wszystkimi okropnościami stalinizmu. Lecz wprawdzie było ciągnięcie w górę, polskie nauczycielstwo, polskie harcerstwo. Starzy, ciężko doświadczeni ludzie, którzy się na nic

nie oglądali. Tramwajarze, profesorowie. Te kluby sportowe, to życie kulturalne we Wrocławiu czy w Szczecinie.

– *I mówi pan, że nie było nostalgii za utraconym Wschodem?*

– Nie, nie tak. Nie chcę posługiwać się tym słowem, które trzeba by na nowo zdefiniować. Nostalgia wymaga dystansu czasowego. Wtedy nie było na to czasu. I myślę, że młodzi ludzie teraz piszą tęskne opowiadania o Wilnie, Krzemieńcu czy Lwowie są jakoś niewiarygodni. Może szukają egzotycznego lub lirycznego tematu?

– *A ja to traktuję jako wysłowione pożegnanie.*

– Wtedy nie było o tym mowy. Myśmy przejmowali wspaniałe gabinety lekarskie i kościoły, kancelarie adwokackie i murowane domy wiejskie, w których ludzie z chat Podola i Wołynia daliby sobie radę, gdyby im pozwolono zagospodarować, gdyby im nie odebrano cegły, papy, cementu. Tytułów własności. Nas stać było na to, by te pompy wodne nie wysiadały po dwóch, trzech latach. Mogliśmy produkować części zamienne, podkładki, dachówki – te nieco inne niż w Polsce centralnej. Katastrofa zaczęła się w 1948 r. Kłodzko, które przejęliśmy bez jednej wybitej szyby, trzeba było potem budować na nowo, a rynek w Jeleniej Górze... Pierwszy okres Gliwic był nieprawdopodobnym sukcesem, polski fryzjer obejmował niemiecki zakład fryzjerski, polski malarz przemalowywał szyld i polski elektryk wkręcał żarówki. Przestało funkcjonować wraz z wprowadzeniem stalinowskiego porządku, w czasie walki z odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym, bo się okazało, że ziemie zachodnie to jedno wielkie odchylenie, które trzeba było złamać i stworzyć anonimowe spółdzielnie imienia Jasia Kowalskiego. Jeśli wychodzimy dziś z tej smugi cienia, to jakim kosztem?

„Polityka“, 16 kwietnia 1988

Piotr Madajczyk

O wysiedleniach inaczej

Zmiany zachodzące w ostatnim czasie w Polsce umożliwiają nam nowe spojrzenie na temat wysiedlenia ludności niemieckiej z Polski po zakończeniu II wojny światowej. Nie chodzi tu o szybkie opublikowanie istotnych prac (bo takich zapewne jeszcze nie ma), ale o szansę podjęcia rzetelnej dyskusji o tych ciągle drażliwych sprawach. Dyskusja ta wydaje się o tyle trudna, że dotyczy nie tylko dziedzictwa ustroju komunistycznego (czyli wygrywania nastrojów antyniemieckich dla konsolidowania społeczeństwa i przekonywania go do współpracy z ZSRR – jako jedynej alternatywy), ale dotyczy problemów znacznie szerszych – choćby często wzmiankowanej, a nigdy rzetelnie nie opracowanej współpracy byłych endeków z komunistami (wspólnota uczuć antyniemieckich) czy też nacjonalizmu, dość szeroko rozpowszechnionego w społeczeństwie polskim. Ponadto wysiedlenie, jako wynik ustaleń państw alianckich, nie stanowiło w Polsce nigdy tematu, o którym można by dyskutować. Dyskusją utrudniło również jednostronne wykorzystywanie przez organizacje ziomkowskie w Niemczech Zachodnich moralnego aspektu masowych deportacji – dla celów politycznych. W połączeniu z wyolbrzymianą w polskich massmediach rolą tych organizacji, przyczyniło się do powstania w społeczeństwie polskim dość powszechnego przekonania, że wszelkie dyskusje o wysiedleniach jako takich i ich przebiegu służą jedynie poddawaniu w wątpliwość przynależności do Polski zachodnich obszarów.

Ocena moralna wysiedleń

Powinność moralna to utrwalone w jakimś środowisku społecznym przekonanie, że pewne zachowania ludzkie są celami samymi w sobie, nie zaś tylko środkami do celów, a nie – same w sobie są przeciwcelami, to znaczy zakazane dla nich samych (L. Kołakowski, „*Odpowiedzialność i historia*“).

Jacek Trznadel w rozmowie z Jackiem Bocheńskim powiedział:

Nie rozumiałem, że całe to przemieszczanie zapalek przez Churchilla i Stalina na mapie, a potem przesunięcie granic, a wreszcie wyrzucenie milionów ludzi z ich miejsc zamieszkania – a więc znów deportacje narodów – Polaków i Niemców, to się mieściło nie w słusznych rewindykacjach, ale w całej totalitarnej maszynie stalinowskiej. Że można wszystko zrobić z masami ludzkimi. (...) Kiedy w 46 roku wzięliśmy mieszkanie poniemieckie, czułem coś niewyraźnego w dołku, co nie docierało jako jasna myśl, oglądałem zostawione przez nich fotografie rodzinne, ale w końcu nas też wyrzucono z pięknego mieszkania na Górnym Śląsku; w piwnicy deptaliśmy po rozrzuconych naszych fotografiach rodzinnych i zbieraliśmy je. (...) Faszyści niemieccy zrobili bardzo źle, a my powtórzyliśmy ten gest i ja czuję wstyd, choć miałem wtedy piętnaście lat (J. Trznadel, *Hańba domowa*, Lublin 1990).

Nadeszła chyba pora, by wreszcie powiedzieć, że każde wysiedlenie, każde pozbawienie prawa mieszkania na ziemi rodzinnej, każde wygnanie z domów, w których ludzie się wychowali, każde takie wypędzenie jest złem (według ówczesnego prawa nosiło ono nazwę wysiedlenia, ale moralnie takie pojęcie nie istnieje – jest tylko wypędzenie); złem – sądzę – w sytuacji lat powojennych nieuniknionym, niemniej jednak – złem.

Ponadto Trznadel mówi o deportacjach, że mieściły się one „...nie w słusznych rewindykacjach, ale w całej totalitarnej maszynie stalinowskiej“. Dodaje również:

no, myśmy nie robili takich rzeczy, jak SS-mani, ale przecież cała ta polityka, na którą zgodzili się Roosevelt i Churchill, a potem Truman, przemieszczenie olbrzymich mas ludzkich, jest praktyką faszystowską. Totalitarną. Więc początki tej władzy to także udział w tym wszystkim i nie można tu

powiedzieć: nie wiedzieliśmy, jak mówili często Niemcy, i nie można powiedzieć, że jesteśmy bez winy (tamże).

Sąd to w części fałszywy, a w części prawdziwy. Z jednej bowiem strony, łatwo użyć określenia „faszystowski“ wobec wszystkiego, co nie pasuje do naszych wyobrażeń o świecie: „Roosevelt był faszystowski“, „Churchill był faszystowski“ – czy tego rodzaju oceny cokolwiek wyjaśniają? Podobne uproszczenia są, moim zdaniem, niedopuszczalne. Ale jest jeszcze druga, ciemniejsza strona problemu. Wiele racji jest z zdaniu, że „początki tej władzy to także udział w tym wszystkim“. Nie jest bowiem tak, by można było przejść bez skazy piekło wojny totalnej i deportacje milionów ludzi – bez cienia zemsty, nacjonalizmu, zobojętnienia. Dlatego pytanie o wysiedlonych Niemców jest także pytaniem o społeczeństwo polskie.

Ocena moralna wysiedlających

Moralnej ocenie podlegają wyłącznie jednostki ludzkie i ich czyny. Wynika to stąd, że nie ma oceny moralnej bez uwzględnienia intencji działającego, intencje zaś są udziałem ludzi poszczególnych. Z tego z kolei wnioskować należy, że niepodobna oceniać moralnie anonimowego procesu historycznego i jego korzystnych czy niekorzystnych wyników (L. Kołakowski).

Niewiele zrozumiemy z wysiedlania Niemców z ziem zachodnich patrząc tylko w skali ogólnej, jako na proces „obiektywnie“ sprawiedliwy czy też konieczny. Na ziemi te przyszła nie Polska, ale poszczególni, konkretni Polacy, obciążeni, a może także często napiętnowani potwornością wojny. To, co myśleli, czuli, to jak patrzyli na Niemców, stanowi także część akcji wysiedlenia. A przychodzili ludzie różni.

W cytowanej już „Hańbie domowej“ Zbigniew Herbert wspomina:

Raz obrugałem jakiegoś żołnierza ludowego, który pokopywał Niemkę przerażoną, na pewno zgwałconą, a on mi na to, że jego rodzina zginęła w obozie. Więc był to akt zemsty, a nie sprawiedliwości, tak zwanej dziejowej.

Można było jednak zachować się inaczej: „Był przy tym zabawny, mały facet, starszy mężczyzna. Mówił: 'Nie powinniśmy odpłacać im tym samym' i 'Chcemy żyć i pozwolić żyć' itd. Ostatecznie okazało się, że jest Żydem“. Był dwa lata na Syberii i dlatego przeżył, 23 jego krewnych zabili Niemcy („Dokumentation der Vertreibung der Deutschen aus Ost-Miteuropa“, Gross-Denkte/Wolfenbuettel, Beiheft 1).

Cóż, jedni wybaczały, inni nie potrafili i byłoby rzeczą śmieszną zgłaszać dzisiaj – z perspektywy 45 lat – pretensje do tego, jak reagowano na śmierć bliskich. Nie można jednak tych faktów przemilczać, idealizować.

W wielu wypadkach udział w akcji wysiedlania Niemców był pretekstem dla zemsty, zemsty na Niemcach za okrucieństwa wojny, za przeżyte upokorzenia, za zabitych bliskich. W innych przypadkach bezwzględność przeradzała się w rutynę:

Trzecie (wysiedlanie) odbywało się już pod nadzorem komisji alianckich, które badały, czy wszystko odbywa się zgodnie z przepisami. Zrobiłem to trzecie, tak jak pierwsze – opowiadał Broniek – wpadliśmy, 10 minut na spakowanie się i wychodzić. Niemcy złożyli skargę, odbył się proces pokazowy, bo przecież trzeba to było zrobić dla Zachodu, mój Broniek wylądował znowu w więzieniu. Siedział trzy lata (J. Kuroń, *Wina i kara*, Warszawa 1990).

Nie można uniknąć także innego problemu – problemu osób żyjących z rabowania transportów deportowanych Niemców. Jest to zjawisko podobne do występującego podczas wojny wymuszania – pod groźbą wydania na śmierć – okupów od Żydów. W obu przypadkach mamy do czynienia z wykorzystywaniem sytuacji całych grup ludności, nie mających w praktyce możliwości obrony, dla osiągnięcia korzyści materialnych. Nasuwa się pytanie, czy Żydów i Niemców nie grabili ci sami ludzie, ci sami Polacy. Odnosi się ponadto wrażenie, że gwałty i grabieże – ze względu na sposób ich organizacji (w obozach zbiorczych zazwyczaj kilkakrotnie podczas transportu) – odbywać się mogły zarówno z powodu niskiego poziomu

moralnego oraz daleko posuniętej korupcji i demoralizacji ludzi tworzących milicję, jak i pewnej sankcji władz dla tych działań, sankcji wyrażającej się brakiem zainteresowania, efektywnym zwalczaniem tego zjawiska. Problem ten wymaga jeszcze dokładnego zbadania.

Rodzi się pytanie, czy napady na Niemców i wystąpienia przeciw nim odbywały się w atmosferze poparcia dla takich działań większości ludności polskiej, czy też niezależnie od jej nastawienia. Nie jest to oczywiste, bowiem we wspomnieniach spotykamy często relacje o życzliwym albo po prostu pełnym zrozumienia stosunku Polaków do ludności niemieckiej. Sytuacja zmieniła się zazwyczaj radykalnie w chwili rozpoczęcia wysiedlenia – czyżby więc obozy i transporty wysiedlonych stanowiły magnes dla osób zainteresowanych zemstą lub grabieżą? Być może nie jest jeszcze za późno, by spróbować na to odpowiedzieć.

Kryteria wysiedleń

Margarete Schell wspomina o dwóch Żydach przebywających w czeskim obozie dla Niemców: „Mają trochę uprzywilejowaną pozycję; ponieważ jeden z nich siedział już w tym obozie podczas wojny jako mieszaniec“ (*Dokumentation der Vertreibung...*, Beiheft 2). Byli to niemieccy Żydzi, przed 1945 r skierowani do obozu jako Żydzi, później trafili tam powtórnie jako Niemcy. Czy większość z nas usłyszawszy taką historię, nie uznałaby jej dowcip pozbawiony dobrego smaku?

W chwili publicznego ujawnienia metod stosowanych przez radzieckie służby bezpieczeństwa i odpowiednie organizacje tworzone przez nie w krajach zajętych przez Armię Czerwoną, zastanowić się musimy nad kryteriami, jakimi kierowano się przy traktowaniu Niemców na tych obszarach. Kryteria te budzą wiele wątpliwości. Nie oznacza to „moralnego rozgrzeszenia“ dla całej ludności niemieckiej, silnie – a na wschodzie bardzo silnie sfaszyszowanej. Wiedząc jednak o zasadach postępowania NKWD, o metodach zdobywania zeznań, postawić musimy pytanie, czy represje wobec ludności niemieckiej wiązały się z postawą konkretnych osób w okresie hitlerowskim, czy też wynikały z samej przynależności narodowej.

Walka z faszyzmem czy walka klasowa?

Żył tam Eberhard von Braunschweig, nieubłagany przeciwnik brutalnych kamratów. Ciągłe był ostrzegany albo przesłuchiwany, czasowo skazany na wygnanie z Pomorza i wielokrotnie aresztowany, ostatni raz po zamachu z 20 lipca 1944 r. Gdy więc nadciągnęli Rosjanie, pozostał w domu – czegoż bowiem miałby się obawiać, on, powszechnie znany wróg nazistów? Zdobywcy jednakże, upojeni nie tylko samym zwycięstwem, widzieli w nim właściciela majątku, a nie antyfaszystę. Nie było czasu na wyjaśnienia – Eberhard von Braunschweig został rozstrzelany wraz z całą rodziną (Ch. von Krockow, *Czas kobiet*, Warszawa 1990).

W tym fragmencie kryje się kolejne pytanie: jak często o postępowaniu wobec Niemców decydowały względy ideologii komunistycznej, a nie walka z faszyzmem? Jak często zabijano ludzi za to, że byli właścicielami majątków, bez względu na to, co robili przed 1945 r.?

Celowa polityka czy samowolne działania?

Sposób traktowania Niemców określały trzy czynniki: celowa polityka władz, nienawiść społeczeństwa do okupanta niemieckiego (czyli – w dobie wojny totalnej – do Niemców) oraz działanie elementu przestępczego, dla którego ludność niemiecka była najłatwiejszym łupem. Oddzielenie tych trzech czynników, przeprowadzenie między nimi dokładnej granicy nie było łatwe już przed 40 laty, dzisiaj tym bardziej jest celem nieosiągalnym. Wiemy o częstej i bardzo

daleko posuniętej demoralizacji milicji, szczególnie na obszarach zachodnich, o nadużyciach i grabieżach. Publikacja odpowiednich dokumentów mogłaby w części wyjaśnić te sprawy.

Trudność rozróżnienia polityki władz od samowoli wykonawców nie jest problemem specyficznie polskim. Te same, do dzisiaj niewyjaśnione pytania dotyczą znanej masakry, dokonanej przez Rosjan wśród niemieckiej ludności wsi Nemmersdorf czy też kilkudniowej grabieży wojsk radzieckich w Królewcu (czy była to samowola, czy jak sądzą niektórzy, wydanie żołnierzom na kilka dni miasta?), a także postępowania Armii Czerwonej wobec ludności niemieckiej (czy było to samowolne zachowanie żołnierzy, czy celowa polityka radziecka?)

Podobnie było w Czechach, np. w obozie na stadionie Strachov po pracy ustawiano kobiety przed bramą – „Rosjanom do obejrzenia“ i wyboru (*Dokumentation der Vertreibung...*, Beiheft 2). Czy jest to samowola władz obozu, czy świadoma polityka (wcześniej autorka wspomnień opisuje także ukrywanie kobiet przez strażników czeskich przed Rosjanami)?

Wysiedlenie jako fragment przemian

Istnieje w Polsce skłonność do traktowania II wojny światowej, jakby nie była ona fragmentem wielkiego procesu zmian dokonujących się w Europie i na świecie od końca XIX wieku. Procesu, który – co wcale nie jest jasne – zakończył się w 1945 r. albo też trwa dalej i zapowiedź jego zakończenia stanowiąc mogą wydarzenia dokonujące się obecnie w Europie Wschodniej. Jednym z ogniw tego procesu są przemiany w strukturze narodowościowej, rozpoczęte gwałtownie wraz z powstaniem państw narodowych, wraz z burzliwym rozwojem nacjonalizmów.

Wysiedlenie Niemców po 1945 r. nie było nieuniknionym następstwem zachodzących zmian. Nie sposób jednak wyobrazić sobie wysiedlenia bez całego szeregu poprzedzających go wydarzeń. Rozpoczęło się to wraz z powstaniem niemieckiego państwa narodowego, odkąd coraz trudniej można już było równocześnie być dobrym Polakiem i dobrym obywatelem Prus. Potem nadszedł przełom XIX i XX wieku, ze strajkiem szkolnym we Wrześni, z Hakatą i rugami pruskimi – nawarstwiała się wrogość, coraz ważniejsze było, kto jest Polakiem, a kto Niemcem. I wojna światowa i powstanie niepodległego państwa polskiego wzmocniły wzajemną wrogość. Szczególną rolę odegrały tutaj także powstania śląskie, w których wrogość ta w wyjątkowo brutalnej formie sprowadzona została w głąb społeczeństwa – na poziom sąsiadów czy braci, z których jeden czuł się Polakiem, a drugi Niemcem. Pograniczne obszary przeplatających się kultur i narodowości okazywały się nieprzystosowane do ery państw narodowych i nacjonalizmów.

W Niemczech przez cały okres międzywojenny panowało przekonanie o „kradzieży“ przez Polskę ziem rdzennie niemieckich, w Polsce (poza pragnieniem uzyskania całego Górnego Śląska i Gdańska) obawiano się niemieckiego rewizjonizmu. Wyjątkowo złą rolę odgrywała mniejszość niemiecka w Polsce, nigdy nie pogodzona z utratą statusu narodu panującego – jego odzyskanie zagwarantować mogło tylko ponowne przyłączenie do Rzeszy. Lata te i opcja dużej części mniejszości niemieckiej na rzecz faszystów ostatecznie ukształtowały obraz ludności niemieckiej jako wrogiej i nielojalnej wobec państwa polskiego, jako stanowiącej zagrożenie dla państwowości polskiej.

Związywanie się ludności niemieckiej z ultranacjonalistyczną ideologią faszystowską stanowiło kulminację konfliktu i umożliwiło uzyskanie sankcji dla wysiedlenia – zarówno ze strony społeczeństwa polskiego, jak i na arenie międzynarodowej.

„Tygodnik Powszechny“, 21 października 1990

Maria Podlasek

W skórze Niemca

Ten kraj już nie był ich ojczyzną.

W roku 1987 do Polski przyjechał Horst Bienek, pisarz zachodnioniemiecki urodzony w Gliwicach. Po 42 latach chciał zobaczyć swe rodzinne miasto. Rok później znowu był w Polsce. Właśnie kończyłam germanistykę w Krakowie i pisałam pracę o „gliwickiej tetralogii“ Bienka, więc pojechałam z nim na Śląsk. Pisarz pokazywał mi miejsca swego dzieciństwa i opowiadał o tym, jak w roku 1945 opuszczał swe miasto w zatłoczonym wagonie towarowym. Był głodny i skąpe ubranie nie chroniło go przed zimnem, a jednak wyjeżdżał bez żalu. Uchodził cało z życiem i pociągał go Zachód. Również bez żalu wyjeżdżał z Gliwic w 1988 r., choć wiedział, że to jego ostatnia podróż. Nie odnalazł już bowiem w dzisiejszych Gliwicach swego dawnego miasta.

Los Bienka był losem wielu mieszkańców dawnego niemieckiego wschodu. Hitler, który obiecywał Niemcom nową „przestrzeń życiową“, rozpętał ludobójczą wojnę, w wyniku której Niemcy straciły jedną piątą swego terytorium, a 14 milionów Niemców zostało wypędzonych ze stron rodzinnych, w których zamieszkiwali od pokoleń – ze Śląska, Prus Wschodnich, Pomorza, Czech, krajów bałtyckich, Siedmiogrodu itd.

W Polsce nastąpiła era odkrywania „białych plam“, a sprawa wypędzenia Niemców niewątpliwie do nich należy. Zwykle przedstawiano ją fragmentarycznie i jednostronnie przyznając, że owszem, coś takiego miało miejsce, ale szczegóły zbywano milczeniem.

Gdy w latach 1953–62 przygotowano w Niemczech obszerną „*Dokumentację wypędzenia Niemców z Europy Środkowo-Wschodniej*“ opierając się na tysiącach relacji naocznych świadków, została ona w Polsce uznana za dokument „rewizjonizmu zachodnioniemieckiego“ i część „kampanii rewizjonizmu zachodnioniemieckiego“. Efekt jest taki, że młode pokolenie Polaków, nie wyłączając tych, którzy dorastają na ziemiach zachodnich, niewiele wie o tej tragedii, jaka się tam rozegrała. W ciągu niespełna półwiecza zdołano zatrzeć ślady, zniknęły niemieckie napisy, a w miejscu łambinowickiego obozu rośnie las.

Spojrzenie polskie na tamte wydarzenia zasadniczo różni się od optyki niemieckiej. Nie tylko samo zjawisko nazywane jest odmiennie. Polacy, którzy w 1945 r. przyjechali osiedlić się na dawnych terenach niemieckich nie mają poczucia uczynionego zła. Przejęcie tych ziem uważano za rekompensatę za utracony wschód, a wysiedlenie Niemców traktowano z jednej strony jako naturalną karę za ludobójstwo Hitlera, za lata terroru, poniżeń i krzywd wycierpianych przez naród polski, oraz jako nieuniknione „robienie miejsca“ dla wygnańców zza Bugu. W ich świadomości funkcjonował mechanizm powszechnej winy i zbiorowej odpowiedzialności Niemców za rozpętaną wojnę; winnym był każdy, kto mówił językiem zniechęconego wroga.

„Wybaczymy i prosimy o wybaczenie“

– Nie wstydę się tego co robiłem, lecz tylko tego, jak to robiłem – mówił w wywiadzie dla „Polityki“ Andrzej Ziemilski, warszawski socjolog, który jako 22-letni PPS-owiec uczestniczył w wysiedlaniu Niemców, świadom, że i on utracił swój Lwów. Po latach przyznaje, że miał „twarde serce“, a to co robił było przeniesieniem lat upokorzeń na „tryumf nowej przestrzeni“. Byli zapewne tacy, którzy – jak Andrzej Ziemilski – nie podnieśli na nikogo ręki i nie splamili się grabieżą, choć takie czyny były dopuszczalne w ramach obowiązujących wówczas zasad moralnych, Tragiczne natomiast jest, że podobnie jak Andrzej Ziemilski – usprawiedliwiając nadużycia i przestępstwa wyjątkowością czasu i kontekstem historycznym – argumentuje Czesław Gęborski, pierwszy komendant okrytego złą sławą obozu w Łambinowicach.

W związku z tym powstaje pytanie, czy w polskiej świadomości – także pokoleń powojennych, które przecież tak się utożsamiają z dziejami swego kraju – w ogóle istnieje poczucie odpowiedzialności za nadużycia związane z wypędzeniem i wysiedleniem Niemców? Czy przyswojone zostało orędzie z roku 1965 biskupów niemieckich ze znamienym przesłaniem: „wybaczymy i prosimy o wybaczenie“?

Przy lekturze relacji świadków wydarzeń ze strony niemieckiej – a więc w tym wypadku ofiar – rodzi się zresztą ta sama wątpliwość. Niemcy na wschodzie, których koniec wojny zastał u siebie, zwykle nie mogli pojąć, za co trafia im się tyle nieszczęść. W ich relacjach niezmiernie rzadko pojawia się refleksja na temat hitlerowskiej maszyny śmierci wobec narodów podbitych. W większości przypadków wspomnienia przeradzają się w litanie własnych krzywd i nieszczęść, które spadły na nich nieoczekiwanie. Propaganda hitlerowska dbała, by nikt nie dopuszczał do siebie myśli, że wojna jest przegrana. Do końca odwlekano ewakuację ludności cywilnej z terenów zagrożonych przez front.

Czas byśmy poznali relacje drugiej strony – tych, którzy opuszczali ziemie zajmowane przez nas w roku 1945, ponieważ ich los jest również częścią naszych dziejów, tak jak los Polaków, Rosjan czy Czechów jest częścią niemieckiej historii. Oczywiście przy lekturze wybranych fragmentów niemieckich relacji trzeba pamiętać, że były spisane na początku lat pięćdziesiątych, że czuje się w nich olbrzymi ładunek emocjonalny i – niekiedy – wyraźną wrogość wobec drugiej strony. Nie ma jednak powodu, by kwestionować wiarygodność tych relacji.

Aż do lata 1944 niemieckie prowincje położone od Odry i Nisy były oazą zewnętrznego spokoju. Mieszkańcy Prus Wschodnich, Pomorza czy Dolnego Śląska – tych spichlerzy Niemiec, oraz Górnego Śląska – tej niemieckiej zbrojowni, znali wojnę z „drugiej ręki“. Mężczyźni co prawda ginęli na frontach i do produkcji ściągano coraz więcej robotników przymusowych z terenów podbitych, ale nad wschodniemiemieckie miasta nie zapuszczały się dywanowe naloty, a oficjalne komunikaty wciąż jeszcze pozwalały wierzyć w ostateczne zwycięstwo. Niepokój wzbudzały coraz liczniejsze nekrologii i rosnąca liczba uciekinierów ze zbombardowanych miast zachodnich i środkowych Niemiec.

Jednak 22 czerwca 1944 ruszyła wielka ofensywa i wciągu kilku tygodni armia radziecka rozbiwszy trzydzieści dywizji niemieckich dotarła w pobliże Prus Wschodnich i Dolnego Śląska. Od października front zamarł, a Rosjanie zaczęli przygotowywać się do decydującej ofensywy zimowej.

Widmo Nemmersdorf

Ruszyła ona 12 stycznia 1945 i w ciągu dwóch i pół miesiąca Rosjanie zajęli niemal cały obszar na wschód od Odry i Nisy Łużyckiej. W tym to czasie rozegrała się największa tragedia niemieckiej ludności cywilnej uciekającej w panice przed nadciągającym wrogiem. Głównym motywem, dla którego kobiety z niemowlętami, starzy, chorzy i inwalidzi decydowali się porzucić swe domostwa i przy 28-30-stopniowym mrozie narażać się na poniewierkę, było widmo Nemmersdorf, przygranicznej wioski w Prusach Wschodnich, która pierwsza wpadła w ręce Rosjan, a następnie została odbita przez Niemców. Wiadomości o tym, co stało się w Nemmersdorf Goebbels polecił rozkolportować na cały kraj, by podtrzymać w Niemczech desperacką wolę zacieklego oporu.

A oto relacja jednego z żołnierzy niemieckich zajmujących odbity Nemmersdorf:

Na granicy wioski od strony Soldehnen znajduje się po prawej stronie gospoda „Pod białym dzbanem“, na prawo od niej skręca droga z pobliskich zagród. Przy pierwszej zagrodzie na lewo od drogi stał drabiniasty wóz. Do niego przybite za ręce w pozycji ukrzyżowanej były cztery nagie kobiety, za gospodą w kierunku Gumbinnen jest wolny plac z pomnikiem nieznanego żołnierza. Za tym placem jest jeszcze jedna duża gospoda „Pod czerwonym dzbanem“. Przy niej równolegle do drogi stoi stodoła. Na jej drzwiach przybito dwie nagie kobiety w pozycji ukrzyżowanej. W mieszkaniach

znaleźliśmy w sumie siedemdziesiąt dwie kobiety i dzieci oraz jednego starego mężczyznę w wieku 74 lat, wszyscy byli martwi. Niemal wszyscy zostali zamordowani w bestialski sposób, tylko u niektórych stwierdzono strzały w potylicę. Wśród zabitych były też niemowlęta, którym roztrzaskano czaszki twardym przedmiotem. W jednym z mieszkań znaleźliśmy siedzącą na kanapie starą, 84-letnią, całkowicie ślepą kobietę, która już nie żyła. Miała przepołowioną głowę, rozplataną – prawdopodobnie toporem lub łopatą – od ciemienia aż po szyję.

Po przeprowadzeniu obdukcji okazało się, że wszystkie kobiety zostały przed śmiercią zgwałcone. W pogromie zginęło 60–70 ludzi.

To, co się stało w Nemmersdorf, nie było wydarzeniem jednostkowym, powtórzyło się później w różnych wariantach w innych miejscowościach Prus Wschodnich, Pomorza i Śląska. Zemsta Rosjan trafiła do tych, których mogła osiągnąć na zajmowanych terenach – w kobiety, starców i dzieci.

Siła uderzenia armii radzieckiej, szybkość ofensywy uniemożliwiły zorganizowanie ewakuacji z terenów przyfrontowych. W dodatku NSDAP do ostatniego momentu przewlekała ewakuację karząc uciekinierów za „defetyzm”. Toteż gdy się zaczęła, było już za późno. Wozy uciekinierów dostawały się między walczące oddziały, były spychane z szosy przez czołgi i ostrzeliwane z samolotów. Największą hekatombę wśród uciekinierów pochłonęła przeprawa przez Zalew Wiślany przy 40-stopniowym mrozie.

14-letnia dziewczynka, której wraz z matką i młodszą siostrą udało się przeprawić na Mierzeję Wiślaną, tak opisywała swe przeżycia:

8 lutego dotarliśmy do Zalewu niedaleko Fromborka. Około 8 rano wyruszyliśmy przez zamrożony Zalew. Furmanki utrzymywały między sobą 50-metrowe odstępki. Równoległe do nas, w odległości około stu metrów, ciągnęła potężna kolumna wozów zaprzężonych w konie. Nagle krzyk. Spojrzeliśmy w niebo. Ciemne punkty nad horyzontem zbliżały się coraz szybciej. Usłyszeliśmy huk silników. Rosyjskie bombowce! Poprzedzały je szybkie myśliwce nadlatujące z wysokim, czystym dźwiękiem. Podniosłam bat i popędziłam szkapy. Aby do mierzei! Łód kołysał się coraz bardziej, zatrważające było to trzaskanie zamrożonej tafli. Gdzieś tam widniała w lodzie czarna otchłań wody. Matka złożyła ręce. „Módl się dziecko!” powiedziała cicho do siostry. Potem już tylko bezgłośnie poruszała wargami. Spadły pierwsze bomby. Do tej pory wydawało mi się, że już kilka razy udało mi się wydobyć z dna piekiel. Jednak wszystko tamto było niczym w porównaniu z tym, co się teraz działo na lodzie. To było piekło. Łód się załamał. W górę wytrysnęły fontanny wody. Konie stawały dęba, ponosiły i zamieszanie przerodziło się w chaos. Ranni wołali o pomoc. Wozy szepiały się ze sobą, zatrzymywały, bądź tonęły z ludźmi i zwierzętami w coraz bardziej rozszerzających się przeręblach. Rosjanie wciąż atakowali.

Komu udało się dotrzeć do mierzei, posuwał się najczęściej dalej na zachód przez Krynicę Morską i Sztutowo, aż do Gdańska. Zacierając ślady zbrodni, naziści pospiesznie ewakuowali pozostałych przy życiu więźniów obozu w Sztutowie. Dotychczasowe ofiary pomieszały się w kolumnie z niemieckimi uciekinierami.

Wszyscy posuwali się jak w transie na zachód ratując to co najcenniejsze – własne życie.

Makabryczne sceny

Mieszkańcy północno-wschodnich regionów Prus Wschodnich kierowali się zwykle do portu w Pilawie (dziś Baltijsk), gdzie istniała jeszcze szansa ucieczki statkiem. Ewakuacja morzem z Pilawy przebiegała regularnie aż do 20 kwietnia, kiedy rozpoczęła się zażarta walka o port.

W porcie wszyscy tłoczyli się na statki – wspomina jeden ze świadków – Rozgrywały się makabryczne sceny. Kobiety rzucały ku statkom dzieci, aby tylko dostać się na pokład, lub by tłum ich nie zgniótł, ale dzieci nie dolatywały do statku i wpadały w wodę. Ogólny chaos powiększyły jeszcze zdemoralizowane jednostki wojskowe napływające do miasta, grabiły, mieszały się z uciekinierami i również usiłowały wejść na statki.

Radziecki pierścień zaciskał się coraz bardziej, również wokół Gdańska. Na początku marca armia radziecka rozpoczęła wielką ofensywę w kierunku ujścia Wisły i wschodniego Pomorza odcinając ucieczkę na zachód drogą lądową. Ostatnią szansą pozostał transport morski. I prawie 900 000 Niemców zdołało ewakuować się tą drogą. Jednak wdarcie się na pokład nie zawsze oznaczało ratunek. Wielkie statki pasażerskie prawie bez żadnej eskorty stawały się łatwym łupem dla radzieckich bombowców i okrętów podwodnych. I tak z 16 na 17 kwietnia o 0.15 na wysokości Ustki storpedowany został statek pasażerski „Goya“ z 6-7 tysiącami uciekinierów, żołnierzy i rannych na pokładzie. Zatonął w ciągu 15 minut. Podobny los spotkał duży statek pasażerski „Wilhelm Gustloff“, który wypłynął z Gdyni 30 stycznia z 6 600 osobami na pokładzie. Ten sam okręt podwodny zatopił 9 lutego w Zatoce Gdańskiej transportowiec „General Steuben“ z 5 000 uciekinierów – uratowało się 500.

Ucieczka Niemców ze Śląska przebiegała mniej dramatycznie niż w innych regionach Rzeszy, ludzie nie musieli się przeprowiać przez morze czy tygodniami oczekiwać na transport. Niemniej wymarsz ludności cywilnej z okrażonego Wrocławia i walka o dostanie się do ostatnich pociągów wyjeżdżających z miasta były równie dramatyczne. Działania wojenne na Górnym Śląsku nie były tak szybkie jak na północy. Gdy odcięta została droga na zachód, pozostała jeszcze południowa – przez Czechy. Zresztą ludność Górnego Śląska, po części dwujęzyczna, niechętnie decydowała się na ucieczkę. Wielu uważało naiwnie, że uratuje ich znajomość polskiego i sąsiedztwo z Polakami. Jednak do największej tragedii Ślązaków doszło poza Śląskiem. Gdy 13/14 lutego lotnictwo alianckie zbombardowało Drezno, pod gruzami miasta znalazło śmierć około 40 tysięcy uciekinierów ze Śląska.

„Zdechnij niemiecka świnió“

Wielu Ślązaków padło też w Czechach ofiarą samosądów ze strony ludności czeskiej, która pod koniec wojny w okrutny sposób odreagowała zarówno zniszczenie Czechosłowacji w 1938 r. przez Hitlera i przywódców mniejszości niemieckiej, jak swą własną uległość w czasie „Protektoratu“. Erika Appel, nauczycielka z Karpacza, tak opisuje przejścia w Pardubicach po wkroczeniu armii radzieckiej:

Spędzono nas z samochodów i ustawiano, bijąc, w sześćszeregowej kolumnie. Nie mamy już niczego, co trzeba by nosić. Czesi wszystko dokładnie „posprząтали“. Zniknęli nasi rosyjscy wartownicy. Pochodowi towarzyszą czescy milicjanci w cywilu z czerwonymi opaskami na ramieniu... Wcisnęłam się w środek rzędu... Mój sąsiad zostaje zmuszony do niesienia znienawidzonej flagi. Tylko kilka metrów – z okien już celują do niego. Pada. My ruszamy dalej. Nie wiem, ilu wymierających czy martwych tratujemy, dziesięciu, piętnastu? Kto ich w ogóle liczy? Kulimy się pod kamieniami, którymi wyszczerzając zęby obrzucają nas czeskie baby. „Zdechnij, niemiecka świnió!“... Po kocich łbach wożą nas tam i z powrotem. W każdej miejscowości grożą nam pięściami, lecą kamienie, miotane są złorzeczenia! W przydrożnych rowach trupy, setki trupów z powykręcanyimi kończynami. Na przydrożnych drzewach wiszą ciała kobiet i dzieci. Ich zwłoki są krwawą miazgą. Wielu powieszono za nogi i zabijano powoli. W każdej miejscowości wrzaskliwa muzyka z radia – poprzerywana podjudzającymi hasłami, których Czesi chciwie słuchają. „Mord na Niemcach nie podlega karze!“ „Zabijajcie, zabijajcie!“... Gdy maszerujemy z powrotem – milicja żąda byśmy zrównali krok, przechodzimy koło kościoła, drzwi są otwarte, a ze środka słychać głos księdza: „Zabijajcie Niemców, gdzie tylko ich dopadniecie. Grzech zostanie wam odpuszczony“. Nie raz, przez wiele godzin, głos ten sączy w uszy ludzi nienawiść. Nawet muzyka organowa nie tłumii nienawiści, z jaką ten sługa boży nawołuje rodaków do mordu...

Te ekscesy – a nie były one rzadkością – to nie tylko wybuch ślepego gniewu, ale również wynik zaplanowanej akcji propagandowej, która z krwawej zemsty uczyniła cnotę. Tak było na froncie wschodnim, gdzie odpowiednią akcją prowadzono w jednostkach radzieckich na długo przed wkroczeniem na tereny dawnej Rzeszy.

Niemcy nie są ludźmi – brzmiała jedna z wojennych ulotek podpisanych przez Ilię Erenburga. – Od dzisiaj słowo Niemiec jest dla nas najgorszym przekleństwem. Od dzisiaj słowo Niemiec sprawia, że automatycznie odbezpieczamy broń. Nie będziemy mówić. Nie będziemy się oburzać. Będziemy zabijać. Jeśli sądzisz, że zamiast ciebie Niemca może zabić sąsiad, to nie dostrzegłeś niebezpieczeństwa. Jeśli ty nie zabijesz Niemca, to Niemiec zabije ciebie. Pojmie twoich najbliższych i będzie ich torturował w swoich przeklętych Niemczech. Jeśli nie możesz zabić Niemca kulą, to zabij go bagnetem. Jeśli na twoim odcinku panuje spokój, to zabij Niemca przed bitwą. Jeśli zostawisz Niemca przy życiu Niemiec powiesi rosyjskiego mężczyznę i zhańbi rosyjską kobietę. Jeśli zabiłeś jednego Niemca, zabij jeszcze jednego – dla nas nie ma lepszego widoku niż niemieckie trupy. Nie licz kilometrów. Licz tylko zabitych przez ciebie Niemców! Zabij Niemca!

Tak wyglądały ulotki, które miały przygotować żołnierza do zemsty, rozmontować blokady psychiczne. I były skuteczne zwłaszcza w wypadku jednostek drugiego rzutu. Żołnierze jednostek pancernych, które zwykle pierwsze zajmowały niemieckie wsie i miasteczka, nierzadko ostrzegali ludność miejscową: „ci, którzy przyjdą po nas są źli, po nas przyjdą prawdziwi uczniowie Stalina”.

Brutalne postępowanie armii na terenach niemieckich miało cichą aprobatę Stalina. W rozmowie z Milovanem Džilasem Stalin opowiadał o pewnym majorze, którego skazano za próbę gwałtu. Na osobistą interwencję Stalina majora uwolniono i posłano na front, gdzie wstawił się bohaterskimi czynami:

Wyobraźcie sobie człowieka, który walczył na całym szlaku od Stalingradu do Belgradu, przemierzył tysiące kilometrów przez swój zniszczony kraj, szedł po trupach kolegów i najukochańszych krewnych! Jak taki człowiek ma jeszcze reagować normalnie! I co w tym strasznego, że po tych wszystkich okropieństwach zabawi się z kobietą? Wy wyobrażacie sobie Armię Czerwoną jako idealną. A ona idealna nie jest i nie może taką być nawet jeśli w jej szeregach nie byłoby pewnego procentu przestępców. A my przecież otworzyliśmy bramy naszych więzień i posłaliśmy tych ludzi do armii.

Gwałty na rozkaz

Obok „dzikich“ gwałtów zdarzały się gwałty na rozkaz – jako forma zamierzonego łamania poczucia godności osobistej kobiet niemieckich. Wspomniana Erika Appel tak pisze w swej książce:

Nigdy nie zapomnę tego widoku. Trwożliwie przyciśnięte do ściany setki niemieckich kobiet i dzieci. W ostrym świetle rozpoznaję dziewczęta z warkoczami, matki trzymają niemowlęta na rękach, stare kobiety mają na głowach chustki. Kobiety, kobiety – jak daleko sięga wzrok. Nagle rozkaz – i zza naszego samochodu wyskakuje niezliczona grupa Rosjan. Szarpiają za paski, biegną z rozpiętymi spodniami, niektórzy potykają się, szybko jednak wstają – i za chwilę znad muru wznoszą się krzyki bólu, płacz, błaganie i skomlenie. Nie do pojęcia! Gwałcenie na rozkaz. Zorganizowane z rosyjską dyscypliną...

Masowe gwałty pozostawiły na kobietach trwałe urazy psychiczne, wiele z nich odebrało sobie życie, inne przeżywały głębokie depresje i załamanie, szerzyły się choroby weneryczne, którym nie sposób było przeciwdziałać, bo nie było lekarstw. Świadkiem nieszczęścia tych kobiet był Hans von Lehndorff, lekarz z Królewca. W swym „Dzienniku z Prus Wschodnich“ opisuje jak w ciągu kilku godzin w zgwałconych kobietach zachodziły zmiany psychiczne. „Ich dusza umierała. Słyszało się tylko histeryczny śmiech...”. I zaraz refleksja:

Czy w ogóle można pisać o tych sprawach, najokropniejszych jakie są między ludźmi? Czy każde słowo nie jest oskarżeniem pod moim własnym adresem. Czy nie było wystarczająco dużo okazji, żeby rzucić się między nich i znaleźć przyzwoitą śmierć? Tak, jesteśmy winni, że ciągle żyjemy i dlatego nie wolno nam tego przemilczeć.

Zdarzało się jednak, że żołnierze radzieccy stawali w obronie niemieckich kobiet. Za taki gest Lew Kopelew stanął przed sądem oskarżony o „drobnomieszczański humanizm, litość wo-

bec wroga i osłabianie ducha bojowego armii“. Za podobną postawę aresztowany i skazany na osiem lat zsyłki został również Aleksander Sołżenicyn, wówczas młody oficer armii radzieckiej.

Dopiero po przekroczeniu Odry i Nysy Łużyckiej dowództwo radzieckie wprowadziło ostrą dyscyplinę koszarową. Niemniej żołnierze nie tylko kobiety traktowali jako „zwierzynę łowną“. Mimo, że na terenach zajętych przez Rosjan nie było prawie żadnego oporu, każdy Niemiec musiał się liczyć z tym, że może być aresztowany i zastrzelony jako członek „*Wehrwolfu*“. Dowodem winy mógł być zachowany mundur Wehrmachtu, ukryty pistolet, czy nie wyrzucony za wczasu egzemplarz „*Mein Kampf*“. Niemieccy historycy oceniają, że w wyniku samosądów w pierwszych tygodniach po wejściu Rosjan zginęło 75-100 tys. ludzi. Ponadto ludność miejscowa była systematycznie okradana z mniej lub bardziej wartościowych przedmiotów. Niekiedy w sposób zorganizowany. Zdarzało się na przykład, że mieszkańców wioski czy miasteczka zgromadzono, następnie pędzono przez kilka dni po okolicy, aby łatwiej grabić pozostawione mienie. To co plądrujący żołnierze uznawali za nieprzydatne, niszczyli bez zastanowienia. W ten sposób całe dzielnice miast śląskich czy pomorskich zostały zniszczone już po zakończeniu walk. Między innymi 80 proc. Gdańska.

Więzenie i deportacje

Równocześnie na terenach zajętych przez władze radzieckie natychmiast zaczęły się deportacje ludności cywilnej w głąb ZSRR. Już w grudniu 1944 zaczęły się wywózki tysięcy członków mniejszości niemieckiej z Rumunii, Węgier i Jugosławii. Od stycznia 1945 ten sam los spotkał Niemców z Prus Wschodnich, Pomorza czy Śląska. Stalin zabiegał o legalizację tych praktyk przez aliantów i w Jałcie (4-11 luty 1945) uzyskał zgodę sprzymierzonych na wykorzystanie niemieckiej siły roboczej, jako formy zadośćuczynienia za zniszczenia spowodowane przez Niemców.

Pierwszym etapem zsyłki były obozy przejściowe. M.in. w Ciechanowie, Poznaniu, Sikawie, w Bytomiu, Krakowie i Przemyślu. Więźniów tych obozów przesłuchiwali funkcjonariusze NKWD bez trudu „udowadniając“ winę. Klara Seidler z Gdańska, pracująca w kuchni NKWD, tak wspomina owe przesłuchania:

Liczne piwnice wypełniały się więźniami, najczęściej były to kobiety i dziewczęta, ale również wielu mężczyzn, od dzieci po starców. Komisarze, zwykle byli to dawni więźniowie obozów koncentracyjnych z czasów niemieckich, zajmowali się przesłuchaniami... W piwnicach było piekło. Kilkuśset ludzi słoczono w małym pomieszczeniu. Raz, o świcie, wyprowadzono ich na przylegające do budynku podwórze, aby załatwili swe potrzeby. Umarli leżeli wśród żywych, nawet ich nie odsuwano na bok. Raz tłumacz przyniósł mi na górę kartofle spryskane krwią. Na moje pytanie odpowiedział, że utłukli Niemca, ponieważ ten stawiał opór. Innym razem, rosyjscy strażnicy wrzucili do piwnicy kobiet wiadro płonącego karbidu, bo nie chciały im być powolne. Na przesłuchania więźniów przeznaczono cztery pokoje, dwa z nich dla komisarek. Przesłuchanie było proste: „Byłeś w SS, SA, BdM lub HJ?“ każdy oczywiście wypierał się. Potem uderzenia szpicrutą. „Kłamiesz, byłeś w partii!“ Po następnych zaprzeczeniach następne bicie. Potem wyrok: transport na Syberię. Tylko na wpół żywe kobiety, starzy mężczyźni i dzieci mogły iść do domu, ale tylko po to, by za najbliższym rogiem znów być złapanym. Niektórych przyprowadzano na NKWD trzy, cztery, a nawet pięć razy. Gdy zebrano 2 -3 tysiące więźniów, wywożono ich w głąb Rosji.

Okolo pięciu milionów Niemców przeżyło wkroczenie armii radzieckiej na terenach wschodniej Rzeszy. Wkrótce i oni musieli opuścić strony rodzinne. Zanim jednak do tego doszło, Niemcy przez kilka miesięcy, a niekiedy lat, żyli najpierw pod administracją rosyjską, a potem polską. Stosunki między Polakami i Rosjanami na ziemiach zachodnich nie układały się najlepiej. Wynikało to nie tylko z historycznych antagonizmów dzielących oba narody. Chodziło też o konkurencję w panowaniu na zajętych terenach. Rosjanie chcieli jak najwięcej wywieźć z tych ziem, Polacy jak najwięcej zatrzymać. Nieprzerwanie szły do Rosji demontowane urządzenia

przemysłowe, a to czego nie dało się wywieźć, często było bezmyślnie niszczone. Administracja polska przejmowała więc od sojuszników kraj zniszczony, spalony i niemal doszczętnie zrabowany.

Z kolei polska administracja przystąpiła do pospiesznej polonizacji, to znaczy do zacierania śladów niemieckości na ziemiach zachodnich. Na Górnym Śląsku, znanym z silnej tradycji katolickiej zabroniono nawet odprawiania nawet w kościołach mszy w języku niemieckim. Jeden z księży z Czarnowansu na Opolszczyźnie tak zanotował 1 kwietnia 1945:

Po południu aresztowano proboszcza. Milicja prowadziła go przez miasto niczym złoczyńcę. Pownownie surowo zabroniono używania języka niemieckiego. Tak więc nie będzie żadnej lekcji religii. Chociaż tu na Górnym Śląsku dorośli mówią tzw. Wasserpolnisch, dzieci nic z tego nie rozumieją. Znowu pojawia się szatan. Zmienił mundur, ale przekonania go zdradziły. Nowy szatan wydaje się być jeszcze bardziej niebezpiecznym, sławi się swoim katolicyzmem i ciągle mówi o Częstochowie.

Język tych relacji jeszcze dziś uprzytamnia, jak nieprzekraczalną była bariera między Polakami i Niemcami w tym okresie i jak dalece każda ze stron była głucha na ból i argumenty drugiej.

Prawo do zemsty

Po okupacji zemsta i odwet na Niemcach za terror i ludobójstwo wydawały się prawem naturalnym. Do UB przyjmowano zresztą często młodych ludzi, niespełna dwudziestoletnich, zdemoralizowanych przez wojnę, którzy często na własną rękę wyzywali się we władzy jako panowie życia i śmierci. Co prawda po kapitulacji Niemiec oficjalnie zabroniono gwałtów i urządzano nawet procesy – jak w Gryficach – urzędników UB, którzy dopuszczali się na Niemcach bezprawia, niemniej prześladowania i szykany ludności niemieckiej były na porządku dziennym. Na Dolnym Śląsku wzorem rosyjskim urządzano „marsze ku pamięci Adolfa Hitlera“, pędząc ludzi kilometrami. Inną formą „reedukacji“ – która przeradzała się w fizyczne i psychiczne – była ekshumacja zwłok ofiar KZ, rozstrzelanych przez gestapo, SS lub Wehrmacht. Oto relacja M.W. z Kamiennej Góry na Dolnym Śląsku. Została zatrzymana na ulicy, wręczono jej łopatę i popędzono na cmentarz:

Padł rozkaz: „Zdjąc płaszcze!“ Potem: „Do dołu i kopać!“ Z ulgą stwierdziłyśmy, że ziemia była twarda i stara. A więc miałyśmy kopać nowy grób... Niebawem na brzegu grobu pojawił się milicjant i wybrał cztery młode dziewczyny. „Za mną!“ Pospieszenie i pełne obaw wdrapałyśmy się na górę. Zaprowadzono nas na drugi koniec cmentarza, gdzie już pracowali mężczyźni. Jak mogłyśmy stwierdzić po słodkawym zaduchu, te groby były wypełnione trupami... Na plecy szybko pracujących mężczyzn posypały się razy. Musiałyśmy chwycić na nosze to, co nam na nie położono. Trup? Nie patrzyłyśmy na to, na rozkaz zaniósłszy biegiem nosze na plac na środku cmentarza. „Odstawić!“ Podbiegło do nas dwóch mężczyzn, którzy zabrali od nas ciężar i położyli go na trawniku. Nadal raczej domyślałyśmy się wszystkiego. Wszędzie czuć było ten mdły, słodkawy zapach, który ścisnęło za gardło. Znowu biegiem do grobu i rozkaz: „A teraz same zbierajcie!“ I wtedy musiałyśmy przyjrzeć się dokładnie. Na dole leżały na wół porozkładane zwłoki, były w ziemi od roku czy dwóch, ubrane w pasiaki – więźniowie KZ. Jak je chwycić? „Gołymi rękami, wy niemieckie świnię!“ We dwie weszłyśmy do dołu i zaczęłyśmy wyciągać zwłoki na górę. Jeszcze nie były to szkielety. Na udach i wokół miednicy jeszcze były mięśnie, natomiast warstwa zewnętrzna przeciekała nam przez palce niebiesko – czarną masą. I ten straszny zapach dżumy! Zdyszane dobiegłyśmy do placu, teraz same ułożyłyśmy nasz ciężar w szeregu obok innych trupów: „Ostrożnie! Z szacunkiem!“ chciałyśmy wytrzeć brudne, czarne ręce o trawę, ale nam nie pozwolono. Dalej!. Na murze cmentarnym niedaleko grobu zgromadzili się gapie. Zastaniając chustami nosy Polacy całymi godzinami przesiadywali na murze, obrzucali nas wyzwiskami i podjudzali milicję do coraz mocniejszych razów. Nasz oddech stawał się coraz krótszy, zwłoki ciążyły coraz bardziej; opadałyśmy z sił. W pewnej chwili wyrwało mi się: „Ja już nie mogę!“ I natychmiast poczułam mocne uderzenie kijem, potem drugie i trzecie... teraz wszyscy byliśmy równi. Wciągnęłam zwłoki na górę po pończochach, spódnicy, białym swetrze.

Za wszelką cenę musiałam je donieść do noszy. Teraz już sama cuchnęłam jak trup; czułam wstręt do samej siebie. Wreszcie zmieniono nas...

Brutalna zemsta na Niemcach trafiała po wojnie – według zasady odpowiedzialności zbiorowej – winnych i niewinnych hitleryzmu, a zdemoralizowani przez wojnę i władzę młodzi ludzie niezbyt nadawali się do „reedukowania” kogokolwiek, lecz najwyżej do zemsty.

Status Niemców w Polsce bezpośrednio po zakończeniu wojny określał cały kompleks dekretów, wśród nich ten z 31 sierpnia 1944. Dotyczący wymiaru kary dla zbrodniarzy faszystowsko-hitlerowskich, których działalność zwłaszcza na ziemiach wcielonych w 1939 do Rzeszy przyniosła szkodę osobom fizycznym lub narodowi polskiemu. Poprawka z 11 grudnia 1946 poszerzyła krąg zdrajców o członków wszystkich „zbrodniczych organizacji”. Rozporządzenie spowodowało falę masowych aresztowań, kto do tej pory uniknął aresztowania przez Rosjan, wpadał w ręce milicji. Ofiarami rzadko byli nazistowscy prominenci, gdyż dawno już uciekli na zachód. Do więzień i obozów trafiali szeregowi członkowie NSDAP, niemieckiej policji, organizacji młodzieżowych i kobiecych III Rzeszy. Kto był niewinny, ten pod wpływem bicia i tortur przyznawał się do winy. W ten sposób zapełniły się Niemcami więzienia w Fordonie, Grudziądzu, Koronowie, w Łodzi, w Warszawie i w wielu innych miastach. „Przesłuchania” w piwnicach UB wielu niemieckim świadkom zapadły w pamięć równie głęboko jak więzionym wówczas Polakom.

Niemcy siedzieli w polskich więzieniach po kilka lat. Pierwsze rozprawy tzw. Nadzwyczajnych Sądów Karnych rozpoczęły się na przełomie lat 1946/47, po odsiedzeniu trzyletniego wyroku Niemcy jednak rzadko wychodzili na wolność, następnym etapem bywały obozy pracy lub internowania.

Cień piekła Łambinowic

Szczególnie złowrogą sławą okrył się obóz w Łambinowicach położonych 40 kilometrów od Opola. Bez mała pół wieku od zakończenia wojny historycy, prawnicy i publicyści niemieccy i polscy starają się dociec prawdy o tym miejscu. W Niemczech historia Łambinowic jest znana głównie z broszury lekarza obozowego, Heinza Essera „Piekło Łambinowic”, który twierdzi, że przez ten obóz przewinęły się 8 064 osoby, z czego 6 488 poniosło śmierć. Wysokość tych danych podważa Edmund Nowak w książce „Cień Łambinowic” z 1991 roku. Niemniej również on nie przeczy temu, że w obozie działy się straszne rzeczy. 4 października 1945 w obozie wybuchł pożar. Niejasne są przyczyny, większość świadków twierdzi, że barak z więźniami został celowo podpalony. Wszystkich spędzono do gaszenia. Jeden ze świadków wspominał:

Ledwo wyszliśmy na drogę natknęliśmy się na Ignaca „Mordownika”. Kazał się nam zatrzymać, złapał Emanuela M. z Grabiny i trzy razy celował do niego z pistoletu maszynowego. Ale za każdym razem był niewypał. Ignac włożył nabój do pistoletu i pozwolił nam odejść. Nie odeszliśmy nawet dwudziestu kroków, i znów kazał nam się zatrzymać. Podszedł do nas i zapytał o przynależność do NSDAP. W. ze Skarboszowa zgłosił się jako jedyny. Musiał stanąć na skraju drogi. Padły dwa strzały i W. osunął się martwy. Gdy doszliśmy do pogorzeliiska, wokół płonącego baraku leżało już wiele trupów. Musiałem nakazać usunąć ciała martwych, panował straszny hałas. Ludzi, w tym kobiety, popędzano, bito, rozstrzeliwano. Nie było wody do gaszenia, zbyt mało było narzędzi. Część mężczyzn musiała nosić piasek na dachy stojących obok baraków, aby papa nie zajęła się od ognia. Pozostali, oraz kobiety, walczyli z płomieniami. Gołymi rękami musieli drapać ziemię i wrzucać ją do wiader. Potem trzeba było wrzucać piach w płomienie. Ten kto nie podchodził zbyt blisko do płomieni, był wpychany w ogień. Wielu padało. Ci, którzy stali bezczynnie byli rozstrzeliwani. Zarazem towarzysze niedoli musieli wyciągać ofiary z ognia. Niektóre jeszcze żyły. Gdy krzyczały z bólu, kopano je...

Według autora tej relacji pożar baraku pochłonął około 40 ofiar. Esser dodaje do nich kilkadziesiąt mężczyzn i kobiet, które spłonęły w baraku i dalsze ofiary zmasakrowane w nocy w baraku szpitalnym. Odpowiedzialność za samowolę i bestialstwo w obozie ponosi dwudziesto-

letni wówczas komendant obozu, Czesław Gęborski, który pod koniec lat pięćdziesiątych został uniewinniony przez sąd w Opolu. Gęborski bronił się między innymi tym, że on i jego rodzina padła ofiarą hitlerowskich obozów.

Obóz w Łambinowicach był czynny do jesieni 1946 roku, jego więźniami byli częściowo ludzie oskarżeni o aktywną współpracę z hitleryzmem, częściowo mieszkańcy okolicznych wiosek oczekujący na wysiedlenie, wśród nich byli również Ślązacy przyznający się do polskiego pochodzenia, a nawet członkowie przedwojennego Związku Polaków w Niemczech.

„Szarańcza ziem odzyskanych“

Ruchy ludności w pierwszej fazie przejmowania ziem zachodnich były całkowicie niekontrolowane. Na tereny te napływali wszelkiego rodzaju szabrownicy, „szarańcza ziem odzyskanych“, wietrząca łatwy łup. Część z nich zasiła milicję, inni po ograbieniu pozostających jeszcze na tym terenie Niemców wracali do Polski centralnej. Wraz z systematycznym wysiedlaniem Polaków z dawnej Polski wschodniej rozpoczęły się systematyczne wysiedlenia Niemców z ziem zachodnich. Repatrianci zza Buga najpierw zasiedlali wioski otrzymując najlepsze gospodarstwa „poniemieckie“. Dotychczasowi właściciele mogli jeszcze pozostać przez pewien czas w swych domach, jednak nie mieli do nich żadnych praw. Różnie układało się współzycie odchodzących Niemców i napływających Polaków – najczęściej dominowała wrogość i nienawiść. Pozbawieni dobytku, zdegradowani do roli pracowników już nawet nie najemnych, gdyż zapłatą za pracę był często talerz zupy, stawali się wypędzonymi, zanim jeszcze otrzymali nakaz wyjazdu do Niemiec. W tej sytuacji transport za Odrę wielu przyjmowało z ulgą. Klaus Granzow z Pomorza tak opisuje scenę swego wyjazdu.

Ludzie, którzy najwięcej stracili, byli najweselsi. Byliśmy zadowoleni, że jeszcze żyjemy, że jesteśmy zdrowi i że wyjeżdżamy z tego kraju, który już nie był naszą ojczyzną, bo nie byliśmy już w nim bezpieczni. To było gorzkie doświadczenie, które wszyscy musieliśmy przejść: ziemia ojczysta to nie tylko kraj, w którym człowiek się rodzi, to wolne życie wśród ludzi, którzy mówią tym samym językiem. Bez ludzi, których się kocha ten kraj przestał być naszą ojczyzną.

Deportacja Niemców z ziem przyłączonych w Jałcie i Poczdamie do Polski dokonywała się w kilku fazach. Najpierw przewaliła się fala dzikich wysiedleń, by stworzyć fakty dokonane. Potem, od jesieni 1945, transporty były już zorganizowane w porozumieniu z aliantami przyjmującymi wysiedleńców w swych strefach. Niemców najpierw spędzano w obozach przejściowych, gdzie tygodniami oczekiwali na transport. Same transporty przebiegały różnie, jak można się przekonać choćby ze znanego i w Polsce „Czasu kobiet“ Christiana von Krockowa. W niemieckiej pamięci zbiorowej utrwały się one jako ostatni akord w jednym paśmie poniżej i degradacji na wschodzie. W wielu wspomnieniach mówi się o tym, jak to w czasie „kontroli bagażu“ zabierano wysiedlonym ostatnie cenne przedmioty, jak w drodze na zachód pociągi były napadane przez bandy złodziei, nierzadko w zмовie z eskortą.

Godność wroga, czyli krzywdy własne i cudze

Pastor ewangelicki z Połczyna Zdroju koło Białogrodu, Hans Paust, wspomina:

Nocą nadszedł pociąg z bydłocymi wagonami. Gdy tylko ruszył, zaraz zaczęło się plądrowanie, razem z nami powiadali polscy bandyci, oślepiali nas latarkami, przeszukiwali, a nawet rozbierali. Eskorta naszego wagonu stała obok śmiejąc się szyderczo i każdemu, kto się bronił przystawiała pistolet maszynowy do piersi... Za każdym razem, gdy pociąg się zatrzymywał bandyci wysiadali, a ich miejsce zajmowali następni. Całą trasę podzielono na strefy złodziejskie. W niektórych wagonach podróżni poskładali się i przekupili strażnika. Gdy zebrana suma była wystarczająco wysoka, nie wpuszczal złodziei. Ale w naszym wagonie nikt nie miał już większej sumy polskich pieniędzy, a niemieckich nie przyjmowali. Gdy 15 grudnia około 6 rano wysiadłem w Gumienicach koło Szcze-

cina, stałem na peronie pod gołym niebem przy 15-stopniowym mrozie bez płaszcza, marynarki, kamizelki, bez butów, w samych tylko skarpetkach, spodniach i swetrze. Moja żona też była bez płaszcza i butów. Wkrótce po nas wyładowano następny transport. I wszyscy ludzie, około trzech tysięcy osób, byli tak samo lekko ubrani, jak my. Mieli rannych i pobitych. W naszym pociągu zastrzelono 20 osób za to, że bronili się przed rabunkiem. Teraz staliśmy tam czekając na pociągi, które miały nas przewieźć za Odrę. Kolejarze mówili, że to czekanie trwa czasem po kilka dni...

Na tym można by zakończyć relację z niemieckiego widzenia „pożegnania z dawny niemieckim wschodem“. Jest ono odmienne od polskiego widzenia tych samych zdarzeń, ale nie od polskich doświadczeń z lat wojny. Można powiedzieć, że Niemcy na własnej skórze odczuli po wojnie niektóre z tych form represji i terroru, jak uprzednio Polacy. Ale to nie wystarczy. Wielu historyków szuka dzisiaj „winnych“ tragedii wypędzenia Niemców z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, która pociągnęła za sobą śmierć około dwóch milionów ludzi. Mocarstwa zachodnie obwinały rządy Polski i Czechosłowacji. Te z kolei odwoływały się do układu poczdamskiego legalizującego wysiedlenie Niemców. Republika Federalna przez całe dziesięciolecie czekała na konferencję pokojową, która miała przynieść prawomocne uregulowanie zachodniej granicy Polski. Zarazem nikt rozsądny nie mógł przypuszczać, że w wyniku takiej konferencji powróci stan sprzed roku 1945. Zatem błędne koło się zamknęło.

Dziś, mimo upadku komunizmu i przy olbrzymich zmianach, jakie zachodzą w Europie od roku 1989 daleko jeszcze do ostatecznego zamknięcia skutków drugiej wojny światowej. Dlatego tak wielkie znaczenie ma zasada *dignitas humana*, aby, jak pisze Amerykanin Alfred-Maurice de Zayas „w przyszłych dziesięcioleciach bronić idei godności człowieka i zasady sprawiedliwości wobec każdego, także własnego wroga“. Pierwszym krokiem w tym kierunku jest sprawiedliwe spojrzenie na przeszłość, na winy swoje i cudze. Nie chodzi przy tym o wystawianie rachunków krzywd. Krzywda pozostaje krzywdą niezależnie od tego kto, komu i w jakich warunkach ją wyrządził. Zawsze cierpienie drugiego człowieka ma ten sam wymiar co nasze własne.

„Polityka“, 15 maja 1993

Listy i polemiki po opublikowaniu artykułu Marii Podlasek

Piotr Madajczyk

Wszystko jest zemstą

Gdy czytam u p. Podlasek, że podstawą jest „Dokumentacja wypędzenia Niemców z Europy Środkowo-Wschodniej“ i „Nie ma jednak powodu, by kwestionować wiarygodność tych relacji“, to nie wiem, czy nie wracamy na etap, który Niemcy mają już za sobą. „Dokumentacja...“ nie jest bowiem rzeczą najnowszą.

Nie wiem czy autorka artykułu zna opracowanie „Vertreibung und Vertreibungsverbrechen 1945-1948“ przygotowane przez archiwum związkowe w Koblencji w 1974, a wydane w 1989. Warto przypomnieć tutaj zasady, którymi kierowali się autorzy opracowania:

Każde wydarzenie opisane w jednej relacji próbowano sprawdzić, porównując z bynajmniej jednym analogicznym zapisem innej.

Jeżeli porównanie takie nie było możliwe, a szczególnie względy (np. osoba) nie gwarantowały wiarygodności, uznawano relacje za wątpliwe.

Sprawdzano, czy osoby informowały o swoich przeżyciach, czy też relacjonowały o przeżyciach osób trzecich. Zwracano także uwagę, na ile emocjonalne, a na ile rzeczowe są relacje.

Racje moralne nie nadają bowiem wiarygodności każdej relacji. Twierdzenie p. Podlasek jest prawdziwe tylko w najogólniejszym moralnym znaczeniu, że „Dokumentacja“ nie jest politycznym oszustwem. Chociaż powstaje pytanie, czy atmosfera lat 1950-53 nie nadała jej bardziej jednostronnego charakteru, niż miała rzeczywistość pierwszych lat powojennych.

Autorka wydaje się zapominać o jakim czasie pisze. W 45 r. broń, czy mundur Wehrmachtu to nie był pretekst, pozorny dowód winy. Wehrwolf działał, chociaż nie w każdej skali, jak próbowano to przedstawić. I nie zmienia tego fakt, że komendant obozu w Łambinowicach manipuluje tym zagrożeniem, by usprawiedliwić to, co działo się w obozie. Nie zrozumiemy tego także, jeżeli zapominamy, że: 1. wielu strażników obozu było wcześniej więźniami obozów koncentracyjnych; 2. obóz ten był wcześniej de facto obozem zagłady dla jeńców sowieckich (rozmawiałem ostatnio z osobą, która odwiedziła w czasie wojny swojego ojca pracującego w niemieckiej administracji obozu i do dzisiaj wspomina potworny widok jeńców, których nie wpuszczano w ogóle do baraku i wśród których dochodziło do kanibalizmu). To nie jest usprawiedliwieniem przestępstw i zbrodni, ale ukazanie jak szczątkowy obraz powstaje, gdy wymieniamy tylko jednym ciągiem jakie okrucieństwa dotknęły Niemców w tym czasie.

Jest ponadto wiele problemów, których nawet niezaznaczenie zaostrza jeszcze szczątkowość obrazu. W ujęciu Podlasek wszystko jest tylko zemstą. A przecież dość szeroko akceptowana jest teoria, że przedsięwzięcia w rodzaju Łambinowic skłonić miały mieszkańców Śląska do szybszego poddania się weryfikacji (jako Polacy). Czyli jest to bardziej skomplikowane niż układ Polacy – Niemcy. Jeżeli chodzi o zacieranie śladów niemieckości, to wydaje się, że po powstaniu państwa w takim a nie innym kształcie, władze nie miały wyboru. Najwyższą koniecznością było ustabilizowanie osadników na ziemiach zachodnich, a to nie pozostawiało czasu na dyskusje o przenikaniu się kultur. Odmienna sprawa, że działanie to uległo utrwaleniu, także w wyniku manipulowania nim w polityce wewnętrznej, by po latach zacząć przynosić więcej szkód niż pożytku. Wtedy jednak władze musiały uwzględnić nastroj społeczństwa...

Jest jeszcze wiele innych niejasności. Niejasna jest rola UB i więziennictwa wojskowego, podział kompetencji i zakres odpowiedzialności. Nie odpowiedzieliśmy jeszcze na podstawowe pytanie, w czym obóz w Łambinowicach był typowy, a w czym wyjątkowy. Nie ma rekonstruk-

cji ówczesnych w dużym stopniu nieformalnych struktur i powiązań władzy. Bez tego trudno odpowiedzieć, jak dokładnie terror wobec Niemców, realizowany na najniższym szczeblu (a na najwyższych zakazywany), kontrolowany był przez ówczesne władze wojewódzkie, przez wojewodę A. Zawadzkiego.

Jak niezgodne są jeszcze ustalenia widać z rozbieżności między Heinzem Esserem (ofiary z Łambinowic – 6488) i Edmundem Nowakiem (od kilkaset do ponad tysiąc). Nie sposób dzisiaj ustalić, kto ma rację, chociaż pewne zarzuty formułowane przez Nowaka sugerują (jeżeli są w pełni podstawne), że Esser – być może z dobrej woli, widząc wiele okrucieństw i chcąc, by jego relacja w pełnej formie lepiej dotarła do ludzi – „uzupełnił“ tekst rzeczywiście oparty na jego bezpośredniej wiedzy. Ale najistotniejsze jest wskazanie, jak mało wiemy, jeżeli może dochodzić do takich, niewyjaśnionych rozbieżności.

„Polityka“, 10 lipca 1993

Ryszard Kaczmarek

Były gwałty

Pierwsza uwaga dotyczy bazy źródłowej. Jest ona o wiele obszerniejsza niż wspomniana przez Autorkę „Dokumentacja wypędzenia Niemców z Europy Środkowo-Wschodniej“. Oprócz wielu materiałów wspomnieniowych, których nie tutaj sensu wymieniać (np.: W. Schwarz, Die Flucht und Vertreibung. Oberschlesien 1945/46, Bad Nauheim 1965) kapitalne znaczenie ma wybór archiwalny Ost Dokumentation w Archiwum Federalnym w Koblencji, penetrowany zresztą przez wielu polskich historyków. Powstał on w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zarówno na zamówienie (poprzez ankiety i wywiady) jak i z gromadzonych już wcześniej relacji...

Wszystkie te materiały gromadzone na terenach Republiki Federalnej Niemiec, zarówno, jak i drukowane, muszą jednak być traktowane z olbrzymim krytycyzmem. Dla historyka jest oczywiste, że relacje nacechowane są zawsze, szczególnie w takiej sytuacji, w jakiej te wspomnienia powstały, olbrzymim subiektywizmem i ustalenie ich wiarygodności jest zazwyczaj bardzo trudne. Możliwości zarówno świadomych, jak i mimowolnych przeinaczeń, były przy gromadzeniu tych relacji bardzo duże. Powstawały one przecież rzeczywiście jako efekt dramatycznych przeżyć, czego nie da się żadną miarą zanegować, i oczywiście jest, że wyeksponowano w nich momenty szczególnie drastyczne. Większość tych relacji powstawała w kilka, a nawet w kilkanaście lat po opisywanych wypadkach, co nieraz uniemożliwiało przypomnienie sobie rzeczywistej kolejności i przebiegu wydarzeń (np. w wielu relacjach miesza się administrację polską z władzami radzieckimi). Nie można również wykluczać stronniczości relacji wynikających z zamówienia na jakie powstały...

Te uwagi nie mają na celu podważania samego faktu gwałtów, niesprawiedliwości i zwykłych przestępstw dokonywanych po wojnie na Niemczech. Dotyczą one tylko konieczności krytycznego spojrzenia na te relacje. Wyciągnięcie z nich tylko kilku drastycznych opisów powoduje zarysowanie zgoła fałszywego obrazu. Przecież w tych relacjach znajdują się również opisy pozytywnego nastawienia do Niemców, których brak w artykule.

Ewakuacja na terenie Śląska nie przebiegała tak jednolicie, jak przedstawia to autorka. Po między dwoma prowincjami istniejącymi na tym terenie (górnoszląską i szląską) były w tym względzie olbrzymie różnice. Gauleiter Fritz Bracht, odpowiedzialny za Provinz Oberschlesien, podjął co prawda przygotowania do trój etapowej ewakuacji (I etap „Nikolaus“ – ewakuacja niepracującej ludności, głównie kobiet i dzieci; II etap „Goldfisch“ – ewakuacja ogółu zatrudnionych z wyjątkiem ścisłego sztabu gospodarczego i administracyjnego; III etap „Kranich“ – ewakuacja administracji; przewidywano również ewakuację zakładów przemysłowych), jednak nie zdołał jej zrealizować. Na Górnym Śląsku, i to niezależnie, czy w granicach sprzed 1939 r. (czyli w rejencji opolskiej), czy w nowych granicach po utworzeniu rejencji katowickiej, a później w prowincji górnośląskiej, ewakuacja miała być dobrowolna, bez przymusu, który na Dolnym Śląsku zastosował gauleiter Karl Hanke.

Ewakuacja na Górnym Śląsku odbywała się więc tylko fragmentarycznie i dotyczyła, jeżeli chodzi o tereny wcielone do Rzeszy, prawie wyłącznie Reichsdeutschów i częściowo osób, które czuły się zagrożone poprzez swoją działalność w administracji niemieckiej. Administracja zresztą nie stanęła na wysokości zadania, szczególnie w powiatach tzw. Altreichu (Starej Rzeszy). Np. w powiecie bytomsko-tarnogórskim do ostatniej chwili burmistrzowie nie mając zgody landrata nie wydawali zaświadczeń pozwalających na opuszczenie miejscowości. Dodatkowe trudności powodowane były niewydolnością kolei i wyjątkowo tragiczną zimą. Podobnie sytuacja przedstawiała się w powiecie rybnickim.

Trzeba zaznaczyć, że fatalną rolę w styczniu i lutym 1945 r. odegrały frontowe oddziały SS, które hamowały zarządną przez gauleitera ewakuację. Z relacji landrata pow. Żywieckiego,

Eugena Heringa, wynika, że już w chwili opuszczania miasta akcja ta została zahamowana przez oddziały SS. Kiedy Hering wraz z kreisleiterem chcieli opuścić Żywiec, zabronił im tego dowódca SS...

Odpowiedzialność za to co się stało, i dlaczego się stało, wcale nie jest tak jednoznaczna, jak mogłoby się to wydawać z kilku relacji przedstawionych w artykule...

„Polityka“, 10 lipca 1993

Edward Krawiec
Kraków
Nie wybielać UB-owców

Wojna to rzecz straszna. I ja tu nie mam żadnych podstaw, by kwestionować rzetelność niektórych opisów strasznych przeżyć Niemców uciekających przez Mierzeję Wiślaną, czy też starających się dostać w Pilawie na statek, atakowanych z ziemi i z powietrza przez siły radzieckie. Ale – chciałoby się powiedzieć – Pani Autorko, trzeba wiedzieć i znać proporcje kolejnych wydarzeń. Zanim Armia Czerwona doszła do Prus Wschodnich, wcześniej było oblężenie Leningradu, a tam setki tysięcy ludzi zabitych, zamrzłych. A takich Leningradów na frontach II wojny światowej było setki jeśli nie tysiące. A przed Leningradem i po Leningradzie była Warszawa... Nie da się ukryć, iż do tych żołnierzy z czerwoną gwiazdą autorka czuje szczególną antypatię. Od nich wymaga cech dżentelmenów po wkroczeniu na niemieckie tereny. Niestety wojna, a szczególnie ta ostatnia II wojna światowa, nie jest miejscem do praktycznego stosowania zasady: kto cię uderzył raz – ty mu nadstaw policzek, by uderzył po raz drugi. Wojna też demoralizuje ludzi.

Mistrzem propagandy XX wieku był Josef Goebbels, który niejedną historię Nemmersdorfu potrafił i stworzyć, i rozpropagować. Nie, ja absolutnie nie chcę twierdzić, iż żołnierze Armii Czerwonej byli rycerzami bez skazy. Ale naprawdę, Pani Autorko, to, co pan Goebbels przedstawia w opisie tego, co niemieccy żołnierze mieli zobaczyć po odbiciu pierwszej pruskowschodniej wsi, jest typowym okazem mistrzostwa propagandy tego ministra Rzeszy. Właśnie te i takie opisy miały zachęcić i zmusić niemieckiego żołnierza do walki w obronie ziemi niemieckiej do ostatniej kropli krwi...

Wstrząśnięty „rewelacjami“ p. Podlasek wracam myślami do własnych wspomnień z lat wojny. W mojej rodzinnej wsi, Łyskowice pod Proszowicami, w odwet za rozbicie wagonu kolejki wąskotorowej z wódką, wieszoną do monopolu tytoniowego do Proszowic, Niemcy spędzili całą ludność wsi na pobliskie łąki, wybrali i na oczach najbliższych rozstrzelali 28 młodych mężczyzn...

„Polityka“, 10 lipca 1993

Władysław Chlebowski
Wrocław

* * *

Jestem pełen szacunku wobec wrażliwości moralnej jakiej autorka dała wyraz w artykule Na jakiej podstawie przyjmuje Ona jednak za prawdziwe twierdzenia niemieckich bandytów z Wehrmachtu, które przytacza w artykule? Czy wiadomo Państwu, że 30 stycznia 1945 r. żołnierze niemieccy weszli ponownie do miasteczka Rydzyna (woj. Leszczyńskie), z którego zostali wypędzeni 29 stycznia przez oddział naszych aliantów wschodnich, a następnie Niemcy wymordowali grupę młodych ludzi z tej miejscowości, którym przypisali „zbrodnię“, polegającą na symbolicznym uczczeniu wyzwolicieli spod niemieckiej okupacji (brama powitalna, itp.)?

„Polityka“, 10 lipca 1993

Jan Likowski
Warszawa

* * *

Nie chciałbym pod żadnym pozorem wybielać ubowców, którzy – jak pisze p. Maria Podlasek – pastwili się brutalnie nad Niemcami w Łambinowicach, i gdzie indziej, ani bandyckich gangów, które wspólnie z konwojentami rabowały co się dało przesiedlanym. Nikogo nie usprawiedliwia prześladowanie bezbronnego człowieka, kimkolwiek by on nie był.

Jednak wypada koniecznie zauważyć, że nader często najeżdźca lub silniejszy w walce – narzuca jej „styl“...

Niemcy w latach 1939–42 stosowali w zachodniej Polsce dokładnie to, co dziś nazywa się w Bośni „czystką etniczną“. Tworzyli „Lebensraum“, rabując własność polską – by darować ją swoim rodakom. Mieli już doświadczenie u siebie, bo w taki sam sposób wywłaszczali Żydów w Rzeszy. Byłem już w 1939 r. wysiedlony z Wielkopolski – jako maturzysta, wraz z całą rodziną... Żandarm niemiecki bił mego ojca, chciałem się rzucić w obronę, lecz matka i siostra powstrzymały mnie za ramiona. Mój ojciec zaś w latach 1914–1918 był oficerem lekarzem w armii niemieckiej. Wiem, ile pozwolono nam zabrać ze sobą, i co musieliśmy zostawić – czego już nigdy nie odzyskaliśmy.

Wysiedlenie Niemców nie było natomiast odwetem, jakby się to dotkniętym tą akcją wydawało. To była po prostu konieczność, potwierdzona przez zwycięskich aliantów. Oni nawiasem mówiąc nie byli łaskawi dla Polski, która w teorii należała do obozu „zwycięzców“.

Chciałbym jeszcze wrócić do sprawy rozmiarów strat niemieckich wskutek wypędzenia (*Vertreibung*). Pani Podlasek podaje informacje strony niemieckiej. Tę dużą cyfrę weryfikował naukowo nieżyjący już p. Schimitzek i wydał książkę (Zachodnia Agencja Prasowa). Okazało się, że straty obliczano według dynamiki przyrostu naturalnego, który „powinien“ być na b. Wschodnich obszarach Niemiec. Nie był on zaś, szczególnie w ostatnich dwu latach wojny, tak duży jak poprzednio.

„Polityka“, 10 lipca 1993

Michał Starzyk
Zawichost

* * *

Pyta autorka „czy w polskiej świadomości (...) w ogóle istnieje poczucie odpowiedzialności za nadużycia związane z wypędzeniem i wysiedleniem Niemców“ i czy „przyswojone zostało orędzie z 1965?“ Na to pytanie odpowiem pytaniem – ale tylko w swoim imieniu – czy w niemieckiej świadomości istnieje takie poczucie wobec Polaków – z tym, że trzeba uwzględnić tu okres od 1 września 1939 r., a nie od 12 stycznia 1945 r. Nie jestem też pewien, czy orędzie podobne do tego z 1965 r. nie powinno ukazać się wcześniej, ale wyjść z przeciwnej strony do nas...

Tragiczne były losy uciekinierów drogą morską – ale tu na myśl przychodzi bodajże statek Cap Arcona, którym Niemcy wywieźli na Bałtyk wiosną 1945 r. kilka tysięcy więźniów, którzy „za żadną cenę nie powinni wpaść w ręce aliantów“. Statek ten jak wiadomo został zatopiony przez alianckie bombowce, a większość więźniów zginęła.

Oprócz Polaków – pisze p. Podlasek – wyrządzali krzywdy Niemcom również Rosjanie, których Ilja Erenburg przygotował do zemsty, podpisaną przez siebie ulotką, którą autorka w całości przytacza. Ulotka ta to prawdziwa instrukcja, natomiast Hitler był bardziej zwięzły, gdyż jego rozkaz wydany generałom przed atakiem na Polskę brzmiał krótko: Nie miejcie litości, bądźcie brutalni. Naszym celem jest zniszczenie Polski!

Ulotka Erenburga przeznaczona była dla frontu wschodniego, którego ekscesom autorka poświęca swój artykuł. Nie wiem czy na froncie zachodnim alianci wydawali jakieś tego rodzaju ulotki, ale na stronie 311 książki Olgierda Terleckiego „Najkrótsza historia II wojny światowej“ przeczytałem: „Na zachodnich granicach Niemiec żołnierze alianccy ustawili w tych dniach ogromne tablice, które rzucały się w oczy każdemu kto wjeżdżał do tego kraju od strony Francji, Luksemburga, Belgii czy Holandii. Napisy na tych tablicach głosiły: WARNING! YOU ARE ENTERING GERMANY. THE END OF CIVILIZED WORLD. Co oznacza po polsku: Uwaga! Wjeżdżasz do Niemiec. Tu kończy się świat cywilizowany“. Nie wiem czy tablice te „rozmontowały blokady psychiczne (alianckiego) żołnierza przygotowane do zemsty“, ale gdy chodzi o zemstę to na stronie 274 tejże książki jest napisane:

„Na obszarach ponownie najechanych (w wyniku kontrofensywy w Ardenach – kryptonim Herbstnebel) wybuchła panika: ludzie miejscowi bali się niemieckiej zemsty. I mieli rację: za nacierającymi wojskami jechało gestapo. Nie zamierzało przepuścić nikomu, kto niedawno okazał był sympatię aliantom“. Nie przepuszczali zresztą i niemieccy czołgiści, którzy pod Malmédy „rozjechali żywcem wówczas swymi maszynami około stu jeńców amerykańskich“.

Gwałty na niemieckich kobietach przypisuje autorka wprawdzie Rosjanom, ale chyba do wielu czytelników tych relacji i komentarza wracają upiorne sceny gwałcenia podczas powstania warszawskiego dziesiątków harcerek Szarych Szeregów, czy podobne sceny w słynnym obozie w Pruszkowie po upadku powstania. W nich też chyba „zachodziły zmiany psychiczne. Ich dusza umierała“. Odczucia te pozostały chyba także u kobiet poddanych „naukowym eksperymentom“ w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Gdy natomiast autorka pisze, że „przesłuchania“ (ten cudzysłów też ma swoją wymowę – M.S.) w piwnicach UB, wielu niemieckim świadkom zapadły w pamięć, to i tak mieli oni szczęście, że przeżyli i mogli się podzielić z innymi, gdyż o ile mi wiadomo to świadków przesłuchań Polaków przez gestapo niewielu pozostało przy życiu, choć te przesłuchania trwały przez ponad pięć lat. Wszyscy w nich bowiem byli podejrzani o przynależność do „zbrodniczych organizacji“ i po prostu płacili za to życiem. A ginęło ich trzy tysiące każdego dnia okupacji.

Moja wypowiedź nie wynika z nienawiści do Niemców, choć mógłbym mieć do nich uprzedzenie i żal choćby ze względów osobistych. Pomijając już bowiem moje odczucia jako Polaka, którego państwo oni właśnie napadli, mam prawo im wytknąć, że to ich bomba spaliła 6 września 1939 roku mój dom rodzinny, choć była to prawie chatka kryta słomianą strzechą, stojącą na skraju małego nadwiślańskiego Zawichostu, miasteczka, w którym przez cały czas nie było ani jednego naszego żołnierza, ani jakichkolwiek obiektów strategicznych. Miałem wówczas 13 lat i wraz z matką oraz trojgiem rodzeństwa zostałem tylko w tym co miałem na sobie – a było to lekkie ubranko, gdyż wrzesień był ciepły – ponieważ niemieccy lotnicy, krążąc nad nami ostrzeliwali każdego, kto usiłował ratować swój dobytek, dopóki wszystko nie spłonęło doszczętnie. To dzięki nim widziałem zwłoki 30 zakładników rozstrzelanych 2 lutego 1944 r. na przedmieściu Podgórze, oraz widok stojącego w ogniu pacyfikacji Borowa i kilku innych zawiślańskich wiosek, gdzie tego dnia zginęło 52 mężczyzn, 77 kobiet, 103 dzieci, a wielu schwytych wywieziono do więzienia w Lublinie skąd już nigdy nie wrócili...

Ale czas zaciera ślady tamtych, obustronnych zresztą, ludzkich dramatów, co zresztą widać w obecnych postawach obydwu narodowości. Gdy jednak na fali modnej dziś ery odkrywania białych plam są one przypominane, często przez ludzi, którzy ich nie przeżyli, to trudno milczeć...

„Polityka“, 10 lipca 1993

Krystyna Kersten

Stulecie przesiedleń

Przymusowe przemieszczenie ludności – próba typologii

Przymusowe przesiedlenia ludności sięgają zarania dziejów. Były następstwem antagonizmów rasowych, etnicznych, religijnych, ideologicznych. Ich podłoże stanowiła wrogość wobec innych, postrzeganych jako obcy i zagrażający wspólnocie. W epoce nowożytnej źródłem masowych przymusowych migracji stały się procesy narodotwórcze, które zrodziły nowoczesny nacjonalizm oraz wyłonioną zeń ideę państwa narodowego.

Zasada narodowa

Wyrosła z Wiosny Ludów i włoskiego *Risorgimento* – po raz pierwszy sformułował ją Pasquale Stanislao Mancini, jeden z wielkich włoskich jurystów, w ogłoszonej w 1851 r. w Turynie rozprawie „*Della Nazionalità come fondamento del diritto delle genti*” – idea państwa zbudowanego na podstawach narodowych podjęta została przez elity „narodów uciskanych” monarchii Habsburgów, by po I wojnie światowej zatriumfować w Wersalu. Rosła liczba entuzjastów zasady narodowości jako podstawy państwa i to nie tylko wśród narodów aspirujących do odzyskania lub uzyskania własnej państwowości. Należał do nich m. in. Teodor Roosevelt, który przed Wilsonem głosił, że Europa musi być zbudowana na zasadzie narodowej.

Deklaracja Wilsona w maju 1916 r., stanowisko brytyjskiego *Foreign Office* zawarte w memorandum z jesieni tegoż roku, enuncjacje Lloyd George'a, proklamacja międzyalianckiej komisji parlamentarnej z października 1918 r., wyrażały przekonanie – złudne, jak dziś wiemy – że uznanie narodowości jako podstawy państwa i prawo narodów do samostanowienia są rzeczywistniem wolności i rękojmią trwałego pokoju. Ponieważ idealne, jak sądzono, rozwiązanie kwestii narodowościowych przez zapewnienie każdemu bez wyjątku narodowi własnego państwa było nierealne, stworzono system ochrony mniejszości. Sankcję międzynarodowej społeczności zyskała też radykalna metoda rozwiązywania konfliktów narodowościowych i religijnych – przesiedlenie ludności na mocy porozumień międzypaństwowych.

Ani jednak ochrona mniejszości gwarantowana traktatami i nadzorowana przez Ligę Narodów, ani będące jej zaprzeczeniem przesiedlenie nie zapobiegły nasilaniu się nacjonalizmów, narastaniu antagonizmów między narodami i destabilizacji porządku w Europie. Przeciwnie, uświęcenie zasady narodowości jako podstawy państwa sprzyjało radykalizacji prądów nacjonalistycznych, zarówno wśród narodów panujących jak i wśród mniejszości. Zgodzić się wypada z brytyjskim historykiem, gdy pisze: „Być może szczyt nacjonalizmu został osiągnięty, kiedy za oświeconą politykę uznano przymusowe usuwanie mężczyzn, kobiet i dzieci z ich domów i transfer z miejsca na miejsce w celu stworzenia homogenicznych narodowych wspólnot”. A także z Eugenem Lembergim, uznającym przesiedlenia i wysiedlenia za najbardziej radykalny i barbarzyński (jeśli wyłączyć ludobójstwo) sposób rozwiązywania kwestii narodowych.

Wybuchały nacjonalizm legł również (obok komunizmu) u podstaw masowego zjawiska uchodźców. Na pokrewieństwo uchodźstwa i masowych przesiedleń zwracało uwagę wielu autorów. Heinrich Boell określił wiek XX jako stulecie uchodźców i więźniów; jest to też stulecie ludobójstwa i przesiedleń w imię czystości etnicznej. Nierzadko oba te procesy splatały się i uzupełniały. Uchodźstwo w obliczu bezpośredniego zagrożenia stanowiło preludeum trwałych i organizowanych przemieszczeń.

Czym jest „transfer“?

Procesy te będące konsekwencją idei państwa narodowego, określa się często mianem „transferu“. Termin ten bynajmniej nie jest jednoznaczny i odnoszony bywa do różnych ruchów ludności kwalifikowanych jako „polityczne“. Stosuje się go wymiennie z innymi, takimi jak „przesiedlenie“, „wysiedlenie“, „wypędzenie“ – niemieckie *Vertreibung*. Można wyróżnić interpretację rozszerzającą – transferem będą wszystkie masowe przemieszczenia ludności, wewnętrzne lub zewnętrzne, poza ucieczkami i ewakuacją – jak też zwiężającą. Pierwszą reprezentuje m. in. francuski demograf Georges Pierre, wyróżniając dwa typy transferów: na mocy decyzji unilateralnych (ekspulsja) i na mocy decyzji międzynarodowych (wymiana ludności, przesiedlenie). Drugą odnajdziemy w monograficznym opracowaniu „*Les transferts internationaux de population*“, które ukazało się we Francji w 1946 r., gdzie transfery ludności zdefiniowano jako dobrowolne lub przymusowe, ale ostatecznie wyjęcie określonej grupy ludzi z rodzinnego środowiska i zorganizowane przeniesienie jej na terytorium innego państwa, dokonane na podstawie umów międzynarodowych w celu tworzenia jednonarodowych organizmów państwowych. *Differentia specifica* to aspekt prawny. Precedensy tak rozumianych transferów upatrywano w anglo-tureckiej konwencji z 1817 r. oraz wymianie ludności między Turcją i Bułgarią realizowanej w 1913 r. na mocy porozumienia w Adrianopolu. Za ich początek przyjmuje się jednak wspomnianą wymianę bułgarsko-grecką i turecko-grecką po I wojnie, przywoływaną jako wzorzec dla przesiedleń planowanych i realizowanych w latach czterdziestych.

Czy wprowadzając jako odrębną kategorię międzypaństwowe przesiedlenia – realizowane zgodnie z zawartymi porozumieniami międzypaństwowymi – porządkujemy rzeczywistość czy ją zaciemniamy? Zaliczyć tu można bez zastrzeżeń – ograniczając się do Europy – jeszcze przesiedlenie Niemców z Besarabii, Ukrainy, krajów bałtyckich i Tyrolu w latach 1939–1944, w ramach operacji „*Heim ins Reich*“ oraz wymianę ludności między Polską i zachodnimi republikami ZSRR po II wojnie światowej. W obu przypadkach przesiedlenia nominalnie miały charakter dobrowolny; w obu też przypadkach przeprowadzono je na podstawie dwustronnych umów międzypaństwowych. Z pewnym trudem w tej kategorii mieszczą się ruchy ludności po I wojnie światowej, wywołane powstaniem nowych państw, jak też przedstawianie (również przez mnie) jako transfer wysiedlenia Niemców z Polski, Czechosłowacji i Węgier na mocy postanowień poczdamskich. Poza nią znajdują się wysiedlenia i przesiedlenia określonych grup narodowych w wyniku jednostronnego działania państwa, by wymienić wysiedlenia ludności Zamojszczyzny, czy wywózki w głąb ZSRR z wschodnich kresów II Rzeczypospolitej w latach 1940–41.

A przecież wszystkie te przesiedlenia, wysiedlenia i wywózki mają wspólny mianownik: jest nim przymusowe spowodowane przymusem sytuacyjnym, trwałe w założeniu wyrwanie z rodzinnego środowiska – małej ojczyzny, spowodowane wolą państwa, w imię interesu narodowego lub/i imperialnego. Inne czynniki, włącznie z wysuwaniem tu na pierwszy plan aspektem mają znaczenie drugorzędne.

Porządkowanie terminów

Regulacje prawne i aprobaty czy to Ligi Narodów po I wojnie światowej, czy wielkich mocarstw w 1945 r. łagodziły niewątpliwie przebieg i skutki masowych przesiedleń, a także ułatwiały ich akceptację jako bolesnej, lecz nieuchronnej „operacji chirurgicznej“, przeprowadzonej w sposób humanitarny przez cywilizowaną i demokratyczną społeczność międzynarodową. Podobnemu celowi służyła także terminologia, którą się posługiwano: takie określenie jak „transfer“, „wymiana ludności“, czy używana przez dłuższy czas w Polsce najzupełniej nieadekwatna „repatriacja“ pozbawione były jednoznacznych konotacji etycznych i emocjonalnych.

Odwrotnością owej tendencji było (i jest) używanie bezwzględnie negatywnego terminu „wypędzenie“ – *Vertreibung* – w stosunku do Niemców zamieszkałych na obszarze przejętym przez Polskę, w Sudetach i na Węgrzech. Określenia te stosowane są bardzo dowolnie, stanowią na ogół kalkę językową, wprowadzoną pod wpływem społecznych bądź politycznych potrzeb. Jaskrawym przykładem jest wspomniana „repatriacja“ Polaków z Kresów Wschodnich do Polski w nowych granicach lub „repatriacja“ Niemców z Pomorza czy Śląska do strefy radzieckiej czy brytyjskiej.

Aby oczyścić pole badawcze z nawarstwień emocjonalnych i politycznych proponuję możliwie konsekwentnie posługiwanie się dwoma terminami: wysiedlenie i przesiedlenie. W ścisłym znaczeniu – opuszczenie ojczystego kraju wymuszone zagrożeniem życia, dyskryminacją, represjami lub ich oczekiwaniem stanowi kulminację wielu indywidualnych decyzji i ma charakter spontaniczny, a różni się od masowej ucieczki tym, że w założeniu jest trwałe i obejmuje zazwyczaj określoną grupę narodową bądź wyznaniową. WYPĘDZENIE czy jego odpowiedniki: wygnanie, wyrzucenie, usunięcie, rugowanie, znaczeniowo bardziej szerokie, odnosi się do zupełnie różnych procesów, nie tylko demograficznych. W wypadku przemieszczeń ludności dotyczyć może jednostek i zbiorowości. W czynności wypędzania jedynym sprawcą jest ten, który wypędza, przy czym jego rola ogranicza się do usunięcia niepożądanego elementu. Zbliżoną, acz analogiczną treść zawiera termin WYSIEDLENIE. Wysiedlanie obejmuje określoną zbiorowość, jest zawsze przymusowe, zorganizowane, pozycja osoby wysiedlanej jest bierna, nie ma natomiast istotnego znaczenia, czy owo przemieszczanie odbywa się na mocy porozumień lub decyzji międzynarodowych, czy też jest jednostronnym aktem przeprowadzającej je władzy, czy dotyczy własnych obywateli, czy obywateli innego państwa.

Różnica między „wysiedleniem“ a „przesiedleniem“ sprowadzałaby się do funkcji przymusu, relacji między przesiedlającym się a organizatorem migracji i wreszcie zakresu działań składających się na dany proces. Przesiedlenia mogą być przymusowe, wymuszone sytuacją, ale bywają także dobrowolne, przesiedlający się może czynnie uczestniczyć w procesie zmiany miejsca w przestrzeni geopolitycznej lub geograficznej: przesiedlać się a nie być przesiedlanym. Przesiedlenie obejmuje poza tym nie tylko wyrwanie z dotychczasowego otoczenia, lecz również trwałe osiedlenie w nowym miejscu. Wysiedla się z miejsca A, przesiedla się z miejsca A do miejsca B. DEPORTACJA (a także wywózka, zsyłka) jest z definicji aktem bezpośredniego przymusu stosowanego przez daną władzę; może, ale nie musi być masowa. Wreszcie REPATRIACJA oznacza powrót do kraju obywateli danego państwa, którzy opuścili go w nadzwyczajnych okolicznościach, zazwyczaj wojennych. Repatriują się na ogół jednostki, rzadko też spotyka się repatriację przymusową określonej kategorii osób.

Rysowanie mapy

Analiza ruchów ludności, które prowadziły lub miały prowadzić do trwałego wykorzenienia z ziemi ojczystej wskazuje, że w większości były one związane najpierw z wojną, następnie zaś ze stanowieniem nowej mapy politycznej Europy: w 1918 r., w 1939 r., w 1945 r., jak trafnie zauważył amerykański demograf Douglas Kirk, największe trwałe przemieszczenia ludności niesie za sobą nie tyle sama wojna, ile przede wszystkim pokój, który jest jej wynikiem. Po I wojnie światowej umowy o zorganizowanych przesiedleniach, usankcjonowane autorytetem Ligi Narodów były tylko końcowym ogniwem łańcucha, na który składały się ucieczki, exodus, ekspulsja. Jak stwierdza autor najpoważniejszego opracowania historii grecko-bułgarskiej i grecko-tureckiej wymiany ludności, rozwiązanie to przyjęto, gdy „umysły ludzi nie były jeszcze wolne od emocji rozpalonych wojną, gdy żywe były urazy i wrogość większości wobec mniejszości“. Jawiło się ono jako mniejsze zło w obliczu gwałtów o okrucieństwach, traktowane było jako humanitarna alternatywa wysiedleń, poprzedzonych prześladowaniami i fizycznym terrorem. W owym czasie powszechnie zresztą uważano, że doświadczenia bałkańskie, uspra-

wiedliwione szczególnymi okolicznościami nie mogą służyć jako precedens, a tym bardziej wzór rozwiązania problemów narodowościowych.

Przymus – bezpośredni lub sytuacyjny – dążenie do tworzenia jednolitych etnicznie państw poprzez usunięcie zbiorowości uznanych za obce i tendencje do skupienia w państwie narodowym współziomków zamieszkałych poza jego granicami, masowość, definitywny charakter, – te podstawowe elementy odnaleźć można w wielomilionowych przemieszczeniach ludności towarzyszących powstawaniu porządku wersalskiego i – w skali wcześniej niespotykanej – podczas II wojny światowej oraz po jej zakończeniu. Nie znaczy to, by pozostając na gruncie historii należało minimalizować różnice pomiędzy konkretnymi procesami. Najistotniejsze to: nasilenie i charakter przymusu; zakres wysiedlenia czy przesiedlenia; cechy objętej nim zbiorowości; okoliczności, motywy i cele dokonanych przemieszczeń.

Stopnie przymusu

Niedobrowolność, przymus to pojęcia szerokie i niejednoznaczne. Jako przymusowe traktuje się deportacje do pracy, wysiedlenia, wywózki lecz również uchodźstwo wymuszone wojną, rewolucją, masowymi prześladowaniami choćby było najzupełniej spontaniczne. Za Alfredem Sauvy przyjmuję, że gdy człowiek sam stanowi o swoim losie, mamy do czynienia z dobrowolnością, gdy jest on pozbawiony możliwości wyboru, stając się ubezwłasnowolnionym przedmiotem władzy politycznej, występuje przymus. Jeśli decyzja jest podejmowana w sytuacji zagrażającej biologicznej lub społecznej egzystencji, pod wpływem realnie istniejącej lub przewidywanej deprywacji, można mówić o przymusie sytuacyjnym. William Petersen, amerykański socjolog, który w proponowanej typologii migracji rozróżnia przemieszczenia przymusowe i wymuszone, obok tego kryterium wymienia jeszcze funkcję i cel określony nie przez jednostkę, lecz czynnik zewnętrzny – państwo lub jego odpowiedniki.

Ten właśnie rodzaj przymusu, wymuszającego lub stymulującego indywidualne postanowienia o opuszczeniu rodzinnych stron odgrywał zasadniczą rolę po 1918 r. Miliony nie opuszczając stron rodzinnych zmieniło przynależność państwową. Pociągało to za sobą konieczność wyboru między ojczyzną narodową a „małą ojczyzną“. Wyboru podejmowanego pozornie dobrowolnie: Polacy mogli, lecz nie musieli wyjeżdżać z Kijowa, Odessy, Charkowa; Niemcy – poza tymi, którzy przybyli po 1908 r. – nie musieli opuszczać Poznania czy Bydgoszczy. Zgodnie z obowiązującym prawem międzynarodowym ludność otrzymywała obywatelstwo państwa, na którego terytorium zamieszkiwała. Rozmiary migracji w wyniku zmiany granic szacuje się na około 4 mln. Obejmowały one m. in. Polaków zamieszkałych w Rosji, a także Niemców z Alzacji i Lotaryngii (ok. 130 tys.) oraz z prowincji, które weszły w skład państwa polskiego (łącznie w latach 1918–1924 ponad 1,1 mln). Nadmienić warto, że nacjonalistyczna propaganda głosiła, że dobry Niemiec powinien pozostać i bronić niemieckiego stanu posiadania na wschodzie.

Porównywalna pod wieloma względami sytuacja wystąpiła po II wojnie światowej w związku z przesunięciem na zachód granicy między Rzeczpospolitą i ZSRR. Zamieszkali w dawnych województwach wschodnich Polacy i Żydzi uzyskali prawo wyjazdu do Polski; analogicznie Ukraińcy, Białorusini i Litwini zamieszkali w Polsce mogli przesiedlić się do republik ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej. Tym razem Polacy, Ukraińcy, Litwini, Białorusini stanęli wobec narzuconego im wyboru: ojczyzna lokalna – ojczyzna narodowa. Wybór ten, dobrowolny wedle umów o wymianie ludności między Polską i USRR, BSRR i LSRR, zawartych w 1944 r. przez PKWN z rządami tych republik, w rzeczywistości podejmowany był w warunkach przymusu sytuacyjnego, na który złożyły się doświadczenia po 17 września 1939 r., pamięć wywózek, jak też świeże represje dotyczące polską ludność. Przesiedliło się wówczas ponad 1,2 mln osób, pozostało na miejscu, nie zawsze z własnej woli, wieśset tysięcy. W 1979 r. w obwodzie

grodzieńskim narodowość polską deklarowało 299 tys. osób, w obwodzie lwowskim ok. 33 tys., na Wileńszczyźnie ok. 240 tys.

Przymus realizowany bez osłonek i w postaci najbardziej brutalnej objawił się w czasie II wojny światowej, w przesiedleniach i wysiedleniach, które były dziełem dwóch totalitarnych systemów. Między etnicznym i rasowym „oczyszczeniem“ niemieckiej przestrzeni życiowej dokonywanym przez władze III Rzeszy a radzieckimi wysiedleniami (deportacjami) istniały niewątpliwie różnice, aliiści jedne i drugie wyrastały z ekspansji i ideologicznych projektów nowego porządku. Towarzyszyły rozbiorowi państwa polskiego między ZSRR i Rzeszę Niemiecką traktatem z 28 września 1939 r.; w mniejszej skali miały miejsce w Alzacji i Lotaryngii, gdzie powiązane były z zakazem powrotu ewakuowanych i uciekinierów.

Pangermańskie imperium

W hitlerowskich koncepcjach usunięcie Polaków czy Francuzów było funkcją planów germanizacyjnych. W pierwszym stadium polityka germanizacyjna objęła ziemie włączone do Rzeszy, w drugim, poczynając od 1942 r., wysiedlenia ludności polskiej z Zamojszczyzny zainicjowały wprowadzanie w życie Generalnego Planu Ost. W obłądnej wizji pangermańskiego imperium, zbudowanego na zasadach rasowo-etnicznych, ekspansja terytorialna została sprzęgnięta z eliminacją „ras“ i narodów uznanych za niższe: w pierwszej kolejności Żydów, w następnej – Słowian. Wysiedlenia i przesiedlenia były, w założeniu lub realnie, preludium eksterminacji lub tworzenia klasy niewolników.

Przesiedlenie Żydów do gett nie mieści się, moim zdaniem, w kontekście przymusowych migracji, należy do porządku wyznaczonego przez Holocaust. Ale i w przypadku Polaków, największe dokonane w tym czasie wysiedlenia prowadziły nie tylko do osiedlenia w Generalnej Guberni, traktowanej jako tymczasowy przytułek dla Polaków, Żydów i innej „hołoty“ – to słowa Hitlera w rozmowie z Keitlem 17 września 1939 r. Transporty zaczęto z czasem kierować do obozów przejściowych, z których część osób trafiła do GG, część na roboty do Niemiec. Zamiar totalnego usunięcia w krótkim czasie polskiej ludności z ziem wcielonych okazał się zresztą nie-realny, między innymi wskutek braku odpowiedniej ilości niemieckich osadników. Ostatecznie wysiedlenia objęły ok. 290 tys. ludzi, z czego 460 tys. osiadło w GG. Późniejsze wysiedlenia na Zamojszczyźnie ok. 100 tys. głównie chłopów, związane z realizacją planu stworzenia „wału niemieczyny na wschodzie“ w wielu przypadkach kończyły się w obozach koncentracyjnych. Znamienne, że władze i opinia publiczna Polski podziemnej oraz rząd i prezydent na uchodźstwie postrzegały owe wysiedlenia jako sygnał, iż Niemcy dokonawszy eksterminacji Żydów, podobny los gotują Polakom.

Charakter hitlerowskich wysiedleń i przesiedleń na zasadzie narodowej i rasowej, powinowactwo z ludobójstwem może stawiać pod znakiem zapytania zaliczanie tych procesów do przemieszczeń ludności spowodowanych realizacją państwa „czystego etnicznie“, jednonarodowego. Wydaje się jednak, że mimo całej specyfiki, przesiedlenia realizowane przez III Rzeszę należą do tego samego porządku, tyle że stanowią jego najbardziej skrajną postać.

Oczyszczanie ze „zdrajców“

Większe jeszcze wątpliwości mogą budzić masowe, przymusowe wysiedlenia i przesiedlenia realizowane przez ZSRR na obszarach włączonych do państwa radzieckiego w 1939 r., jak też w obrębie dawnych granic. Owe wywózki, deportacje, zsyłki, jak się je określa, różniły się od przesiedleń na zasadzie narodowościowej, prowadzących do tworzenia homogenicznych narodowo państw. Było to również „oczyszczenie“, tyle że narodowość była tylko jednym z czynników decydujących o przesiedleniu – w czasie wojny i po wojnie – Polaków, Niemców

znad Wołgi, Kałmuków ze stepów astrachańskich, Bałkarów, Karaczajów, Inguszów, Czeczeńców, Litwinów, Łotyszów. Nie było mowy o rusyfikacji czy niższości wysiedlanych narodów, ale o zdradzie ojczyzny, udzielaniu pomocy Niemcom, uczestnictwie w „bandach“, czynnym sprzeciwie wobec władzy radzieckiej. Na ziemiach anektowanych w 1939 r. ofiarami czterech akcji przesiedleńczych obok Polaków byli Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Litwini; poza stałymi mieszkańcami wschodnich województw wywieziono także uciekinierów z Zachodniej i Centralnej Polski, którzy nie zdołali lub nie chcieli skorzystać z możliwości stworzonych przez radziecko-niemieckie porozumienie o wymianie ludności z 16 XI 1939 r., ani nie przedostali się na zachód przez „zieloną granicę“. Rozmiary wywozek w świetle źródeł polskich są znacznie wyższe od ustaleń historyków radzieckich na podstawie dokumentów NKWD; różnice oscylują od około miliona do niespełna 400 ty.

Benesz: „uwolnieni od Niemców“

W gradacji nasilenia przymusu bezpośredniego przesiedlenia dokonywane przez totalitarne systemy stanowią niewątpliwie punkt szczytowy. Atoli wielkie demokracje Zachodu oraz znaczna część opinii publicznej również pozwoliły na przymusowe wysiedlenie ludności niemieckiej z ziem przekazanych Polsce, z Sudetów, z Węgier. Praktyka „oczyszczania z mniejszości“ jako funkcji zmiany granic zyskała prawo obywatelstwa, podobnie jak urzeczywistniana w Polsce idea państwa jednonarodowego, czy w Czechosłowacji – państwa Czechów i Słowaków, bez Węgrów i Niemców. Benesz, jeden z najgorętszych zwolenników wysiedlenia Niemców sudectkich, w orędziu z okazji Bożego Narodzenia w 1946 roku mówił: „Pierwszy raz święcimy Boże Narodzenie w naszym państwie uwolnieni od Niemców. Jest to fakt historyczny, który kończy całą epokę w naszych dziejach“.

W Polsce za całkowitym wysiedleniem Niemców, zarówno obywateli polskich, jak i zamieszkujących obszary przyłączone, opowiadali się nie tylko komuniści, także przywódca opozycji Stanisław Mikołajczyk. Podczas dyskusji nad projektem dekretu o wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego osób narodowości niemieckiej, na posiedzeniu Rady Ministrów 25 lipca 1946 r., protestując przeciw wyjątkowemu traktowaniu Niemców współpracujących z polskimi organizacjami wolnościowymi, walczącymi z państwem niemieckim stwierdzał, że „jeśli ktoś jest Niemcem, to jego miejsce jest w Niemczech, a nie u nas“. A nie było to najbardziej skrajne stanowisko.

Hoover: „heroiczny środek“

Wszelako nie nacisk polski bądź czechosłowacki na rządy alianckie wpłynął na stosunek Roosevelta i Churchilla do masowych przesiedleń ludności, w tym przymusowych wysiedleń Niemców. Nie wymusił go też Stalin. Przy wielu oporach, w Londynie i Waszyngtonie zaakceptowano masowe i przymusowe przesiedlenie na zasadzie kryteriów narodowych. W 1942 r. Herbert Hoover pisał, iż tworząc w przyszłości podstawy trwałego pokoju „należy brać pod uwagę nawet heroiczny środek w postaci transferów ludności. Przesiedlenie jest bolesne, ale nie tak jak nieustanne cierpienia mniejszości i stałe zagrożenie wojną“. Podobnych głosów było wiele. Demokratyczne społeczności uznały, że przesiedlenie przede wszystkim Niemców, choć sprzeczne z normami moralnymi, jawi się jako jedyna droga rozwiązania nabrzmiałych problemów i usunięcia źródeł poważnych konfliktów. Zbrodnie dokonane podczas wojny przez Niemcy sprawiły, że w 1945 r. znalazły się one niejako poza zasięgiem owych norm; w zestawieniu z komorami gazowymi, masowymi egzekucjami, obozami koncentracyjnymi, przesiedlenie wydawało się metodą wręcz humanitarną. Przy tym, podobnie jak na Bałkanach po I wojnie świa-

towej, wysiedlenie stanowiło finał procesu, zapoczątkowanego masowymi ucieczkami i ewakuacją.

W stosunku do tych, którzy w chwili zakończenia wojny znajdowali się poza obszarem objętym wysiedleniami, przymus miał charakter pośredni: przejawiał się w uniemożliwianiu powrotu. Żywiołowość ucieczek jak też wyjazdów jesienią 1945 r., wymuszonych sytuacją, nie zmienia faktu, że przymus w różnym nasileniu i w różnej postaci towarzyszył wielomilionowym przesiedleniom Niemców z Polski, Czechosłowacji i Węgier – największym w Europie, ustępującym rozmiarami jedynie ruchom w Azji po uzyskaniu przez Indie suwerenności i podziale ich na dwa państwa: „muzułmański“ Pakistan i „hinduskie“ Indie.

Totalność i zasada narodowa

Z problemem przymusu wiążą się ściśle pozostałe wymienione przez mnie czynniki: zakres wysiedleń i przesiedleń, cechy objętych nimi zbiorowości, cele jakie zamierzano osiągnąć. Co się tyczy zakresu, trzeba odróżnić założenie od realizacji. Z przymusowych przemieszczeń w zasadzie tylko przesiedlenia całych narodów w ZSRR oraz wysiedlenia Niemców po II wojnie światowej były totalne i w zamyśle, i w wykonaniu. W planach niemieckich leżało wysiedlenie wszystkich Polaków z ziem wcielonych do Rzeszy, urzeczywistnić jednak tego, z różnych przyczyn, nie zdołano. Wysiedlenia przeprowadzane przez ZSRR na Kresach Wschodnich nie dotyczyły, jak wspominałam, całej polskiej ludności. Przesiedlenia wymuszone, przy których występowały wola państwa, decydującego kto może wyjechać i wola jednostki dokonującej wyboru, nigdy nie były całkowite.

Z punktu widzenia cech zbiorowości wysiedlanej i przesiedlanej, najważniejsza wydaje się kwestia kryteriów, na jakich opierali się ci, którzy wysiedlali bądź przyznawali prawo do przesiedlenia się. We wszystkich przemieszczeniach decydowała przynależności narodowa, oparta nie na samookreśleniu, a na narzuconych sprawdzianach: administracyjnym, behawioralnym. Nic dziwnego – masowe przesiedlenia w XX wieku były w przeważającej mierze dziećmi nacjonalizmu, który w tym stuleciu ukazał swe janusowe oblicze. Mniejszą rolę odgrywała przynależność państwowa, obywatelstwo. Niemcy z Sudetów byli obywatelami czechosłowackimi, Sowieci wysiedlali obywateli własnych lub za takich uważanych. Również Ukraińcy przesiedlani do USRR w latach 1945–1946 byli obywatelami polskimi.

Ostatni moment: cele i okoliczności dokonywanych przesiedleń sprowadza się do wyróżnienia dwóch, najczęściej sprzężonych, ale niezupełnie tożsamy motywów. Znaczna część owych poczynań była reakcją na istniejące w danym momencie lub w nieodległej przeszłości gwałtowne konflikty narodowościowe. Dotyczy to przesiedleń wymuszonych, jak wymiana ludności na Bałkanach w latach dwudziestych, wzajemne przesiedlenia polsko-ukraińskie, polsko-litewskie, polsko-białoruskie w latach 1944–1947, słowacko-węgierskie w latach 1946–1947, lecz także przymusowych, jak wysiedlenie Niemców sudeckich oraz Niemców obywateli II Rzeczypospolitej. Dawne i świeże doświadczenia były przywoływane dla legitymizacji dążeń, do eliminowania mniejszości narodowych, wspierały nacjonalistyczną ideę państwa narodowej monokultury.

Reasumując: triumfujący w XX w. nacjonalizm i jego emanacja w postaci państwa narodowego zrodziły zasadę i praktykę masowych, przymusowych lub wymuszonych wysiedleń i przesiedleń, które dla milionów ludzi oznaczały utratę ojczyzny: ojczyzny narodowej, ojczyzny lokalnej, bądź jednej i drugiej. Wyrwanie ze środowiska mogło być spowodowane przymusem bezpośrednim lub sytuacyjnym, mogło być realizowane przez państwo własne lub obce, wiązać się (lub nie) z ekspulsją poza narodową (państwową) ojczyznę. Mogło być ono efektem ekspansjonizmu lub zdawać się mniejszym złem w obliczu dziejącego się już gwałtu. Mogło być realizowane w ramach międzynarodowych porozumień i w założeniu przynajmniej humanitarnie albo w wyniku brutalnej siły.

Ostatnia sprawa: zasięg przymusowych bądź wymuszonych przemieszczeń. Nie jest bez znaczenia, ile rodzin, ile osób skazanych zostało na wykorzenie lub wyzbycie się narodowej ojczyzny. Nikt dotąd nie dokonał odpowiednich szacunków. W największym przybliżeniu można stwierdzić, że po II wojnie światowej swą ojczyznę – narodową (państwową) lub lokalną – utraciło ponad 20 % Niemców (jako stan wyjściowy przyjmując 1939 r.) i ponad 10 % Polaków.

Tyle historyk. Czy możemy dziś wydać jednoznaczny werdykt, potępiający masowe, zorganizowane przesiedlenia jako konsekwencję tendencji do tworzenia homogenicznych wspólnot i państw, bez względu na ich historyczne uwarunkowania? Medycyna zna pojęcie chorób jatrogennych – wywoływanych lekami. Czy podobnie przedstawia się kwestia leczenia konfliktów spowodowanych nacjonalizmami – usankcjonowanymi przez społeczność międzynarodową przesiedleniami? Nie ma chyba na te pytania odpowiedzi generalnych, niezależnych od miejsca, czasu i sytuacji.

„Tygodnik Powszechny“, 23 stycznia 1994

Wojciech Pięciak

Kolejność według Klaus

Po roku 1944 swoje domy w krajach Europy Wschodniej opuściło 7–14 milionów Niemców (liczba zależy od tego, kto i jak liczy). Z polskich ziem zachodnich i północnych w latach 1945–51 wysiedlono od 2,5 do 3 milionów (wcześniej ponad drugie tyle uciekło przed frontem). Dziś w Niemczech żyje kilka milionów ludzi, określanych tam terminem „wypędzeni“.

Zdjęcie jest czarno-białe, zamazane. Młody człowiek w mundurze i hełmie bojowym wychodzi z kościoła, trzymając pod rękę zaślubioną właśnie żonę. Czuje się może trochę nieswojo, ale regulamin wojskowy nakazuje oficerowi brać ślub w hełmie. Zdjęcie zrobiono w latach 30. we wsi pod Kolberg (dziś Kołobrzegiem), rodowej posiadłości rodziny młodego porucznika Klaus von Bismarcka ze znanej rodziny pruskiej. Kilka lat potem porucznik von Bismarck wyruszy ze swoim Batalionem Strzelców Kołobrzeskich na wojnę przeciw Polsce, potem – przeciw ZSRR.

Mniej więcej w tym czasie ranny na froncie wschodnim poborowy Rimman przeczyta w liście z domu, że żona Frieda szczęśliwie urodziła ich dziecko w wiosce w Ostpreußen (wtedy Prusach Wschodnich). Rimman nie wie jeszcze, że lekarze zdecydowali już amputować mu rękę.

W listopadzie 1944 regiment von Bismarcka (już pułkownika, na Ostfront awansuje się szybko) odbije z rąk Rosjan wieś Nemmersdorf w Prusach Wschodnich. Za późno, by zapobiec wymordowaniu mieszkańców. Tragedię Nemmersdorf propaganda Goebbelsa rozgłosi w Rzeszy jako przykład „bolszewickiego barbarzyństwa“. Jednak gauleiter Prus, Koch, zwlekać będzie z rozkazem ewakuacji ludności cywilnej do zimy.

Mały Manfred z wioski pod Allenstein (dziś: Olsztyn) będzie już wtedy dostatecznie duży by rozumieć, co znaczy ucieczka w środku zimy pod bombami.

Wkrótce z okrażanego Königsbergu (dziś: Kaliningrad) wyjadą w ostatniej chwili rodzice z ośmioletnim Ottfriedem.

Po maju 1945 roku ranny von Bismarck szukać będzie ukochanej żony wśród tysięcy uchodźców. Znajdzie ją, po czym zaczną nowe życie.

W tym samym roku z Danzig i Langfuhr wyruszą transporty z niemieckimi wysiedleńcami. Znajdzie się w nich mały Helmut.

Rok później na zachód wyruszy z rodziną dziewięcioletni Georg spod Heilsbergu (obecnie Lidzbark).

Pół wieku później

Nie spotkali się nigdy: Klaus von Bismarck, urodzony pod Kołobrzegiem, dziś 84-letni emeryt mieszkający w Monachium¹⁰; Frieda Rimman z wioski w dawnych Prusach Wschodnich, dzisiaj w Lubece¹¹; Manfred Erdmann spod Olsztyna, dziś kapelan obozu dla przesiedleńców w Unna-Massen pod Dortmundem; Helmut Warmbier urodzony w Gdańsku, kiedyś NRD-owski marksista, potem opozycjonista, dzisiaj radny miasta Lipska; Ottfried Hennig z Królewca, polityk CDU, do niedawna wiceminister obrony RFN; kardynał Georg Sterzinsky, dziś biskup diecezji berlińskiej, urodzony pod Lidzbarkiem.

¹⁰ Klaus von Bismarck zmarł w maju 1997 r.

¹¹ Frieda Rimann zmarła w 1996 r.

W czasie II wojny światowej i w efekcie powojennej zmiany granic kilkadziesiąt milionów ludzi musiało opuścić rodzinną ziemię. Byli wśród nich Polacy, Rosjanie, Ukraińcy, o Żydach nie wspominając; była ludność niemieckich *Ostgebiete* – wschodnich kresów Niemiec, włączonych do Polski po konferencji w Poczdamie.

Frieda

Frieda Rimman wygląda na 80 lat. Energiczna starsza pani, mieszka na piętrze schludnego domku na przedmieściu Lubeki. Parter zajmują dawno dorosłe dzieci i wnuki. Codziennie rano wychodzą na spacer – ona i mąż, inwalida bez ręki.

Kiedy zimą 1945 Armia Czerwona wdarła się do Prus Wschodnich, mąż był na wojnie. Frieda, kobieta młoda i przystojna, uciekła przed frontem z falą uchodźców przez zamrożone jeziora mazurskie. Bała się zabierać w drogę małe dzieci – zostały więc u sąsiadów, którzy złamali rozkaz hitlerowców nakazujący totalną ewakuację na potwornym mrozie.

Po wojnie Frieda pojechała z powrotem na ziemie zajęte już przez Rosjan i Polaków. Odnalazła dzieci, przewiozła do zachodniej strefy okupacyjnej. Ale wróciła odmieniona. O tym, co stało się podczas tej podróży, nie powiedziała nigdy nikomu z rodziny (może poza mężem) ani słowa.

Nikt też za bardzo się nie dopytywał.

Nigdy więcej nie pojechała w ojczyste strony. – I nigdy nie pojedę – mówi.

Czas kobiet

Hrabia Christian von Krockow, profesor politologii i pisarz, urodził się koło Stolp (dzisiaj: Słupsk) w roku 1927. Jednostce kawalerii Wehrmachtu, do której zmobilizowano pod koniec wojny 17-letniego Krockowa, udało się uciec przed frontem rosyjskim w niewolę u zachodnich aliantów. W posiadłości na Pomorzu została siostra Libussa.

Wiele lat później Christian napisał książkę „Czas kobiet“. Kobiet, które nie uciekły przed Rosjanami, a gdy mężczyźni siedzieli w obozach jenieckich, samotnie przeżywały przejście frontu i tragedię wysiedleń.

Strzelanina z pistoletów maszynowych, dzikie wrzaski, potem tupot żołnierskich butów na schodach, trzask wyłamywanych drzwi, żołnierze wpadają do pokoju. Pocisk oświetla nasze głowy. Ze ścian odpada tynk.

Osobliwe, niesamowite to postacie: dosyć małe, w dodatku pochylone, nogi koślawe, oczy skośne – chyba Tatarzy. Niechlujni, obdarci, nie każdy ma buty do pary. (...) Mężczyźni, którzy wtargnęli do pokoju, rozglądają się dookoła przez chwilę. Potem jeden z nich kiwa na Marię – kobieto, chodź. Ta krzyczy, zasłania twarz. Na próżno. Nie tylko Marię to spotkało. Krzyk kobiet roznosi się po całym domu.

A potem przyszło wysiedlenie:

Lokomotywa daje sygnał i pociąg zatrzymuje się. Pada strzał, bardzo głośny i bardzo bliski. Wrzask, wyłamane drzwi, okrzyki strachu, światło latarek; szturmują horda obrzydliwych postaci, o ile mogę dostrzec w nikłym świetle i w ogólnym zamieszaniu – nie tylko mężczyźni, ale kobiety, rozszałate baby, może najgorsze ze wszystkich, z wrzaskiem, pianą na ustach, biją kogo popadnie. Znow strzały, pistolety przystawiane do głów. (...) Znikają nasze kufry, skrzynie, kartony. (...) Potem wchodzą mężczyźni z milicji. Pytają, choć z całą pewnością znają odpowiedź, czy nie było napadu? – Tak, tak, padają odpowiedzi pełne trwożliwych próśb i nadziei, że może obronią. W odpowiedzi tylko szyderczy śmiech. (...)

Podczas drugiego napadu nie chodzi już o bagaże, ponieważ ich nie ma, tylko o to, co ludzie mają przy sobie. Padają zrywane z ludzi kurtki, płaszcze, ubrania w poszukiwaniu biżuterii albo pieniędzy.

dzy. (...) Podczas drugiego napadu straciłam plecak z prowiantem, podczas trzeciego resztę złotych, za czwartym buty. (...) W przedziale głuche myśli i nieme pytania: jak reagują na to wszystko Polacy, na te przerażające sceny i wyrządzane nam zło? Czy mówią: w końcu to tylko Niemcy, dobrze im tak? Czy też przynajmniej niektórzy z nich odczuwają współczucie albo wstyd i grozę?.

Kto mieczem wojuje

Poglądy rządzących PRL komunistów na wysiedlenie Niemców pokrywały się – jak w żadnej innej kwestii – z poglądami całego niemal polskiego społeczeństwa. Odebranie Niemcom kresów Polacy traktowali (i wydaje się, że w większości traktują nadal) jako zasłużoną karę za rozpętanie wojny i wszystkie zbrodnie.

– W zestawieniu ze zbrodniami hitlerowskimi, obozami koncentracyjnymi, komorami gazowymi i egzekucjami, wysiedlanie Niemców wydawało się rzeczą wręcz humanitarną – mówiła profesor Krystyna Kersten, historyk, podczas konferencji naukowej „Przymusowe wysiedlenia, deportacje i przesiedlenia jako wspólne doświadczenie“. Konferencję zorganizował w grudniu 1993 Instytut Zachodni w Poznaniu. Było to – możliwe dopiero po 50 latach – pierwsze spotkanie historyków polskich i niemieckich poświęcone temu tematowi. Okazało się, że trudno spokojnie rozmawiać o tym zarówno Niemcom, jak i Polakom.

Powrót do macierzy

Natychmiast po wojnie propaganda polska stworzyła tezę, że oparcie granicy na Odrze i Nysie to powrót do Macierzy ziem odwiecznie piastowskich. Szukano legitymizacji zmian terytorialnych, by nie powoływać się jedynie na dyktat zwycięzców. Argumentacja ta stała się szybko częścią świadomości zbiorowej. O tym, że „kamienie we Wrocławiu mówią po polsku“ mówił także prymas Wyszyński.

W latach 70. Jan Józef Lipski oraz Władysław Bartoszewski zaczęli – jako chyba pierwsi w Polsce – mówić publicznie, że oparcie granicy na Odrze było konieczne z punktu widzenia strategicznych interesów państwa, pozbawionego kresów wschodnich. Ale że nie można dorabiać do tego ideologii, mówiąc o „powrocie“ na ziemię, na których w większości mieszkał ktoś inny, czasem od kilkuset lat.

Manfred

Unna-Massen. Niewielka miejscowość na obrzeżach Zagłębia Ruhry. O miasteczku słyszy się najczęściej w związku dużymi koszarami wojsk pancernych Bundeswehry oraz największym w północnych Niemczech obozem dla Niemców – przesiedleńców z Europy wschodniej.

Ksiądz Manfred Erdmann pracuje tu od 1968 r. Jako obozowy kapelan jest nie tylko duszpasterzem – ludzie, z którymi czasem nie sposób się porozumieć, przychodzą ze wszystkimi możliwymi problemami. Szpakowaty brunet, szybki, trochę nerwowy. Księdzem został niedługo po studiach. Były rolnik, były górnik. Miał być kapelanem trzy lata, został do dziś. Za tę pracę Stołica Apostolska uhonorowała Erdmanna tytułem monsignore – honorowego kapłana papieskiego.

Urodził się pod Allenstein (dziś: Olsztyn), dwa lata po dojściu Hitlera do władzy. Kiedy Rosjanie uderzyli na Prusy, rodzina Manfreda ruszyła na zachód.

Erdmann zaciąga się papierosem.

Wspomina: – W kolumnie uciekinierów, ostrzeliwanej przez samoloty radzieckie, dotarliśmy na dworzec. To był ostatni pociąg, Rosjanie zaczęli atak na miasto. Ostrzelali nas i ludzie, którzy wisieli na stopniach zginęli. Dotarliśmy nad Bałtyk, ale nie udało się nam wsiąść na okręt

ewakuacyjny. Myśleliśmy, że to już koniec, gdy przyszła wiadomość, że radziecka łódź podwodna zatopiła go z pięcioma tysiącami ludzi na pokładzie. Do Gdańska dopłynęliśmy na niszczycielu, stamtąd do centralnych Niemiec.

Obozu w Unna nie otacza płot. Można przejechać obok nie zwracając uwagi na szeregi szarych, kilkupiętrowych budynków, przypominających budownictwo socjalne. Jest ciepły, sierpniowy wieczór. Między domami kręcą się dzieci, kobiety rozwieszają pranie. Podczas wieczornego nabożeństwa w obozowym kościele mam wrażenie, że większość modlących się nie zna niemieckiego.

Erdmann zaciąga się kolejnym już papierosem.

– Trochę nauczyłem się po polsku – mówi. – Wielu z przesiedleńców ma problemy z określeniem swej tożsamości. Byli silnie polonizowani, niemiecki był zakazany.

Rozmawialiśmy jeszcze latem 1990 r., przed zjednoczeniem Niemiec i podpisaniem traktatu o potwierdzeniu granicy na Odrze. Erdmann używał twardego języka. Mówił o „terenach pod polską władzą”; przypominał, że nie zawarto traktatu pokojowego i „z prawnego punktu widzenia” obowiązuje „stan z 31 grudnia 1937”, a za Odrą to formalnie „*Pommern, Ostpreußen, Schlesien*”.

– Czyli Polacy powinni oddać je Niemcom? – pytam.

– To są sprawy, o których rozstrzygają politycy.

Nigdy nie odwiedził swoich stron rodzinnych Pracuje tu, wśród ludzi niepewnych w nowym otoczeniu, szukających nowego życia, pracy, akceptacji otoczenia – często niechętnego. Ludzi, którzy chcieliby obóz szybko opuścić, wtopić się w nowy kraj.

Jak kiedyś, dawno temu, mały Manfred z rodzicami.

Zainteresowani Polską

Wysiedleni Niemcy zaczęli zakładać swoje organizacje w zachodnich strefach okupacyjnych jeszcze przed powstaniem NRD i RFN. Powstał Związek Wypędzonych (Bund der Vertriebenen, BdV), zrzeszający organizacje regionalne (Landsmannschaften, co na język polski przełożono jako groźnie brzmiące „ziomkostwa”). BdV był w Bonn politycznym lobby wysiedlonych. Z biegiem lat jego wpływy malały, a postrzegane w PRL jako monolit środowiska wypędzonych różnicowały się.

– Wielu ludzi z tych środowisk było siłą, która napędzała współpracę polsko-niemiecką – wspominał Mieczysław Pszon. Zmarły w 1995 r. w wieku 79 lat zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego” od lat 60. nawiązywał, wspólnie z kolegami ze „Znaku”, „Więzi” i Klubów Inteligencji Katolickiej, niezależne od oficjalnych kontakty z Niemcami z Zachodu i Wschodu.

– Wypędzeni stanowili w społeczeństwie Niemiec zachodnich (NRD to osobna historia) dużą grupę społeczną – opowiadał Pszon. Silne były w niej antypatie do Polski, ale było to najliczniejsze środowisko, zainteresowanym tym, co się u nas dzieje, nawet jeżeli miała przy tym negatywne z naszego punktu widzenia nastawienie do różnych spraw. Działo się to w czasach, kiedy Polska nie interesowała w RFN prawie nikogo.

Przyjaciół Pszona, Wojciech Wieczorek – redaktor miesięcznika „Więź” z Warszawy – dziś jest emerytem. Po przełomie w NRD został ambasadorem RP w Berlinie wschodnim. Wojciech Wieczorek wspomina dziś: – Z wysiedlonymi spotykaliśmy się w RFN od lat 60, przy okazji wizyt w innych instytucjach, np. w Centralnym Komitecie Katolików Niemieckich, gdzie oni też działali. Nie mogliśmy rozmawiać oficjalnie. I tak cedziliśmy słowa. Gdyby któryś z nas powiedział coś więcej, prasa by to podchwyciła i paszportu człowiek by już nie dostał. Spotykaliśmy

wśród nich ludzi, z którymi nie mogło być żadnej dyskusji, ale i takich, którzy byli wspaniali: otwarci, życzliwi Polsce.

Warmiacy

„Niemiecki Wschód nie jest już Niemcami! Tak postanowiły rządy Niemiec i Polski”.

Biskup, który wypowiada te słowa jest człowiekiem starszym i mówi do ludzi starszych – bo ze starszych kobiet głównie składa się tłum, który zappełnił katolicki kościół we Flensburgu w deszczową listopadową niedzielę 1990 roku, tydzień po podpisaniu traktatu o potwierdzeniu granicy na Odrze. Biskup jest duszpasterzem środowisk Warmiaków, a wierni, przed laty wysiedleni z Warmii, na tę Mszę przyjechali z całego północnego Szlezewiku. Pustawy zwykle kościół pęka w szwach.

60-tysięczny Flensburg, przy granicy RFN z Danią, ziemia płaska, monotonna, pokryta jeziorami i lasami. Podobieństwo krajobrazu i klimatu sprawiło, że tu właśnie, w landzie Schlezewik–Holsztyn, osiedlali się po 1945 roku uciekinierzy i wysiedleńcy z Prus Wschodnich i Pomorza. Było ich tak wielu, że na początku lat 50. stanowili jedną trzecią mieszkańców landu. Zakładali zrzeszenia, wrastając w nowy kraj. Zrzeszenie przy parafii katolickiej we Flensburgu nazwano Ermlaenderfamilie – Rodziną Warmiaków.

– Czasy się zmieniły, zmienili się ludzie – mówi dalej biskup. – Pamiętam, w roku 1945 polski ksiądz chodził od ławki do ławki i zabierał niemieckie książeczki do nabożeństwa. Chciał ludzi zmusić, żeby się modlili po polsku. Pamiętam, jak naszego organistę aresztowano, bo grał melodię do niemieckiej pieśni kościelnej. A dziś – biskup podnosi głos – w tym samym kościele polski biskup odprawił Mszę po niemiecku dla nas, pielgrzymów z Niemiec.

To już nie *Heimat*

Parafia ewangelicka we Fruelrundhof na przedmieściach Flensburga zorganizowała spotkanie dla seniorów. Temat: „Podróż do kraju lat dziecińczych“. Atmosfera familiarna: kilkadziesiąt osób po siedemdziesiątce, niemal wyłącznie kobiety. Większość pochodzi z dawnych *Ostgebiete*. Na stołach talerzyki i filiżanki.

Pastor intonuje pieśń; czyta Ewangelię Mateusza: Lisy mają nory, a ptaki powietrzne gniazda. Lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie mógłby głowę oprzeć.

Potem kazanie o Anteuszu, mitycznym olbrzymie. – Czerpał siłę z tego, że stał obu nogami na ziemi. Gdy tracił kontakt z ziemią, stawał się słaby jak dziecko. A ludzie żyją tam, gdzie ich los rzucił – kończy pastor.

Panie wyciągają przyniesione z domu ciasto. Pani Klaus, jedna z młodszych na sali, opuściła rodzinny Danzig–Langfuhr (Gdańsk–Wrzeszcz) jako 4-letnie dziecko. Wyświetla przeźrocza z niedawnej podróży do Gdańska.

Okrzyki zachwytu na widok kamieniczek, wspomnienia, pytania: jak tam teraz jest?

Do diaskopu dosiadł się żwawy 70-latek. Wyświetla slajdy z rodzinnego Stolp (Słupska). Fascynat – przez lata gromadził stare pamiątki, fotografie. Puszczą na zmianę, slajd z obecnego Słupska, slajd ze starego Stolp.

– Tak to wyglądało – mówi – a potem zniszczyli, wybudowali taki straszny blok.

Opowiada, że walczył w Wehrmachcie: – „Zwiedziłem“ Paryż, Leningrad prawie... Na wojnie straciłem trzech braci. Dwóch zginęło, trzeci umarł w sowieckiej niewoli. Mnie wzięli do niewoli pod Kolbergiem (Kołobrzeg), ale wypuścili następnego dnia. Dotarłem do Stolp (Słupska), ukrywałem się przez trzy miesiące przed polskimi władzami.

W czerwcu 1945, o pół do dziesiątej wieczór, wszedł do domu polski żołnierz z rozkazem: jutro o szóstej rano na dworcu, z podręcznym bagażem. Transport półtora tysiąca Słupszczyzan wyjechał do Flensburga.

Pierwszy raz odwiedził Słupsk w roku 1986, po śmierci żony, która zapowiedziała, że nigdy nie pojedzie do Polski.

– Bo ona to wszystko przeżyła jako kobieta – ostatnie słowa mężczyzna wypowiada z naciskiem.

Potem był raz drugi, trzeci, czwarty.

– I tak będę jeździć, co roku, do śmierci, dopóki się czołgać zdołam.

Co czują kiedy jeżdżą do dawnej *Heimat*?

Kręcą głowami: – To już nie jest nasza *Heimat* [*Heimat* to po niemiecku „mała“ ojczyzna, w odróżnieniu od *Vaterlandu*, „dużej“ ojczyzny]. Wszystko jest tam inne, obce. Owszem, było miło, Polacy mili, gościnni, ale to już inny kraj.

Emocje opadają. Któraś z pań chwali „tych polskich, szarmanckich mężczyzn“. Niemieccy mężczyźni przy Polakach – szkoda mówić. Polacy kwiaty przyniosą, w rękę całują, w ogóle tacy elegancyści wobec kobiet.

Dziś Słupsk i Flensburg są miastami partnerskimi.

Po 47 latach

Królewiec Ottfrieda Henniga odnaleźć dziś można tylko na starych fotografiach. Po wąskich gotyckich uliczkach, kościołach z czerwonej cegły i katedrze z XIII wieku nie zostało nic – poza ruinami tej ostatniej. Hennig urodził się dwa lata przed wybuchem wojny. Opuścił miasto w roku 1945. Wrócił po 47 latach, na kilka dni, jako urzędnik Ministerstwa Obrony RFN i szef misji, w ramach której samoloty Bundeswehry dostarczyły pomoc humanitarną dla Kaliningradu. Znany dziennikarz niemiecki powiedział, że jeżeli szukam kogoś, kto może kompetentnie opowiedzieć o Królewcu, to jest nim Hennig.

Spytałem najpierw o przeszłość.

Usłyszałem: – 23 stycznia 1945 r. rodzicom udało się uciec z miasta otaczanego przez wojska sowieckie. Rosjanie przez cały czas siedzieli nam na karku. Była to przerażająca droga, w środku ostrej zimy. Szacuje się, że w ucieczce z Prus zginęły dwa miliony ludzi [niedawno naukowcy z Instytutu Historycznego Bundeswehry stwierdzili, że ofiar mogło być ok. 600 tysięcy]. Te przeżycia odcisnęły się w pewnym sensie na moim przyszłym życiu. Gdy zostałem politykiem, zajmowałem się sprawami wszystkich Niemców. Byłem sekretarzem stanu w Ministerstwie ds. Wewnętrzniemieckich, a od roku 1979 do 1990 rzecznikiem Ziomkostwa Prus Wschodnich w Związku Wypędzonych. Wybierano mnie prawie zawsze jednomyślnie. Przez cały czas działałem w duchu „Karty Wypędzonych“ właśnie po to, aby nie miało miejsca coś takiego jak polityka rewanżystowska.

– Czy Królewiec jest problemem politycznym? – spytałem Henniga.

– Nie ma problemu terytorialnego, bo parlament RFN ratyfikował traktaty, które ostatecznie zakończyły wszelkie spory terytorialne. Istnieje natomiast pytanie, jak można pomóc sobie nawzajem w basenie Morza Bałtyckiego i w jaki sposób teren ten może mieć europejską przyszłość. Wszyscy powinni się do tego przyczynić, w tym także, nie na końcu i Niemcy, ponieważ historia Koenigsbergu jest czysto niemiecka. Mówię Koenigsberg, bo ludzie, którzy tam dziś mieszkają też mówią Koenigsberg. Nawet młodzież rosyjska nazywa miasto „Kjenig“, a nie Kaliningrad i sądzę, że rada Miejska wkrótce przywróci miastu dawną nazwę. Z historycznego punktu widzenia nikt nie kwestionuje, że Rosjanie nigdy tam nie mieszkali.

Czy Niemcy mają dziś interesy w regionie Królewca?

– Zacznę od siebie: tak, jestem zainteresowany Koenigsbergiem, to jest miasto moich ojców, tam się urodziłem. To moja ziemia ojczysta, Heimat, a pojęcie Heimat nie ma nic wspólnego z granicami. Chciałbym mieć możliwość odwiedzania tej ziemi. Być może kiedyś dojdziemy w Europie tak daleko, że każdy będzie mógł mieszkać tam, gdzie zapragnie. Dziś jest to oczywiście jeszcze zbyt skomplikowane. Ale to znowu nie ma nic wspólnego z granicami.

– Czy chciałby pan z powrotem zamieszkać w Królewcu?

– Nie. Ale jest prawem człowieka, by każdy mógł odwiedzać ziemię, z której się wywodzi i jeżeli tego zapragnie, by miał możliwość tam zamieszkać. Moje miasto rodzinne zobaczyłem po raz pierwszy od wojny dopiero po 47 latach. To było wzruszające; choć spędziłem tam tylko dwa dni. Toropow, zastępca gubernatora regionu, powitał mnie na lotnisku słowami: „Willkommen in der Heimat“ – Witamy w ojczyźnie. Rada miasta specjalnie dla mnie, chociaż byłem przez jedenaście lat rzecznikiem Ziomkostwa Prus Wschodnich, zebrała się na specjalnym posiedzeniu, na którym podjęła decyzję o odbudowie katedry. Jest to projekt symboliczny i decyzja rady bardzo mną poruszyła. Taki był początek współpracy, ale podkreślam, bez jakichkolwiek podtekstów rewanżystowskich.

– Gdyby możliwy był powrót Niemców do Królewca, czy wielu zdecydowałoby się na to?

– Nie sądzę. Wrośli w nową ojczyznę. Ja żyłem w Königsbergu niecałe osiem lat, a w Niemczech zachodnich pięć razy dłużej.

Georg

W okręgu Heilsberg (dziś: Lidzbark) w Prusach Wschodnich przyszedł na świat w roku 1936 Georg Sterzinsky. Kiedy rozmawialiśmy, Sterzinsky był świeżo mianowanym katolickim biskupem Berlina. Spytałem, czy wraca pamięcią do wysiedlenia? Miał wtedy dziewięć lat.

– Nie są to dobre wspomnienia – mówi biskup. – W 1945 roku przeżyłem wejście Armii Czerwonej. Bardzo żywo pamiętam ten rok. Także to, jak przyszli Polacy, i zostaliśmy przemocą wypędzeni, właściwie przegnani pałkami. Przez prawie 20 lat odczuwałem pewien lęk przed Polakami. Gdy w połowie lat 60. miałem możliwość pojechać do Polski, nie odważyłem się... Przyjechałem w roku 1968 i byłem bardzo mile zaskoczony, z jaką uprzejmością i przyjaźnią mnie przyjęto. Ze zgrozą patrzyłem na pomniki przypominające hitleryzm. Wstydzilem się, że coś takiego było możliwe.

– Czy Polacy powinni bać się powrotu Niemców?

– Nie. Nawet ci Niemcy, którzy nie chcieli uznać granicy na Odrze za ostateczną, nie myśleli, by domagać się zwrotu Śląska, Prus czy Pomorza. Twierdzenie, że „nie możemy uznać granicy, bo ta sprawa może być przedmiotem negocjacji prowadzonych dopiero przez rząd reprezentujący cały naród niemiecki“ było myśleniem formalnym, za którym kryła się kalkulacja polityczna – chęć posiadania jakiejś karty w grze o zjednoczenie. Myślę, że kręgi CDU w Niemczech zachodnich tak właśnie rozumowały: „uznamy granicę wtedy, jeżeli dana nam będzie możliwość utworzenia jednego państwa niemieckiego“.

Georg Sterzinsky jest dziś kardynałem.

– Dla kwestii, kto ma prawo do Śląska, nie może być miarą historia, bo długo można się spierać, który okres historyczny powinien być tu rozstrzygający – mówi. – Decydujące jest, kto może powiedzieć „tam się urodziłem, to jest moja ziemia ojczysta, mam do niej prawo“. Niemców, którzy stamtąd pochodzą, jest już coraz mniej, żyją w nowych warunkach i nie mają ochoty wracać. Ich dzieci urodzone w Niemczech nie mają prawa mówić: Śląsk to moja Heimat. Ale mogą to uczynić Polacy, którzy tam żyją, i z których większość tam się urodziła.

Kościelne spory

W listopadzie 1965 biskupi polscy skierowali list do Episkopatu Niemiec ze słynnym „przebaczymy i prosimy o przebaczenie“. Nie przeszkodził im fakt, że ocena powojennych zmian wypadła zdecydowanie inaczej w oczach Episkopatów Polski i Niemiec. Dla biskupów niemieckich przesunięcie granicy znaczyło utratę ziemi, którą od kilkuset lat zamieszkiwali Niemcy. Zdaniem hierarchii Kościoła w Polsce miał miejsce powrót Polski na ziemię piastowskie. Niezręczność popełnił wiekowy biskup jednej z diecezji zachodnich, który w połowie lat 80., podczas obchodów 40-lecia Ziem Zachodnich, powiedział w homilii – wprawiając katolickich gości z Niemiec w osłupienie – że Kościół na Ziemię Zachodnie „powrócił po kilkuset latach nieobecności“.

Jak się zdaje, do dziś oba Episkopaty nie są zgodne w ocenie historii.

W czerwcu 1991 r. Jan Paweł II podczas Mszy św. w Koszalinie użył słów o powrocie Polski na ziemię piastowskie. Fakt ten, w Polsce niezauważony, Niemcy wychwycili natychmiast i skomentowali.

We wrześniu 1993 ks. Wilhelm Schaetzler, sekretarz Episkopatu Niemiec, powiedział niemieckiej Katolickiej Agencji Prasowej (KNA), że stosunki między Kościołem w Polsce i w RFN są nadal jeszcze historycznie obciążone, choć w zasadzie „znormalizowane“. Wywiad Schaetzlera był reakcją na – niezauważoną w Polsce – wypowiedź kard. Henryka Gulbinowicza, że archidiecezja wrocławska leży na „odwiecznie polskich ziemiach“. Schaetzler powiedział, że wypowiedzi kard. Gulbinowicza wskazują „najwyraźniej na niedostateczną znajomość problemów historycznych, ale być może chodzi tu tylko o utrzymujące się jeszcze obiegowe klisze, które także i dzisiaj, zwłaszcza podczas oficjalnych przemówień, nasuwają się prawie automatycznie“.

Piętnasta podróz

Kiedy w Niemczech organizowane jest spotkanie o Polsce, można założyć, że prawie zawsze pojawi się ktoś związany z dawnymi *Ostgebiete*. Tak było i podczas spotkania we Frankfurcie nad Menem, w dawnym klasztorze dominikanów, służącym dziś ewangelikom.

Starszy, wysoki mężczyzna, w miarę dyskusji coraz bardziej się zapalał. W końcu wstał i wygłosił małe przemówienie: „Śląsk to ziemia niemiecka, powinno odbyć się referendum, do kogo ma należeć“. Sala próbowała wyklaskać mówcę, ktoś krzyknął: „rewanżysta!“.

Elegancko ubrana pani, lat może 80, od razu zaznaczyła, że pochodzi ze Śląska i niedawno wróciła z piętnastej podróży do Polski. Zadawała spokojne, starannie przygotowane pytania. Chciała wiedzieć, dlaczego nie można na Śląsku stawiać dwujęzycznych tablic i dlaczego Polacy nie chcą przyznać, że przez 600 lat mieszkali tam Niemcy.

Inna pani ożywiła się, gdy ktoś wspomniał o Szczecinie. Opowiedziała, jak po raz pierwszy pojechała do miasta urodzenia, jak polska rodzina mieszkająca w jej dawnym domu przyjęła ją gościnnie i serdecznie.

Trzecia kobieta, najmłodsza, wybuchnęła płaczem, kiedy padło słowo Lamsdorf – Łambinowice.

– Kiedy powiecie prawdę o Lamsdorf? – pytała.

Obóz

W Łambinowicach na Śląsku Opolskim (do 1945 r. Lamsdorf), Niemcy założyli w 1870 roku obóz dla jeńców francuskich. Pozostał po tym cmentarz z sześcioma tysiącami mogił zmarłych jeńców. W czasie I wojny światowej Lamsdorf był obozem jeńców rosyjskich, a miejscowy

cmentarz powiększył się o nowe mogiły (zbiorowe). Podczas drugiej wojny Lamsdorf był znów obozem – niedaleko od obozu znaleziono masowe mogiły ok. 200 tysięcy wymordowanych jeńców sowieckich. W lipcu 1945 w Łambinowicach w pobliżu kompleksu obozowego utworzono obóz, w którym trzymano ludność cywilną z okolic obozu, przeznaczoną do wywiezienia do Niemiec. Do jesieni 1946 przez Łambinowice przewinęło się kilka tysięcy osób. Wiadomo na pewno, że z rąk polskich strażników obozu zginęła jakaś liczba więźniów. Historycy spierają się dziś, czy było ich kilkudziesięciu, czy, jak twierdzą Niemcy, kilkuset. W listopadzie ub. roku odnaleziono część dokumentacji obozu (dotąd sądzono, że zaginęła).

Od ponad dwóch lat Główna Komisja Badania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu prowadzi śledztwo przeciwko byłym funkcjonariuszom Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, podejrzany o zabójstwa na więźniach w łambinowickim obozie.

Wolfgang

O profesorze Wolfgangu Stribny'm mówią, że ten historyk (lat ok. 65) z uniwersyteckiego miasta w północnych Niemczech żyje przeszłością. Że jest potwornym konserwatystą. Oficjalny protest przeciwko profesorowi z żądaniem usunięcia go z uczelni wystosował samorząd studencki. Ponieważ jednak w Niemczech nauczyciel akademicki ma statut urzędnika państwowego, usunąć go nie jest łatwo.

Profesor Stribny – mężczyzna łagodny, wysoki, z resztkami siwych włosów na głowie i mocnymi okularami – często odwołuje się podczas wykładów do tak podejrzanych pojęć jak naród czy ojczyzna (*Vaterland*).

– Podobno ma powiązania z młodzieżowymi organizacjami prawicowymi – twierdzi członek samorządu studenckiego.

Profesor żywi wielki sentyment do Prus Wschodnich. Snuje projekty ich odtworzenia, jak mówi, „pod wspólną administracją niemiecką, rosyjską, polską i litewską“. Bardziej lewicowi studenci ledwie mogli usiedzieć w ławkach, gdy profesor z dziecięcą niemal radością opisywał na seminarium z historii najnowszej upadek reżymu „tzw. NRD, czyli Środkowych Niemiec“. Niemcy wschodnie to dla profesora zachodnia Polska.

O profesorze Stribnym studenci mówią, że jest okazem muzealnym. Są tacy, którzy nie usiądą z nim przy jednym stole.

Helmut

Helmut Warmbier urodził się w Danzigu. W 1945 roku jego rodzinę załadowano do wagonu i wywieziono do radzieckiej strefy okupacyjnej. Trafił do Lipska. Zaczął karierę uniwersytecką, awansując na docenta nauk marksistowskich.

Podkreśla dziś, że był zwolennikiem „demokratycznego socjalizmu“. Takich partia nie tolerowała. Aresztowano go pod koniec lat 60, a znalezione podczas rewizji zachodnie wydanie pism Kuronia i Modzelewskiego sąd uznał książkę za szczególnie niebezpieczną. Warmbier (moje nazwisko po polsku to „ciepłe piwo“) dostał dwa lata więzienia. Wyrok odsiedział do końca, odmawiając przedterminowego zwolnienia, co oznaczało emigrację do RFN. Do jesieni 1989 pracował jako ślusarz.

– Nie dałem się złamać, nie wyjechałem na Zachód. Ludzie pukali się w głowę – mówi.

W lipskim ratuszu reprezentuje „Związek 90“, grupujący dawną opozycję z NRD. Przyznaje, że demokratyczny socjalizm, za który siedział, był utopią. Gdy po upadku komunizmu w NRD zaczęły powstawać Związki Wypędzonych, Ziomkostwo Ślązaków utworzono też w Lipsku.

Zgłosiło się wielu chętnych.

– Ludzie musieli odreagować lata przemilczeń, odgórnie narzucone pogodzenie się ze stratą *Heimat* – twierdzi Warmbier.

Była także przyczyna bardziej prozaiczna: wywiezieni do stref zachodnich otrzymywali od rządu RFN odszkodowania. Ci ze strefy sowieckiej i późniejszej NRD nie dostali nic. Jednym z głównych żądań powstającego w 1990 r. w . NRD Związku Wypędzonych było „wyrównanie strat“, wypłacenie zaległych odszkodowań.

– Powiedziałem im, że są rewizjonistami – mówi Warmbier, który sam mógłby zarejestrować się jako *Vertriebener*. – Bardzo się od tego odżegnywali; twierdzili, że zajmują się tylko sprawami kultury.

Jesienią 1993 rząd Kohla skierował do Bundestagu projekt ustawy o odszkodowaniach dla obywateli z byłej NRD. Przewidywał on m.in. wypłacenie po cztery tysiące marek każdemu z żyjących jeszcze wypędzonych (ich liczbę ocenia się na 600 tys. osób).

NRD uznało granicę na Odrze w roku 1950 i jako „nowe państwo na ziemi niemieckiej“ zrzuciło winę za całe zło w historii Niemiec na RFN. Wysiedleńcy zza Odry (w NRD nie używano terminu „wypędzeni“) mogli wspominać dawną *Heimat* szeptem. Nie istniały związki wysiedleńcze, a na początku lat 50. ze statystyk zniknęła rubryka „wysiedleni“. Znaczyło to zakaz wyrażenia społecznych odczuć towarzyszących utracie *Heimat*. Zastąpiła to przymusowa przyjaźń wobec obozu socjalistycznego. To był kamyczek do góry nieporozumień, narosłych między Polakami a wschodnimi Niemcami.

Porównywalne doświadczenie

Prof. Andrzej Sakson z Instytutu Zachodniego prowadził w 1980 i 1989 r. badania we wsi na ziemi lubuskiej, której mieszkańcy to niemal wyłącznie przesiedleńcy ze wsi na Wołyniu i ich potomkowie. Badania wykazały silne przywiązanie emocjonalne do wsi rodzinnej. Najbardziej tęsknili najstarsi.

Ale średnie i młode pokolenie także interesuje się Wołyniem i przemianami na Ukrainie. Żaden z badanych nie wyraził chęci powrotu. Za wielka tam bieda, za duża różnica cywilizacyjna – mówili.

Profesor twierdzi, że te doświadczenia polskie są porównywalne z niemieckimi.

– Możemy powiedzieć, że przymusowe wysiedlanie po wojnie Niemców z Polski było złem – mówi prof. Krystyna Kersten. – Zło trzeba nazwać złem. Ale trzeba też powiedzieć, że w ówczesnej sytuacji Polski było to zło konieczne.

Niemcy odpowiadają pytaniem: – Czy Polacy uznają niemieckie dziedzictwo kulturowe dawnych *Ostgebiete*? Czy wasz kraj zrezygnuje kiedyś z wciąż powszechnego twierdzenia o tysiącletniej obecności Polski na ziemiach zachodnich? Czy żądamy za wiele? Przecież tego samego domagacie się od Litwinów: uznania, że Wilno było miastem polskim.

Klaus

Jego pradziadek był starszym bratem Otto von Bismarcka.

Klaus von Bismarck: długie białe włosy, elegancka marynarka w kolorze ciemnozielonym i poczucie humoru połączone z dystansem do faktu, że każdy widzi w nim najpierw krewnego żelaznego kanclerza.

– Musimy zachować hierarchię – śmieje się. – Ja nie czuję się równym rangą przeciwnieństwem dla wuja Ottona.

Siedzimy w restauracji we Frankfurcie nad Odrą. Kilkaset metrów od granicy, przez którą jak zwykle przewala się tłum Niemców, wracających ze Słubic z codziennych zakupów.

Klaus von Bismarck opowiada o „wuju“: – Był to niewątpliwie wielki mąż stanu, ale całkowicie ślepy na sprawy polskie. Przyczynił się do utrwalenia w pruskim myśleniu mocarstwowym tych tendencji, które kiedyś doprowadziły do rozbiorów.

Pochodzi z pruskiej rodziny o tradycjach konserwatywnych, obcych nazizmowi. Urodził się w majątku rodzinnym na Pomorzu zachodnim. Kariera oficerska była czymś oczywistym.

Von Bismarck wspomina: – Ważnym doświadczeniem historycznym był dla mnie udział w wojnie z Polską w 1939 roku. Zostałem zmobilizowany jako oficer rezerwy i przeżyłem głęboki szok, gdy stwierdziłem, że nic nie wiem o tym kraju, a ludność bierze mnie za nazistę, czego nie mogłem ścierpieć. Nasza rodzina, głęboko chrześcijańska, była przeciwna nazizmowi. To doświadczenie było dla mnie szokiem.

Gdy jesienią 1944 Armia Czerwona uderzyła na Prusy Wschodnie, von Bismarck dowodził pułkiem Wehrmachtu, który odbił z rąk Rosjan wieś Nemmersdorf, pierwszą miejscowość niemiecką, zajęta przez Rosjan. Ci zdążyli zmasakrować ludność Nemmersdorf tak okrutnie, że po rozgłoszeniu tej tragedii przez niemiecką propagandę tysiące cywilów ruszyło na zachód, w panicznej ucieczce przed frontem. W swoich wspomnieniach von Bismarck opisuje, jak jego żołnierze zbierali pomordowanych starców i dzieci, zgwałcone kobiety, jak powstrzymał żołnierzy przed wymordowaniem w odwecie wziętych do niewoli Rosjan.

Po wojnie rodzinny majątek Bismarcków został w Polsce.

Wiele lat później Philippa, brata Klause (posła CDU w Bundestagu) wybrano przewodniczącym Ziomkostwa Pomorzan.

Klaus uśmiecha się: – Kochamy się bardzo, ale też bardzo różnymi w poglądach politycznych.

Trzeci i najmłodszy z braci, Gottfried, spędził kilka lat w sowieckiej niewoli. Z tamtych lat wyniósł – obok (tak twierdzą Klaus i Philipp) bałaganiarstwa i jakby nieprzywiązywania wagi do rzeczy – dobrą znajomość rosyjskiego. Potem douczył się polskiego. Od prawie 30 lat jest doradcą firm niemieckich działających w Polsce, a od niedawna także na rynkach b. ZSRR.

Klaus był dyrektorem największej publicznej stacji radiowo-telewizyjnej w RFN, Westdeutscher Rundfunk w Kolonii; potem dyrektorem Instytutu Goethego, prestiżowej instytucji finansowanej z budżetu RFN, prowadzącej na całym świecie placówki kultury i języka niemieckiego. Działając w różnych gremiach (m.in. w kierownictwie Kościołów Ewangelickich Niemiec) stał się autorytetem dla środowisk politycznych i intelektualnych. Miał udział w powstaniu memorandum Kościołów Ewangelickich RFN w 1965 roku – którego sygnatariusze uznali granicę na Odrze. Wywołało to wówczas w Niemczech prawdziwą burzę.

– Podjąłem wyzwanie. Uczyłem się o Polsce, uczyłem się podczas podróży do Polski. Przyjaciele Polacy nauczyli mnie patrzeć na historię i współczesność waszymi oczami.

W marcu 1994 Klaus von Bismarck ukończył 82 rok życia.

– Za 30 lat ludzi, którzy wywodziliby się ze Śląska, już nie będzie – mówi – Ostatni prawie już wymarli... Gdy pierwszy raz po wojnie odwiedziłem Polskę, nie kierowałem się nostalgią. Nie pojechałem do dawnej Heimat, do byłej posiadłości Bismarcków gdzie się urodziłem i żyłem przez 25 lat. Najpierw pojechałem do Oświęcimia. Ta kolejność jest ważna.

Sklejanie historii

Z Arturem Hajniczem rozmawia Edward Krzemień

– *Prowadzi Pan – po przejściu Ośrodka Studiów Międzynarodowych z Senatu do Polskiej Fundacji Roberta Schumana – projekt badawczy dotyczący przymusowego wysiedlenia tuż po wojnie ludności niemieckiej z zachodnich i północnych ziem Polski. Skąd zainteresowanie tym tematem?*

– Po przełomie lat 1989–90 po raz pierwszy od stuleci mamy bardziej niż poprawne stosunki polityczne z Niemcami. Jednak stan świadomości społecznej pozostaje w tyle za polityką. Przez dziesiątki lat żyliśmy w jednoznacznie antyniemieckiej atmosferze.

Zmiana lat 90. Zastała społeczeństwo polskie nie przygotowane do postrzegania Niemców jako partnerów i przyjaciół.

Z drugiej strony stosunek Niemców do Polski i Polaków jest wciąż obciążony sprawą wypędzenia czy przymusowego wysiedlenia Niemców – nawet nazwa nie jest obojętna dla obu stron. Powtarzają się dramatyczne wspomnienia w publikacjach dotyczących wydarzeń sprzed 50 lat o tym, jak Polacy zabierali z domów, rabowali, mordowali. To niezmiernie jednostronny obraz krzywdy uczynionej Niemcom, wypędzenia, pozbawienia domu, ojczyzny.

– *A polska wizja? Większość z nas niewiele wie – jeśli w ogóle – o tym, co tu się działo z Niemcami. O tym się nie mówi.*

– Wprawdzie teraz tabu już nie ma, ale istotnie społeczeństwo mało o tym wie i... nie chce wiedzieć.

– *Jak Niemcy traktują dziś ziemie zachodnie, Pomorze? Czy to można porównać z nostalgią w Polsce za kresami?*

– Można. Ale tu chodzi też o bardziej zawile sprawy, o stosunek do samego faktu wypędzenia. Dla Niemców dotkniętych wysiedleniem utrata ziem wschodnich i wypędzenie jest nadal ogromnym przeżyciem, częścią świadomości społecznej.

Jednak nie tylko to skłania do podjęcia dialogu z Niemcami o tych bolesnych sprawach. Ważniejsze od zbliżającej się 50. Rocznicy zakończenia wojny jest to, że teraz w Niemczech zaczyna się kształtować nowa świadomość narodowa. Dawna Republika Federalna budując swoją tożsamość odwołała się nie do tradycji historycznej, ale do konstytucji. To było państwo bez przeszłości, bez tradycji narodowej. Powstało wówczas zastępcze przywiązanie do demokratycznej konstytucji. Nazwano to patriotyzmem konstytucyjnym.

Teraz trwa w Niemczech niezwykle interesująca dyskusja, do jakiej tradycji, jakich wartości mają się odwołać zjednoczone Niemcy. Czym ma być patriotyzm niemiecki?

W tej dyskusji nie może zabraknąć naszego udziału. Byłoby niedobrze, gdyby w wielowątkowej sprawie wypędzenia Niemców utrwaliła się teraz uproszczona formuła krzywdy dziejowej uczynionej Niemcom przez Polaków. Dlatego dialog między Polakami a Niemcami o tym wszystkim jest bardzo na czasie. Niemcy mają kompleks wypędzenia, Polacy mają także swoje kompleksy – kompleks Rapallo, kompleks Jałty, kompleks wciąż zdradzanej ofiary.

– *W Polsce dyskusja nie będzie łatwa. Nie docenia się wagi tych problemów. Ze świadomości kilku powojennych pokoleń Polaków mieszkających na ziemiach zachodnich i na Pomorzu w jakimś stopniu celowo wymazano fakt, że istniała tam przed nimi wielka kultura niemiecka. I dochodzi jeszcze jeden element – kto ma być naszym partnerem po tamtej stronie. Wypędzeni? Przez dziesięciolecia Związki Wypędzonych były symbolem rewanżyzmu niemieckiego, zagrożenia dla naszych granic. Nazwiska Czaji i Hupki są wciąż dla Polaków symbolami niemieckiego odwetu.*

– Nie należy w tej dyskusji wyłączać żadnej grupy, choćby dlatego, że to umacnia ich zacięcie. Podjęcie otwartej rozmowy, argument na argument, jeszcze nie przekonuje, ale rozładowuje kompleks, uczucie izolacji.

– *Z czym powinniśmy przystąpić do dyskusji z Niemcami?*

– Naszą tezę wyjściową jest stwierdzenie, że powojenne przesunięcie terytorium Polski na Zachód było wynikiem całej wojny, dramatem narodów polskiego i niemieckiego. Przypomnijmy, że londyński rząd Sikorskiego nie akceptował utraty ziem wschodnich, nie godziło się na to polskie społeczeństwo.

Polski sprzeciw był trudnym problemem dla sojuszników. Alianci wiedzieli, że wobec militarnej roli, jaką ZSRR odgrywa w tej wojnie, nie można będzie odebrać terytoriów zagarniętych kosztem wschodnich ziem Polski. W tej sytuacji jedynym wyjściem dla aliantów było danie rekompensaty Polsce.

Powstaje więc pytanie, czy Polska była podmiotem czy przedmiotem tego przesunięcia na Zachód? Żaden naród nie chce być „przesuwany“.

Wydaje się, że byliśmy w istocie przedmiotem. Przecież wtedy Polska nie miała siły militarnej ani możliwości zajęcia terytorium niemieckiego o powierzchni 100 tys. km kwadratowych.

Również na bieg wydarzeń wojennych Polska nie miała decydującego wpływu, to zależało od państw dysponujących ogromnymi armiami i zasobami materialnymi. Nie wystarczała wielka ofiara krwi Polaków.

Z drugiej strony, to przecież Niemcy porwały przedwojenną mapę Europy. Najpierw w 1939 roku dokonały razem ze Związkiem Radzieckim podziału Polski, a więc zgodziły się na przesunięcie granic ZSRR daleko na zachód i na północ. Potem Niemcy rozpoczęły wojnę z Rosją i wepchnęły ją w sojusz z Zachodem. To wszystko wytworzyło sytuację, w której powrotu do dawnej mapy już nie było.

Nowa mapa Europy, Jałta – to nie był wynik wojny w jej całokształcie.

Dyskusja z Niemcami musi więc być prowadzona bardzo rozważnie, aby uniknąć możliwych pułapek.

Nieraz słychać w Polsce wypowiedzi, że my za wysiedlenie Niemców nie odpowiadamy, że to był podstęp Stalina czy zdrada sojuszników.

Takie uproszczenie musi za sobą pociągać wezwanie do naprawienia tego błędu. Skoro nie ma Stalina, komunistów, jest nowa władza, to zmieńmy to, co tamci popsuli. O tym nie ma mowy. Nikt w Polsce na to się nie zgodzi.

W tę właśnie pułapkę popadł czeski prezydent Vaclav Havel. Mówił jako moralista, a nie jako prezydent. Powiedział, że wypędzenie Niemców z Czech było przestępstwem, za które przepasza. Jeśli prezydent państwa tak mówi, to oznacza, że tę sprawę można cofnąć. Takie oświadczenie głowy państwa staje się faktem politycznym. Havel zapomniał, że jest różnica między pozycją moralisty i wolą prezydenta. Obecnie zrozumiał swoją omyłkę, ale jej skutki trwają.

– *Z zrzucaniu winy na Stalina czy komunistów kryje się niebezpieczeństwo rewizji stanu obecnego. Na tym polega ta pułapka?*

– Tak jest, i w dodatku ta interpretacja wcale nie odpowiada stanowi ówczesnemu. Pierwszy o konieczności rekompensaty terytorialnej dla Polski i wysiedlenia mówił jeszcze w 1942 roku Anthony Eden.

Polska administracja, lokalne władze, które dokonywały wysiedlenia Niemców, dopiero się kształtowały i nie miały realnej kontroli. Trzeba najpierw przejrzeć archiwa, ustalić jak to naprawdę wyglądało. Inaczej to przebiegało przed Poczdamem (sierpień 1945 r.), inaczej później. Różnie było na Pomorzu i na Śląsku.

W tej akcji uczestniczyły tylko nieliczne komórki administracji, jak też grupy przestępcze. Tworzona wtedy milicja była nieraz powiązana z bandami szabrowników, uczestniczyła

w napadach i ciągnęła z tego korzyści. Bardzo często odbywało się to w sposób niezmiernie brutalny, popełniano przy tym zbrodnie. Ale sam fakt wysiedlenia akceptowano powszechnie, mimo konfliktów politycznych i niechęci do władzy komunistycznej.

– *Logika wydarzeń byłaby więc taka: nie chcieliśmy przesunięcia terytorialnego i odcięcia od Polski kresów wschodnich, ale skoro się to dokonało, to naturalną konsekwencją musiało być wysiedlenie Niemców z przyznanych nam ziem zachodnich.*

– Tak, bo bez tego przesunięcie nie miałyby sensu. Z tego sobie dawali sprawę sojusznicy. Dlatego zarówno w Jałcie, jak i w Poczdamie łączono przesunięcie z wysiedleniem.

Dla wszystkich było jasne, że bez wysiedlenia Niemców przesunięcie granic byłoby tylko kreską na mapie bez żadnych realnych skutków.

Dla Niemców wysiedlenie było ogromnym szokiem, ale to Niemcy i Rosjanie wprowadzili na masową skalę ten barbarzyński obyczaj do najnowszej historii Europy. Ludność polska była w czasie wojny wielokrotnie wysiedlana. Rosjanie wysiedlali na Sybir, Niemcy wysiedlali Polaków z Kielecczyny i z Warthegau (Wielkopolski). Wysiedlano masowo Żydów. Wypędzanie ludzi stało się w czasie wojny codziennością. Dlatego i technika powojennego wysiedlania Niemców była zapożyczona z tych wcześniejszych akcji niemieckich. Wysiedlenia trwały przez całą wojnę, od 1939 roku. Ale dopiero w 1945 roku rozpoczęła się ogromna wędrówka ludów, największa w historii nowożytnej Europy.

Z samego Lwowa około 200 tys. ludzi wyjechało w ciągu paru miesięcy i to nie była tylko repatriacja do Polski, ale ekspatriacja ze stron rodzinnych.

– *Wielu Polaków uważa, że Niemcy musieli ponieść karę za zbrodnie wojenne przeciwko narodowi polskiemu i wysiedlenie było po prostu wymierzaniem sprawiedliwości dziejowej.*

– To następna pułapka. Przede wszystkim to wprowadza odpowiedzialność zbiorową. Czy ci, których wysiedlenie dotknęło, byli odpowiedzialni osobiście za zbrodnie hitlerowskie? Przecież tak nie było.

– *Jakie więc są wobec tego obszary, w których porozumienie z Niemcami nie będzie możliwe?*

– Na przykład w świadomości niemieckiej zakodowane jest, że wysiedlenie Niemców to było bezprawie. Trudno zgodzić się z tym pojęciem. Prawo było zniesione przede wszystkim przez Niemców, cała III Rzesza była skodyfikowana bezprawiem.

Poza tym przestało istnieć państwo niemieckie. A prawo jest związane z obywatelstwem. Niemcy wtedy nie mieli własnego państwa, nie byli też obywatelami państwa polskiego. Byli jak gdyby poza prawem.

Nawałnica wojenne też nie wniosła prawa, a państwo komunistyczne, które powstawało po wojnie, nie było państwem prawa. O jakie prawo więc chodzi?

Niemcy odwołują się do Karty Narodów Zjednoczonych podpisanej w 1945 roku.

Przede wszystkim – to były „narody zjednoczone“, które prowadziły wojnę przeciwko Niemcom. A poza tym, było to *ius pro futuro*, prawo dla przyszłości. Tak samo jak Karta Atlantycka była deklaracją na przyszłość.

Innym polem niezgodności może być to, że historycy niemieccy traktują całe to wydarzenie jako odwet.

Ja tak nie uważam. To jest po prostu wynik wojny i tego jak Niemcy ją prowadzili, aż do ostatniego guzika. Gdy skapitulowali wcześniej, sprawy potoczyłyby się inaczej. Gdyby nie zgnietli powstania warszawskiego, też późniejszy przebieg wydarzeń mógłby być inny, nie byłoby również tak wielkiego napięcia nienawiści do Niemców.

Cała dyskusja na ten temat budzi wiele oporów w Niemczech, oni tych argumentów tak prosto nie chcą przyjąć.

Pewien porządek w dialogu wprowadzają wypowiedzi niemieckiego prezydenta Romana Herzoga, zarówno rok temu w Polsce przy okazji obchodów rocznicy powstania warszawskiego, jak ostatnio 13 lutego w rocznicę bombardowania Drezna.

Herzog powiedział, że historii nie można zmienić, trzeba ją przyjąć taką, jaką była. A po drugie, historii trzeba stawić czoło w jej całokształcie. Zarówno ze strony niemieckiej, jak i polskiej są tendencje do fragmentaryzacji historii.

Dialog z Niemcami powinien być próbą wspólnego spojrzenia na całokształt. Sklejanie tych dwóch punktów widzenia

– *A jakie obszary są możliwe do uzgodnienia z Niemcami?*

– Że Polska w istocie była przedmiotem przesunięcia terytorialnego i związanej z tym nierozwalnie ekspulsji ludności niemieckiej.

– *Kto jest więc odpowiedzialny za wysiedlenie?*

– Do wysiedlenia doszło, bo taki był wynik wojny. Odpowiedzialność sprawcza spada więc na III Rzeszę, decyzję podjęli alianci.

Inna jest odpowiedzialność za sposób przeprowadzania wysiedlenia. Zbrodnie pozostają zbrodniami, jeśli ktoś strzelał do bezbronnych ludzi, to była zbrodnia.

Jest jeszcze jedna sprawa, która może być jednym z celów takiej dyskusji z Niemcami. Obecnie obie strony zajmują w kwestii wypędzenia pozycje niewinnej ofiary. Niczego nie zawniżyliśmy, zawsze byliśmy w porządku, wszystkich zbrodni dopuściła się druga strona. Jest to pozycja nie do przyjęcia. Ks. Waldemar Chrostowski ma rację, kiedy mówi, że celem dialogu jest poprawa samego siebie, własnego myślenia.

W tym właśnie tkwi filozofia umożliwiająca wypowiedzenie słów „wybaczymy i prosimy o wybaczenie“. Bo przecież nie mogą całkiem przebaczyć, jeśli siebie traktują jako całkowicie niewinnego czy jako niezdolnego do popełnienia zła. Często ten, który wczoraj był ofiarą, dziś może stać się sprawcą czyjejs krzywdy.

Tu jest bardzo ważne pole zbliżenia. Żeby ludzie nie trwali tak bardzo okopani na pozycjach swojej krzywdy, lecz by dostrzegali też swoją odpowiedzialność i cierpienie innych.

Punktem wyjścia może być niestety mało znany tekst, preambuła do traktatu granicznego z Niemcami z 14 listopada 1990 roku.

„Strony świadome, że ogromne cierpienia, jakie przyniosła ta wojna, w tym także utrata przez licznych Polaków i Niemców ich stron rodzinnych w wyniku wypędzenia lub wysiedlenia, są ostrzeżeniem i wyzwaniem do kształtowania pokojowych stosunków między obu narodami i państwami“.

To jest wezwanie do potraktowania wypędzenia Polaków i Niemców jako wspólnego cierpienia, a nie jako przeciwstawnych cierpień.

– *Co polski polityk może teraz, przy okazji rocznicy zakończenia wojny, powiedzieć Niemcom w tej sprawie? Przepraszamy za wypędzenie?*

– To nie takie proste. Do wypowiedzenia słów „przepraszamy za wypędzenie Niemców“ nie jest przygotowane polskie społeczeństwo, trzeba mieć pewność, że ma się mandat społeczny na taki gest.

Nie do końca też wiadomo, co to słowo oznacza, bo jak się rzekło, odpowiedzialność jest wieloraka, wielostopniowa, bardzo złożona.

Nie wolno lekceważyć niczyjej wrażliwości, nie wolno rozdzierać zabliznionych ran.

Celem dialogu jest obustronne podejście do historii, bez ogródek, bez przemilczeń, a także lepsze zrozumienie partnera, jego wrażliwości.

List do redakcji „Gazety Wyborczej“, 11 maja 1995

Prof. Roman Mycielski
Warszawa

Prosić Niemców o przebaczenie ?

W „Gazecie“ nr 98 ukazał się wywiad z Arturem Hajniczem, z nadtytułem „Czy mamy przeproszać za powojenne wysiedlanie Niemców ?“ Chciałbym zabrać głos w tej dyskusji, przedstawiając fragmenty moich wspomnień.

Początkowe miejsce akcji: Pałac we Wrześni w woj. poznańskim. Osoby: Helena Mycielska, lat 67; Maria Mycielska, lat 29; Izabella Mycielska, lat 8; Roman Mycielski, lat 6.

1 grudnia 1939 r., o godz. 1 w nocy do drzwi pałacu zaczęto się gwałtownie dobijać kolbami karabinów. Wyrząłem na dwór, choć bardzo się bałem. Przed drzwiami pałacu, w głębokim śniegu miotało się siedmiu Niemców, wrzeszczących coś, czego nie rozumiałem. W końcu ktoś otworzył drzwi i pałac zapelniał się biegającymi i wrzeszczącymi Niemcami. Można było zrozumieć rozkazy: „W ciągu pół godziny opuścić pałac! Zabrać tyle rzeczy, ile można unieść! Nie wolno zabierać żadnych pieniędzy ani kosztowności!“ W ogólnym zamieszaniu – biegający Niemcy, płacząca służba, pętające się dzieci – Mamie udało się podać kasetkę z biżuterią staremu kamerdynerowi Szymańskiemu, który błyskawicznie gdzieś ją schował (po kilku miesiącach dotarła do nas do Warszawy). Po półgodzinie staliśmy przed pałacem z odrobiną rzeczy; nie zabraлиśmy nic do jedzenia.

Spod pałacu Niemcy popędzili nas przez pola. Był ostry mróz, ciężko brodziliśmy w głębokim śniegu. Wkrótce doszliśmy do polnej drogi, którą szła długa kolumna mieszkańców Wrześni, jak my wyrzuconych w środku nocy z domów. Kolumnę kilkuset ludzi eskortowało kilkudziesięciu Niemców.

Pędzono nas chyba dwie godziny. W końcu doszliśmy do torów kolejowych. Stał już tam pociąg, składający się z wagonów towarowych, tzw. bydłęcych, brudnych i cuchnących. Niemcy zaczęli ładować po 40 osób do każdego wagonu. Chcieli rozdzielać rodziny, ale ludzie szybko się zorientowali i zaczęli się odpowiednio ustawiać. W końcu wszyscy zostali upchnięci, drzwi wagonów zatrzasknięto i zamknięto od zewnątrz. Po długim postoju pociąg ruszył.

Z tej podróży pamiętam przede wszystkim zimno. Przerażliwe, mrozące kości. Sytuację pogarszała okropna przedwojenna moda dziecięca – chłopiec w moim wieku nie miał prawa do długich spodni. Poza tym pragnienie. Ale trzeba przyznać, że dwa razy w czasie tej podróży Niemcy zatrzymywali pociąg pod pompą do napełniania kotła lokomotywy i kolejno, wagonami wypuszczali ludzi. Można się było przez chwilę napić zimnej, żelazistej wody. Dokuczał nam zaduch i smród. Wagon, już cuchnący odchodami zwierząt, nie miał żadnych urządzeń sanitarnych.

Nie pamiętam natomiast głodu. Po raz pierwszy w życiu odnosiłem korzyść z mojego charakteru dziecka – niejadka. Ale panika narastała, wówczas chyba wszyscy ludzie wierzyli, że z głodu umiera się po trzech dniach niejedzenia.

Można jednak powiedzieć, że nasz transport trzymał się nieźle. Przez trzy dni tylko jedna osoba umarła (na szczęście nie w naszym wagonie), ale też i jedna się urodziła (na szczęście nie w naszym wagonie), tak że stan ilościowy się zgadzał.

Trzeciego dnia wieczorem wyładowano nas na stacji w Radomiu. Tłum wysiedlonych stał w śniegu na placu przed dworcem...

Taki był koniec naszego pałacu i koniec pewnej epoki.

Kilka lat później, w lecie 1946 r., byłem świadkiem wysiedlania Niemców z Jeleniej Góry. Z satysfakcją patrzyłem na płaczące kobiety i dzieci, na ponure, zacięte twarze mężczyzn. Ale też rosło we mnie oburzenie. Ja wiedziałem, jak powinno wyglądać wysiedlenie. Musi być w zimie, z pełnego zaskoczenia, w środku nocy, bez prawa zabierania rzeczy (a tu jechały furmanki, bryczki, ciągnięto wózki wyładowane tobołami).

Dziś patrzyłbym na to trochę inaczej: z poczuciem słuszności i sprawiedliwości, ale z odrobiną współczucia dla ludzi tracących swoje miejsce na świecie. Ale wówczas byliśmy całkowicie zdziwieni przez wojnę i okupację. Dopiero po 30 latach dotarło do mnie, że nie wszyscy Niemcy byli zbrodniarzami.

A odpowiedzialność zbiorowa? W historii ludzkości narody zawsze ponosiły odpowiedzialność za czyny swoich przywódców, ale i za swoje też. Od historii nie da się uciec. A Niemcy zapłacili za tę wojnę bardzo tanio.

Wniosek: z dyskusją o przeprosinach radzę poczekać, aż wymrą w Polsce wszyscy, którzy pamiętają poczynania Niemców. A w końcu opowiedziany tu epizod można uważać na tle innych ich wyczynów za wręcz humanitarny.

Kazimierz Wóycicki

Wschód utracony.

Belka i oko – niemiecko-polski dialog wypędzonych

W wielu środowiskach niemieckich konsekwentnie przez całe lata mówiono „wypędzenie“, tak aby sugerować bezprawie i samowolę. Polacy unikali tego terminu lub go negowali, używając pojęcia „przymusowe wysiedlenia“, „przesiedlenia“, „repatriacja“, co również niekiedy zawierało polemiczną nutę.

Niemiecka dokumentacja wypędzenia, której trzy tomy dotyczą wysiedleń z obecnych polskich terytoriów, pokazuje, jak często Niemcy dopatrywali się głównych prześladowców w samych tylko Polakach, postrzegając ich niekiedy w dodatkowo niekorzystnym kontekście. Za właściwych zwycięzców wojny ma się Rosjan, Polacy zaś korzystają jedynie z czyjogoś zwycięstwa, aby poniżyć i wykorzystać zwyciężonych. Takie niechętnie Polakom spojrzenie obecne jest też u autorów tak świątłych i nie pozbawionych szerokiej humanistycznej perspektywy, jak np. Hans Graf von Lehndorf. Część wypędzonych nie chce widzieć szerszego kontekstu wydarzeń. Zapomina, że Polska była przede wszystkim ofiarą wojny, nie zastanawia się w jakim stopniu Polacy są prześladowcami, w jakim zaś są prześladowani w tym samym stopniu co Niemcy. Zapomina o dominującej roli sowieckiej okupacji na przyznanych Polsce terenach oraz o tym, że powojenna Polska była przede wszystkim przedmiotem, a nie podmiotem wielkich politycznych zmian na mapie Europy po 1945 roku.

Po stronie polskiej z kolei panuje przede wszystkim niewiedza i obojętność wobec tragedii, jaką było wypędzenie Niemców. Podręczniki powojennej historii Polski zajmowały się jedynie „osadnictwem na ziemiach zachodnich“. PRL-owska cenzura nie dopuszczała, by gdziekolwiek wspomnieć nawet o obozach takich jak np. w Łambinowicach czy Jaworznie. Przez długie lata oficjalnie twierdziło się, że wszystko odbyło się tak, jak odbyć się powinno, i nie ma o czym się specjalnie rozwoździć. Istnieje też skłonność do pozbawionego moralnych podstaw uproszczenia, że wszystkie cierpienia, jakich doznawali Niemcy, znajdują usprawiedliwienie wobec zbrodni dokonanych przez Hitlera. Wedle takiej postawy doszukiwanie się zbrodni na Niemcach dokonanych polskimi rękami jest już samo w sobie zamiarem wypaczającym właściwy obraz historii II wojny, w której strony dobra i zła mają być przecież wyraźnie określone.

Wreszcie żadna ze stron nie starała się udokumentować i opisywać współżycia Polaków i Niemców, które nie zawsze miało konfliktowy charakter w trudnym bezpośrednio powojennym okresie. Niemcy i przybyli ze Wschodu Polacy mieszkali obok siebie przez wiele miesięcy razem, nierzadko pod jednym dachem i w jednej wsi. Nawet jeśli nie było to w większości wypadków zgodne współżycie, warto udokumentować wypadki przeciwne.

Wszystkie te ograniczenia i tabu powodują, że opinia publiczna zarówno w Polsce, jak w Niemczech pozostaje w tyle za politykami, którzy tworzyli traktaty. Tym bardziej warto podkreślić, że zarówno po niemieckiej, jak i po polskiej stronie nie brakuje intelektualnych dokonań, czynionych w europejskim i pojedynczym duchu tych traktatów.

Prawdy i mity o wypędzonych

W niemieckiej historiografii obecny jest pogląd, że wypędzenie Niemców było skutkiem przebiegu całej wojny i zostało spowodowane rozpętaną przez Hitlera wojną. Wypędzenie Niemców widzi się w ścisłym kontekście wysiedleń Polaków dokonywanych przez Hitlera, a nawet nielojalnej postawy niemieckiej mniejszości w II Rzeczypospolitej. Wyznawcy takiej postawy wydają się też krytycznie nastawieni wobec poglądów reprezentowanych przez działaczy związków wypędzonych. „Kiedy Niemcy, którzy przeżyli wypędzenie roku 1945 ze wszyst-

kimi aktami gwałtu, które temu towarzyszyły, skarżą się na bezprzykładne okrucieństwo Polaków, zapominają zupełnie i całkowicie” – pisze niemiecki historyk Benz Wolfgang – czego doznali Polacy od Niemców.

Na szczególną uwagę zasługuje z pewnością napisana z wielkim talentem i świadomie skierowana nie tylko do Niemców, ale do Polaków, książka Christiana Grafa von Krockow „*Czas kobiet*“. Opisując w sposób szczegółowy prześladowania, jakich doznawali Niemcy na polskim już Pomorzu w latach 1945–47, świadomie dołącza do swojej literackiej relacji dokumenty o zbrodniach dokonywanych na Polakach przez hitlerowców. Podaje też przykłady przychylnego stosunku Polaków do Niemców, zauważając konflikt polskiego społeczeństwa z narzuconą mu komunistyczną władzą. Książka ta służyć może niemal za wzór, jak prowadzić polsko-niemiecki dialog w tych sprawach. Zyskała ona spore echo w Polsce i, co warto jest podkreślić, po polsku w tzw. Drugim obiegu ukazało się jej pierwsze obcojęzyczne tłumaczenie. Ważnym uzupełnieniem „*Godziny kobiet*“ jest inna książka tego samego autora, „*Reise nach Pommern*“, w której zarysowane jest ciekawe podejście do dziejów Pomorza jako historii wielonarodowej. Przesiąknięte atmosferą dialogu ujęcie tematu wypędzenia przez Christiana von Krockow wyprzedza opracowania naukowe.

W literaturze niemieckiej odnajdujemy więc postawę, którą z całą pewnością strona polska może przyjąć i zaakceptować w chwili rozpoczęcia polsko-niemieckiego dialogu o wypędzeniu. Niestety, brak jest osobnego, obiektywnego opracowania, dostępnego w języku polskim, rysującego postawę Niemców wobec wypędzenia i jej ewolucję po roku 1945. Byłoby ono z pewnością w najwyższej mierze przydatne w polsko-niemieckim dialogu. Przyczyniłoby się to w Polsce do stwierdzenia, jak różnorodne jest środowisko wypędzonych. Sama nazwa przylgnęła do działaczy organizacji przesiedleńczych, gdy tymczasem wypędzeni to, traktując ten termin dosłownie, także pisarze, tacy jak Grass, Bieniek czy Lenz, dziennikarze i politycy, tacy jak Doenhoff, von Thadden, czy wspomniany już von Krockow, a więc ludzie, którzy są już znani ze swojej otwartej postawy wobec Polski.

Wbrew rozpowszechnionym w Polsce przekonaniom, że wypędzeni to środowiska niechętnie Polakom, można stwierdzić również odwrotną zależność – pochodzenie z byłych niemieckich ziem wschodnich jest dla wielu Niemców motywem szczególnego i przyjaznego zainteresowania Polską.

W Polsce brak jest takiej powszechnej świadomości, mimo doświadczenia wielu osób bezpośrednio zaangażowanych w polsko-niemiecki dialog.

Brak jest niestety polskich opracowań naukowych dotyczących problematyki przesiedleń i wypędzenia, zwłaszcza takich, które ukazywałyby dramatyzm i tragizm tych wydarzeń. Trzeba jednak dla równowagi dodać, że z uwagi na tę samą cenzurę brak jest Polakom podobnych opracowań również o własnym wypędzeniu ze wschodu. Podkreślić należy wagę pierwszego polskiego opracowania dotyczącego powojennej historii obozu w Łambinowicach, pióra historyka Edmunda Nowaka.

Mimo braków, luk i niedostatku opracowań naukowych – pogląd, że okrucieństwa dokonane przez jedną stronę nie stanowią bynajmniej usprawiedliwienia dla okrucieństw po drugiej stronie, znalazł silny wyraz – najbardziej dzięki wystąpieniom o charakterze moralnym. Taki jest przecież sens przesłania biskupów polskich do biskupów niemieckich, zawartego w słynnych i budzących niegdyś w Polsce spore kontrowersje słowach „przebaczamy i prosimy o przebaczenie“. Taka jest wymowa odważnego eseju Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy*, który dzięki tłumaczeniu i opublikowaniu fragmentów w FAZ wywołał w swoim czasie spore dyskusje również w Niemczech.

Nastawieni więc na dialog Polacy nie odrzucają myśli o odpowiedzialności za tragedię Niemców, starając się ustalić jej zakres. Ci zaś Niemcy, którzy nastawieni są na dialog z Polakami, starają się widzieć w wypędzeniu skutek wojny i „własnych“ niemieckich zbrodni.

Jest to dialog stron, które wychodząc na przeciw siebie, stosują mądrość zawartą w ewangelicznej przypowieści o belce i oku.

Co narzucone, co z własnej woli?

Najpewniej dla wielu niemieckich wypędzonych los, jakiego doznali, był kompletnym zaskoczeniem. Hitler i wojna byli dostatecznie daleko, aby nie brać za nią odpowiedzialności. Niemiecki wypędzony, choć jest ofiarą, nie może czuć się niewinny. Po polskiej stronie problem wcale nie jest łatwiejszy, a z psychologicznych względów wydawać się może nawet bardziej skomplikowany.

Polacy mogą wykazać zrozumienie i żal z powodu tragicznego losu wysiedlanych Niemców. Ponieważ w tych wysiedleniach brali udział, akceptowali je i organizowali, winni też powiedzieć za polskimi biskupami „proszę o przebaczenie“. Towarzyszyć temu jednak będzie zawsze twierdzenie, że wysiedlenie Niemców z uzyskanych przez Polskę terytoriów było koniecznością nie do uniknięcia w ówczesnej sytuacji historycznej.

Druga trudność związana jest z pytaniem o odpowiedzialność za przebieg wysiedleń, za konkretne zbrodnie i przestępstwa popełnione na Niemcach przez Polaków. Znowu strona polska nie bez racji historycznych może argumentować, że wszystko to było tragicznym dziełem narzuconego Polsce z zewnątrz stalinizmu.

Czy jednak Polacy mogą jednoznacznie odrzucić odpowiedzialność za stalinizm i dzięki temu odsunąć od siebie odpowiedzialność za zbrodnie wypędzenia? Był on narzucony z zewnątrz, ale nie oznacza to wcale, że nie było w nim udziału i dobrowolnej kolaboracji sporej części społeczeństwa.

Polski obrachunek związany z wypędzeniem Niemców wikła się więc w sposób niezwykle skomplikowany z obrachunkiem z okresu stalinizmu. Obrachunku tego dokonano w Polsce jedynie w sposób bardzo cząstkowy. By go dokonać w głębszym sensie, trzeba by poddać rewizji powszechne polskie przekonanie o byciu nieustannie jedynie ofiarą historii, zakwestionować przekonanie o polskiej historycznej niewinności.

Nie ulega wątpliwości, że Polska była również ofiarą, co zresztą spostrzega wyraźnie część niemieckich historyków. Nie mniej ważne są jednak choćby odosobnione, ale odwrotne przypadki, gdy była ofiarą dokonuje rewanzu lub jest prześladowcą, ponieważ zyskuje czasową przewagę nad swoimi wrogami. Temu jednak kto czuje się ofiarą i decyduje to o jego zrozumieniu własnej historii i grupowej tożsamości, najtrudniej przyznać się do tego, że brał udział w prześladowaniu.

Wypędzenie to proces, który dotyka nie same tylko ofiary i powoduje nie tylko cierpienia, ale dotyczy całości obu społeczeństw i ma skutki historyczne, trwające do dzisiaj o zasadniczym znaczeniu dla dialogu Polaków i Niemców.

Punktem wyjścia należy uczynić nie konflikt, nawet jeśli kończy się pojednaniem, ale również podobieństwo i analogię losów. Taki jest wymóg polsko-niemieckiego dialogu o wypędzeniu. Niewątpliwie nie jest to decyzja łatwa i zwyczajna, ponieważ przyzwyczailiśmy się do widzenia Polaków i Niemców po dwóch wrogich sobie stronach, jako narodów należących w czasie wojny do przeciwnych obozów. Jednak w ostatecznej fazie wojny i bezpośrednio po niej jedni i drudzy byli już w gruncie rzeczy tylko przedmiotem wielkich mechanizmów historii. Polska utraciła prawie połowę przedwojennego terytorium na rzecz Związku Radzieckiego, a ziemie zachodnie otrzymała nie tyle dzięki własnym staraniom, co decyzji wielkich mocarstw. Niemcy utraciły jedną trzecią swoich historycznych ziem i w sprawie tej nie miały nic do powiedzenia. Tej tragicznej analogii dopełnia fakt, że wieleset tysięcy Niemców i Polaków zostaje już po zakończeniu wojny wywiezionych przez NKWD na Syberię. Ocenia się, że w ZSRR

znalazło się w ten sposób około 400 tys. Niemców. Wywózki na Syberię żołnierzy polskiego antyhitlerowskiego podziemia są sprawą równie dobrze znaną.

Wedle danych niemieckich – wypędzenie Niemców z terenów przejętych przez Polskę ogarnęło około 10 mln osób. Tylu mniej więcej mieszkańców miały te tereny w 1939 roku. W 1950 r. zostało około 800 tys. Niemców. 7 milionów znalazło się – jako wypędzeni – na terenie Niemiec.

Historia wypędzenia Polaków zaczyna się znacznie wcześniej niż wypędzenie Niemców, bo już w roku 1939. Była niezwykle skomplikowana i przebiegała w różnych kierunkach, a sprawcami byli zarówno Sowieci, jak i hitlerowcy. W 1939 r. na polskich kresach wschodnich, utraconych wskutek paktu Ribbentrop–Mołotow, zamieszkiwało co najmniej 4,6 mln ludności polskiej. W chwili zakończenia wojny 22 proc. ludności – a więc co piąty Polak, który wojnę przeżył – znajdowało się poza granicami swego kraju.

Tragiczna statystyka, wciąż zresztą budząca spory wśród historyków, wskazuje nie tylko na ilość cierpienia, ale także na rozmiar społecznego, cywilizacyjnego i kulturowego zjawiska, jakim było podwójne wypędzenie Niemców i Polaków.

Amputacja dziedzictwa

Przybycie do zachodnich landów Niemiec milionów przybyszów ze wschodu i konieczność ich integracji wyzwoliła zmiany społeczne, dynamikę niemieckiej powojennej odbudowy gospodarczej, wreszcie – miała głęboki wpływ na zachodniemieckie życie polityczne, w którym organizacje wysiedleńcze stanowiły przez długi czas potężne lobby.

Polscy przesiedleńcy znajdują się w roku 1945 po części w odmiennej sytuacji. Przybywają nie na tereny zamieszkałe przez innych swoich rodaków, ale na tereny niemal opuszczone. Ich asymilacja przebiega więc w zupełnie innych warunkach. Niemniej ów przepływ ludności musi mieć, jak w Niemczech, głęboki wpływ na zmianę struktury społecznej, zmienia obraz sporej części wsi polskiej, nadaje nowy kształt procesowi urbanizacji itd. Porównanie wpływu wielkiej migracji na społeczeństwa Polski i Niemiec byłoby z pewnością pasjonującym studium z dziedziny historii socjalnej.

Za społecznymi skutkami wypędzenia idą nie mniej poważne, a może bardziej znaczące, skutki kulturowe. Polska i Niemcy tracą swoje ziemie wschodnie, o mieszanej etnicznie ludności i specyficznej historii, które w kultury obu narodów wносиły bardzo szczególny klimat i koloryt. Polska traci niepowtarzalnie polskie Wilno i Lwów, Niemcy Królewiec, Gdańsk i Wrocław. Do miejsc urodzin wielkich, historycznych twórców narodowych kultur i wielkich przywódców politycznych, Schopenhauera, Kanta i Mickiewicza, Bismarcka i Piłsudskiego, trzeba wybierać się ich rodakom za granicę. Również współczesne literatury obu krajów obfitują w znanych i wybitnych pisarzy, którzy utracili kraj swego dzieciństwa. Grass, Bieniek i Lenz mają odpowiednik w Miłoszu, Konwickim, Odojewskim. W obu wypadkach skutkiem drugiej wojny była bolesna amputacja znacznej części historycznego dziedzictwa.

Ta bolesna utrata części narodowej spuścizny była też w obu przypadkach zasadniczym elementem szerszego procesu, jakim jest przesunięcie zarówno Polski, jak i Niemiec na zachód. W obu społeczeństwach wywołało to zarówno głęboki szok, jak i głębokie zmiany zbiorowej tożsamości.

Uzasadnienie Niemiec uwypuklało zarówno ich podział, jak i polityczne sojusze Bundesrepubliki, mającej uzasadnione pretensje do tego, aby przez cały powojenny okres reprezentować wszystkich Niemców. Jak głęboki wpływ wywarło to na współczesną kulturę i mentalność niemiecką, nie trzeba nawet dziś dowodzić. Niemcy i niemieckość zostały też pozbawione Prus, co miało gigantyczne znaczenie.

Przesunięcie Polski ku zachodowi można było przez długi czas nie doceniać z powodu jej przymusowej przynależności do bloku sowieckiego. Polska stanowiła wraz z NRD wschodnie przedmurze sowieckiego imperium. Wystarczy jednak dość prosta spekulacja, związana z hipotetycznym pytaniem, jaka byłaby sytuacja Polski w roku 1989, gdyby istniała w starych granicach z 1939 r., aby zdać sobie sprawę z gigantycznego znaczenia zachodniego przesunięcia. Tak jak Niemcy bez Prus, tak Polska bez swoich ziem wschodnich z Lwowem i Wilnem pozbawiona została gigantycznego balastu historycznych konfliktów. Utrata kresów umożliwia dziś Polsce bezkonfliktowe niemal stosunki z krajami takimi jak Ukraina, Białoruś i Litwa.

Wszystko to razem zdecydowało również o tym, że zmieniła się gruntownie geopolityka całego regionu...

Małe a wielkie ojczyzny

Polsko-niemiecki dialog poświęcony wypędzeniu nie dotyczy więc samych tylko ofiar historycznej tragedii, rachunku krzywd i uznania win, ale sytuuje się w samym centrum polsko-niemieckiego dialogu. Dialog społeczeństw polskiego i niemieckiego to nie tylko dialog tych, którzy utracili swoje małe ojczyzny, ale przede wszystkim społeczeństw, których obie wielkie ojczyzny zmieniły się zasadniczo wskutek wielkiego przesunięcia.

Historii Niemiec nie da się zrozumieć bez historii Prus i bez zrozumienia, czym była ich utrata, podobnie jak historii Polski nie można napisać bez dziejów Podola czy Wileńszczyzny. Sprawy te będą więc wracać nieustannie wraz z pytaniami, czym był „utracony Wschód“ w kulturze i dziejach obu narodów. W tym też sensie sprawy wypędzenia nie zakończy samo tylko polsko-niemieckie pojednanie i nigdy nie stanie się ono zamkniętym rozdziałem historii. Oba społeczeństwa i narody, studiując własną historię, wciąż będą nań napotykały, mocowały się z nim, usiłowały na nowo zrozumieć. Nieustannie też te historyczne porachunki z własnym utraconym wschodem rzutować będą na sposób widzenia sąsiada. Jeśli nie znajdzie się wspólnego klucza, wspólnej, szerokiej interpretacji dla tego, co się stało, sprawa wypędzenia będzie wciąż przedmiotem podejrzanego moralnie licytacji cierpień i wzajemnego żalu.

„Polityka“, 17 czerwca 1995

Klaus Bachmann

Przeprzić za wypędzenie?

Przed majową wizytą ministra Władysława Bartoszewskiego w Niemczech w polskich i niemieckich kręgach mniej lub bardziej wtajemniczonych krążyła pogłoska, że gdyby Niemcy zaprosili Lecha Wałęsę na 8 maja do Berlina, to przeprosiłby ich za wypędzenie i że – być może – Bartoszewski zrobi to samo w Bundestagu. Jak wiadomo – Bartoszewski nie przeprosił, lecz ubolewał, co w Niemczech jednak zostało przyjęte jako przeprosiny. Niemiecy politycy i dziennikarze czują się przeproszeni, a Polacy – sądząc z artykułów w polskiej prasie – nie mają poczucia, że ktoś przeprosił w ich imieniu, co rzeczywiście nie nastąpiło. Owca cała i wilk syty. Czasami nieporozumienia nie tylko nie utrudniają dialogu, ale nawet popychają go naprzód.

Po przemówieniu Bartoszewskiego telewizja pytała polskich polityków, czy Polska powinna przeprosić Niemcy za „zmiany granicy po wojnie“, udowadniając tym samym, że z jednego nieporozumienia można robić następne. Politycy, od Krzysztofa Króla po Bronisława Geremka, stanowczo odrzucili możliwość przeprosin z takimi oto uzasadnieniami: „Polacy też zostali wypędzeni po wojnie“ lub „wysiedlenie Niemców nie było sprawą Polski, lecz aliantów i zostało rozstrzygnięte w Poczdamie“.

Nie stawiam sobie pytania, czy Polska powinna przeprosić Niemcy za wypędzenie, ponieważ jest to sprawa, którą tylko Polacy mogą rozstrzygnąć. Polsko-niemiecki dialog między innymi dlatego odbywa się na wyższym poziomie niż dialog polsko-ukraiński lub niemiecko-czeski, że każda strona bije się we własne piersi. Nie jest sprawą Niemców, czy Polacy chcą żyć z białymi plamami w historii, czy też chcą mieć apologetyczny czy krytyczny stosunek do własnej przeszłości oraz czy jest za co przepraszać.

Nie mieszałbym zwłaszcza kwestii przesunięcia granic z takimi przeprosinami. Sprawa granic została ostatecznie uregulowana między dwoma suwerennymi państwami i nikt tutaj nie musi nikogo przepraszać. Chcę się natomiast zająć kilkoma kwestiami związanymi z wypędzeniem Niemców, które są zupełnie odmiennie postrzegane w Niemczech i w Polsce.

Kto odpowiada za wypędzenie?

Wypędzenie to nie sprawa Polaków, lecz aliantów, którzy decydowali o tym w Poczdamie – tego rodzaju odpowiedź jest w Polsce bardzo rozpowszechniona. Przez całe dziesięciolecia wypędzenie stanowiło tabu dla komunistycznej cenzury. Nie można było całkowicie zaprzeczyć wysiedleniu niemieckiej ludności po wojnie. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć ich nieobecność? Cenzura dopuszczała więc do druku tylko określenia typu: humanitarne i legalne wysiedlenie na mocy uchwał poczdamskich. W ten sposób również w umysłach działaczy opozycyjnych i ludzi, którzy nie chcieli ulegać kłamstwom propagandy, utrwaliła się interpretacja, wedle której uważa się, że tym, co Niemcy nazywają wypędzeniem, są wysiedlenia po konferencji w Poczdamie.

W niemieckiej publicystyce i w obiegowych opiniach mamy do czynienia z innym błędem: wszystko, co się stało z niemiecką ludnością w końcowej fazie wojny i po wojnie, kojarzy się z wypędzeniem. Najlepszy przykład takiego myślenia dał kanclerz Kohl (historyk z wykształcenia) podczas pobytu w Polsce w 1990 roku, kiedy mówił o 2 milionach ofiar wypędzenia. Liczba ta pochodzi z naukowego opracowania z lat 50. wydanego przez ówczesne Ministerstwo ds. Wypędzonych. Wylicza się tam nawet więcej niż 2 miliony ofiar śmiertelnych. Ale są to ludzie, którzy cierpieli i zginęli z bardzo różnych powodów.

Etapy przesiedlenia

Wiele ofiar zginęło z powodu niedbalstwa i zbrodniczego przedłużania ewakuacji ludności cywilnej przez władze hitlerowskie w ostatniej fazie wojny. Obowiązywała wówczas oficjalna teza o nieuchronnym zwycięstwie Niemiec na wszystkich frontach, która nie pozwalała na myśl o wycofaniu. Za publicznie wyrażony pogląd o klęsce Niemiec można było dostać wyrok śmierci przez sądem doraźnym. Urzędnicy nie odważyli się więc podjąć przygotowań do ewakuacji ludności przed nadciągającą Armią Czerwoną – aż do momentu, kiedy było za późno.

Wtedy często okazywało się, że środków transportu wystarcza tylko dla niemieckich dostojników, ich rodzin i na przewiezienie ich dobytku. Ludność cywilna tłukła się zimą po zamrzniętym Bałtyku, po zatłoczonych transportami wojskowymi drogach Mazur i Dolnego Śląska. Ludzie, którzy dobrze wiedzieli, co im grozi, gdyby Armia Czerwona ich dogoniła, uciekali i umierali na szlaku z głodu, przemęczenia lub mrozu, byli bombardowani przez lotnictwo alianckie, a niekiedy ginęli już po dotarciu do Rzeszy w jej przedwojennych granicach – np. w Dreźnie podczas nalotów.

Pierwsza faza tego, co w świadomości niemieckiej jest wypędzeniem, obciąża więc nie Polaków i Rosjan, lecz władze hitlerowskie.

Druga faza zaczęła się od zajęcia przez Armię Czerwoną tych terenów dzisiejszej Polski i obwodu kaliningradzkiego, na których pozostała część ludności niemieckiej, która nie chciała lub nie była w stanie opuścić swych domów. To byli ludzie w absolutnej większości niewinni, starcy, chorzy, dzieci, kobiety. Działacze partii nazistowskiej, oficerowie zbrodniczych organizacji uciekali zazwyczaj pierwsi, wiedząc dokładnie, co im grozi. Niestety, żołnierze Armii Czerwonej mścili się na niewinnych za krzywdy zadane im przez innych. Masowe gwałty, zabójstwa, tortury były na porządku dziennym. Ale to obciąża Armię Czerwoną, a nie Polskę.

Trzecia faza zaczęła się od konferencji poczdamskiej, na której zdecydowano o przesiedleniu ludności niemieckiej. Deportacje po Poczdamie były zorganizowane, ludzie mogli zabrać część swego dobytku i dostali prowiant na drogę. Czy wszystko było rzeczywiście humanitarne, jak utrzymywała propaganda komunistyczna i jak głosi legenda w Polsce do dziś, to inna sprawa. Wrócimy do niej później. Powiedzmy tylko, że za to, co się stało podczas tej fazy wypędzenia, współodpowiedzialność (obok organów radzieckich) ponoszą władze polskie.

Czy zatem publiczności politycy polscy mają rację, mówiąc, że Polacy nie odpowiadają za wypędzeni? Czy za wszystko winę ponoszą hitlerowcy, Armia Czerwona lub alianci? Nie. I to z kilku powodów.

Wypędzenia ludności niemieckiej nie zaczęły się od konferencji poczdamskiej, lecz w istocie kilka miesięcy wcześniej. Chodzi o tak zwane dzikie wypędzenia z regionów przygranicznych (z zachodniej części Dolnego Śląska, Pomorza i Wielkopolski), które – zgodnie z ustaleniami polskich historyków – obejmowały od kilkuset tysięcy do miliona ludzi. Działo się to w maju i czerwcu 1945 roku – po kapitulacji Rzeszy, ale przed konferencją poczdamską, która zaczęła się 17 lipca 1945 r.

Po Poczdamie wypędzenia nie były szczególnie humanitarne, a bagaż i prowiant wysiedlonych często padały łupem szabrowników. Dla Polaków, którzy mieli dostęp do prasy podziemnej, katolickiej lub opozycyjnej w latach 80., nie jest to tajemnicą. Pisały o tym: „Tygodnik Powszechny“, „Powściągliwość i Praca“, a także Jan Józef Lipski w eseju o „dwóch patriotyzmach“. O tym, że podczas wysiedleń po Poczdamie nie wszystko było tak, jak to przedstawiała propaganda komunistyczna wie dziś wielu Polaków. Ale o tym, że na polskiej historii ciąży coś więcej niż tylko pojedyncze wybryki chuliganów w czasie deportacji Niemców, wie tylko wąski krąg specjalistów.

Podczas tych legalnych wysiedleń po konferencji poczdamskiej ludność niemiecką (a także polską „autochtoniczną“ i ukraińską) przetrzymywano w obozach pracy, które nierzadko były

porównywalne do obozów koncentracyjnych – ich komendanci stosowali metody, które poznali na własnej skórze w niemieckich obozach (których nie należy mylić z obozami śmierci). Bardzo często wykorzystywano do tych celów dawne niemieckie obozy koncentracyjne, nawet podobozy Auschwitz–Birkenau (posługuję się wyłącznie ustaleniami polskich historyków dotyczącymi tego tematu).

Wysiedlenie po polsku

Od kilku lat historycy bydgoscy badają dziej obozu Potulice koło Bydgoszczy, który w czasie wojny został przekształcony przez Niemców w obóz pracy przymusowej dla Polaków. Po wojnie osadzono w nim Niemców deportowanych z różnych stron Polski. Rządził tam były więzień Auschwitz–Birkenau, który mścił się za to, co przeżył wcześniej. Zgodnie z ustaleniami polskich historyków śmiertelność w Potulicach była po wojnie nawet wyższa niż podczas okupacji. Bardziej znany w Polsce jest obóz w Łambinowicach na Opolszczyźnie, gdzie inny był więzień Auschwitz mścił się bezwzględnie.

Wiadomo, że istniały obozy w kilku filiach byłego obozu Auschwitz–Birkenau, między innymi w Świętochłowicach, Mysłowicach i Blachowni. Do najbardziej znanych należą także Sikawa w Łodzi i Stodoła koło Szczecina. Opinia publiczna w Polsce nie wie o istnieniu takich obozów – wyjątkiem są może Łambinowice i Potulice. W Niemczech wspomnienie o nich jest żywe już tylko wśród wypędzonych.

Dla historyków, również polskich, istnienie takich obozów nie jest jednak tajemnicą. Już od kilku lat polscy historycy i lokalni badacze zajmują się nie tylko dziejami obozów, ale i innymi sprawami związanymi ze śladami kultury niemieckiej na ziemiach zachodnich. Nie zawsze jednak ich starania są opisywane na łamach prasy. Z tego powodu szersza publiczność w Polsce niewiele wie o takich sprawach, a opinia publiczna w Niemczech nadal jest przekonana, że Polacy przemilczają ciemne karty przeszłości. Niemców utwierdza w tym przekonaniu jeszcze jedno: z polskich opracowań zawsze wyłaniał się inny, bardziej łagodny obraz niemieckich losów w powojennej Polsce. Koniec cenzury i systemu komunistycznego tylko w niewielkim stopniu to zmienił.

Oczami ofiar, oczami sprawców

W czasach komunistycznych dialog polsko-niemiecki toczył się w cieniu cenzury i podziału Europy na dwa systemy. Podział ten zaznaczał się również w życiu umysłowym. Niemieccy historycy po stronie polskiej mieli przeważnie do czynienia z historykami, którzy nawet wtedy, kiedy sami nie wierzyli w propagowane kłamstwa komunistyczne, byli zobowiązani się nimi kierować.

Po stronie niemieckiej istniał podział na postępowych, propolskich historyków lewicowych i prawicowych, historyków antykomunistycznych. Historycy lewicowi byli gotowi do ustępstw wobec też kolegów ze Wschodu nie tylko ze względu na historyczną prawdę, ale również z uwagi na los polityki odprężenia. Historycy prawicowi z kolei zwalczali owe ustępstwa nie tylko dlatego, że nie znalazły potwierdzenia w źródłach, ale także dlatego, że byli przeciwni polityce odprężenia. W ten sposób jedni Niemcy przyjmowali argumenty polskich komunistów w imię porozumienia polsko-niemieckiego i polityki odprężenia, a inni odrzucali je jako komunistyczną propagandę, choć nie zawsze było to uzasadnione.

W tamtym czasie podkreślanie cierpień ludności niemieckiej po wojnie było nadużywane; nie tyle służyło głoszeniu prawdy, ile miało być argumentem w walce z komunizmem i z lewicą w samych Niemczech. Z drugiej strony uchodziło za przejaw myślenia rewanżystowskiego i często takim było. Polscy dziennikarze i historycy zajmujący się tą problematyką podchodzą do

niej w sposób mniej skrępowany. Nie muszą wszak bronić się przed zarzutem, że dają w ten sposób argumenty skrajnej prawicy, która dzięki temu może bagatelizować niemieckie zbrodnie. Nikt w Polsce przecież ich nie bagatelizuje.

Problem z podwójnym zakłamaniem historii zniknął wraz komunizmem, choć nie do końca. Dziś natomiast mamy do czynienia z innym, polegającym na różnych perspektywach. Niemieccy historycy i publicyści patrzą na wypędzenie oczami ofiar. Głównych źródeł dostarcza dokumentacja „Wypędzenie ludności niemieckiej z terenów na wschód od Odry i Nysy“, która opiera się na zeznaniach kilku tysięcy świadków i uciekinierów oraz na aktach władz niemieckich.

Źródłami polskich historyków są akta obozowe (Potulice) i akta polskich władz. Są one pisane często przez sprawców lub z takiej właśnie perspektywy. Z polskich akt wynika, iż każdemu deportowanemu przysługiwała odpowiednia ilość chleba, picia i że każdy mógł zabrać ze sobą pewną ilość bagażu. Czytelnik znajduje potem w książkach informacje, że podczas gdy polska ludność głodowała, deportowani Niemcy dostawali kanapki na drogę. Dopiero z niemieckich źródeł można się dowiedzieć, iż żołnierze eskortujący konwoje odbierali ten chleb Niemcom, że pociągi podczas jazdy były rabowane i że wszystkie rozporządzenia i zalecenia o humanitarnym traktowaniu Niemców po prostu nie były przestrzegane.

Mam wysoce krytyczny stosunek do wielu zeznań niemieckich, zwłaszcza do tych beziemiennych z ww. dokumentacji, z których nie wynika kim byli owi Niemcy podczas okupacji i jak się wtedy zachowywali wobec Polaków. Błędem byłoby przedstawienie historii wypędzenia w taki sposób, że okrutni Polacy mścili się na niewinnych Niemcach. W niektórych przypadkach mścili się na winnych Niemcach, kiedy indziej Polacy pomagali uciekającym Niemcom. Jednak nie to jest istotą zjawiska, które chciałem opisać.

Legends, mity i niewiedza

Wypowiedzi polskich polityków i reakcje części prasy po przemówieniu ministra Bartoszewskiego w Bonn dowodzą, że polska opinia publiczna nadal ma trudności z oceną wypędzenia Niemców. Nic dziwnego – nieskrępowana dyskusja o tym jest możliwa dopiero od kilku lat. Wypędzenie jako zjawisko historyczne obrastało tymczasem w legendy i mity. Polska część tej legendy używa argumentów o wypędzeniu jako legalnym, humanitarnym transferze, za który odpowiedzialność ponoszą jedynie alianci, i twierdzi, że do wypędzenia doszło wyłącznie po Poczdamie. Niemiecka legenda głosi natomiast, iż los Niemców po wojnie w Polsce jest wstydliwie przemilczanym tabu i że Polacy mają na sumieniu 2 miliony ofiar z lat 1944–1946.

To, że opinia publiczna w Niemczech nie bardzo daje sobie radę z historią wypędzenia, udowodniła książka, która miała się ukazać na początku roku. Została napisana przez amerykańskiego Żyda, który przypadkiem odkrył powojenną historię obozu w Świętochłowicach i fakt, że kierował nim polski Żyd, który stracił całą rodzinę w Auschwitz–Birkenau.

John Sack, autor książki (która niebawem ukaże się w Polsce), przez osiem lat zbierał do niej materiały. Dotarł do byłego komendanta obozu, do innych polskich Żydów, którzy pracowali po wojnie w UB. Chciał napisać żydowski rozrachunek żydowskiej zemsty na Niemcach. Książka jest napisana w dość sensacyjny sposób, Sack obchodzi się niekiedy z historią Polski i Europy Wschodniej jak przysłowiowy słoń w składzie porcelany i popełnia kilka kardynalnych błędów. Z komunistycznej instytucji, jaką było UB, czyni żydowską organizację, nieświadomie wskrzeszając legendę o żydokomunie i stalinizmie jako żydowskim wynalazkiem (tym razem, żeby uciśkać nie Polaków, ale Niemców). W ten sposób zbiór legend o wypędzeniu został uzupełniony o jeszcze jedną: wypędzenie jako żydowska zemsta na Niemcach.

Dyskusja o tej książce była ostra – Sackowi zarzucano antysemityzm. Prestiżowe wydawnictwo, które pierwotnie chciało książkę wydać, wycofało się z tego zamiaru, nie twierdząc, że rzecz jest zła, lecz nie chcąc „stwarzać wrażenia, że holocaust mógłby być z czymkolwiek po-

równywany“. O holocauście jest mowa w książce Sacka, ale nie jest on jej tematem. Autor cytuje ludzi mówiących o „holocauście na Niemcach“, ale dystansuje się w stosunku do takich twierdzeń. Uzasadnienie wydawnictwa sprowadza się więc do tego, że pisanie o innych zbrodniach automatycznie staje się bagatelizowanie holocaustu. Jak widać, blokady w myśleniu nie ustały razem ze zniesieniem cenzury, istnieją nawet tam, gdzie cenzury nigdy nie było.

Kiedy niemiecki kanclerz uklęknął przed pomnikiem getta, a niemiecki prezydent przeprosił za stłumienie powstania warszawskiego, obydwaj dobrze wiedzieli, za co przepraszają. Nie było żadnych niejasności. A gdyby jakiś polski polityk postanowił dziś przeprosić za wypędzenie, to czy Polacy i Niemcy wiedzieliby, za co przeprasza?

„Rzeczpospolita“, 23 lipca 1995

Zbrodnia i odpowiedzialność

Retoryczne pytanie zadane przez pana Klausa Bachmanna („Rz“ 22–23 lipca br.) oddaje istotę całej sprawy: „Gdyby jakiś polski polityk postanowił dziś przeprosić za wypędzenie, to czy Polacy i Niemcy wiedzieliby za co przeprasza?“ Odpowiedź wciąż brzmi jednoznacznie: Nie. Do tego nie jesteśmy jeszcze, ani Niemcy, ani Polacy, gotowi, gdyż w tej ważnej i bolesnej sprawie narosło wiele, jak stwierdza wielokrotnie pan Bachmann, nieprzewyciężonych nieporozumień. Bo już teraz warto mówić nie tylko o białych plamach, ale przede wszystkim o nieporozumieniach. Kolejnym przykładem mnożenie tych nieporozumień wydaje mi się właśnie... artykuł Klausa Bachmanna.

Czytałem ten tekst z sympatią. Jest to jakaś rzetelna próba podjęcia rozmowy i porozumienia. Pan Bachmann używa często określeń ostrożnych w obawie, aby nie urazić do brze mu znanej polskiej wrażliwości. Bardzo trafne i wzbogacające naszą wiedzę o problemie jest ilustrowanie faktu politycznej instrumentalizacji tragedii wypędzenia i to po obu stronach, a także wewnątrz niemieckiej sceny politycznej. Do czego to miało służyć: aby zwalczać komunizm, aby demaskować rewanżyzm, aby zyskiwać atuty w konfrontacji pomiędzy niemiecką lewicą a prawicą. W tej instrumentalizacji obustronnie bezpardonowo obchodzono się z historią. Takie były reguły w dobie bipolarnego podziału świata. Nikomu w ostateczności nie chodziło o to, aby dotrzeć do prawdy historycznej w całej jej złożoności.

Teraz sytuacja radykalnie się zmieniła. Dramat wypędzenia nie jest narzędziem walki propagandowej, ale przeszkodą w dążeniu do pojednania. W Polsce zostało złamane tabu dotyczące wypędzenia, otwarte są i dostępne wszelkie archiwa.

Lecz obecnie, jak słusznie zauważył autor, natrafiamy na nowe kłopoty, z którymi bez bardzo rzetelnej rozmowy i dialogu nie można sobie poradzić. Już na początku swego artykułu chwyta pan Bachmann byka za rogi i stawia zasadnicze pytanie. Kto odpowiada za wypędzenie? Na to ważne pytanie udziela moim zdaniem błędnej odpowiedzi. Błędnej metodologicznie i w rezultacie merytorycznie. Odpowiedzialność za wypędzenie autor dzieli na trzy fazy. Na fazę pierwszą, ucieczki przed nacierającymi wojskami radzieckimi, za której skutki odpowiadają władze hitlerowskie; fazę drugą, zbrodni i gwałtów popełnionych w toku działań wojennych, co obciąża Armię Czerwoną, i fazę trzecią, po konferencji poczdamskiej, za którą odpowiedzialność ponoszą władze polskie. Następnie autor precyzuje bliżej odpowiedzialność strony polskiej, przypominając okres „dzikich wysiedleń“ przed Poczdamem, napady band szabrowników na transporty, przestępstwa popełniane w obozach przesiedleńczych.

Trzy poziomy odpowiedzialności

Otóż moim zdaniem, należałoby mówić o trzech poziomach odpowiedzialności. Poziom pierwszy, to odpowiedzialność sprawcza, która obciąża Trzecią Rzeszę. Mówił o tym w swym propagandowym wystąpieniu w Bundestagu 1 lipca 1995 r. kanclerz Helmut Kohl, stwierdzając wyraźnie, że wina za wypędzenie Niemców spada na reżim hitlerowski. Chodziło przecież nie tylko o spóźnioną i chaotycznie przeprowadzoną ewakuację ludności. Wywołanie wojny, rozbiór Polski i okupacja wielu innych krajów, napad na niedawnego sojusznika radzieckiego stworzyły sytuację wojskową i polityczną, która okazała się nieodwracalna. Mapy Europy nie można było odtworzyć w dawnych granicach wersalskich. Związek Radziecki stał się ważnym aliantem koalicji antyhitlerowskiej, działania Armii Czerwonej decydowały o zwycięskich walkach na lądzie. To były realia wielkiej wojny, która decydowała o przyszłym kształcie Europy, a także o decyzjach podjętych w Jałcie. Nie można też było sobie wyobrazić, aby Polska, która pierwsza

przeciwstawiła się agresorowi hitlerowskiemu, wyszła z tej wojny w postaci okrojonego kadłuba, niezdolnego do samodzielnej egzystencji.

Już w 1942 i 1943 roku Anglicy domagali się terytorialnej rekompensaty dla Polski kosztem Niemiec, przy czym rekompensata ta musiała być związana z wysiedleniem ludności niemieckiej, gdyż bez tego nie miałyby trwałego znaczenia. Stalin poparł i rozwinął te projekty później, wtedy mianowicie gdy miał realną szansę uzależnienia powojennej Polski. Jednak za fakt wysiedlenia czy wypędzenia Niemców ze wschodnich prowincji Rzeszy odpowiedzialność sprawczą ponosi hitleryzm. Jest to punkt wyjścia i podstawa do dialogu dotyczącego odpowiedzialności za tę tragedię.

Drugi poziom odpowiedzialności dotyczy decyzji podjętych w Jałcie i Poczdamie. Tę odpowiedzialność decyzyjną przyjęli na siebie alianci. Czy odpowiedzialność decyzyjna jest równoznaczna z winą? Sprawa nie jest dla mnie wcale oczywista.. Nikt nie odpowiedział na pytanie, jaką inną decyzję miałyby podjąć zwycięskie mocarstwa, chyba że alternatywą byłoby przyjęcie takiego rozwiązania, w którym głównym przegranym stałyby się nie Niemcy, ale okrojona Polska. Czym innym jeszcze było uzależnienie Polski od Związku Radzieckiego, ale to odbyło się – formalnie przynajmniej – wbrew decyzjom i zobowiązaniom jałtańskim.

Trzeci poziom, to odpowiedzialność wykonawcza, która obciąża stronę polską. I to nie tylko ówczesną administrację komunistyczną. Ani boleśnie rozdarte i doświadczone tragedią wojenną i powojenną społeczeństwo, ani rządy polskie w Londynie akurat wypędzenia Niemców nie kwestionowały.

Karta historii się odwraca

Były to straszne czasy. Po stłumieniu powstania warszawskiego, systematycznym burzeniu Warszawy, wykryciu zbrodni popełnionych w Majdanku, Oświęcimiu i innych obozach obciążano zbiorową odpowiedzialnością wszystkich Niemców. Obecnie jednak w pięćdziesiąt lat później potrzebne jest śmiało zmierzenie się także z tą prawdą, że ofiary mogą przemienić się też w katów, gdy karta historii się odwróci. Młode „trzecie“ pokolenie polskich historyków sięga śmiało do tych nowo otwartych źródeł i materiałów, bada je i ujawnia, gdyż trzeba wiedzieć wszystko o własnej historii.

I znów nie mogę się zgodzić z uproszczonym, proponowanym przez Klausa Bachmanna podziałem na dwie perspektywy historyczne: perspektywę ofiar i perspektywę sprawców. Profesjonalni historycy wiedzą doskonale, że relacje ofiar są źródłem historycznym o ograniczonej wartości. Historycy niemieccy do niedawna do innych źródeł nie mieli dostępu. Natomiast ogromna dokumentacja źródłowa udostępniona od niedawna także niemieckim badaczom nie jest „perspektywą sprawców“. Dokumenty te pisane były wówczas nie dla prasy i nie dla historyków. Nawet wstępne i bardzo jeszcze ilościowo ograniczone zapoznanie się z częścią dokumentów ujawnia przecież mechanizmy całego procesu, przebieg podejmowania na różnych szczeblach decyzji, powstające wokół tego konflikty, różnice interesów. Niektóre z tych dokumentów nie mniej obciążają ludzi odpowiedzialnych niż drastyczne relacje ofiar, które po prostu całego tego młyna nie znały i nie pojmowały.

Historii nie zmienimy

Ostatnia wreszcie i najtrudniejsza sprawa, w której chciałbym podjąć polemikę z Klausem Bachmannem. Nie na tym polega już obecnie główna trudność i główny dylemat dialogu o wypędzeniu, że „polscy politycy i publicyści uporczywie odrzucają wszelką odpowiedzialność strony polskiej“. To się już zmieniło, czego publicznym wyrazem było przemówienie ministra Bartoszewskiego w Bundestagu. Narasta świadomość tego, że uczciwe mówienie

o rzeczywistym przebiegu wydarzeń sprzed pół wieku jest niezbędne, aby się wzajemnie zrozumieć. Istnieją w tej dziedzinie oczywiście opory społeczne, ale liczne listy i wypowiedzi świadczą o tym, że nie ma sprzeciwu wobec ujawnienia wszelkich faktów w całej ich złożoności.

Trudność polega jednak wciąż na tym, jak zakwalifikować ową odpowiedzialność. Wielki polski moralista i polityk, bardziej przecież moralista niż polityk, Jan Józef Lipski, którego miałem zaszczyt uważać za przyjaciela, napisał o wypędzeniu w swym szeroko znanym w Niemczech esaju *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*: Zło pozostaje złem nawet wówczas, gdy jest to zło konieczne. I w tym właśnie tkwi trudność. Lata 1945–1947 były największą wędrówką ludów w czasach współczesnych w Europie. Miliony polskich wysiedlonych i uciekinierów wracały ze wschodu, setki tysięcy bezdomnych i obdartych opuszczały obozy i kierowały się na zachód. Wobec bezbronnej ludności niemieckiej wyganianej z miast i osiedli popełniane były liczne godne potępienia zbrodnie, o których trzeba mówić do końca i bez ogródek. Ale czy sam fakt przymusowego wysiedlenia był zbrodnią, czy tylko złem koniecznym, jak to określa Jan Józef Lipski?

Nie oczekuję od pana Klausa Bachmanna łatwej odpowiedzi, chociaż jego artykuł świadczy o tym, że jest partnerem otwartym na trudne problemy wynikające z dialogu. Prezydent Roman Herzog przypomniał, że historii nie zmienimy i należy ją przyjąć w jej całokształcie. Historii nie zmienimy, ale należy zrozumieć jej dramat. Negatywne skutki tego dramatu przezwyciężymy jednak wówczas, gdy nie stanie się dla młodych Polaków i Niemców zawadą do szukania wspólnej drogi.

„Rzeczpospolita“, 26 lipca 1995

Porozmawiajmy bez kompleksów

Czy Polacy są gotowi do szczerzej dyskusji na temat wypędzenia Niemców z Polski po II wojnie światowej i czy potrafią uznać własne przewinienia popełnione w trakcie przeprowadzania tej operacji?

Ostrożność nakazuje przyjąć, że zanim padnie odpowiedź, najpierw pojawią się wątpliwości i kolejne pytania: po co ta dyskusja, skoro obydwa państwa łączą dobre stosunki, a drażliwe tematy mogłyby je ochłodzić? A jeśli już, to dlaczego „wypędzeni“, zamiast „przesiedleni“ lub „wysiedleni“?

Zastrzeżenia do terminologii

Zastrzeżenia do terminologii zgłaszają, obok szerszych kręgów opinii publicznej, także niektórzy historycy, socjologowie i politycy. Pojęciem „wysiedleni“ określa się Polaków z Wielkopolski – nazwanej przez okupanta *Warthegau* – których Niemcy zmusili do opuszczenia swego miejsca zamieszkania już w pierwszych miesiącach wojny. Wysiedleni to także wiele setek tysięcy Polaków wywiezionych w głąb Rosji po podpisaniu przez Niemcy i Związek Radziecki paktu Ribbentrop–Mołotow. Wreszcie, zaraz po zakończeniu wojny, rozpoczęła się gehenna Polaków wysiedlanych z rodzinnych domostw na polskich ziemiach wschodnich, z terenów które za zgodą Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych zaanektował Związek Radziecki (stanowiły one 48 proc. terytorium Polski sprzed 1939 roku). Przyczyną tych praktyk była wszczerpa przez Niemcy II wojna światowa.

Historycy twierdzą, że niemiecka polityka wysiedlania dotknęła siedmiu milionów Polaków (*Generalplan Ost* przewidywał 85 proc., to znaczy od 20 do 24 milionów). Wobec żadnej z tych niemieckich akcji Polacy nie używają i nie używali pojęcia „wypędzeni“. Dlaczego zatem wysiedlenie Niemców z terenów przyznanych Polsce, jako rekompensatę za utracone na rzecz ZSRR obszary (nie równoważyła one polskich strat terytorialnych), nazywać wypędzeniem?

W dyskusji panelowej w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej ksiądz Waldemar Chrostowski powiedział wręcz: „Używanie słowa 'wypędzeni' przez Polaków, bez odpowiedniego wyjaśnienia, jest wysoce niebezpieczne. Wypędzeni bowiem zakładają automatycznie (pojęcie – red.) wypędzających. Wypędzającymi są – rzecz jasna – w świadomości większości Niemców – tylko i wyłącznie Polacy“. Ale, pyta ksiądz Chrostowski: W jakim stopniu przesunięcie na zachód (*Westverschiebung*) dokonało się z udziałem Polski? O przesunięciu granic Polski i Niemiec, jak również o transferze ludności niemieckiej i polskiej na zachód nie decydowali Polacy. Uczyniono to za plecami Polaków w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Przyznajmy jednak, że decyzję tę Polacy zaakceptowali. Takie rozwiązanie wydawało się jedynym logicznym zakończeniem kolejnego dramatu – okrojenia obszaru Polski i przesunięcia państwa na zachód.

Historiozof Piotr Madajczyk uważa, że pojęcie „wypędzenie“ jest nie do przyjęcia dla określenia zjawisk historycznych jest natomiast na miejscu, kiedy mowa o odpowiedzialności moralno-historycznej.

Użycie w traktacie granicznym podpisanym pomiędzy Polską a RFN, słowa „wypędzenie“ wywołujące przez dziesięciolecia niechęć w Polsce, na równi z pojęciem „wysiedlenie“, jest – na co zwraca uwagę Artur Hajnicz – wyrazem traktowania obydwu pojęć jako przejawu „wspólnego cierpienia i wspólnej niedoli będącej ostrzeżeniem, a zarazem wezwaniem do kształtowania dobrych stosunków na przyszłość“. Jest to celne wyjaśnienie, ponieważ obydwa traktaty, a szczególnie traktat graniczny, pozbawiły sensu dotychczasową frazeologię roszczeniową niemieckich ziomkostw. Jest jednak w pewnym sensie także relatywizowaniem cierpienia

i zamazywaniem odpowiedzialności sprawczej, do której Hajnicz przywiązuje przecież tak wielką wagę.

Kłopoty z objaśnieniem własnego dramatu

Dla znacznej liczby Niemców wypędzonych, którą szacuje się na osiem do dziesięciu milionów – Wolfgang Schaeuble, czołowy polityk niemiecki, przewodniczący frakcji CDU/CSU w Bundestagu, mówi nawet o dwunastu milionach – II wojna światowa kojarzy się wyłącznie z krzywdą, jaką było wysiedlenie i z niewątpliwymi cierpieniami, jakich doznali w trakcie jego przeprowadzania. Większość z nich ignoruje związek pomiędzy przyczyną a skutkiem. Tymczasem związek pomiędzy brutalną wojną – wywołaną przez ich państwo, z ich wyboru i z ich przyzwolenia (udzielili go Adolfowi Hitlerowi w 1933 roku) – a ich osobistym przypadkiem jest oczywisty. Nie dostrzegając go, nie potrafią objaśnić swojego dramatu. Nie widzą też związku pomiędzy swoim losem a tym, czego nie uczynili w momencie – jeśli taki był – w którym się zorientowali, że uczestniczą w masowej zbrodni III Rzeszy wobec wielu narodów.

Dlatego, sądzę, istnieją względy, które przemawiają za tym, aby nie kwestionować pojęcia „wypędzeni“. I to z kilku powodów.

Suma okrucieństw i zła wyrządzona przez III Rzeszę 50 milionom ludzi, którzy zginęli, a także wszystkim którym udało się przeżyć, była tak niewyobrażalnie wielka, że ani w czasie wojny, ani następnego dnia po wojnie nie odróżniano dobrego Niemca od Niemca mordercy i kata. Odraza, jaką wzbudziło postępowanie nazistów w świecie, była tak silna, że kiedy skończyła się wojna, podstawą represji wobec Niemców stała się ich przynależność narodowa. Specyfika ich sytuacji, w porównaniu z wysiedloną ludnością innych narodowości, polegała na tym, że otaczał ich szczelny mur niechęci i obojętności. Zaś taki stan emocjonalny otoczenia narażał często na cierpienia ponad miarę wielu niewinnych spośród wysiedlanych. Wszak byli i tacy, którzy starali się zmniejszyć cierpienia nie-Niemców w latach okupacji, a potem musieli dźwigać ciężar niezawinionych zbrodni, często za tych, którzy zdążyli ujść, zanim zbliżył się front.

I chociaż decyzja o wysiedleniu Niemców nie była aktem zemsty, ale wynikała z logiki wojny oraz chęci uniknięcia w przyszłości sytuacji, w której mniejszość niemiecka mogłaby znów odegrać podobną rolę do tej, jakiej się podjęła w 1939 roku (V kolumna), wysiedlona ludność sama siebie nazwała wypędzonymi. Kiedyś, być może ze względów politycznych, ale dziś za tą terminologią przemawiają inne argumenty.

Słowo to prowokuje bowiem do pytania: dlaczego? Dlaczego Niemców wypędzono?

Pytanie to powinny sobie zadawać szczególnie młode pokolenia Niemców. Aby jednak uczciwie i spokojnie odpowiedzieć na nie, będą musiały zapoznać się z własną historią. Będą musiały dojrzeć łańcuch przyczynowo-skutkowy pomiędzy pojedynczym losem kilku milionów ich rodaków a niechlubnymi dziejami ich państwa i narodu. Będą – miejmy nadzieję – pamiętały o tym, aby w przyszłości nie utracić zdobytego zaufania międzynarodowej społeczności. Znaczenie tego faktu rozumiał wielki Niemiec Konrad Adenauer i docenia je Helmut Kohl.

Jest też inny powód, który przemawia za tym, by słowo „wypędzeni“ pozostało i było używane także przez Polaków.

Przeostroga nie tylko dla Niemców

W tym przypadku chodzi o przeostroge nie tylko dla Niemców, ale dla państw, które wszczynają wojny, dopuszczają się okrucieństw i gwałcą prawo.

Znawcy przedmiotu zwracają uwagę, że w wojnie totalnej decyduje nie prawo, a siła. Decyduje wynik gigantycznych, krwawych zmagania. Takie właśnie reguły gry narzuciła uczestnikom

wojny III Rzesza. A o wynikach takiej wojny już nie decyduje prawo. Zostało ono – podkreśla Hajnicz – „na samym początku wojny pogwałcone i zniweczone, a istniejący porządek międzynarodowy zrujnowany“.

Sytuacja ta sprawiła, że także normy moralne przestały cokolwiek znaczyć. Setki Polaków, podatnych na powojenną demoralizację, cynicznie przystąpiły do zbierania żniwa, wykorzystując przymusowe położenie przegranych. Byli i tacy, którzy przyjęli ustalone przez nazistów reguły postępowania, znane z własnego doświadczenia z obozów koncentracyjnych i obozów śmierci. Z takich środowisk rekrutowali się niekiedy kierownicy obozów dla niemieckich przesiedleńców. Niektórzy z nich dopuścili się ciężkich zbrodni.

Jednak ich przewiny należy oddzielić od grabieży, gwałtów i zbrodni, których dopuścili się radzieckie władze wojskowe na Niemczech jeszcze przed konferencją w Poczdamie, w miarę jak poszczególne fronty wyzwały ogarnięte wojną tereny. Nie należy ich także łączyć z przestępstwami pracowników Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Nie o analogie pomiędzy narodowym socjalizmem i stalinizmem chodzi. Jakkolwiek nie da się zaprzeczyć, że istnieje związek pomiędzy sposobem traktowania ludności niemieckiej w początkowej fazie wysiedleń, za które odpowiedzialne były wojskowe, a jego późniejszą fazą za którą, odpowiadała polska administracja. Przykłady były bowiem zaraźliwe. Pomijam jeszcze wcześniejsze, tragiczne w skutkach decyzje nazistowskich władz o ewakuacji rodaków w czasie srożej zimy 1944/1945 i o nie mniej tragicznych ucieczkach Niemców w obawie przed zbliżającym się frontem.

Oczywiście wszystkie te szczegóły, które składają się na osobisty dramat niemieckich losów, są ważne. Jednak w przypadku, o którym mówimy, chodzi o skutki demoralizacji w bardziej potocznym rozumieniu. Wiernie oddaje tę kwestię cytat z listu kombatanta, zaczerpnięty z publikacji Marii Podlasek. Ów kombatant pisze między innymi: „...przyznam, że z trudem opierałem się temu, by nie stosować wobec wrogów metod identycznych ze stosowanymi przez nich. Zbrodnia wojenna jest zaraźliwa i dotyka swoimi motywami pokonanych, gdy mają okazję do rewanżu“.

Tak więc łamanie praw, gwałt i wiarołomstwo mogą sprawić, że wczorajsza ofiara przemieni się w kata. Wyzwała bowiem siły, które potem trudno powstrzymać. O to, by się takim siłom przeciwstawić, apelowali do ówczesnych władz administracyjnych Polacy, którzy nie poddali się atmosferze tamtych czasów. Bernadetta Nistchke z Zielonej Góry przytacza w swoim opracowaniu następującą opinię: „...na tle zdziczenia wojennego można zrozumieć nastroje społeczeństwa, wyładowujące się tutaj w realizacji prawa odwetu, rzeczą czynników państwowych i społecznych jest załatwienie tych spraw w sposób nie stawiający nas na równi z niemieckimi barbarzyńcami“.

To oczywiście, że największa niesprawiedliwość nie tłumaczy niesprawiedliwości, nawet najmniejszej. Jednak tego rodzaju przypadki pomagają poznać siebie samych: Polakom – Polaków, Niemcom – Niemców. I poznanie tej prawdy to także wzgląd, dla którego warto znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego niemieccy wysiedleńcy nazwali siebie wypędzonymi.

Jest i kolejny powód, by przyjąć taką właśnie terminologię. Tym razem chodzi o zasadę, która miała –jak mówią historycy – wyróżniać cywilizowany wiek XX od czasów bardziej barbarzyńskich. Chodzi o prawo każdego narodu do stanowienia o sobie. Wedle tego prawa najbardziej humanitarnym sposobem zadośćuczynienia szczytnej zasadzie ochrony narodów i mniejszości narodowych było przesiedlanie i wymiana ludności. Takich zabiegów dokonywano na wielu narodach. Ich podstawą były umowy międzynarodowe, które realizowano pod auspicjami Ligi Narodów, organizacji pełniącej po pierwszej wojnie światowej rolę dzisiejszej ONZ.

Tak więc wysiedlenia (jednostronne działanie państwa) i przesiedlenia (za porozumieniem stron), cokolwiek byśmy o tych praktykach powiedzieli, nie były one wynalazkiem aliantów w Poczdamie ani ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthony Edena, który już

w roku 1942 sugerował transfer ludności polskiej i niemieckiej, aby zaspokoić żądania dopiero co pozyskanego sojusznika – Stalina. Dopiero wiele lat po II wojnie światowej transfer ludności uznano za praktykę niehumanitarną, niegodną cywilizowanego świata.

Jak więc wytłumaczyć fakt, że wypędzeni oraz niektórzy historycy niemieccy stosują dzisiejsze miary do czasów i do sytuacji, kiedy obowiązywały zgoła inne zasady?

Różnice poglądów

Różnica w spojrzeniu Polaków i Niemców na kwestię wypędzenia wskazuje na potrzebę rzetelnego osądu tego problemu przez obie strony. Osądu rzeczy zawinionych przez Polaków, ale też odpowiedzialności sprawczej Niemców. Przede wszystkim jednak odróżnienia tego, co było przestępstwem od tego, co było złem.

Ukształtowanie w powojennych latach niemal powszechne przekonanie Niemców o tym, że Polska i Polacy ponoszą główną odpowiedzialność za krzywdy przesiedlenia, trudno podtrzymać.

W RFN toczy się – wzmocniona 50 rocznicą II wojny światowej – debata o wybór i ocenę zdarzeń historycznych, które mają kształtować nową świadomość narodową zjednoczonych Niemiec. Polscy specjaliści twierdzą, że już najwyższy czas, by bez przemilczeń i upiększeń włączyć się w tocząca debata. Chodzi o to, aby współuczestniczyć w kształtowaniu tej części świadomości, która dotyczy wzajemnych stosunków polsko-niemieckich. Również z tego względu od dyskusji na temat wypędzonych nie ma ucieczki.

Włączając się do debaty Polacy i Niemcy będą dyskutować przede wszystkim o sobie. W przypadku polskim będzie to rozmowa o tym, że Polacy nie zawsze byli tylko ofiarami walczącymi z wrogiem o przetrwanie. Że wyrządzali również zło, przyczyniając się w ten sposób do cierpień i krzywd, jakich doznali wypędzeni Niemcy.

Dyskusja na ten temat już się w Polsce toczy, choć nie bez oporu, ponieważ nie łatwo jest przyjąć do wiadomości fakt, że ówczesne Niemcy nie miały monopolu na zło.

Wyjściem z tego zakłętą kręgu jest zbadanie i przedstawienie źródeł, dotarcie do złożonej prawdy o tamtych latach. Problematyka wypędzenia, ze względów politycznych zaniedbana w Polsce od lat, dopiero teraz ma szansę na rzetelne zbadanie. Podobna sytuacja jest w Niemczech, z tą tylko różnicą, że tu z kolei istnieje olbrzymia, ale często inspirowana i wykorzystywana do celów politycznych literatura pamiątkarska z lat przed zjednoczeniem Niemiec.

Przeciw własnemu sojusznikowi

Zdają sobie z tego sprawę Polacy i Niemcy, którym dialog i wzajemne stosunki leżą na sercu. O tym, że nie jest to wyłącznie retoryczny zwrot, świadczy projekt wspólnego i wyczerpującego przedstawienia „Kompleksu wypędzenia“ przez Ośrodek Studiów Międzynarodowych (usunięty z Senatu) oraz niemiecką Ost-Akademie w Lueneburgu. Przed kilkoma dniami ukazał się zeszyt specjalny Fundacji Polska w Europie pod tytułem *Polska–Niemcy – kompleks wypędzenia. Nawiązanie dialogu*. Zawiera on stanowisko polskich politologów i historyków, przedstawione na pierwszym spotkaniu w Lueneburgu. Kolejne spotkanie odbędzie się w Warszawie.

Opracowanie to porządkuje w znacznym stopniu problem. Zawiera też pod wieloma względami wręcz zdumiewający materiał źródłowy. Choćby opracowanie Bernadetty Nitschke o liczbach i o losie ludności polskiej osadzonej razem z Niemcami w specjalnych obozach pracy i dawnych obozach koncentracyjnych, takich jak Oświęcim. Wręcz sensacyjne jest opracowanie

Jana Misztala z Gliwic. Zawiera ono dane źródłowe ilustrujące trudności, jakie na ziemiach zachodnich i północnych napotykały polskie władze wojskowe i administracyjne ze strony swego sojusznika, to znaczy przedstawiciele władz radzieckich i nierzadko lokalnych władz...niemieckich, wiele miesięcy po konferencji w Poczdamie, bo w 1946 roku. Kwestię tę dobitnie ilustruje następujący fragment listu wysłanego do marszałków Związku Radzieckiego, generałów Georgija Żukowa i Konstantego Rokossowskiego, oraz ambasadora ZSRR w Warszawie Wiktora Lebidiewa: „Postępowanie niektórych jednostek Armii Czerwonej, dopuszczających się wobec ludności polskiej gwałtów, grabieży i zabójstw, utrudnia akcję polską na terenach Ziem Odzyskanych, a proniemiecka polityka niektórych komendantów wojennych potęguje jeszcze trudności...“.

Po szerokiej fali „gwałtów, grabieży i zabójstw“ dokonanych na niemieckiej ludności przez radzieckie władze wojskowe i władze bezpieczeństwa w pierwszej fazie wysiedleń nastąpił zwrot w stosunku do ludności niemieckiej, nie do końca jeszcze wyjaśniony. Polscy historycy przytaczają wiele źródeł, które o zmianie stosunku władz radzieckich wobec Niemców, niekoniernie komunistów, świadczą jednoznacznie. Przytoczony fragment listu także wyraźnie kwestię tę sygnalizuje, a jest w najwyższym stopniu wiarygodny. Jego autorem jest Władysław Gomułka, ówczesny wicepremier i minister ziem odzyskanych.

Truizm, iż skrupulatne badania źródłowe skorygują jeszcze niejedno przekonanie i wyobrażenie Polaków i Niemców o kwestii wypędzenia ludności niemieckiej w czasie II wojny światowej, jest w tym przypadku zupełnie na miejscu.

„Rzeczpospolita“, 29–30 lipca 1995

Kazimierz Wóycicki

Przesunięcie ku Zachodowi

Wypędzenie Niemców i Polaków z historycznych ziem na wschodzie i kresach stworzyło całkiem nową sytuację geopolityczną. Przede wszystkim dla Polski, ale również dla Niemiec. Zadeklarowana polsko-niemiecka wspólnota interesów nie jest jedynie rezultatem przełomu, jaki dokonał się w roku 1989. Jej ukryte korzenie tkwią w historii końca II wojny.

Dlatego nie uważam pytania, „Czy Polacy potrafią uznać własne przewinienia związane z wypędzeniem?“, jakie pada w dyskusji, za pierwszorzędne, choć poznanie przez ogół Polaków pełnej prawdy o wypędzeniu Niemców, dokonanych wówczas zbrodniach i przestępstwach jest z pewnością konieczne. Wymaga to jeszcze wiele pracy i zapewne napotka niejedną blokadę emocjonalną. Chcę, aby było jasne, że nie mam nic przeciwko temu, aby również z polskiej strony padały prośby o wybaczenie, tego bowiem wymaga każde moralne pojednanie, którego wzory tkwią w Ewangelii i chrześcijaństwie. Wielu Niemców ma też przekonać się, że wśród Polaków jest znacznie więcej zrozumienia i współczucia dla losów niemieckich wypędzonych, niż się spodziewają. Polacy zaś mogą dostrzec w wielu wypędzonych gorących orędowników zbliżenia z Polską, wbrew stereotypom jeszcze sprzed paru lat. Istota dyskusji o pojednaniu tkwi jednak gdzie indziej i nie byłoby dobrze ograniczać jej do moralnych gestów, niezależnie od tego jak są ważne i wciąż potrzebne.

Istotą dyskusji jest ukazanie zjawiska o dziejowym znaczeniu, jakim jest przesunięcie wskutek wypędzenia, obu społeczeństw na Zachód – z wszystkimi tego politycznymi, cywilizacyjnymi i duchowymi konsekwencjami. To przesunięcie ma zasadnicze znaczenie zarówno dla Polaków, jak i dla Niemców. Bez niego trudno zrozumieć historyczne przyczyny fundamentalnej zmiany europejskiej geopolityki.

Próba tworzenia polityki bez pogłębionego zrozumienia historii jest najczęściej skazana na niepowodzenie. Politykę na bieżąco określają rządy, w dłuższych jednak okresach ujawnia się polityczne oddziaływanie kultury (lub jej braku), czyli powszechniejszych przekonań tkwiących w ludzkich umysłach i emocjach.

Przełom w polsko-niemieckich stosunkach po roku 1989 jest dziełem polityków dobrej woli, wciąż jednak potrzeba bardzo intensywnej pracy, aby mógł się on utrwalić i rozwinąć.

Paradoks historii

Sam spór o termin „wypędzenie“ uważam dziś za stratę czasu. Strona polska uznała ten termin oficjalnie, skoro używa się go w polsko-niemieckim traktacie granicznym. Jeżeli przytacza się argument, że wobec wysiedleń Polaków z kresów nie stosuje się terminu wypędzenia, można na to jedynie odpowiedzieć, iż jest to rezultat działania politycznej cenzury komunistycznego reżimu. Wobec tragedii wypędzenia Polaków stosowano kłamliwy i haniebny eufemizm „repatriacja“. Nadszedł czas, aby sprawy nazywać po imieniu i rezygnować z terminologii historiografii PRL-owskiej, w wyjątkowym stopniu fałszującej dzieje tego okresu.

Najtrudniejszym punktem jest więc nie terminologia i nawet nie ciężkie dla Polaków przyznanie, że również ich rodacy popełniali zbrodnie. Najistotniejsze jest zrozumienie tego paradoksu historii, który sprawia, że przesłanki całkiem nowego ułożenia stosunków polsko-niemieckich powstają w momencie historycznym, który zdaje się najlepiej potwierdzać przekonanie o odwiecznej polsko-niemieckiej wrogości. Analizy tego historycznego momentu nie moż-

na dzisiaj pominąć, jeśli nie chce się opacznie zredukować wspólnoty interesów obu krajów do wymiarów wyłącznie ekonomicznych.

Przesunięcie ku Zachodowi dokonało się w wyniku przesiedleń milionów Polaków i Niemców, którzy w brutalny sposób byli usuwani z własnej ojcowizny. Wojna i wywołane nią znieczulenie moralne powodowały, że operacja taka w ogóle była możliwa. Należy oczywiście rozważać kwestie odpowiedzialności za taki stan rzeczy – za początek wojny, popełnione w jej trakcie okrucieństwa, zbrodnicze idee, jakimi podżegano, itd. Kategorie prawa i międzynarodowoprawne, na które w swych przenikliwych analizach wskazuje Artur Hajnicz, są konieczne, abyśmy nie pogubili się w gąszczu problemów moralnych, jakie stwarza ta epoka. Nie zmieni to jednak tragicznych losów ludzi, niezależnie od tego, jaką odpowiedzialnością obarczymy zbiorowość, do której należą.

Jedno zaś jest niewątpliwe. Bez przesunięcia ku Zachodowi Niemiec i Polski (a więc podwójnego wypędzenia) dzieje Europy w drugiej połowie XX wieku potoczyłyby się z największym prawdopodobieństwem zupełnie inaczej. Polska w granicach z 1939 r. czy NRD na obszarze całych dawnych środkowych i wschodnich Niemiec byłyby tworami politycznymi o zupełnie innym znaczeniu. Próżno spekulować, jak potoczyłyby się wydarzenia, z pewnością byłaby to inna historia niż ta, jaka się stała naszym przeznaczeniem. Wypędzenia Polaków z kresów nie należy też w żadnym razie przeciwstawiać wypędzeniu Niemców. Jedno drugiego w żaden sposób w sensie moralnym i ludzkim nie usprawiedliwia. Można jedynie zrozumieć logikę polityczno-historycznego procesu, który rozpoczął się wraz z paktem Ribbentrop–Mołotow.

Stalin przechytrzony

W roku 1945 można było sądzić, że darowanie Polsce przez Stalina ziem od wieków niemieckich uzależni ją na zawsze od Kremla. Nasz kraj zdawał się wtedy jak nigdy dawniej związany ze Wschodem. Znaczenie dla Polski przesunięcia na Zachód trudno było zatem docenić, całkiem odwrotnie jak stało się to w bońskiej republice, gdzie zmianę tę od początku uznano za czynnik zasadniczy.

Historia przechytrzyła jednak Stalina. Polska w nowych granicach była w gruncie rzeczy znacznie trudniejszym krajem do manipulowania. Została pozbawiona ogromnej części mniejszości narodowych. Oderwana od ziem, które w naturalny sposób były związane ze Wschodem, tym bardziej musiała zwrócić się ku Zachodowi – mimo wyniszczenia własnej kultury, wymordowania inteligencji a także komunistycznej indoktrynacji. Uzyskanie terytoriów o wysokim standardzie cywilizacyjnym, chociaż bardzo zniszczonych, oraz szeroki dostęp do morza zwracało Polskę w perspektywie dziejowej ku Zachodowi, choć było okupione narodową tragedią.

Tym historycznym procesom towarzyszyło też zniknięcie państwa pruskiego, którego terytorium w większości odziedziczyła Polska. Już wówczas niektórzy, choć były to nieliczne przenikliwe umysły, dostrzegali w tym zasadniczą przesłankę przyszłego przełomu w stosunkach polsko-niemieckich. Byli to między innymi polscy pisarze polityczni, jak Edmund Osmańczyk i Stanisław Stomma.

Nie sposób przypisywać Stalinowi zasług dla polsko-niemieckiego pojednania, jakie stało się możliwe po załamaniu się wybudowanego przez niego imperium. Można jednak powiedzieć, że historia przechytrzyła jego bezwzględność, okrucieństwo i cynizm. Zaledwie po pół wieku Polacy i Niemcy widzą siebie razem na Zachodzie. Idea Zachodu, czyli zjednoczonej i demokratycznej Europy, postrzegana jest po obu stronach Odry jako zasadniczy gwarant bezpieczeństwa, a także zachowania i rozwoju własnej kultury.

Drogi do polsko-niemieckiego zblizenia

Raz jeszcze powtórzę – przełom polityczny może być nie dość trwały, jeśli nie uzupełni go głęboka zmiana we wzajemnym postrzeganiu się, przewyciężenie stereotypów, powstanie nowej wizji wspólnej historii. Polsko-niemiecki traktat graniczny był konieczny i warto pamiętać o jego pięknej preambule. Akty takie mają jednak tym większe znaczenie, gdy idzie za nimi rozwój odpowiedniej kultury.

Dyskusja o wypędzeniu – jaki historyczny wymiar ono posiada – jest właśnie punktem kluczowym dla pogłębienia kultury nowych stosunków polsko-niemieckich. Ocena okresu wojny w kategoriach moralnych jest zarówno w Polsce, jak i w Niemczech w zasadzie podobna. Przyjęcie z jakim spotkało się przemówienie ministra Bartoszewskiego na forum Bundestagu, jest jednym z dobitnych tego dowodów. Historia II wojny światowej musi być oczywiście tematem nieustannej dyskusji, ale to okres bezpośrednio powojenny kryje w sobie te komplikacje psychologiczno-dziejowe, które trzeba dziś przeanalizować, aby otworzyć przed Polakami i Niemcami perspektywę nie tylko politycznego czy gospodarczego, ale i kulturalnego zblizenia.

Dla przykładu przywołamy jeszcze jeden aspekt tych złożonych zagadnień. Polacy mają w swoich rękach ogromną część niemieckiego dziedzictwa kulturowego, przynajmniej jeśli chodzi o dorobek kultury materialnej. Jednak i kultura duchowa musi być w jakiś sposób „spolonizowana“, trudno bowiem wyobrazić sobie, aby żyjąc we Wrocławiu czy Szczecinie, zapomnieć o niemieckich przez wieki dziejach ich tych miast. Tu właśnie jest pole gigantycznej pracy dla obu stron, możliwość stworzenia niezwyklej kulturowej symbiozy, której na imię Europa. Ambicje takie, choć zdawałoby się wygórowane, są o tyle konieczne i uzasadnione, że inaczej owo dziedzictwo może się stać przedmiotem przyszłych politycznych manipulacji.

Zadania dla historyków

Ta dyskusja o „dziejowym“ wymiarze musi mieć także konkretny ludzki wymiar. Musi się rozpoczynać rozmową o tym, co działo się bezpośrednio po wojnie. Wszystkie emocje związane z porzuceniem własnego domu i wprowadzeniem się do czyjegoś domu powinny być nazwane, opisane i przeanalizowane. Pisząc otwarcie o wszelkich cierpieniach tamtego okresu, demaskując również okrucieństwa i zbrodnie, winniśmy też szukać „dziesięciu sprawiedliwych“, odnajdywać przykłady współczucia dla bliźnich.

Opis wielkiego procesu dziejowego, jakim jest przesunięcie Polski i Niemiec na Zachód, wraz ze wszystkimi konsekwencjami, jakich dzisiaj doświadczamy, musi być zakorzeniony w opisie losów konkretnych ludzi z tamtego okresu, w opisie wędrówki ze Lwowa pod Wrocław oraz z Wrocławia pod Monachium. Na tym bowiem polega dziejowy paradoks – tragedia milionów ludzi była zasadniczym elementem historycznego procesu, który zadecydował o nowej geopolityce w tym regionie Europy.

Są dzisiaj niezwykle trudne zagadnienia. W dyskusji o tym okresie wciąż szybko sięga się po uproszczenia. Po stronie niemieckiej wyrывa się wypędzenie z kontekstu wojny, po stronie polskiej usprawiedliwia się wszystko jej kontekstem. Stanowi to także pośredni dowód na to, że jest to temat, z którym trzeba się zmagać, jeśli nie chce się dopuścić do groźnych zaniedbań w dialogu polsko-niemieckim.

Kwestia wypędzenia jest więc centrum dialogu, jeśli pojąć go przede wszystkim jako zagadnienie kultury. Pominięcie tej kwestii czy potraktowanie jako mniej ważne stanowiłoby potwierdzenie istnienia tabu, nie zabliźnionej rany, byłoby unikiem, nieumiejętnością uporania się z emocjami tam, gdzie są one nie tyle może najsilniejsze, ile najbardziej zawikłane.

Jeśli chcemy z terminu polsko-niemiecka wspólnota interesów uczynić coś więcej niż ładnie brzmiącą deklarację, to musimy między innymi poznać dobrze epokę lat 1945–1947, i to nie

tylko od strony kronikarskiego zapisu, ale i dziejowego sensu ówczesnych wydarzeń. Jest oczywiste, że wspólna dyskusja o wypędzeniu musi sprowokować wiele przewartościowań – choć bardzo odmiennej natury – zarówno po polskiej, jak i po niemieckiej stronie.

Zmagania z własnym wizerunkiem

Dla Polaków problemem będzie porzucenie przekonania o własnej niewinności wobec historii, postrzegania się wyłącznie jako ofiary, zwolnionej tym samym od odpowiedzialności. Jest to oczywiście niezwykle szeroka kwestia, której powaga i aktualność ujawnia się w Polsce nie tylko i nie przede wszystkim przy okazji dyskusji o postępowaniu wobec Niemców.

Po stronie niemieckiej pojawia się zagadnienie odpowiedzialności nie tylko za same zbrodnie popełniane przez Hitlera, ale również za bardziej długotrwałe skutki wojny, między innymi zniszczenia porządku, który po I wojnie dawał suwerenność większości państw środkowej i południowej Europy, niemieckiego stosunku do Europy Środkowej i do Rosji.

Dyskutując o wypędzeniu, oba społeczeństwa mogą zdobyć konieczną wiedzę o niebywałej – jak okazała historia – współzależności ich losów. Właśnie ta lekcja historii ukazuje nieracjonalność myślenia w kategoriach państw wyłącznie narodowych, nieracjonalność myślenia o historii w obrębie etnicznego mitu, o ludzkim losie w kategoriach plemiennej przynależności – jest przesłanką do pogłębiania idei Europy zjednoczonej.

Polacy i Niemcy najlepiej potwierdziliby, że ich przesunięcie ku Zachodowi, za które zapłacono tak wysoką cenę, nie było daremne, jeśli taką właśnie lekcję wyciągną z mrocznej powojennej epoki, w której wypędzono miliony ludzi z ich domostw i nieświadomie zmieniono geopolityczne zależności tej części kontynentu.

Na zakończenie konieczna jest ostrzegawcza i niewolna od sceptycyzmu uwaga. Do dyskusji poświęconej wypędzeniu nie ma dostatecznego przygotowania. Historycy nie dopełnili jeszcze wielu kronikarskich obowiązków, które powinny poprzedzić pogłębioną dyskusję o wypędzeniu. Niektóre tematy można tutaj wymienić tylko dla przykładu. Nie ma pełnej dokumentacji wypędzenia Polaków z kresów, nie ma syntetycznej dokumentacji zbrodni Armii Radzieckiej popełnianych na ludności zarówno polskiej, jak i niemieckiej w latach 1944–1946, nie ma pełnej oceny zbrodni polskiego stalinizmu, nie napisano historii kłamstwa, jakim była propaganda odwiecznie piastowskich Ziemi Odzyskanych, itd.

Polakom wielką trudność sprawi również to, że nie ma oceny dziejów PRL. Jeśli bowiem traktowanie Niemców nie było właściwe, to powstaje pytanie, w jakim stopniu przypisać to Polakom, w jakim zaś stopniu wyjaśnić działaniem dyktatorskiego i narzuconego Polsce reżimu władzy. Próby wielkiej publicznej debaty nad historią PRL w Polsce nie podjęto i, jak wiadomo, mści się to w bardzo wielu wypadkach.

Rozpoczęta dyskusja jest jednak na tyle ważna, że nie można czekać na uzupełnienie kronikarskich zapisów ani nadrobienia zaniedbań w polskich rozważaniach o historii lat 1944–1989. Zaczęła się ona i należy ją odważnie podjąć, licząc na to, że sprowokuje również do zajęcia się innymi pokrewnymi tematami, które leżą odłogiem.

„Rzeczpospolita“, 3 sierpnia 1995

Głosy czytelników
po artykule Klausa Bachmanna „Przeprzić za wypędzenie?”

Wacław Kruszewski

* * *

Artykuł p. Klausa Bachmanna *Przeprzić za wypędzenie?* („Rzeczpospolita“ nr 169 z dnia 22–23 lipca 1995 r.) wymaga, moim zdaniem, zasadniczego uzupełnienia. Autor, ze zrozumiałych względów, zajmuje się jedynie zagadnieniem przemieszczenia Niemców w okresie powojennym, nie wspominając o masowych wysiedleniach ludności polskiej, w czasie trwania wojny, dokonywanych nie na podstawie ustaleń międzynarodowych, a na mocy zarządzeń niemieckich władz okupacyjnych.

Pierwsze masowe wysiedlenia Polaków objęły Pomorze, Wielkopolskę i Śląsk – tereny włączone do Rzeszy – i zostały podjęte przez Wehrmacht przy współdziałaniu Gestapo jeszcze przed ustaleniem administracji okupanta na zajętych terenach polskich.

Dziś trudno na pewno ustalić liczbę osób objętych tymi wysiedleniami, gdyż Polaków wyrzucano z mieszkań szczególnie lepiej usytuowanych i wyposażonych do innych, gorszych, do obozów koncentracyjnych i przesiedleńczych, a z tych ostatnich na teren tak zwanej Guberni oraz na roboty przymusowe do Niemiec.

Akcje te trwały przez prawie cały okres wojny z różnym natężeniem w poszczególnych miejscach. W Warszawie opróżniano całe dzielnice, tworząc getto lub dzielnicę niemiecką. Na Zamojszczyźnie wysiedlano szereg wiosek, aby przygotować tereny dla niemieckich osadników.

Te wszystkie działania przeprowadzane z dużą brutalnością dotyczyły milionów Polaków przy podjętych przez p. Bachmanna próbach ogólnych rozrachunków z przeszłością powinny być zauważone. Trzeba również pamiętać o atmosferze i poglądach panujących w Europie w końcowych dniach wojny i pierwszych dniach pokoju. Ogrom zbrodni popełnionych przez Niemców powodował, że kanadyjska armia ustawiała na granicy holendersko-niemieckiej tablicę z napisami: „*You are entering to Germany – end of the civilized world*“, a wśród projektów ustalenia losów powojennych Niemiec istniał również plan sekretarza skarbu Stanów Zjednoczonych Henry Morgenthau'a translokacji wszystkich Niemców na Madagaskar.

„Rzeczpospolita“, 10 sierpnia 1995

Władysław Chlebowski
Wrocław

* * *

Czytałem kilka razy subtelny esej p. Klausa Bachmanna i nie zauważyłem jakiegokolwiek wzmianki o tym, co działo się w Polsce pomiędzy Polakami i Niemcami od września 1939 r. do września 1944 r. (wypędzenie przez Niemców mieszkańców Warszawy po klęsce powstania i niemiecka zapowiedź wymazania nazwy miasta z mapy Europy). Mam wrażenie, że p. Bachmann cierpi na amnezję, albowiem tylko w ten sposób mogę wytłumaczyć brak jego wiedzy na temat związku przyczynowego pomiędzy osobistymi tragediami milionów Niemców w latach 1945–1946 i zbrodniami popełnionymi przez miliony Niemców w Polsce i w innych krajach Europy w czasie II wojny światowej. Naród, którego większość dorosłych mężczyzn i kobiet okazała się w 1945 r. zbrodniarzami, teraz, w 1995 r., piórem p. Bachmanna próbuje tworzyć mit wyizolowanej niemieckiej tragedii.

Pana artykuł w „Rzeczypospolitej“ nr 169 (*Przeprosić za wypędzenie?*) mógł zostać zilustrowany znacznie bardziej ekspresyjnym obrazem niemieckiej krzywdy niż opublikowana fotografia wykonana na zlecenie polskich urzędowych agencji prasowo-fotograficznych. Szkoda, że Pan nie wystarał się o bardziej poruszającą fotografię. Mógłbym wtedy w sposób bardziej pogłębiony przedstawić Panu, Panie Bachmann, jak wyglądało pierwsze wypędzenie moich rodziców przez Niemców na początku września 1939 r. Oni bali się już wtedy Wehrmachtu, tak jak Pana rodacy obawiali się Armii Czerwonej w 1945 r. Znad wersalskiej polsko-niemieckiej granicy uciekły w kierunku Warszawy we wrześniu 1939 r. dziesiątki tysięcy rodzin. Miałem wtedy dwa miesiące życia i znam tamte wydarzenia z opowiadań moich krewnych. Czy powie mi Pan, że tamta ucieczka mojej rodziny przed armią niemiecką odbywała się w lepszych warunkach niż exodus rodzin niemieckich zimą 1944/1945? Będzie Pan miał częściowo rację. Zapewne jednak uświadomił Pan sobie, że myśmy wtedy, we wrześniu 1939 r., uciekali w krwawą okupację, a wy w 1945 r. uciekaliście w trudną, ale cywilizowaną rzeczywistość Europy po Poczdamie, w której zwycięscy dali wielkoduszną szansę na dokonanie rehabilitacji za zbrodnie (...).

Moi wypędzeni strachem przed Wehrmachtem rodzice i krewni i krewni wrócili jednak po kilku tygodniach do swojego miasteczka. Podobnie dobrowolnie wracali w 1945 r. Niemcy, na przykład do Szczecina, pod władzę Armii Czerwonej. A więc nie była ona dla nich ucieleśnieniem największego zła, jak Pan sugeruje w swoim artykule. Wkrótce po powrocie moja rodzina przeżyła następne wypędzenie. Do miasteczka moich rodziców (Rydzyna, województwo leszczyńskie) przyjechali okupacyjni urzędnicy niemieccy, którzy zostali zakwaterowani w domach o lepszym standardzie, z których wysiedlono Polaków (...). Fotografia opublikowana z Pana artykułem pokazuje obraz, który przypomina wydarzenia, jakie miały miejsce w 1939 r. oraz później w setkach polskich miast i miasteczek. Niemcy wypędzali Polaków i Żydów z ich mieszkań do gorszych lokali (...). Około dwóch milionów Polaków wypędzono z Polski na roboty przymusowe do Niemiec.

Szanowny Panie Bachmann, co innego znaczy, gdy ktoś przeprosza za jakieś mało ważne wykroczenie, a co innego rozumiemy i czujemy, gdy mówimy, że ktoś prosi o wybaczenie albo powinien prosić o wybaczenie za popełnione przestępstwo. Słowo „przepraszam“ w języku polskim zupełnie nie pasuje do zbrodniczych czynów jednostkowych ani do zbrodni masowych popełnianych przez ludzi od początku dziejów ludzkości. – Pana subtelność filozoficzna i wyczucie językowe zawiodły pana w tej sprawie na całej linii. Jest bowiem wielką niezręcznością językową łączenie słowa „przepraszam“ ze zbrodnią. Słowo „przepraszam“ należy do języka bon tonu, który nie wystarcza do opisu stanu ducha skruszonego zbrodniarza. To brzmiałoby groteskowo, gdyby przestępca przeproszał za swoją zbrodnię. Zbrodniarz powinien błagać

o wybaczenie i pokutować (odbywać karę). Sądzę, że Niemcy po 1945 r. uczynili w tym zakresie dostatecznie dużo i dlatego mocarstwa Narodów Zjednoczonych uznały w 1990 r., że proces moralnego odrodzenia Niemiec został pomyślnie zakończony. Niemcy nie powinny więc w 1995 r. pokutować za zbrodnie z okresu II wojny światowej i prosić o wybaczenie. A tym bardziej nie powinni dywagować, jak to robi p. Bachmann, nad pytaniem: „Czy Polska powinna przeprosić Niemcy za wypędzenie?” To są jałowe i pretensjonalne dywagacje.

Albowiem nie było zbrodni wypędzenia Niemców z Polski. Po zakończeniu wywołanej przez Niemcy wojny w Europie nastąpił sprawiedliwy transfer ludności niemieckiej z Polski i Czechosłowacji w granice Niemiec po Poczdamie. Należy ubolewać, że umowa poczdamska z 2 sierpnia 1945 r. w tym zakresie nie została zrealizowana do końca. Niemcy, którzy pozostali w Polsce po 1945 r., składając wiarołomne oświadczenia o swojej polskiej przynależności narodowej, już od 1989 r. sprawiają poważne trudności w polskich stosunkach wewnętrznych. Dezintegrują współzycie społeczności regionalnych, na przykład w województwie opolskim. A jeżeli nie wyjadą na stałe do swojego *Vaterlandu* w RFN, to będą szkodzić w Polsce dobrem stosunkom sąsiedzkim państwa polskiego z państwem niemieckim. To robią już teraz tacy dowcipni ludzie z pobocza polityki niemieckiej, jak na przykład p. Herbert Hupka czy Franz Schoenhuber, którzy mówią otwarcie o planach pokojowego odebrania Polsce jej województw zachodnich, utworzenia „niezależnego państwa śląskiego“ i deklarują obłudnie, że nie myślą o wypędzaniu Polaków. To Herbert Hupka nazwał ponownym wypędzeniem Niemców z ich ojczyzny podpisanie przez rząd kanclerza federalnego Helmuta Kohla traktatów z Polską z listopada 1990 r. i czerwca 1991 r., które ponownie potwierdziły obowiązek Niemiec poszanowania linii Odry/Nysy Łużyckiej jako granicy niemiecko-polskiej.

Czy pan (...) w tytule swego eseju pyta także o to „ostatnie wypędzenie Niemców“? Nie było alianckie zbrodni wypędzenia Niemców. Nie było alianckie zbrodni wypędzenia Niemców z Polski i Czechosłowacji. To, co się stało w 1945 r., po zburzeniu przez Niemcy środkami pokojowymi i wojskowymi w latach 1935–1940 podstaw terytorialnych wersalskiego ładu pokojowego w Europie, było początkiem budowy nowego systemu pokojowego. Poczdamski porządek terytorialny i Niemcy po Poczdamie są odtąd jedną z podstaw stabilnego pokoju w Europie Środkowowschodniej. Bez tej podstawy polityczno-terytorialnej trwały pokój w naszej części kontynentu nie będzie możliwy. (...)

Te tragiczne miejsca, na przykład Łambinowice, Potulice i ich zbrodniczy aparat represyjny działający po 1945 r. Czy można było uniknąć ich powstania i stosunkowo krótkiego trwania? Chyba nie było to możliwe w (...) zdestabilizowanych warunkach życia państwowego po niszczącej wojnie w Polsce. Niewielu było takich szlachetnych Polaków, jak pierwszy biskup kamieński-szczeciński, ks. Kazimierz Majdański, d. 1945 r. więzień obozów koncentracyjnych. Nie wszyscy Polacy zaakceptowali dokonany w 1945 r. przewrót społeczno-polityczny. W więzieniach odrodzonego i niedemokratycznego państwa polskiego osadzono tysiące polskich patriotów. Niektórzy spośród nich zetknęli się tam z niemieckimi zbrodniarzami wojennymi, na przykład Kazimierz Moczarski. (...) Tysiące Polaków po zmianie systemu społeczno-politycznego uciekły z kraju w latach 1944–1947. Na ważnych stanowiskach urzędowych w Polsce, na przykład w województwie opolskim, znaleźli się Niemcy (...).

Rapsod żałobny, który próbuje Pan komponować, Panie Bachmann, miał w powojennej rzeczywistości społecznej w Polsce znacznie bardziej skomplikowaną melodię...

„Rzeczpospolita“, 10 sierpnia 1995

Przeprzić za wypędzenie? – trudny problem emocjonalny i moralny

Od pewnego czasu coraz głośniejsza staje się kwestia, czy Polacy powinni przeprosić Niemców za wysiedlenie ich z ziem położonych na wschód od Odry i Nisy. Pytanie pozornie abstrakcyjne, gdyż niezależnie od odpowiedzi, nie będzie ona miała większego znaczenia praktycznego, ma jednak duże znaczenie emocjonalne i moralne. Wynika to z faktu, że niemal wszyscy Polacy swój stosunek do niemieckiego agresora, a szerzej mówiąc, swe zachowanie podczas drugiej wojny światowej, zawsze uważali za słuszne i moralnie czyste. Dlatego też pojawiające się nieliczne wzmianki, że np. partyzanci AK nie we wszystkich przypadkach zachowywali się właściwie, wywoływały ostre reakcje kombatantów i były powszechnie uważane jako antypolskie paszkwile.

Nie może więc dziwić, że polska opinia publiczna zawsze uważała, że wysiedlenie Niemców po 1945 roku było formalnie uzasadnione i moralnie bez zarzutu. Teraz jednak mamy uznać, że nie wszystko było w porządku, że nie byliśmy tacy szlachetni i dobrzy, jak to sobie przez 50 lat wyobrażaliśmy i że mamy przeprosić za nasze ówczesne działania.

Tezy te będące ze względów emocjonalnych trudne do zaakceptowania i dlatego też trzeba bardzo precyzyjnie określić, za co powinniśmy się czuć odpowiedzialni.

Trzeba się także liczyć z możliwością zakwestionowania celowości rozpatrywania polskich win oraz wypowiedziania związanych z tym słów ubolewania. Bowiemy kto ma teraz właściwie przeproszać, skoro większość społeczeństwa polskiego stanowią ludzie urodzeni po wojnie, którzy z wysiedleniami nie mieli nic wspólnego? Czy analizowanie polskich niegodziwości rzeczywiście wpłynie dodatnio na proces polsko-niemieckiego pojednania, czy raczej go utrudni?

Jak odnoszono się do Niemców

Sprawę wysiedlenia trzeba koniecznie rozpatrywać na znacznie szerszym tle, jest ona bowiem tylko – choć ważnym – fragmentem podstawowego problemu, jakim był stosunek społeczeństwa i władz polskich do Niemców.

Na pytanie, jak należy postępować z Niemcami, występującymi początkowo jako okupanci, a po wojnie jako zwyciężeni, padały różne odpowiedzi. Pamiętam, jak w 1947 roku w czasie odczytu prokuratora Jerzego Sawickiego na Uniwersytecie Warszawskim jedna ze studentek stwierdziła, że nie ma się co zastanawiać, jak postępować z Niemcami, mamy bowiem gotowe wzory: należy tak się ich traktować, jak oni traktowali Polaków w latach okupacji. Pogląd ten spotkał się z powszechnym aplauzem zgromadzonych na sali. Oprócz chęci zemsty i odwetu propozycja ta miała również i to uzasadnienie, że niemiecka propaganda z lat wojny bezustannie przekonywała, iż wszystko co niemieckie jest najlepsze i że Polakom nie pozostaje nic innego, jak uczyć się od niemieckich mistrzów.

W tamtym momencie powstała paradoksalna sytuacja: oto prokurator żydowskiego pochodzenia, występujący w imieniu komunistycznej władzy, przekonywał polskich studentów, w większości katolików, że nie można w stosunku do pokonanych stosować niemieckich wzorów z lat okupacji.

Odpowiedzialność zbiorowa czy indywidualna?

Już od 1939 roku, zarówno wśród polityków działających w podziemiu, jak i w polskich władzach na emigracji, a po 1944 roku w publicznej dyskusji w kraju poszukiwano odpowiedzi

na pytanie, jaki powinien być stosunek do ludności niemieckiej. Wśród poglądów, jak postępować z Niemcami, można wyodrębnić dwa podstawowe nurty. W myśl pierwszego, w stosunku do Niemców należy zastosować zasady odpowiedzialności zbiorowej. W myśl drugiego – winę i karę należy rozpatrywać indywidualnie.

Trzeba podkreślić, iż były osoby, które głosiły, jak np. Osmańczyk, że należy odejść od schematu, iż wszyscy są Polacy są dobrzy, a wszyscy Niemcy – źli; jak Gołubiew, który przestrzegał przed „zarażeniem nienawiścią“; bądź jak prof. Ossowski, który stwierdzał, że w różnych przejawach życia społecznego Polski pojawiają się przykłady powielania hitlerowskich schematów myślowych, np. w tendencji do ujmowania różnych zjawisk w kategorii swoi – obcy. W myśl propagandy hitlerowskiej Niemcy z natury, wręcz genetycznie, byli dobrzy i mądrzy, Polacy natomiast źli i głupi. Wielu Polaków przyjęło tę metodę rozumowania, zmieniając tylko znaki z dodatniego na ujemny i odwrotnie.

Powszechne jednak było przekonanie o zbiorowej odpowiedzialności za czyny popełnione w czasie wojny i okupacji, w związku z czym słuszną była i kara, która powinna dotknąć wszystkich bez wyjątku Niemców. Uzasadniano to tym, że Niemcy są z natury narodem barbarzyńców o cechach psychopatycznych, wręcz zbrodniczych, obciążonym od wieków agresywnymi, imperialnymi działaniami, zdeprawowanym przez prusactwo i hitlerizm.

Jako duchowe przyczyny tej deprawacji podawano m. in. wpływ filozofii Fichtego, Nietzschego i Schopenhauera, doprowadzony do skrajności niemiecki romantyzm, a nawet rozpowszechniony wśród Niemców protestantyzm.

W chwili obecnej wiele z tych poglądów może wydawać się dziwnych, przesadnych i niesprawiedliwych, jednak jeśli chcemy oceniać decyzje sprzed półwiecza, to powinniśmy pamiętać o atmosferze, w jakiej były one podejmowane. Na tym tle też widać wyraźnie, jak wielkiej pozytywnej zmianie uległ stosunek społeczeństwa polskiego do Niemców, czego zazwyczaj nie dostrzegają ani polskie elity, ani niemieccy politycy i publicyści.

Kogo zaliczyć do wypędzonych

Uznanie Niemców za „zbrodniczy naród“, który był „sprawcą zbiorowym“, pozwalało to na wyciągnięcie w stosunku do nich konsekwencji. Dlatego też już w latach okupacji większość działających w podziemiu stronnictw, zastanawiając się nad powojennym porządkiem, była zdania, że w zasadzie Niemców należy wysiedlić z terytorium Polski, a pozostałych pozbawić praw politycznych i obywatelskich. W ten sposób decyzje wielkich mocarstw o wysiedleniu Niemców trafiły na podatny grunt i nie wywoływały w społeczeństwie polskim specjalnych wątpliwości.

Można tylko dodać, że wysiedlenia nie były polskim wynalazkiem. Pierwsze zastosowały je władze niemieckie, wyrzucając w trudnych warunkach zimy 1939–1940 Polaków z ziem wcielonych do Rzeszy, oraz władze radzieckie na wschodnich terenach Rzeczypospolitej. Wzory były więc gotowe, z tym tylko, że wysiedlani stawali się wysiedlającymi.

Jak pisze E. Dmitrów w książce *Niemcy i okupacja hitlerowska w oczach Polaków*:

Wysiedlenie Niemców stało się powszechnym, masowym postulatem społeczeństwa wyzwolonej Polski. Uzasadnieniem była antypolska, zdradziecka postawa niemieckiej mniejszości narodowej podczas wojny, obawa przed powtórzeniem się doświadczeń przeszłości, dążenie do zagwarantowania Polsce bezpieczeństwa, idea zbudowania jednolitego pod względem narodowościowym. Usunięcie Niemców traktowane było – przynajmniej w społecznym odczuciu – jako kara za zbrodnie hitlerowskie oraz naturalna konsekwencja wrogości i nienawiści, jaką wzbudzili Niemcy w latach wojny i okupacji. Istniała też pilna konieczność zapewnienia miejsca do pracy i do życia dla rzesz repatriantów i przesiedleńców oraz jak najszybszej integracji ziem odzyskanych.

Politycy niemieccy określają liczbę wypędzonych na osiem do dziesięciu, a nawet i dwunastu milionów (...). Tymczasem, według polskich statystyk, w latach 1945–1950 wysie-

dlono z Polski około 3,2 mln cywilnej ludności niemieckiej oraz 35 tys. jeńców wojennych. Nawet jeśli w warunkach powojennego zamętu statystyka nie była zbyt precyzyjna, to w ogóle wyniki nie mogły odbiegać od rzeczywistości. Tymczasem w Niemczech do „wypędzonych“ przez Polaków zalicza się nie tylko uciekinierów przed działaniami wojennymi i wyrzuconych przez Armię Czerwoną, ale również – co jest szczególnym nadużyciem – także tych, którzy po 1957 roku dobrowolnie, nieraz pokonując niechęć polskich władz, wyjechali do Niemiec. Niemiecka opinia publiczna nadała im ironiczną nazwę „*volkswagendeutschów*“.

Naturalnie wszystkie te sprawy wymagają szczegółowych badań i ma słuszość jeden z dyskutantów, że do rozważań o wypędzeniu brak dostatecznego przygotowania źródłowego, brak jest zwłaszcza oceny dziejów PRL i że zadanie to stoi nadal przed historykami. Stwierdził również, iż „jeśli traktowanie Niemców nie było właściwe, to powstaje pytanie, w jakim stopniu przypisać je Polakom, w jakim zaś stopniu wyjaśnić działaniem dyktatorskiego i narzuconego Polsce reżimu władzy“.

Pytanie trafne, tylko że stawiający je nie może wyzwolić się z łatwego schematu „dobre społeczeństwa i zła władza“. Tymczasem znamy dość dokumentów, by stwierdzić, że sprawa nie jest taka prosta.

Otóż jeśli do wiosny 1945 roku oficjalne wypowiedzi władz cywilnych i wojskowych były krańcowo wrogie wszystkiemu, co niemieckie, to później mamy do czynienia z wyraźną zmianą. Tak np. rozkaz Naczelnego Dowództwa WP stwierdzał wyraźnie, iż „jakikolwiek samosądy i akty gwałtu na ludności niemieckiej ze strony poszczególnych żołnierzy są niedopuszczalne“. Z reguły różnica w wyglądzie terenów, przez które przesuwali się polskie formacje, i terenów zajętych przez Armię Czerwoną była zasadnicza na korzyść tych pierwszych.

Jak przypomina w cytowanej pracy E. Dmitrów: „W miejscach publicznych na ziemiach odzyskanych rozplakatowane były obwieszczenia wojewodów zapowiadające surowe kary za nadużycia wobec przesiedlanych Niemców“. Niestety, tego typu zapowiedzi często nie miały większego znaczenia praktycznego. Jednak jedno należy podkreślić: prześladowania Polaków w III Rzeszy były realizowane w myśl wytycznych władzy niemieckiej, natomiast nadużycia w stosunku do Niemców w Polsce powojennej były w większości przypadków wynikiem indywidualnych działań, którym władze nie umiały zapobiec. Jednym z powodów była – i tu możemy pod adresem władzy komunistycznej wysunąć poważne oskarżenie – skandaliczna polityka personalna. Władze administracyjne, policyjne i polityczne były bowiem w rękach ludzi wysuniętych na to stanowisko przez PPR, często półanalfabetów o niskim poziomie intelektualnym i moralnym, całkowicie nie przygotowanych do rozwiązywania narastających na tych terenach problemów (...).

Przypomnieć przemilczane fakty

W dyskusjach na temat powojennych losów Niemców w Polsce słabo dostrzega się, że względnie długo przebywali oni razem z Polakami na ziemiach zachodnich, a współzycie obu narodowości zaczęło się układać dość znośnie.

Praktyczne wymogi codziennego życia wymagały złagodzenia wzajemnej wrogości i odchodzenia od urzędowych ograniczeń stosowanych wobec ludności niemieckiej (np. za analogiczną pracę Niemiec dostawał początkowo 75 proc. płacy Polaka). W 1949 roku przywrócono *volksdeutschem* pełnię praw obywatelskich. Liczne w pierwszym okresie powojennym wypowiedzi publicystyczne, żądające np. zorganizowania dla Niemców obozów pracy przymusowej, skierowania ich do odbudowy Warszawy, obłożenia specjalnymi podatkami i konfiskatą mienia uległy wyciszeniu.

Całkowicie nie zbadany i przemilczany jest fakt, że po 1950 roku, a więc po zakończeniu przesiedleń, została w Polsce dość znaczna, chyba półmilionowa, grupa Niemców, którzy dopie-

ro po 1957 roku, już dobrowolnie, zaczęli opuszczać Polskę. Nie byli oni dyskryminowani za swe pochodzenie. Wydawano dla nich specjalne pismo w języku niemieckim „*Arbeiterstimme*“, gdzie np. niemieccy pracownicy zastanawiali się, jak usprawnić funkcjonowanie PGR-ów. Tak więc pretensje strony niemieckiej, że Polacy przedstawiają zbyt łagodny obraz niemieckich losów w Polsce powojennej, oparte są na dostrzeganiu głównie ujemnych faktów, a pomijaniu pozytywnych.

Pamiętam, jak w 1953 roku na dworcu w Sławnie urzędnicy kolejowi z dużym wysiłkiem usiłowali udzielić informacji starszemu małżeństwu niemieckiemu, które przez osiem lat nie było w stanie nauczyć się języka polskiego. Ktoś z podróżnych, widząc to, przypomniał, że za odezwanie się po polsku publicznie na terenach włączonych do Rzeszy można było dostać mocno po twarzy, jednak nikt nie odniósł się wrogo do nie znających języka polskiego Niemców.

Byłem też świadkiem bardziej wruszających obrazów. Oto w 1945 roku mieszkanka Warszawy, której w czasie powstania zamordowano na Woli męża, dokarmiła zupą jeńców niemieckich pracujących w magazynach wojskowych przy ulicy Bema. Oto warszawiak, który zaprasza na Wigilię tego roku niemieckiego jeńca do domu. W Polsce opublikowano książkę opisującą przypadki ludzkiego traktowania Polaków przez Niemców w czasie wojny. Szkoda, że w Niemczech nie powstała analogiczna praca przedstawiająca pomoc udzielaną Niemcom przez Polaków, a skoncentrowano się na tylko na dokumentowaniu krzywd doznanych w czasie wysiedlania.

W 1947 roku widziałem, jak w Czerniawie dzieci niemieckich mieszkańców, polskich osadników i rosyjskich oficerów bawiły się wspólnie, porozumiewając się konglomeratem złożonym z trzech języków. Gdy odtwarzam w pamięci tę scenę, to myślę, że skoro dzieci mogły się porozumieć, to dlaczego nie miałyby się to udać dorosłym. Jeśli porozumienie byłoby ułatwione przez wyrażenie ubolewania za fakt wypędzenia, to powinniśmy to uczynić, a w szczególności poprzeć wypowiedź ministra Bartoszewskiego w Bundestagu. Z jednym tylko zastrzeżeniem. Każdy ma prawo do obrony koniecznej. Wysiedlenie na tle doświadczeń okupacji i sytuacji powojennej było obroną konieczną. Nadużycia i zło przy tym popełnione były przekroczeniem obrony koniecznej. I tylko za to możemy i powinniśmy przeprosić.

„Rzeczpospolita, 19 sierpnia 1995

Edmund Dmitrów

Ku porozumieniu bez nieporozumień

Były kanclerz federalny Helmut Schmidt – od niedawna prezes Niemieckiego Instytutu Polskiego w Darmstadt, instytucji wielce zasłużonej dla niemiecko-polskiego dialogu – stwierdził w wywiadzie udzielonym „Polityce”: „W zasadzie za nic mam uprzedzanie pojednania dwóch narodów symbolicznymi aktami w sytuacji, gdy autentyczne pojednanie jeszcze nie nastąpiło. Autentyczne pojednanie może być wspierane odgórnie, ale musi zacząć się od dołu“.

Opinia znanego polityka zasługuje na uwagę w obliczu zwiększonego zapotrzebowania na akty symboliczne, jakie widoczne jest szczególnie teraz w związku z 50. rocznicą zakończenia II wojny światowej. Ich treścią jest zwykle wyrażenie współczucia, skruchy, prośba o przebaczenie wyrządzonego onegdaj zła. Akty takie mogą odegrać pozytywną rolę w stosunkach między narodami, kształtować klimat zbliżenia, nastroje pojednania. Pod jednym wszakże warunkiem: że ich symboliczny sens zostanie zrozumiany i uznany przez kręgi szersze niż grono bezpośrednich uczestników, że będą się z nimi świadomie utożsamiały społeczeństwa. Ocena i decyzja należą tu zwykle do polityków, na nich też spoczywa ryzyko, iż dokonany akt nie uzyska rangi symbolu, pozostając jedynie gestem o niejednoznacznej, czy po prostu słabej, wymowie.

Ryzyko pustych gestów

Ryzyko jest tym większe, im bardziej obolałe sprawy wchodzą w grę. Do takich należy kwestia wypędzenia Niemców z Polski w wyniku II wojny światowej – jeszcze niedostatecznie przetrawiona intelektualnie, moralnie i uczuciowo.

Wystarczy uświadomić sobie, jak zróżnicowane są opinie Polaków w tej sprawie, a sceptycyzm Schmidta wobec prób uprzedzania czy ponaglania oddolnych procesów pojednania staje się bardziej zrozumiały. Trudno jest zbliżyć do siebie dwie pamięci. Jeszcze silny jest odruch po polskiej stronie, aby myślenie o Niemcach w kategoriach odpowiedzialności i winy kończyć na ostatnim dniu okupacji nazistowskiej. Jeszcze wielu Niemców chętnie rozpoczyna refleksję na temat Polaków dopiero od momentu nadejścia frontu wschodniego. Tutaj leży źródło konfliktu odmiennej pamięci. Powoli jednak zbliżamy się do celu, jakim jest jeden obraz wspólnej przeszłości, która tak boleśnie Polaków i Niemców zbliżyła. Może on powstać tylko w dialogu. Cennym głosem w tym dialogu są artykuły Klausa Bachmanna w „Rzeczypospolitej“.

Rozmawiajmy więc dalej, skupiając się, z braku miejsca, na kwestii pewnych nieporozumień, które przecież – wiemy o tym wszyscy – niczego nie popychają, chyba że „nie porozumienie“. Nie zatrzymywałbym się przy zdaniu Bachmanna o roli nieporozumień w dialogu, traktując je jako figurę literacką, gdyby rzecz cała ograniczała się do tematu przemówienia ministra Bartoszewskiego. Obawiam się jednak, iż chodzi o coś więcej.

Niemiecki dziennikarz stwierdza, że nie należy mieszać dwóch kwestii: przesunięcia granic i wypędzenia (przymusowego wysiedlenia). Sprawa pierwsza została ostatecznie uregulowana przez oba państwa i „nikt nie musi nikogo przepraszać“, druga zaś – o ile trafnie odczytuję myśl autora – uregulowana nie jest i właśnie akt symboliczny w postaci przeprosin mógłby ten stan zmienić, a w każdym razie popchnąć dialog naprzód.

Granica i wypędzenie

Telewizja Polska zadaje chybionych pytań – nie jest zresztą pod tym względem wyjątkiem – ale akurat to, które Klaus Bachmann uznał za nieporozumienie (czy Polska powinna przeprosić Niemcy za zmianę granicy po wojnie), wydaje się wyrażać dość oczywiste w Polsce skojarzenie zmiany granicy z wypędzeniem ludności niemieckiej.

Skojarzenie to jest z kolei częścią polskiego myślenia o historii najnowszej, zawierającego – przypomnijmy – takie elementy jak: zmowa III Rzeszy i ZSRR w celu rozbioru Polski, agresja niemiecka i radziecka we wrześniu '39, podział kraju pomiędzy najeźdźców, podwójna okupacja niosąca różne formy prześladowań i eksterminacji mieszkańców Polski – w tym ich masowe wysiedlanie (wypędzanie), ostateczna utrata wschodniej połowy terytorium na rzecz ZSRR w 1944 roku, przesunięcie granicy na Odrę i Nysę Łużycką, jako rekompensata za straty na wschodzie, wysiedlenie (wypędzenie) Polaków z utraconych ziem zabużańskich, wysiedlenie (wypędzenie) Niemców z Polskich w nowych granicach, wysiedlenie (wypędzenie) znacznej części innych mniejszości narodowych z Polski. To prawda, że problem wypędzenia „obcych” zaznacza się w naszej świadomości historycznej słabo, zbyt słabo – skwapliwie go zakłamywano i przytłumiano. Jeśli jednak jest postrzegany, to nie jako kwestia autonomiczna, lecz jako rezultat całej wojny.

Zależności między zmianami granicy wschodniej i zachodniej Polski oraz pomiędzy przesunięciem granicy z Niemcami i transferem ludności niemieckiej legły u podstaw decyzji wielkich mocarstw. Niezależnie od polskich życzeń nie były możliwe znaczne nabytki terytorialne na zachodzie i północy, przy jednoczesnym utrzymaniu granicy wschodniej. Uzasadnieniem tych nabytków była właśnie konieczność przyznania Polsce rekompensaty za rezygnację z terenów za linią Curzona. Pomysł wysiedlenia Niemców pojawił się w latach wojny wraz z postulatem przesunięcia granicy na zachód i na północ, a także w różnych ośrodkach ruchu niepodległościowego. Mówiły o tym deklaracje rządu polskiego w Londynie. Ugrupowania prawicowe domagały się usunięcia wszystkich „żywołów wrogich” z państwa polskiego.

Obawy przed uzależnieniem od Rosji

W świadomości części społeczeństwa przyłączenie Śląska, Pomorza i Warmii nie równoważyło zresztą oderwania wschodniej połowy Polski. Obawiano się, że znaczne przesunięcie granicy na zachód otworzy nowe źródło konfliktu z Niemcami, a ponieważ Polska jest słabsza – będzie skazana na pomoc Rosji. Przede wszystkim zaś sami polscy wypędzeni – przesiedleńcy „zza Buga” – nie chcieli pogodzić się ze zmianą, czemu dali wyraz m. in. w referendum w 1946 roku. Jak pisze Mariusz Urbanek, „w okręgach zamieszkałych przez zabużan, '3 razy tak' głosował najwyżej co szósty wyborca. Najwięcej odpowiedzi 'nie' padało na pytanie o przyłączenie ziem odzyskanych i granicę na Odrze i Nysie. Bo przesiedleńcy tak naprawdę odpowiadali na pytanie, czy jesteś za utratą własnej ojczyzny na kresach wschodnich. Na anonimowych ankietach dopisywano: Lwów, Wilno, Stanisławów”. Tam pozostała ich ojczyzna, a świat, do którego przyjechali, długo był im obcy i groźny.

Od końca 1943 r. projekt wysiedlenia wszedł do programu komunistów w ZSRR i kraju, którzy od początku zaakceptowali narzuconą przez Stalina granicę wschodnią i podchwycili obietnicę rekompensaty kosztem Niemiec. W drugiej połowie 1944 r. wymieniano już wśród głównych celów politycznych nowego reżimu: „Zjednoczenie wszystkich demokratycznych i antyhitlerowskich sił narodu (warstwy pracujące plus część kułactwa i drobnej burżuazji) dla wygnania (podkr. E.D.) Niemców poza Odrę i Nysę oraz do odbudowy kraju i rozwoju jego sił wytwórczych”.

Komuniści obawiali się, że struktura narodowościowa mieszkańców może być warunkiem decydującym o przyznaniu Polsce ziem po Odrę i Nysę. „Jeżeli nie spolszczymy ziem poniemieckich, to nie będziemy mieli podstaw do odebrania tego, czego już nam oddać nie chcą“ – ocenił Władysław Gomułka na posiedzeniu Komitetu Centralnego PPR w maju 1945 roku. Zdecydowano się na politykę faktów dokonanych. Jeszcze w końcu marca 1945 r. polecono kierować wszystkie transporty polskich „repatriantów“ na zachód. Celem było osiedlenie na tych ziemiach 2 milionów Polaków do 1 sierpnia 1945 r. Wojska polskie i radzieckie podjęły zaraz po przejściu frontu nie przygotowywaną, bezplanową akcję wyrzucania ludności niemieckiej z powiatów przygranicznych „za Odrę“, jak to się wtedy określało. Do akcji przyłączyły się później polskie organy policyjne i administracja. Warunki i formy tych „dzikich wysiedleń“ były nie skoordynowane, najczęściej zależały od decyzji osoby kierującej na miejscu. Bywało i tak, że ci, którzy przychodzili, zwyczajnie wyrzucali drugich na ulicę. Zaplanowanej liczby osadników nie osiągnięto, ale też przebieg rozmów poczdamskich nie potwierdził obaw.

Warunek bezpieczeństwa

Wysiedlenie Niemców traktowano jako warunek zapewnienia Polsce bezpieczeństwa. Obawiano się nawrotu irredenty i konfliktów narodowościowych okresu międzywojennego. Mniejszość niemiecka uważana była za narzędzie antypolskiej polityki Niemiec, „V kolumnę“, która we wrześniu 1939 roku aktywnie uczestniczyła w agresji, a podczas okupacji zaangażowała się w politykę terroru wobec niedawnych współobywateli. Przekonanie to opierało się na licznych doświadczeniach, które rozciągnięto na wszystkich obywateli mniejszości według schematu narodowościowego, pomijając różnice indywidualnych postaw i ich rzeczywiste motywacje. Decydujące znaczenie w myśleniu o Niemcach miała wrogość i nienawiść, jaką ściągnęli na siebie w latach okupacji.

Powtórzę tu raz jeszcze zdanie Leona Kruczkowskiego, że jedną ze zbrodni nazizmu było narzucenie Polakom przekonania o zbrodniczości całego narodu niemieckiego. W świadomości całego społeczeństwa polskiego, doświadczonego terrorem i akcjami masowego zabijania ludności cywilnej, powstał skrajnie negatywny stereotyp Niemca, „niemieckiego bandyty“ – jak często wówczas mówiono. Panowało przekonanie, teraz spotęgowane, ale przecież nie nowe, że Niemcy są niebezpieczni jako naród, a więc trzeba wszelkimi sposobami zabezpieczyć się przed nimi. Bo drugiego Hitlera Polska już nie przeżyje.

Wysiedlenie Niemców było zgodne ze sposobem myślenia, wedle którego najlepszym sposobem rozwiązywania problemów narodowościowych jest usunięcie z państwa wszystkich „obcych“. Również w państwach demokratycznych uznawano transfery za dopuszczalne. Wprawdzie – na co zwrócił uwagę ostatnio Piotr Madajczyk – w pierwszej ćwierci stulecia były one traktowane jako remedium odpowiednie raczej na obrzeżach Europy, jednak do roku '45 wiele się zmieniło. Najpierw przyszło doświadczenie z Monachium, a następnie zakrojonych na wielką skalę akcji przesiedleńczych Hitlera i Stalina. Wysiedlenia powojenne – pisze Madajczyk – były w ograniczonym stopniu skutkiem niemieckiej polityki osadniczej; naziści nie wymyślili zjawiska, ale zlikwidowali zastrzeżenie przed nim i umożliwili poparcie dla idei masowych przemieszkań w państwach nietotalitarnych. A poza tym – dodajmy – czy dla władz amerykańskich i brytyjskich kwestie etniczne pomiędzy Polską a sąsiadami nie należały w dalszym ciągu do kategorii problemów peryferyjnych?

„Szkolą“ wysiedleń w najbardziej brutalnym wydaniu były poczynania nazistowskich władz okupacyjnych. Od 1939 roku dokonywały one masowych wypędzeń polskiej ludności cywilnej z terytoriów państwa polskiego wcielonych do Rzeszy, a także z ziem tzw. Generalnego Gubernatorstwa. Zgodnie z *Generalplan Ost* miano wysiedlić z obszaru Polski 20–24 mln ludzi (84 proc. ludności). Dokonane wysiedlenia objęły 7 mln osób. „Oswoiliśmy się z wysiedleńcami

z Warthegau do GG, z Zamojszczyzny, z Kielecczyzny, z 'wysiedlaniem' Żydów, najpierw do gett w małych miastach, potem do gett w dużych miastach, a wreszcie do całkiem dużego Oświęcimia“ – wspomina Marian Turski. Politykę „depolonizacji“ prowadzili w latach wojny na terenie Polski również Ukraińcy i Litwini. Równocześnie setki tysięcy Niemców opuszczało swe „małe ojczyzny“ w różnych krajach Europy i w samych Niemczech, aby na rozkaz Hitlera zająć domy wyrzuconych dopiero Polaków.

Wypowiedzi przywódcy polskich komunistów z 1945 roku wskazują, że zasada „Polska dla Polaków“ była wyraźnie sprecyzowanym elementem jego poglądów: „Należy na granicy postawić straż graniczną i Niemców wyrzucać, a tym którzy są, dać warunki takie, aby nie chcieli sprostać (...) Zasada, którą powinniśmy się kierować, to oczyszczenie terenu od Niemców, budowa państwa narodowego“. W innym miejscu powie Gomułka: „Wyrzucić ich musimy, gdyż wszystkie kraje buduje się na zasadach narodowych, a nie narodowościowych“. Przekonanie to podzielały szerokie kręgi społeczeństwa polskiego.

Doświadczenia wojny i okupacji wyostrzyły w nim postawy ksenofobiczne, odruchy patrzenia na świat w kategoriach narodowo-etnicznych, izolowania się i obrony przed obcymi, postrzeganymi teraz jako zagrożenie. W prasie tego okresu można odnaleźć jedynie odosobnione głosy sprzeciwu przeciwko ujmowaniu problemów społecznych wyłącznie w kategoriach „swoi – obcy“ i przekształceniu Polski w państwo jednonarodowe.

Umocnienie władzy komunistów

Kwestia niemiecka, a w jej ramach sprawa wysiedlenia Niemców była ważnym czynnikiem umocnienia władzy komunistów w Polsce. Wypowiedzi członków kierownictwa PPR nie pozostawiają wątpliwości co do tego, jak wysoko oceniali jej funkcję integracyjną, a także praktyczną rolę w realizacji własnego programu. Już jesienią 1944 roku zaliczono do głównych zadań pracy politycznej na wsi „Szeroką propagandę, że bez wygnania Niemców poza Odrę i Nysę nie można w pełni rozwiązać sprawy ziemi dla wszystkich chłopów“ (podkr. E. D.) Jak przyznał Gomułka w maju 1945 roku: „Jedną z przyczyn oparcia rządu w społeczeństwie jest sprawa ziem zachodnich. To neutralizuje różne elementy i wiąże. Rozszerzanie ziem na zachód i reforma rolna wiąże naród z systemem. Cofnięcie się osłabi nasze pozycje w kraju“. Sprawy wysiedlenia Niemców – w takim zakresie, jak został Polsce przyznany – rozstrzygane przez reżim komunistyczny. Wiązał on z tym przedsięwzięciem również własne rachuby polityczne. Ale decyzja, aby Niemców z Polski wyrzucić, odpowiadała masowym nastrojom i oczekiwaniom, ponieważ nie wyobrażano sobie współżycia z nimi w ramach jednego państwa.

Nieuzasadnione byłoby także założenie, że rząd niekomunistyczny pozostawiłby miliony przedstawicieli znienawidzonego wówczas przez Polaków narodu w granicach Polski. Wysiedlenie powiązane z przesunięciem granicy polsko-niemieckiej zarówno władza komunistyczna, jak i antykomunistyczne w większości społeczeństwo uważały wówczas za zgodne z interesem narodowym i konieczne. Polska była przedmiotem decyzji o przesunięciu granicy i transferach ludności, ale na tyle, na ile to od niej zależało, akceptowała te rozstrzygnięcia i brała udział w ich realizacji. Czy dzisiaj Polacy uważają, że były one błędne? Nie widzę podstaw, aby to stwierdzić, panuje raczej przekonanie, że – jak to wyraził Artur Hajnicz – takie powiązanie terytorium państwowego ze strukturą etniczną stało się w połowie XX wieku czymś nieuniknionym.

Sprawa granic i wypędzenie były częścią śmiertelnego konfliktu interesów narodów i państw. Konfliktu narzuconego w Polsce przez nazistowskie Niemcy w imię zaprowadzenia w Europie nowego porządku, w którym dla Polaków przewidziano rolę podludzi. Fakty te nie zmieniają ani nie podważają dokonanej oceny moralnej, w myśl której wypędzenie kogokolwiek z jego ojczyzny jest złem. Rozwijanie refleksji na płaszczyźnie symbolicznej i moralnej, zbudowanej według dzisiejszych standardów, nie zastąpi jednak historycznej analizy dziejów wypę-

dzenia. Jednym z ważniejszych aspektów jest opisanie cierpień i ofiar, jakich doznali wypędzeni, oraz określenie odpowiedzialności Polaków za ich wyrządzenie. Na szczęście ten nurt polskiej autorefleksji, a zarazem polsko-niemieckiego dialogu rozwija się. Rozmawiajmy szczerze dalej – unikając nieporozumień.

„Rzeczpospolita“, 1 września 1995

Helga Hirsch

Nowy styl, stary temat

Pani K., żwawa 72-letnia rencistka, ciasne jednopokojowe mieszkanie w Bydgoszczy dzieli z bezrobotnym synem–kawalerem. Trzy lata temu postanowiła podreperować skromną rentę. Złożyła w ZBOWiD-zie podanie o wydanie zaświadczenia potwierdzającego, iż 4 lata spędziła w obozie pracy w Potulicach. Wiedziała, czym ryzykuje. Bowiem pani K., która wtedy jeszcze nazywała się Stroschein, nie siedziała w obozie pod strażą niemiecką, ale polską, zaraz po wojnie – za rzekome podpisanie w czasie okupacji hitlerowskiej *Volkslisty* numer

Pracownik ZBOWiD-u zareagował tak, jak pani K. przewidywała (i czego się obawiała). „Pani powinna wynieść się do Niemiec“ – pouczył swoją współobywatelkę – „a nie zwracać się jeszcze do państwa polskiego z żądaniem, żeby płaciło za zbrodnie Hitlera“. Pani K. nie dała się już jednak zastraszyć tym prawie rytualnym pouczeniem. „Urodziłam się tutaj, w Bydgoszczy (po niemiecku: *Bromberg*) – odpowiedziała podnosząc głos – tu, w Bydgoszczy wyrosłam, i mam zamiar w Bydgoszczy umrzeć“. Po czym skierowała sprawę do sądu – a sąd przyznał jej rację.

I choć okazało się, że renta wzrosła tylko o parę złotych, to jednak faktyczne zwycięstwo miało charakter niematerialny. W końcu pani K., z zawodu prostej krawcowej, udało się osiągnąć rzecz w Polsce nadal bardzo trudną: polski sąd przyznał jej prawo do odszkodowania za bezprawie i krzywdy, jakie wyrządzone zostały dawnej obywatelce Niemiec przez Polaków.

Tabu zostało złamane, padła bariera ideologiczna.

Do niedawna jeszcze takie historie jak ta, którą usłyszałam od pani K., nie interesowały jakoś szczególnie mnie – niemieckiej dziennikarki. Miały one dla mnie pewien posmak folkloru, sentymentalizmu, zgorzknienia oraz – tak wtedy myślałam – także rewanżyzmu. O tym, co przydarzyło się Niemcom w roku 1945 i po nim – o ucieczce przed frontem, wypędzeniu albo o obozach pracy – nie chciałam nic wiedzieć. Pomimo że mój ojciec pochodził z Wrocławia (*Breslau*), że moja stara przyjaciółka uciekła z Prus Wschodnich (*Ostpreußen*) przed frontem, a inny znajomy musiał opuścić swój pałac w czeskim Decinie.

Kiedy chodziłam jeszcze do gimnazjum, pewnego dnia moja nauczycielka języka niemieckiego, mówiąc o wypędzonych, użyła słowa „my“. Wstałam i gwałtownie zaprotestowałam: „Co ja mam wspólnego ze zranionymi duszami Ślązaków – zapytałam – Przecież mój dom jest tutaj, w tej wiosce w Dolnej Saksonii, w Niemczech Zachodnich?“.

Właściwie dlaczego miałabym wtedy czytać te nostalgiczne broszury o Karkonoszach (po niemiecku: *Riesengebirge*), jakie jeszcze w latach 50. poniewierały się po naszym domu? Ani nie chciałam mieć nic wspólnego z tymi – jak ich nazywaliśmy my, „dzieci 1968 roku“ – „niepoprawnymi rewizjonistami“, odwróconymi plecami do teraźniejszości i przyszłości, ani nie chciałam, żeby ktokolwiek nazywał mnie „dzieckiem uchodźców“.

Także mój ojciec, który swą wykształconą, literacką niemczyzną wyraźnie różnił się od posługującego się miejscowym dialektem wiejskiego otoczenia, starał się raczej ukrywać i pomniejszać (prawdopodobnie podświadomie) to wszystko, co mogło odróżniać go od sąsiadów. Nidy nie opowiadał o swoim dawnym domu, nigdy nie pojechał po wojnie do Wrocławia. Dopiero po jego śmierci i po upadku muru berlińskiego w 1989 r. dowiedziałam się – za pośrednictwem jego rodziny – że ma jeszcze siostrę, którą paniczna ucieczka roku 1945 rzuciła do Meklemburgii (w NRD).

Nie ma chyba drugiego takiego tematu, który w Republice Federalnej Niemiec zostałby politycznie zinstrumentalizowany w tak wielkim stopniu, jak właśnie powojenne wypędzenie (po niemiecku: *Vertreibung*). Aż do lat 60. w Niemczech (Zachodnich naturalnie) przedstawiając cierpienia, jakich doznali wypędzeni po 1945 r., próbowano relatywizować niemiecką winę. Tak jakby nie miało żadnego znaczenia, kto rozpoczął tę wojnę, kto pierwszy wypędzał, mordował i popełniał zbrodnie, których efektem były również – jako reakcja – następne zbrodnie. Zamiast podjąć wysiłek refleksji nad winą oprawców i tolerujących Hitlera „*Mitläuferów*“ (milczących współuczestników), zachodnioniemieckie społeczeństwo spychało w podświadomość swoje nieczyste sumienie i roniło łzy nad cierpieniami wypędzonych rodaków. W ten sposób przez 20 lat winę skrywano za zasłoną bólu.

Protest, który wybuchnął w 1968 roku, popadł z kolei w inną skrajność, której zresztą prawdopodobnie nie można było uniknąć z powodu opisanej powyżej postawy generacji ojców. „Dzieci roku 1968“, obarczające pokolenie swych rodziców odpowiedzialnością za wojnę, nie chciały słuchać o ich cierpieniach. Kto uderzał w ton sentymentalnych wspomnień i marzeń, a nie podkreślał równocześnie, że granica na Odrze i Nysie jest niepodważalną zachodnią granicą Polski, tego natychmiast podejrzewano o rewanżyzm. Nawet żal stawał się podejrzany – i w rezultacie wspomnienia wypędzonych kostniały w goryczy. Z biegiem lat pozostały im tylko ziomkostwa: w liberalnej i lewicowej prasie temat wypędzenia nie miał w ogóle prawa bytu. W gruncie rzeczy moje pokolenie, pokolenie roku 1968 właśnie, traktowało kwestię wypędzenia i utraty ziemi ojczystej przez wypędzonych jako sprawiedliwą karę za zbrodnie narodowego socjalizmu. Nie uważaliśmy wprawdzie wypędzenia za coś dobrego, przyjmowaliśmy je jednak bez żadnych oporów i bez namysłu, równocześnie – pozostając wierni tradycji Karla Jaspersa – odrzucaliśmy kolektywną winę narodu niemieckiego.

Gdy pod koniec lat 80. moja starsza wiekiem przyjaciółka wybrała się w drogę do dawnych Prus Wschodnich, aby w Pieniężnie (dawniej: *Mehlsack*) odszukać dom swojego dzieciństwa, odczułam współczucie. I było to, uczucie naturalne – bo tam, gdzie kiedyś stał jej dom, zobaczyliśmy tylko płaskie, przeorane pole, na którym można było jeszcze znaleźć resztki rozrzuconych, czerwonych cegieł. Tak wiele innych i ten dom stał się prawdopodobnie łupem szabrowników.

Dopiero wtedy zaczęłam odkrywać całkiem nową dla mnie, a podtrzymywaną przez wypędzonych, kulturę wspomnień. Christian von Krockow napisał wtedy *Czas kobiet* – losy kobiet z Pomorza, przeżywających najpierw przejście frontu, a potem wypędzenie; Alena Wagnerova w swoim tomie pt. „W 1945 byliśmy dziećmi“ utrwaliła wspomnienia z wypędzenia w Czechosłowacji. W NRD temat ten pozostawał (poza kilkoma wyjątkami, jak książka Ursuli Hoentsch *My, dzieci przesiedleńców*) aż do przełomu roku 1989 tematem tabu [pierwsza i trzecia z wymienionych książek ukazały się także w Polsce – przyp. tłum.]. I to pomimo że np. w Meklemburgii (czyli po 1949 r. w północnej części NRD) po zakończeniu wojny prawie połowa ludności pochodziła z dawnych niemieckich kresów wschodnich (*Ostgebiete*). NRD znała jednak tylko i wyłącznie nakazaną odgórnie przyjaźń z „braćmi“ z obozu socjalistycznego. Wedle obowiązującej ideologii wszelkie spory o podłożu narodowym nie miały prawa istnieć. Dlatego w NRD, podobnie jak w Polsce, używano oficjalnie takich określeń jak „przesiedleńcy“, „repatrianci“ czy „Ziemie Odzyskane“ (przez Polskę) – póki słownik ten nie umarł wraz z systemem.

Natomiast w Polsce słownictwo takie przetrwało w prawie nienaruszonej formie do dziś – bo zapewne nie było (podobnie jak antyniemieckie nastroje) skutkiem stalinowskiej polityki. Wydaje mi się, że niejedyn Polak myślący w kategoriach narodowych (względnie nacjonalistycznych) oczyszczał i oczyszcza swoje sumienie w ten właśnie sposób: „powrót“ na ziemię piastowskie i związane z tym wypędzenie Niemców widzi jako historyczną sprawiedliwość, albo przynajmniej historyczną konieczność – czyli swoiste odszkodowanie za utracone tereny na wschód od Bugu. Prawdopodobnie wskazuje także na Poczdam, gdzie zwycięskie mocarstwa pod koniec

lipca 1945 r. zaakceptowały – i tym samym zalegalizowały – transfer milionów ludzi. Ale czy takie stwierdzenie zamyka problem?

Polscy dziennikarze i naukowcy wykazują uderzającą powściągliwość, jeśli idzie o badania historyczne, dotyczące traktowania Niemców w Polsce zaraz po wojnie. Kilka lat temu ukazała się wprawdzie książka o obozie w Łambinowicach, a niedawno kolejne publikacje, o innych obozach – w Świętochłowicach, Potulicach i Jaworznie – gdzie między rokiem 1945 a 1948 dziesiątki tysięcy kobiet, mężczyzn, dzieci, starców i kalek zginęły tylko dlatego, że albo byli Niemcami, albo za Niemców zostali uznani. Ale dlaczego ta wiedza nie wykracza poza krąg wtajemniczonych? Dlaczego polskie społeczeństwo, które tak usilnie domagało się w Moskwie wydania akt dotyczących Katynia i innych obozów sowieckich oraz ekshumowania zamordowanych oficerów i budowy cmentarzy, ma tak mało zrozumienia dla Niemców, upierających się przy tym, aby opublikować fakty dotyczące obozów istniejących w Polsce po 1945 r.?

To „martyrologiczny charakter polskiego patriotyzmu“ wpływa wzmacniająco na antyniemieckie nastawienie – napisała prof. Anna Wolff-Powęska, historyk, w tekście okolicznościowym na 50. rocznicę zakończenia wojny. Z kolei publicysta Artur Hajnicz uznał, że Polacy mają kompleks „wiecznie niewinnych ofiar“, czy też przyjmują wręcz „chorobliwą postawę“, która, jak stwierdził, prowadzi ich ku izolacji i wrogości wobec obcych.

Potwierdzały to opisany na początku przykład pani K. Kto swój własny obraz buduje bowiem – jak ów pracownik ZBOWiD-u – na przekonaniu, że jego naród posiada szczególne i wyłączne prawo do odszkodowań i zadośćuczynienia (ponieważ cierpiał więcej niż inne), temu nie wolno będzie (albo: ten nie będzie chciał) okazać choć trochę współczucia rzeczywistemu albo rzekomemu wrogowi. Bo gdyby ten ktoś okazał jednak współczucie, to tym samym zakwestionowałby utrwalony od dawna podział na tylko dobrych i tylko złych. Gdyby człowiek ze ZBOWiD-u zechciał po prostu porozmawiać z panią K., to dowiedziałby się, że prowadzone przeciwko niej przez polskie władze śledztwo zostało w październiku 1948 r. umorzone. Nie dało się bowiem dłużej podtrzymywać zarzutu, że w czasie okupacji pani K. podpisała *Volksliste* nr 2. Miała bowiem wtedy dopiero 17 lat, a więc nie była nawet pełnoletnia. A więc: czy Niemka K. cierpiała jako winna, czy jako niewinna?

Jak długo Polacy będą się postrzegać wyłącznie jako „wiecznie niewinne ofiary“, tak długo będą swoją własną winę albo kwestionować, albo spychać w podświadomość, albo – w najlepszym wypadku – przedstawiać jako zło konieczne. Właśnie w Bydgoszczy można by znaleźć szereg argumentów dla tezy, że całkowicie niewłaściwe jest przyznanie się do własnych małych błędów, popełnionych przez stronę polską – w obliczu wielkich zbrodni niemieckich. To tutaj, we wrześniu 1939 r., niemiecka „V Kolumna“ wywołała – czego polscy historycy są pewni – osławioną „krwawą niedzielę“, gdy miejscowi Niemcy otworzyli ogień do wycofujących się polskich oddziałów.

Jednak przypominanie o tej większej, niemieckiej winie nie wymazuje winy polskiej, choć jest ona mniejsza. I mniejsze, niemieckie cierpienie nie staje się lżejsze czy nieistotne przez przypomnienie większego cierpienia polskiego. Dlatego my, Niemcy, będziemy musieli zaakceptować ból, nie relatywizując przy tym winy. Polacy natomiast mogliby przyznać się do swojej winy, nie tracąc przez to nic z godności ofiary.

„Tygodnik Powszechny“, 24 września 1995
tłumaczył Wojciech Pięciak

Jerzy Holzer

Zło historyczne, ale zło

Wysiedlenie – Vertreibung – Przesiedlenie – Repatriacja

O *Vertreibung* napisano w Niemczech już wiele tomów, zaś pierwsze książki na ten temat pojawiły się też w Polsce. Nie zajmowałem się tą problematyką jako badacz. Skoro więc w nią wkraczam, to raczej na zasadzie rozważań bardziej ogólnych, które pozwoliłyby zastanowić się nad biegiem dziejów. Wydarzenia tak niedawne, stały się one nam psychicznie dalekie i obce, jakbyśmy żyli (i miejmy nadzieję, że żyjemy) w innej epoce.

***Vertreibung* jako problem historyczny**

Wysiedlenie Niemców z ziem przyłączonych do Polski (a także z ziem należących do niej przed II wojną światową, z Czechosłowacji i ziem przyłączonych do Związku Radzieckiego) stanowi fragment dziejów Europy walczących narodów. Przypada wręcz na kulminację tego okresu – zamknięcie ostatniego konfliktu zbrojnego w wojnie europejskiej (i światowej) lat 1914–1945. Wojnę tę przerwano wprawdzie rozejmem na lat dwadzieścia, ale zakończono dopiero wtedy, gdy absolutnemu zwycięstwu jednych towarzyszyła absolutna klęska drugich. Inna sprawa, że obok triumfatorów i pokonanych byli w tej wojnie i tacy, których krew lała się wprawdzie strumieniami na polach bitewnych, ale nie uczestniczyli oni ani w triumfie, ani w egzekwiach.

Mniej czy bardziej intensywne przekonanie o tym, że istota dziejów (w każdym razie dziejów „nowoczesnych“) polega na walce między narodami charakteryzowało wszystkie strony europejskich zmagania. Wroga chciano osłabić, zabijając jego żołnierzy lub wynaradawiając jego ludność, niszcząc jego gospodarkę, odbierając mu terytorium. Do takiego pojmowania dziejów doszli w swoim radzieckim państwie również komuniści, choć ich ruch zrodził się w proteście przeciw pierwszemu aktowi rzezi narodów w latach 1914–1918.

Jeżeli pojmowanie nowoczesnych dziejów europejskich jako walki narodów miało walor uniwersalności, to inny (choć często komplementarny) sposób ich pojmowania charakteryzował jedynie państwa, w których triumfowała ideologia wroga absolutnego. W tradycji cywilizacji europejskiej zakorzenione było oddzielenie wojny, toczonej na polach bitew i liniach frontów, od postępowania wobec ludności cywilnej. Żołnierzy wroga było wolno (a nawet trzeba) zabijać. Ludności cywilnej można było wprawdzie narzucić różne ciężary wynikające z potrzeb wojennych, zaś po aneksji zamieszkałych przez nią obszarów można było ją wynaradawiać, ale w zasadzie obowiązywały wobec niej zasady Dekalogu. Dekalog obowiązywał tym bardziej wtedy, kiedy chodziło o najbardziej bezbronnych – starców, kobiety (nawet jeżeli gwałcono je w trakcie żołdackich swawoli), dzieci.

Niemcy narodowosocjalistyczne i komunistyczny Związek Radziecki uznały za celowe i potrzebne niszczenie wroga zbiorowego. W Niemczech od początku był to wróg narodowy czy wręcz rasowy. W Związku Radzieckim sporządzono wprawdzie najpierw obraz wroga klasowego, ale już przed 1939 r. nabierał on rysów narodowych, później doszło do synkretycznej mieszaniny klasowej i narodowej ideologii wroga absolutnego. Niemcy niszczyły Żydów, ale też Polaków, Rosjan, Ukraińców. Związek Radziecki odpowiadał niszczeniem Polaków i narodów bałtyckich, potem osiadłej od wieków na jego obszarach mniejszości niemieckiej, później narodów oskarżonych o kolektywną zdradę, wreszcie pojmanych do niewoli czy pokonanych Niemców.

Wprawdzie ideologia wroga absolutnego była w pełni przyjęta jedynie w dwóch państwach, które zwykło nazywać się totalitarnymi, ale oddziaływała ona również na pojęcia i zachowania

pozostałych uczestników wojny. Ludność wroga (a nie tylko walczących żołnierzy) wolno było zabijać, skazywać na różnego rodzaju cierpienia, w sumie – dehumanizować. Wróg przestawał być człowiekiem.

Prawda, że wraz z zakończeniem działań wojennych niszczenie wrogiej ludności przestało być obowiązującą zasadą państwową. Było jednak akceptowane w szerszych czy węższych grupach ludności, a często tolerowane przez państwo i wspierane przez jego funkcjonariuszy. Za taką formułą kryją się warunki, w jakich przyszło realizować *Vertreibung*. Samo wysiedlenie uważane było bowiem za oczywistość. Skoro wojnę stoczyły narody, to trudno było wyobrazić sobie na przyszłość ich pokojowe współzycie we współczesnym państwie. Obcych należało ze swego (czy też uzyskanego) terytorium usunąć lub – taka była alternatywa – sprowadzić do rangi niewolników.

Nie zrozumiemy *Vertreibung* inaczej niż w kontekście historycznym kontekście Oświęcimia i getta, głodowej śmierci jeńców radzieckich i polskiej pracy niewolniczej, Katynia i losu niemieckich jeńców w łagrach, ale także w kontekście dywanowych nalotów na niemieckie miasta i palenia żywcem ludności Drezna. Jeżeli w ogóle to wszystko, cały ten kompleks tragedii, jeszcze jesteśmy w stanie zrozumieć.

Vertreibung było zresztą pod różną nazwą i w różnych warunkach działaniem powtarzalnym. Niemcy wypędzali Polaków z ziem przyłączonych do Reichu. Czechosłowacja wypędziła oprócz Niemców wiele tysięcy Węgrów. W Związku Radzieckim wypędzono z ojczyzn kilka małych narodów, czy raczej tych, którzy pozostali przy życiu po spełnieniu kary za rzekomą zbiorową zdradę. Natomiast Polakom zamieszkałym dotąd na obszarach włączonych do Związku Radzieckiego pozostawiono wybór: między opuszczeniem ziem ojczystych a stałym zagrożeniem różnymi represjami, aż do wywózki w odwrotnym, wschodnim kierunku. W Polsce wysiedlono na przeciwległy skraj państwa mniejszość ukraińską.

Vertreibung tym tylko różniło się od wszystkich tych działań, (z wyjątkiem wysiedlenia Polaków ze Związku Radzieckiego), że wypędzeni, wysiedleni, przesiedleni w granicach tego samego kraju albo ich potomkowie, po krótszym czy dłuższym czasie uzyskali możliwość powrotu do stron rodzinnych. Działo się to i dzieje nie bez konfliktów (by wspomnieć Niemców nadwożańskich, Tatarów krymskich, polskich Ukraińców), nikt też nie był w stanie przewidzieć tego względnie pomyślnego epilogu wydarzeń. Natomiast powrót do innego państwa, skoro i granice przesunięto, i ludność wypędzono, jest o wiele trudniejszy czy wręcz niemożliwy. Poza sytuacjami wyjątkowymi i indywidualnymi Polacy nie powrócą za Bug i San, ani Niemcy za Odrę i Nysę.

***Vertreibung* jako problem polityczny**

Nie wchodząc tu w uwarunkowania polityczne *Vertreibung* w Czechosłowacji czy w Związku Radzieckim (Prusy Wschodnie) stwierdzić można szczególne ich znaczenie w Polsce. *Vertreibung* było różnorodnie uwikłane, i z punktu widzenia Moskwy, i z punktu widzenia Waszyngtonu czy Londynu, i z punktu widzenia Warszawy.

Najważniejsze trudności polityczne stwarzała okoliczność, że Związek Radziecki na początku europejskiego konfliktu w 1939 roku był faktycznie sprzymierzeńcem Niemiec i w porozumieniu z nimi rozszerzył swe granice, między innymi kosztem Polski, zaś pod koniec wojny był jednym z mocarstw koalicji antyniemieckiej i to tym mocarstwem, które niosło ciężar największych strat i włożyło najwięcej zbrojnego wysiłku w pokonaniu Niemiec. Z drugiej strony Polska była państwem koalicji od chwili jej narodzin, (bo konflikt rozpoczął się agresją Niemiec na Polskę), poniosła ogromne straty i na miarę swych możliwości dała wielki wkład w ostateczne zwycięstwo.

Nie trzeba tu dodawać zbyt wiele ponad to, iż zarówno Związek Radziecki, jak jego zachodni mocarstwowi sprzymierzeńcy szukali takiego rozwiązania, które służyłoby radzieckim interesom, ale pozwoliłoby zachować dla międzynarodowej opinii publicznej minimum argumentów na rzecz tezy, że uwzględniono również polskie interesy. Taki był sens decyzji jałtańskich dotyczących polskich spraw wewnętrznych, taki był sens decyzji Jałty i Poczdamu w zakresie przesunięcia granic i „transferu“ ludności.

Sprawę *Vertreibung*, tak jak całą rzeczywistość tworzoną u schyłku wojny, cechować miała ta dziwna mikstura złożona z trzech łyżek polityki wielkomocarstwowej i jednej łyżki demokracji. Demokracji starczało tylko dla zachodniej części Europy, więc reszta obejść się miała wielkomocarstwową polityką i psychoterapią o urokach rzekomo urzeczywistnianej demokracji. Kto zaś tej psychoterapii poddać się nie chciał, temu wbijano ją w głowę wstrząsami.

Były jednak także inne uwarunkowania *Vertreibung* niż radzieckie interesy terytorialne i wiara Zachodu w możliwość ułożenia trwałego ładu wielkomocarstwowego. W Polsce obejmowali władzę polscy komuniści. I im, i ich radzieckim patronom, zachodnie przesunięcie granic Polski oraz *Vertreibung* przynosić miało w założeniu wieloletnie korzyści polityczne.

Polska komunistyczna powstała po II wojnie światowej jako kraj antyniemiecki. Można oczywiście na to powiedzieć, że każda Polska byłaby wówczas antyniemiecka. Przesunięcie granic stwarzało jednak na długie lata napięcie polsko-niemieckie i to nie w wymiarze jednostronnym (polskiej pamięci o niemieckich zbrodniach), lecz dwustronnym, bo również niemieckiej pamięci o *Vertreibung*. Wzmacniało też dany komunistom do ręki argument integracyjny, jakim było niemieckie zagrożenie. Główne hasło propagandowe referendum 1946 roku brzmiało: „Trzy razy tak Niemcom nie w smak“. Wiadomo, że argument ten był wykorzystywany obficie i długo.

Polityczne korzyści Związku Radzieckiego wydawać by się mogłyby mniej oczywiste. Jeżeli w Moskwie prowadzić chciano czynną politykę niemiecką i liczono na odzew rewolucyjny w Niemczech, jak w 1918 roku, to zmniejszenie radzieckiej strefy okupacyjnej i oddanie około połowy obszaru Polsce nie ułatwiałoby zadania. Czy jednak rzeczywiście radziecka polityka liczyła się wówczas poważnie z niemiecką lub europejską rewolucją? Więcej świadczy za tym, że dominowała opcja imperialna, zaś w strefie panowania znalazła się zarówno Polska, jak radziecka strefa Niemiec.

Decyzje o granicy (nawet jeżeli nie ostateczne) i o „transferze“ ludności przerzuciły część odpowiedzialności na mocarstwa zachodnie. Odtąd przez ćwierćwiecze można było śledzić ich chwiejną linię w sprawie granicy Niemiec. Spychała ona Polskę w radzieckie ramiona, ale nie dawała też bynajmniej satysfakcji tym Niemcom, którzy dopominali się o „prawo do ojczyzny“. Najboleśniej dla Niemców – poza podziałem decyzje powojenne miały kilku mocarstwowych rodziców i miały jednego wykonawcę – Polaków.

Vertreibung dokonane polskimi rękami osłabiło w Niemczech szok spowodowany wejściem Armii Czerwonej, rozstrzelaniami, gwałtami i łupieżą. Dla wielu milionów Niemców, naprzód oddanych pod władzę polskiej administracji (warto przypomnieć: we wszystkich strefach okupacyjnych na poziomie lokalnym niemal natychmiast powołano administrację niemiecką), później wypędzonych, Polska i Polacy stawali się traumatycznym wrogiem.

W sumie rzecz można, że polityczne implikacje *Vertreibung* były dla Polski wyjątkowo niekorzystne, ale zarazem – w sytuacji powstałej po 1945 roku i przesunięciu granic – *Vertreibung* było nieuniknione i stawało się dla Polski nieodwracalne ze względów politycznych. Polska bez ziem wschodnich i zachodnich była nie do pomyślenia. Polska sięgająca znów po ziemie wschodnie i rezygnująca z ziem zachodnich była równie nie do pomyślenia. Dogmatem europejskiej (i nie tylko europejskiej) polityki stawała się bowiem niezmiennność granic. Ten

dogmat miał za sobą podstawową rację: otwarcie granicznej puszeki Pandory groziło nieobliczalnymi konsekwencjami.

Polityczne obciążenia, jakie przyniosło *Vertreibung* blakły dopiero z czasem. Trzeba było, aby w Niemczech dorosła generacja, dla której ziemie na wschód od Odry i Nysy były krajem egzotycznym (zresztą cała Polska oddzielona żelazną kurtyną stawała się aż zanadto egzotyczna). Trzeba było też, aby w Polsce dorosła generacja, dla której obecny kształt granic jest na tyle oczywisty, iż nie odczuwa ona ustawicznego ich zagrożenia. Nie musi traktować tego zagrożenia jako głównej przesłanki dla formułowaniu polskiej racji stanu.

***Vertreibung* jako problem moralny**

Jakkolwiek bylibyśmy w stanie zrozumieć i nawet usprawiedliwić *Vertreibung* w kategoriach historycznych i politycznych, trudno je zaakceptować w kategoriach moralnych. Przyjmujemy bowiem ów zespół wartości, od Dekalogu poczynając, który swoisty jest dla cywilizacji śródziemnomorskiej i europejskiej.

W kategoriach moralnych nie do przyjęcia jest ani zasada odpłaty złem za zło (tak, by zbrodnie narodowosocjalistyczne i komunistyczne usprawiedliwić mogły jakiegokolwiek nadużycia czy zbrodnie dokonane, choćby na nieporównanie mniejszą skalę), ani zasada odpowiedzialności zbiorowej (tak, by zbrodnie członków jakiegokolwiek grupy, narodowej, społecznej czy choćby rodzinnej mogły usprawiedliwiać stosowanie „kary“ wobec innych członków tej grupy).

Jest prawdą bezdyskusyjną, że wśród Niemców zamieszkałych w państwie polskim w jego granicach z 1939 roku oraz na obszarach przyłączonych w 1945 roku była pewna liczba zbrodniarzy, a większość stanowili ci, którzy poddali się urokowi nazistowskiej ideologii i wyrażali poparcie dla zbrodniczej polityki. Inni, sparaliżowani obowiązkiem solidarności narodowej lub strachem, milczeli w obliczu zbrodni. Najmniej było owych sprawiedliwych, na których opiera się sens istnienia moralnego porządku w świecie. Czy *Vertreibung* było zniszczeniem Sodomy i Gomory? Gdzie było jednak miejsce dla Lota i jego rodziny?

Nawet jeżeli zdajemy sobie sprawę z historycznej i politycznej nieuchronności *Vertreibung* w warunkach, jakie miały miejsce po zakończeniu wojny, nie może to prowadzić nas do jego moralnej akceptacji. I rzecz nie tylko w tym, czy wobec ludności niemieckiej (w jej domostwach i w trakcie wysiedlenia) dopuszczono się czynów okrutnych czy wręcz zbrodniczych. Tu bowiem łatwiej znaleźć odpowiedź. Kto kradł i bił, a tym bardziej kto gwałcił i mordował, był moralnie winien. W każdym społeczeństwie znajdują się jednostki zbrodnicze lub patologiczne. Wojna sprzyjała upowszechnieniu zbrodni i rodziła patologie. Zbrodnie i patologie stały się epidemią.

Wina moralna dotyczy jednak istoty sprawy – wysiedlenia, wyrzucenia z miejsc rodzinnych, *Vertreibung*. Nie ma moralnego i humanitarnego pozbawienia prawa do własnego domu, do własnych pól i własnych ulic, do własnych szkół i własnych pól z książkami.

Zło wielkiej wojny europejskiej lat 1914–1945, ale w jeszcze większej mierze zło dwudziestowiecznych systemów zbrodni, niszczenia ciał i deprawowaniu umysłów, polegało na tym, że deprawacja moralna objąć musiała nawet tych, którzy zło chcieli zwalczać, którzy chcieli mu się przeciwstawić. Jako świadek historii tuż po wojnie pisał o tym z ogromną przenikliwością Tadeusz Borowski. Wywoływało to wówczas nie tylko dyskusję, lecz często oburzenie.

Próba refleksji

Niemiecki kanclerz Helmut Kohl mówił kiedyś o łasce późnych narodzin. Była w tym także wstrzeźliwość w ocenie starszej generacji, czynnie uczestniczącej w życiu Niemiec narodowosocjalistycznych. W formule Kohla odgrywało rolę i to, że w chwili zakończenia wojny miał ledwie czternaście lat, i to, że studia historyczne pozbawiły go zapewne prokuratorskiego stosunku do przeszłości.

Historia ma różne oblicza i wiele z nich napawa nas przerażeniem. Zło historyczne trzeba zrozumieć w jego przyczynach, powikłaniach i skutkach. Jeżeli jednak zła nie nazwiemy złem (a dobra dobrem) uprawnimy wszelkie następne pokolenia, aby albo powołując się na nas kontynuowały zło bez poczucia moralnej odpowiedzialności albo potępiając nas zatraciły zdolność rozumienia źródeł zła.

„Tygodnik Powszechny“, 24 września 1995

Janusz Jasiński

Tragedia osobista i społeczna

Powojenne wysiedlenia z perspektywy Warmii i Mazur

To, co piszę, jest gorzkie tak dla Niemców, jak i dla Polaków, ale konieczne. Bo tylko na prawdzie można budować wzajemne zaufanie.

Na początku kilka słów o mnie. Urodziłem się w 1928 r. we wsi Stary Zamość w województwie lubelskim. Na tydzień przed wybuchem wojny cała rodzina przeprowadziła się do Lublina, gdzie spędziłem całą wojnę i odbyłem potem studia historyczne na KUL-u. Przebywając jako student w Smolajnach koło Dobrego Miasta, zainteresowałem się historią Warmii i Mazur. Od 1954 r. pracuję naukowo w Olsztynie.

Pisząc o wojennych i powojennych losach – także moich własnych – będę posługiwać się terminem „wysiedlenie“, a nie „wypędzenie“, ponieważ znaczą one to samo: zastosowanie przymusu. Chodzi mi o zachowanie symetrii określeń, używanych przez Polaków i Niemców. Pojęcie „wypędzenie“ – w Niemczech tak nazywa się wysiedlenie Niemców z Polski (i nie tylko stąd) – ma wydźwięk bardziej negatywny, bardziej bezlitosny niż „wysiedlenie“. W literaturze polskiej stosuje się termin „wysiedlenie“ zarówno jeśli chodzi o postępowanie Polaków wobec Niemców po 1945 r., jak również gdy mowa jest o postępowaniu Niemców wobec Polaków w czasie wojny.

Poznańskie, Zamojszczyzna, Warszawa...– wysiedlenia w okupowanej Polsce

Prowadzone przez Niemców wysiedlenia ludności polskiej rozpoczęły się już w 1939 r. i trwały przez całe 5 lat okupacji. Wg rozkazu Hitlera należało wydalić „Żydów, Polactwo i motłoch“, co związane było z tzw. Programem Generalnym Wschód. Niemiecki autor Hajo Holborn pisał o tym:

Hitler chciał zdobyć na Wschodzie wielką przestrzeń życiową, w której miały być osiedlone miliony Niemców (...). Oznaczało to wykorzenienie tamtejszych kultur narodowych przez wyniszczenie ich politycznych i kulturalnych warstw przywódczych oraz skazanie na śmierć (...) milionów istnień ludzkich.

Planowano więc wysiedlanie Polaków, Czechów, Ukraińców i Białorusinów. Zaczęto od Polaków. Wyrzucano ich najpierw z tzw. Warthegau, czyli poznańskiego oraz z innych terenów włączonych do III Rzeszy; później także z Zamojszczyzny, pod koniec wojny z Warszawy. W Warthegau pozwalano zabrać z sobą bagaż ręczny o wadze tylko 12 kg.

Gdy w 1990 r. ksiądz Georg Sterzinsky obejmował funkcję biskupa Berlina, niemal we wszystkich jego życiorysach wspomniano, że urodził się w Prusach Wschodnich i jako dziecko został „wypędzony“ z Jarot koło Olsztyna (sam pisałem o tym przy różnych okazjach). A kto wie, że warmiński biskup pomocniczy Julian Wojtkowski także jako dziecko został wyrzucony wraz z rodzicami i chorym rodzeństwem w listopadzie 1939 r. z Poznania, w ciągu zaledwie kwadransa? Zanim tragedia wysiedleń dotknęła Niemców z ziem polskich wcielonych do Rzeszy wysiedlono ok. miliona osób. Historyk niemiecki Juergen Thornwald pisał: „W pierwszym okresie wypędzania Polaków postępowano brutalnie, bezwzględnie, z zaskoczenia, nieludzko i bez liczenia się z życiem ludzkim“. Wielu wysiedlanych zmarło w zimnych wagonach zimą 1939/40, co przyznał sam gubernator Hans Frank.

Potem zaczęto wysiedlać także z tzw. Generalnej Guberni. Mnie osobiście dotknęły boleśnie losy wysiedlonych z Zamojszczyzny. Moja wieś rodzinna, Stary Zamość także została wysiedlona. Część kolegów szkolnych znalazła się w Niemczech, część w obozach. Wysiedlono całą moją dalszą rodzinę; ciotka z dwoma małymi synami uratowała się tylko dlatego, że

litościwy żołnierz ukraiński w służbie hitlerowskiej pozwolił im uciec w ostatnim momencie. Wysiedlano wczesnym rankiem; bito kolbami, przy próbie ucieczki strzelano. Na wiejskim placu trzymano spędzoną ludność po kilkanaście godzin, również zimą. Ogółem wysiedlono 300 wsi; 110 tys. osób. Na miejsce Polaków osiedlano *Volksdeutsche* z krajów Europy Wschodniej i Środkowej. Wysiedlonych wysyłano natomiast jako robotników przymusowych do Rzeszy, do obozów koncentracyjnych, lub przydzielano do niewolniczej pracy *Volksdeutsche*. Z wysiedlaniem łączyły pacyfikacje wsi: palenia domów, rozstrzeliwania mieszkańców. Dzieci do lat 10, o ile uznano, że należą do rasy nordyckiej, odbierano rodzicom i wysyłano celem germanizacji do Niemiec. Z 33 tys. wysiedlonych dzieci ok. 5 tys. przeznaczono, jak mówiono, „na rasę“. Po wojnie rodzice szukali swoich dzieci w Niemczech, rezultat tych starań był jednak nikły. Ocenia się, że w całej Polsce Niemcy wysiedlili, łącznie z Warszawą, 1 milion 700 tys. Polaków.

„Wyrok surowy, ale słuszny...“

Jako historyka, a jednocześnie katolika, interesowała mnie postawa katolickiej Warmii wobec wojny. W związku z tym przejrzałem dwie gazety: „*Ermlaendisches Kirchenblatt*“ oraz „*Ermlaendische Zeitung*“. Można powiedzieć, że wyrażają one oficjalną postawę Kościoła Warmińskiego, a także w jakiejś mierze i tamtejszego społeczeństwa. Ani „*Ermlaendisches Kirchenblatt*“, ani „*Ermlaendische Zeitung*“ nigdy nie wyraziły najmniejszego żalu z powodu upadku Polski. Może nie pozwoliła na to cenzura, chociaż wątpię, bo z artykułów redakcyjnych i z publikowanych listów żołnierzy przebija zadowolenie, że Polska została pokonana (np. pewien żołnierz cieszył się, że Gniezno znów znajduje się w rękach niemieckich, czyli, że został przywrócony stan z XIX w.). W artykułach o wojnie pisano o miłości bliźniego, ale ani słowa o tym, że miłość ta winna dotyczyć i pokonanego nieprzyjaciela. W „*Ermlaendische Zeitung*“ znalazłem jedną, bardzo poruszającą mnie informację. Oto sąd w Olsztynie skazał Żyda, Maxa Hirschfelda, na karę śmierci za to, że z powodu głodu wymienił maszynę do szycia na żywność (było to w 1942 r.). „*Ermlaendische Zeitung*“ uznała, że wyrok ten jest surowy, ale zgodny z odczuciem narodu...

We wspomnieniach dawnych mieszkańców Prus Wschodnich uderza milczenie na temat polskich robotników przymusowych. Tylko część autorów pamięta, że prawie każdej chłopskiej rodzinie podczas ucieczki przed Armią Czerwoną towarzyszył jeden lub dwóch Francuzów, robotników przymusowych. Pewien dramatyczny epizod polskiego robotnika został opisany jedynie w monografii parafii Mingajny (wydanej w 1993 r.). Oto za tzw. *Rassenschande* kobietę-Warmiackę zesłano do Ravensbrueck, a Polak, nazwiskiem Stefan Bobak, został powieszony. Tego rodzaju „szczegóły“ o Polakach należą w relacjach wysiedleńców do rzadkości, a przecież pracowali oni w każdej wsi. W listopadzie 1944 r. w Prusach Wschodnich było ok. 240 tys. robotników przymusowych, z tego 62 proc. Polaków (ogółem wywieziono z Polski 2,8 mln robotników przymusowych). Niemiecki historyk Wolfgang Benz pisał: „Fakt, że warunki pracy i życia, odżywianie i mieszkanie polskich robotników (...) były barbarzyńskie, u większości Niemców nie budził zdziwienia; gorzej, przypuszczalnie uważali oni takie traktowanie za słuszne“.

Zimowa ucieczka roku 1945

Do Prus Wschodnich front wschodni dotarł późną jesienią 1944 r. Wstrzymywana przez dłuższy czas przez *gauleitera* Kocha ewakuacja ludności cywilnej zamieniła się w ostatniej chwili w chaotyczną ucieczkę, w czasie srogiej zimy i pod kulami czołgów, karabinów maszynowych, samolotów (podobnie w 1939 r. *Luftwaffe* strzelała do uciekającej ludności

polskiej). Żołnierze radzieccy, zagrzewani przez swoje władze do brania odwetu za okrucieństwa popełniane przez Niemców w ZSRR i na jeńcach wojennych rzeczywiście dokonywali straszliwej pomsty na ludności Prus Wschodnich. Mordowali, rabowali, gwałcili w sposób systematyczny i masowy. Przerazona ludność uciekała przeważnie na północ, na Zalew Wiślany, aby później ratować się drogą morską z Piławy lub przez Mierzeję Wiślaną dotrzeć dalej na Zachód. W czasie ucieczki ginęły, topiły się, marzły na śmierć dzieci, starcy, kobiety. Ratujących się okrętami atakowali Rosjanie.

Ocalało w sumie ponad 2 mln. mieszkańców Prus Wschodnich. Tych, którzy pozostali żołnierze radzieccy rozstrzelali, palili w domach i stodołach, pędzili do łagrów. Część nie wróciła. Warto przypomnieć wyniki niedawnych badań polskiego historyka, Jana Chłosty: na Warmii Rosjanie rozstrzelali 22 księży, 55 wywieźli do ZSRR, skąd wróciło tylko 19 (brak analogicznego opracowania o losach wschodniopruskich pastorów). Istnieje szereg monografii powiatów i parafii wschodniopruskich, wśród nich warmińskich, które szczegółowo opisują dramatyczne wydarzenia z zimy 1945 r. I nie można czytać tych relacji bez głębokiego przejęcia, współczucia, a nawet przerażenia. Jednakże niemal nigdy nie pojawia się w tych wspomnieniach refleksja, że tragedia, jaką przeżyły Prusy Wschodnie jest bezpośrednio związana z napaścią na ZSRR i z okrutnym sposobem prowadzenia tam wojny przez Niemców. Wyjątkowo tylko niektórzy pisarze (jak Siegfried Lenz lub Ralf Giordano) dostrzegają zależność między nieszczęściami, jakie dotknęły społeczeństwo niemieckie a wywołaną przez Niemcy wojną.

Obecnie, gdy nie ma cenzury, obowiązkiem polskich historyków i publicystów jest badanie losów także wschodniopruskiego społeczeństwa. Podobnie jak okupacja w Polsce nie jest tylko historią Polski, ale również częścią historii Niemiec.

„Szli na zachód osadnicy...”

Już wczesną wiosną 1945 r. do Prus Wschodnich zaczęła napływać spontanicznie ludność polska z powiatów przygranicznych. Wraz z tym rozpoczął się drugi etap tragedii miejscowych mieszkańców. Ludność polska masowo rabowała dobytek Mazurów, Warmiaków (polskich i niemieckich), w ogóle wszystkich Wschodnioprusaków, następnie zaczęła wyrzucać ich z mieszkań i gospodarstw. Był to okres prawdziwego „Dzikiego Zachodu“, ludzkiej krzywdy, ogromnego bezprawia. Oto co pisał o tym okresie Mazur Fryderyk Leyk:

Wraz z wojskiem sowieckim dotarło na nasz teren inne nieszczęście i to nadchodzące z przygranicznych powiatów Polski centralnej... Polacy z powiatów kurpiowskich: Chorzele, Maków, Przasnysz itd. szaleli wprost na naszym terenie. Wypędzali Mazurów z przekleństwami, groźbami, kijami i siekierami z ich dobrych gospodarstw i sami się w nich osadzali. Zabierali im żywność, żywy i martwy inwentarz. Bili i maltretowali ich. Niejednego Mazura i Mazurkę zamordowali lub ciężko skaleczyli, by przywłaszczyć sobie ich mienie. Wielu Polaków rozbierało domostwa; cegły, kafle, okna, drzwi, podłogi i drzewo, konie, bydła, motory i maszyny rolnicze, wozy i uprzęż wywożono do Polski. Niektóre całe wioski przygraniczne zostały zniszczone. Ubowcy i milicjanci dopomagali w tej nikczemnej robocie. Więzienia się zapełniały... Wprost cała ludność mazurska odwróciła się od Polaków, uznając po takich doświadczeniach naród niemiecki za jej właściwy naród, który da jej spokój, przytułek, chleb.

Ponurą sławę zdobyły obozy i więzienia w Potulicach, Grudziądzu, Działdowie, Świętochłowicach, Mysłowicach, Łodzi, Stodole k. Szczecina i najbardziej znany w Łambinowicach.

Generalnie polityka Polski zmierzała do rozróżnienia pomiędzy ludnością pochodzenia polskiego a rodowitymi Niemcami (na drodze tzw. weryfikacji) i do wyszukania osób, skompromitowanych przestępczą współpracą z władzą hitlerowską. To były założenia teoretyczne, praktyka wyglądała bardzo różnie. Ludność niemiecka przeznaczona była do wysiedlenia, natomiast zweryfikowana ludność pochodzenia polskiego do repolonizacji.

Repolonizację zarówno Mazurów, jak i Warmiaków etnicznie polskich uznawano wówczas za politycznie konieczną i moralnie uzasadnioną. Ich przodkowie przybyli przed stuleciami z Polski, nosili często polskie nazwiska i jeszcze 2 pokolenia wstecz prawie wszyscy mówili po polsku; powinni więc – tak sądzono – wrócić do polskości. Był to nacjonalistyczny sposób myślenia wywodzący się z XIX w. Podobnie postępowała zresztą II Rzesza z niemieckojęzycznymi Alzatzyczkami, którzy czuli się Francuzami, a III Rzesza z Volksdeuschami.

„Teren gwałtów i napadów...”

Przyznaję, że ja sam zmieniłem pogląd w tej sprawie dopiero w czasie pisania pracy habilitacyjnej o świadomości narodowej Warmiaków. Uważam dzisiaj, że chociaż ludność ta rzeczywiście była polskiego pochodzenia, to jednak na skutek długich procesów germanizacyjno-asymilacyjnych w zdecydowanej większości w 1945 r. mówiła i myślała po niemiecku. Dlatego przez pozbawianie jej języka niemieckiego w szkole, a nawet w kościele wyrządzano jej duchową i kulturową krzywdę. W polityce repolonizacyjnej – patrząc z moralnego punktu widzenia, a nie państwowej racji stanu – nie wolno było stosować przymusu. Ale do takiego wniosku dochodzimy dopiero dzisiaj i to z dużymi oporami.

Niemniej władza polska chciała tzw. autochtonów pozyskać dla państwa i narodu polskiego. Wiele na ten temat dyskutowano, wydawano odpowiednie zarządzenia. Jednocześnie publicznie przyznawano się do własnych błędów, i to już w 1946 r. Ciekawe, że o tym, co cenzura skreślała 30–40 lat później, wolno było pisać zaraz po wojnie. Gromiono więc bandytów i złodziei przybywających z Mazowsza, wytykano z największym oburzeniem przestępcze postępowanie milicjantów i urzędników. Usiłowano przychodzić z pomocą Mazurom i Warmiakom.

Wielka narada w tej sprawie odbyła się u wojewody olsztyńskiego w maju 1946 r. Oto kilka cytatów z tej narady, podanej publicznie do wiadomości. Mówiono o przesiedleńcach z Polski:

Nie potrafili (...) albo nie chcieli opanować swych uczuć [nienawiści] i stosowali je ślepo, tym bardziej, że brak wyraźnych przepisów regulujących zachowanie się przybyłych na te ziemie otworzył na oścież wrota dla wszelkiej indywidualnej zemsty lub zwykłego wyrównania krzywdy. Trzeba stwierdzić, co nie jest dziś żadną rewelacją wobec posiadanych z tych terenów wiadomości, że wkroczyliśmy na te ziemie bez jasnego planu, który by nakładał hamulec tej samowoli.

O sytuacji w powiecie szczycieńskim mówiono: „Dziś stał się on [powiat] terenem gwałtów i formalnych napadów ze strony ludności zamieszkującej sąsiednie powiaty Polski Centralnej“. Dalej czytamy:

Składano przy tym całe odium na przesiedleńców z powiatu mławskiego, przasnyskiego, makowskiego, ostrołęckiego, kolneńskiego i szczucińskiego. Przeciwno repatriantom [z terenów włączonych do ZSRR – JJ] miejscowi Polacy nie mają żadnych zastrzeżeń, przeciwnie, uważają ich za element wartościowy, za najspokojniejszych i najlepszych sąsiadów.

Przedstawiciel PPS żądał weryfikacji funkcjonariuszy SB i MO, którzy byli także winni nadużyć. Starosta powiatu szczycieńskiego Walter Późny (Mazur) domagał się w ogóle zakazu osiedlania się na Mazurach mieszkańców z województwa warszawskiego, a także wydalenia przestępczych elementów z państwowej administracji.

Wydaje się, że w wyniku wspomnianej narady sytuacja uległa chwilowo pewnej poprawie. Sądy zaczęły karać bandytów i złodziei, a na początku 1947 r. powstało w województwie olsztyńskim 109 społecznych organizacji polskich, mających na celu obronę Warmiaków i Mazurów przed grabieżą oraz służyć im pomocą gospodarczą i lekarską.

Tak czuło społeczeństwo

Polityka wobec Warmiaków i Mazurów zaostrzyła się w okresie stalinizmu, w czasie przymusowej kolektywizacji i ankietyzacji, kiedy siłą zmuszano do przyjmowania polskiego obywatelstwa. Prześladowano nawet tych Mazurów i Warmiaków, którzy wcześniej z powodu propolskiej działalności doznali cierpień od Gestapo. Skutek był taki, że od 1956 r. istniała stała tendencja do wyjazdu do Niemiec. Z wyjątkiem nielicznych jednostek starszej generacji, które przed wojną były czynne w ruchu polskim, pozostali Mazurzy i Warmiacy czuli się w Polsce obywatelami II kategorii.

Natomiast wobec ludności uznanej za niemiecką polityka państwa polskiego była jednoznaczna: absolutnie musiała ona opuścić Polskę. Zanim jednak została wysiedlona, postępowano z nią bezwzględnie, świadomie pozbawiając ją praw obywatelskich i odnosząc się do niej wprost nieludzko. Wyrzucano ją z mieszkań, zmuszano do darmowej pracy, wsadzano do obozów i więzień. Polski historyk Edmund Dmitrów napisał:

Nie ulega żadnej wątpliwości, że często za cichym przyzwoleniem władz – szczególnie na niższym szczeblu – dochodziło do rabunków i maltretowania Niemców oraz do tego, że liczni urzędnicy uczestniczyli w tych wybrykach i ciągnęli z nich korzyści. Podobnie jak ludność przygraniczna, tak i Niemcy z północnych powiatów województwa olsztyńskiego cierpieli od bandytów oraz zwykłych polskich przesiedleńców. Musieli nierzadko nosić białe opaski. Przy każdej okazji przeklinano ich, wymyślano od Szwabów i Krzyżaków.

Także w czasie wysiedlania postępowano z Niemcami brutalnie, na stacjach postojowych np. w Ostródzie lub Łławie ludność polska okradała ich z resztek bagażu. Czasem z powodu głodu, mrozu i braku opieki lekarskiej wywożeni Niemcy umierali w pociągach.

Na problem niemiecki w 1945 r. należy spojrzeć z perspektywy roku 1945 – i roku 1995. Wówczas, w roku 1945, po doświadczeniach okupacji nikt nie miał wątpliwości, że Polacy i Niemcy w jednym państwie nie będą mogli mieszkać. W ten sposób czuło całe społeczeństwo polskie.

Zło, konieczne, ale zło

Przypominałem to, co się działo w czasie okupacji, aby psychologicznie zrozumieć postępowanie Polaków wobec Niemców po roku 1945, jednak nie po to, aby usprawiedliwiać. Chrześcijanin nie ma prawa do zemsty, krzywda pozostaje zawsze krzywda.

Przed 30 laty Episkopat polski – tuż po ogłoszeniu memorandum Niemieckiego Kościoła Ewangelickiego (EKD) – wybaczył w imieniu katolików polskich krzywdy doznane od Niemców. Episkopat jednocześnie prosił o wybaczenie za krzywdy wyrządzone Niemcom przez Polaków, m.in. za to wszystko, co działo się po 1945 r., chociaż biskupi wtedy tego tak mocno nie wypowiedzieli. Ale w ten sposób musimy rozumieć te słowa dzisiaj. My też mamy istotne powody, aby prosić o wybaczenie Niemców – za bezlitosne ich traktowanie, za częściowo niehumanitarny sposób wysiedlania.

Dziś i na problem wysiedleń Polacy zaczynają patrzeć bardziej wszechstronnie, z uwzględnieniem osobistej i społecznej tragedii Niemców. Ale przed 50 laty rzecz ujmowano inaczej, właściwie bardzo prosto: Niemcy musieli być wysiedleni. Podkreślam: była to, biorąc problem od strony ludzkiej, wielka krzywda. Mieszkańcy Prus Wschodnich opuszczali swoją bliższą ojczyznę (niemiecka *Heimat*) z poczuciem niesprawiedliwości. Z tego powodu należy wyrazić autentyczny żal, głębokie ubolewanie.

A jednak – słowa te być może zabrzmią dla wielu byłych mieszkańców Prus Wschodnich boleśnie – powtórzę jeszcze raz: wysiedlenie Niemców było złem koniecznym, ale inaczej, mniejszym złem. Tym terminem posłużył się w Polsce po raz pierwszy Jan Józef Lipski. W

czasie każdej wojny poszkodowane są duże części społeczeństwa, jest to rzecz nieunikniona. To zwycięska koalicja znalazła takie rozwiązanie, przesuując Polskę na Zachód. Nowe nabytki polskie na Zachodzie i Północy były – jak niedawno zaznaczył Artur Hajnicz – warunkiem jej egzystencji, a bez wysiedleń zmiana granic nie miałaby sensu. Uważano, że dla zapewnienia pokoju w Europie Środkowo-Wschodniej mniejszości niemieckie muszą być wydalone. Zastanawiano się jednocześnie, gdzie pomieszczą się napływający ze Wschodu i Zachodu Polacy. Nawet wspomniany Jan Józef Lipski, który jako pierwszy w Polsce publicznie tak mocno podjął problem wysiedlonych Niemców (w szkicu *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* z 1981 r.) nie mógł nie postawić retorycznego pytania, dlaczego „*naród napadnięty przez dwóch zbirów miał płacić na dodatek wszystkie tego koszty*”? Była to konieczność, konsekwencja rozpoczętej przez III Rzeszę wojny.

Wysiedlenia Polaków i Niemców były ich wspólnym cierpieniem. Niemniej nie można równoważyć wzajemnych krzywd.

Umiarkowany optymizm

Czy warto wracać do tej strasznej przeszłości? Moim zdaniem należy to czynić. Więcej, trzeba poznać przeszłość, zwłaszcza tą, która nie przynosi zaszczytu własnemu narodowi (ten postulat dotyczy i Polaków, i Niemców). Dopiero po dokonaniu narodowego i państwowego rachunku sumienia można budować przyszłość.

Obserwując z perspektywy Olsztyna ostatnie lata, odczuwam umiarkowany optymizm. Widzę akty dobrej woli z obu stron. Byłem zdumiony olbrzymią pomocą z Niemiec dla Polski w czasie stanu wojennego. Warmiacy z Niemiec w dalszym ciągu zbierają fundusze na remonty kościołów na Warmii.. Historycy świeccy i duchowni organizują wspólne sesje naukowe, dzięki czemu w wielu spornych zagadnieniach historycznych następuje zbliżenie stanowisk. Młodzież spotyka się na obozach wakacyjnych, odbudowuje zniszczone cmentarze.

Coraz częściej goście warmińscy odwiedzają nie tylko kościoły, ale i spotykają się z dzisiejszymi mieszkańcami Warmii. Olsztyn współpracuje z Gelsenkirchen. Prasa obu stron, olsztyńska i niemiecka (szczególnie „*Ermlandbriefe*“) dąży do porozumienia obu narodów. Znana jest działalność Wspólnoty Kulturowej „*Borussia*“. „*Gazeta Wyborcza*“ wydawała w okresie wakacyjnym cotygodniową mutację olsztyńską w języku niemieckim. Polacy współpracują przy wydawaniu czasopisma w Olsztynie „*Mitteilungsblatt der Deutschen Minderheit*“ (Biuletyn Informacyjny Mniejszości Niemieckiej). W kościele w Jarotach u ks. prałata Bronisława Magdziarza odbywają się nabożeństwa w języku niemieckim.

Wśród polskiego społeczeństwa usiłujemy rozbudzić zrozumienie dla ratowania dawnych cmentarzy. W Jarnołtowiu koło Morąga zawiesiliśmy tablicę pamiątkową ku czci Immanuela Kanta; dużego rozgłosu nabrała sesja naukowa poświęcona Herderowi. W obu przypadkach współpracowały ze sobą stowarzyszenia naukowe polskie i niemieckie. Patronami trzech ulic w Olsztynie są wielkie postacie kultury niemieckiej – Kant, Herder i Wiechert.

Oczywiście wiele jest jeszcze do zrobienia. Niemniej wierzę, że wiek XXI autentycznie zbliży dwa nasze narody. Region warmiński przestaje dzielić: zaczyna nas łączyć.

„Tygodnik Powszechny“, 8 października 1995

Stanowisko rządu RP z roku 1990 w sprawie wysiedlenia Niemców

Klaus Bachmann pyta, czy Polacy powinni „przeprzeć za wypędzenie” Niemców z Polski dokonane bezpośrednio po II wojnie światowej („Rzeczpospolita” nr 169). Asumpt do postawienia tego pytania dała Bachmannowi dyskusja nad mową ministra Władysława Bartoszewskiego na specjalnej sesji Niemieckiego Parlamentu Federalnego (*Deutscher Bundestag*) i Niemieckiej Rady Federalnej (*Deutscher Bundesrat*) w dniu 28 kwietnia br. w Bonn. W tej doniosłej mowie, na szeroko ukazanym tle trudnej, zwłaszcza współczesnej historii stosunków polsko-niemieckich, pojawił się także wątek wysiedleń.

Co powiedział Bartoszewski?

Oдноśny fragment przemówienia ministra Bartoszewskiego cytuję niżej wg przekładu polskiego otrzymanego z Ambasady RP w Kolonii (przemówienie było wygłoszone po niemiecku):

Podczas wojny i po jej zakończeniu miliony ludzi musiały opuścić swe ziemie rodzinne. Dla wielu Polaków były to ziemie za Bugiem, dla wielu Niemców – za Odrą i Nysą. Te dwie grupy ludzi nie mogły ze sobą rozmawiać – gdyby tak było, oba narody mogłyby się znacznie wcześniej porozumieć i zrozumieć. Ale polscy wysiedleńcy ze wschodu nie mogli nawet prowadzić monologu w tych sprawach. A jeżeli osiadali na polskich Ziemiach Zachodnich, to zjawili się tam nie jako zwycięzcy, raczej uważali się za ofiary wojny, której nigdy nie chcieli i której wybuchu nie zawiniłi. Przełom roku 1989 stworzył możliwości swobodnej dyskusji politycznej. Skoro wolno już mówić o losie wysiedlanych z Wilna i Lwowa, łatwiej też dostrzec ludzki wymiar dramatu wysiedleń z Wrocławia czy Szczecina. Prawno-polityczne uregulowanie problemu zjednoczenia Niemiec i ich granic sprawiło, że dzisiaj rozmowa o „utraconej ojczyźnie” nie musi budzić obaw o pokojowy ład w Europie.

Polska odzyskała suwerenność polityczną. Odzyskuje też suwerenność duchową. Jej miarą jest poczucie moralnej odpowiedzialności za całą historię, w której – jak zawsze – są karty jasne i ciemne. Jako naród szczególnie doświadczony wojną poznaliśmy tragedię wysiedleń przymusowych oraz związanych z nimi gwałtów i zbrodni. Pamiętamy, że dotknęły one także rzesze ludności niemieckiej i że sprawcami bywali także Polacy.

Chcę otwarcie powiedzieć, iż bolejemy nad indywidualnymi losami i cierpieniami niewinnych Niemców dotkniętych skutkami wojny, którzy utracili swe strony ojczyste.

Pamiętamy z wielką odwagą sformułowane zdania nieżyjącego już dziś wybitnego polskiego myśliciela i eseisty, Jana Józefa Lipskiego, ideowego polskiego socjaldemokraty, który w 1981 roku z goryczą powiedział:

„Wzięliśmy udział w pozbawieniu ojczyzny milionów ludzi, z których jedni zawiniłi na pewno poparciem Hitlera, inni biernym przyzwoleniem na jego zbrodnie, jeszcze inni tylko tym, że nie zdobyli się na heroizm walki ze straszliwą machiną terroru – w sytuacji, gdy ich państwo toczyło wojnę. Zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest jednak i nie może być usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy. Wysiedlanie ludzi z ich domów może być w najlepszym razie mniejszym złem, nigdy – czynem dobrym“.

Odwołując się do spisku przeciw pokojowi Hitlera ze Stalinem w 1939 roku, dodawał:

„To prawda, że z pewnością nie byłoby sprawiedliwe, by naród napadnięty przez dwóch zbirów miał płacić na dodatek sam wszystkie tego koszty. Wybór wyjścia, które – jak się zdaje – jest mniejszą niesprawiedliwością, wybór mniejszego zła, nie może jednak znieczulać na zagadnienia moralne. Zło jest złem, a nie dobrem, nawet gdy jest złem mniejszym i niemożliwym do uniknięcia“.

W pełni identyfikuję się z tezami mojego zmarłego przyjaciela Jana Józefa Lipskiego, z którym działaliśmy razem w opozycji demokratycznej. Chcę przypomnieć, iż tekst ten wzbudził wówczas burzliwą dyskusję wśród myślących Polaków. Myślę też, iż źle się stało, że odwaga cywilna jego autora nie została wówczas w pełni dostrzeżona w Niemczech.

Minister Bartoszewski przypomniał także, że „na Konferencji Poczdamskiej zwycięskie mocarstwa postanowiły wysiedlenie ludności niemieckiej z terenów na wschód od Odry i Nysy“.

Mowa Bartoszewskiego jest dokumentem urzędowym odzwierciedlającym stanowisko Państwa Polskiego. Dlatego całe ujęcie sprawy wysiedlenia Niemców zasługuje na pilną uwagę. Charakterystyczna jest tu zwłaszcza urzędowa aprobata dla poglądu Lipskiego, a nawet więcej – urzędowa identyfikacja ministra z tym poglądem.

O czym zapomniał Bachmann i jego dyskutanci?

Zapomnieli, że pięć lat wcześniej rząd Tadeusza Mazowieckiego trzykrotnie wypowiedział się w sprawie wysiedlenia.

Pierwsze oświadczenie figuruje w sejmowym exposé (dotyczącym polityki zagranicznej wygłoszonym w dniu 26 kwietnia 1990 r. Przyjmując do wiadomości exposé (Sejm tym samym przyjął do wiadomości oświadczenie w sprawie wysiedlenia.

Drugie oświadczenie, nieco rozszerzone w stosunku do pierwszego, znalazło się w mojej wypowiedzi radiowej z okazji rocznicy agresji niemieckiej, Deutschland Sender Berlin, 1 września 1990 r.

Trzecie oświadczenie było końcowym, silnie zaakcentowanym punktem mego przemówienia w dniu 5 października 1990 r. w gmachu dawnego Parlamentu Rzeszy (Reichstag) w Berlinie na konferencji poświęconej nowym instytucjom europejskim. Obrady otworzyła Annemarie Renger, wiceprzewodnicząca Bundestagu, następnie kierował nimi przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Bundestagu Hans Stercken. Na konferencji przemawiała także minister stanu w MSZ RFN Irmgard Adam-Schwaetzer.

Geneza oświadczeń z roku 1990

Na początku roku 1990 było już pewne, że zjednoczenie Niemiec dokona się znacznie prędzej niż to pierwotnie zakładali liczni politycy, także niemieccy. W obliczu zjednoczenia Polska miałaby do czynienia już nie tylko z kwestią dobrego ułożenia stosunków z RFN – po deklaracji Kohl–Mazowiecki z 14 listopada 1989 r. w tych stosunkach nastąpił korzystny przełom. Zjednoczenie przynosiło zmianę geopolityczną. Polska stawała się sąsiadem Wspólnoty Europejskiej i obszaru Sojuszu Północnoatlantyckiego. Ze względu na cele naszej polityki europejskiej waga tej zmiany była ogromna. Szanse Polski na wiązanie się z Zachodem powiększały się. Dążenie Warszawy, aby Europa środkowa składała się z państw niepodległych, wolnych od dominacji ZSRR, sprzężonych z państwami i instytucjami zachodnimi, mogło teraz uzyskać istotne wsparcie ze strony Niemiec. Było widoczne, że – mimo różnych obaw – zjednoczone Niemcy nie wrócą na dawną drogę polityki mocarstwowej, nie będą dążyć do uzyskania centralnej pozycji w Europie (jak to czynił żelazny kanclerz Bismarck), lecz kontynuować będą dotychczasową politykę europejską RFN.

Poprzez zjednoczenie Niemcy powracały do Europy środkowej. Niezależność państw tej części kontynentu, określenie ich miejsca w jednoczącej się Europie, nie było możliwe bez współdziałania z nowymi Niemcami. Żadne z odradzających się państw środkowoeuropejskich nie pragnęło renesansu polityki prowadzonej w tym regionie ponad głowami ich narodów.

Polska stawała więc – w swych stosunkach z Niemcami – przed zadaniem znacznie bardziej złożonym niż to było w momencie, gdy kanclerz Kohl i premier Mazowiecki określali współdziałanie Polski i RFN przy założeniu, że NRD jeszcze istnieje. To nowe zadanie oznaczało, iż z wzajemnych stosunków należy zaraz i energicznie eliminować wszelkie przeszkody, niejasności i zdrażnienia, a także obciążenia płynące z przeszłości. Przy dualizmie RFN–NRD pewne sprawy były odkładane; obecnie czas czekania kończył się.

Wyjaśnienie naszej postawy wobec wysiedlenia ludności niemieckiej uważałem za usunięcie jednej z barier. W Niemczech, zwłaszcza zachodnich, stale podnoszono, zresztą w różnych celach, przymusowe usunięcie Niemców z Polski, nierzadko mówiąc o „zbrodni wypędzenia“.

Cel oświadczeń z roku 1990

Zajęcie oficjalnego stanowiska wobec wysiedlenia miało spełnić następujące cele, a przynajmniej przybliżyć ich osiągnięcie:

1) Rząd stworzony przez „Solidarność“ deklaruje swe stanowisko w tej sprawie w interesie pojednania obu narodów. Unikamy niedomówień albo – co gorsza – przypuszczenia (uzasadnionego?), że milcząco trwamy na stanowisku PZPR/PRL.

2) Dążenie do pojednania sprawia, że rząd zajmuje stanowisko w kategoriach politycznych i moralnych, nie zaś w kategoriach winy historycznej lub „winy wojennej“. Czyli rząd nie wdaje się w dyskusję historyczną, ponieważ nie jest to jego domeną (nawiasem dodam, że tej samej linii trzymałem się w rozmowach z Litwą 1990–1993, gdy podnoszona była sprawa przynależności Wilna do Polski w latach 1919–1945).

3) Polska pragnie, aby sprawa wysiedleń przestała obciążać wzajemne stosunki międzyrządowe i międzypaństwowe. Innymi słowy – jeśli chcieliśmy, aby wraz z traktatami dotyczącymi zjednoczenia Niemiec pewne sprawy (w szczególności sprawa granicy) spadły z listy kwestii rzeczywiście albo pozornie otwartych, musieliśmy powiedzieć, jak widzimy dokonany fakt wysiedlenia. W sprawie granicy ruch na politycznej szachownicy należał do Bonn. W sprawie przymusowego usunięcia ludzi z ich domów i stron ojczystych – do Warszawy.

4) Chodziło o rozcięcie jednego z węzłów polsko-niemieckich. Chodziło o przygotowywanie drogi do naszej polityki europejskiej, o czyszczenie tej drogi. Nie chodziło o analizy historyczne lub inne, nie chodziło o wyważanie dziejowych racji, bo wówczas wrócilibyśmy do punktu wyjścia i groziłoby nam znowu wejście na płaszczyznę usprawiedliwień i oskarżeń z obu stron. Minister spraw zagranicznych nigdy nie mówi jako historyk, prawnik, socjolog lub filozof – minister jest zawsze głosem rządu i państwa.

Rozmowa z Mazowieckim

Uważałem, że pierwsze exposé poświęcone polityce zagranicznej odradzającej się Polski było dobrą okazją do zajęcia stanowiska. Na krótko przed posiedzeniem Sejmu przesłałem projekt tekstu premierowi Mazowieckiemu. Gdy dał mi znać, że jest gotów do rozmowy, udałem się do niego. Rozmawialiśmy w jego gabinecie w Urzędzie Rady Ministrów. W rozmowie uczestniczył Waldemar Kuczyński, główny doradca premiera. Kuczyński powiedział do Mazowieckiego: „To jest myśl, to warto uwzględnić“.

W trakcie rozmowy przedstawiłem wyżej przytoczone motywy. Wyjaśniłem także, dlaczego pominąłem aspekt prawny wysiedleń, mimo że w Niemczech jest on wciąż żywy i mimo że od lat popełnia się tam błąd, niekiedy zaś dokonuje celowego zabiegu w tej mierze, mianowicie daje się prawną ocenę wysiedleń nie w świetle prawa międzynarodowego im współczesnego (czyli z roku 1945), lecz w świetle rygorów dzisiejszego prawa, które wówczas albo w ogóle nie istniały albo nie były miarodajne z uwagi na najwyższą władzę sprawowaną w Niemczech przez cztery mocarstwa. Wskazałem, że ze względu na przyszłe stosunki ze zjednoczonymi Niemcami sprawę należy ująć w jej szerokim wymiarze, czyli politycznym i generalnie moralnym. Mazowiecki zgodził się z tym punktem widzenia. Podczas rozmowy wprowadziliśmy do projektu niewielkie zmiany redakcyjne. Premier tekst zaaprobował.

Oświadczenie w Sejmie z 26 kwietnia 1990 r.

Jego brzmienie było następujące (Sejm RP, Kadencja X, Sprawozdanie stenograficzne z 28 posiedzenia, 26–28 kwietnia 1990 r., szpalta 4):

„Deklaracja [Kohl–Mazowiecki z 1989 r.] ma zakres tak szeroki, że właśnie ona pozwala mówić o początku polsko-niemieckiej bardzo ścisłej współpracy i o początku wspólnoty interesów.

Deklaracja ma jednak nie tylko funkcję polityczną. Jest jednym z narzędzi pojednania po strasznych przeżyciach wojny.

Pojednanie polsko-niemieckie jest doniosłe dla obu narodów, jest doniosłe dla Europy, jest przede wszystkim doniosłe w kategoriach moralnych. Moim zdaniem już się ono w dużej mierze dokonało, inaczej nie istniałby tak intensywny ruch osób w obie strony, tyle kontaktów ludzkich, tyle wydarzeń w sferze ducha oraz wspólnej kultury i cywilizacji. Ciężkie zbrodnie i cierpienia czasu wojny odchodzą w przeszłość, szczególnie w perspektywie nowych, młodych pokoleń. Trzeba o tym pohańbieniu pamiętać jak o wielkiej przestrodze, nie zaś jako źródle niechęci, uprzedzeń lub nawet nienawiści.

Przełom dokonał się był dzięki odważnym inicjatywom kościelnym. Myślę tu zwłaszcza o stanowisku biskupów polskich z 1965 r. Ich słowa o wzajemnym przebaczeniu, głęboko chrześcijańskie, należą do skarbnicy życia publicznego dzisiejszej Polski. Wówczas naród nie miał władzy w państwie, za naród więc przemówili biskupi. Jakże ciężko doświadczeni przez wojnę dobrze rozumiemy cierpienie tych Niemców, którzy zostali pozbawieni stron rodzinnych i domów rodzinnych, doznali krzywd i niesprawiedliwości.

Ale teraz potrzebny jest pokój w umysłach i sercach. Chcemy zatem zamknąć definitywnie cały ten rozdział u progu zjednoczenia Niemiec. Nasze propozycje, które już przypominałem, są polityczne, mają jednak wymiar wykraczający poza politykę. Sądzę, że oba narody i cała Europa z ulgą witają koniec Jałty. (Oklaski)“.

Wzmianka w ostatnim ustępie o „naszych propozycjach“ dotyczyła stanowiska Polski w sprawie rozmów „2+4“ poświęconych zjednoczeniu Niemiec.

Oświadczenie w Berlinie

Oświadczenie złożone w Sejmie miało przychylny oddźwięk w opinii publicznej, także w Niemczech. Doszedłem do wniosku, że pewne elementy naszego stanowiska powinny być podkreślone i rozbudowane. Premier Mazowiecki godził się z takim podejściem, gdy mu o moim zamiarze napomknąłem. Wypowiadając się w radio poszerzyłem tekst sejmowy. Ale wspomniana wyżej konferencja w Berlinie (5 października 1990 r.) była lepszą okazją (przekład z oryginału niemieckiego ogłoszonego w: *Europa nach dem Wege zu neuen Institutionen*, Bonn 1991, s. 61).

„Jestem optymistą co się tyczy zgody niemiecko-polskiej. Są problemy i przeszkody, jednak dzięki kontaktom między ludźmi oraz dzięki zmianie pokoleń pojednanie już się było w dużym stopniu dokonało. Wobec zjednoczenia Niemiec i jednoczenia się Europy druga wojna światowa i jej skutki należą do przeszłości. Niemniej wojna ta skłania nas do przemyślenia trudnych ludzkich przeżyć.

Ciężkie zbrodnie i cierpienia z okresu wojny stają się tym, co przeminęło, szczególnie w oczach młodych generacji. Wszakże owe straszne lata, dni i godziny muszą pozostać w pamięci jako ostrzeżenie, nie zaś jako źródło nienawiści i uprzedzeń.

Odważne inicjatywy kościelne w obu państwach spowodowały przełom w myśleniu o stosunku niemiecko-polskim. Przed 25 laty słowa polskich biskupów rzymskokatolickich o wzajemnym przebaczeniu wypowiedziane zostały w imieniu narodu polskiego. Wówczas rząd nie był reprezentantem narodu, a Kościół Katolicki w Polsce często przemawiał za cały naród skoro naród ten utracił był swą suwerenność. Słowa biskupów o wzajemnym darowaniu win wciąż zachowują swą ważność i są częścią składową naszej polityki i naszej filozofii politycznej.

Mam głębokie zrozumienie dla cierpień tych Niemców, którzy utracili swe strony ojczyste na skutek działań wojennych, wypędzenia lub wysiedlenia. Niemcy ci doświadczyli wiele cierpienia i niesprawiedliwości. Jest mi z tym ciężko i fakt, że do tego doszło, boli mnie.

Ale dziś wydarzenia te należą do przeszłości. Polacy i Niemcy potrzebują pokoju w umysłach i sercach. Musimy zwrócić się ku przyszłości. Dzisiejsze nasze zadanie polega na tworzeniu pokojowego współżycia i współdziałania“.

Kilka słów komentarza

Sądzę, że powyższe oświadczenia, złożone w 1990 r., spełniły swe zadanie przynajmniej do pewnego stopnia.

1) Zwięzłość jest plusem tych oświadczeń. Nie wnikają one w różne racje, lecz akcentują ludzką tragedię. Celowo pomijają problem winy, nie redukują naszej opinii do losu „niewinnych Niemców“, unikają wszelkiej relatywizacji, która z natury rzeczy osłabiłaby jednoznaczność zajętego przez nas stanowiska.

2) Brak nawiązania do układu poczdamskiego był świadomy. Waga tego układu nie podlega kwestii. Ale nie może on przysłonić pewnych faktów. Są nimi: poparcie wysiedleń przez rząd RP w Londynie (choć podczas wojny nie myślano o tak wielkiej skali); wysiedlanie Niemców na mocy decyzji polskich organów wojskowych i cywilnych przed konferencją poczdamską; domaganie się decyzji o wysiedleniu przez delegację z Warszawy konsultowaną w Poczdamie; aprobata dla układu o wysiedleniach ze strony tej delegacji – a byli w niej nie tylko Bierut i Osóbka-Morawski, lecz także Mikołajczyk i Stanisław Grabski.

3) Brak porównań. Owszem, Polacy też zostali z województw wschodnich faktycznie usunięci, swoboda wyboru była niewielka, często żadna, choć niektórzy Polacy postanowili zostać i zostali. Ale ujmując sprawy Niemców i Polaków łącznie, mówiąc o nich jednym tchem, jest się blisko istotnego błędu, także politycznego. Nie należy mylić stosunków polsko-niemieckich z naszymi stosunkami (wówczas) z ZSRR, przede wszystkim zaś z naszymi stosunkami z narodami litewskim, białoruskim i ukraińskim. Kompensaty terytorialne, wszystko co z nich wynikało, całe to działanie w stylu monarchii absolutnych – to była polityka mocarstw, polityka dyktatu; to nie była polityka służąca naszej niepodległości.

Brak przeproszenia ?

Omawiając rzecz w roku 1990 ani premier Mazowiecki ani ja nie myśleliśmy o przepraszaniu za wysiedlenie. Sprawcy przestępstw w obozach w Łambinowicach, Potulicach i gdzie indziej powinni byli zostać ukarani. Jeśli dziś chroni ich przedawnienie – należy ich napiętnować.

W 1965 roku nasi biskupi obrali trafną drogę. Było nią wzajemne wybaczenie win – nawet jeśli wiemy, że historycznie i w sferze faktów dysproporcja win pozostaje wielka. Jest subtelna różnica między tą postawą a wyrażeniem przeproszenia. Wybaczenie prowadzi do pojednania. Postawa biskupów szczególnie dobrze sprzyjała naszemu celowi – pogodzeniu obu narodów. Sądzę, że polskie oświadczenia z 1990 r. były także pewnym sukcesem Lipskiego, choć go – w odróżnieniu od mowy ministra Bartoszewskiego – nie cytują. W oświadczeniach z roku 1990 polityka spotyka się z moralnością. Tak być powinno. Czyż z własnego oka nie należało usunąć żdźbła nawet gdyby nie okazało się ono belką?

„Rzeczpospolita“, 11 października 1995 r.

(pod dodanym przez redakcję tytułem „Spotkanie polityki z moralnością“)

Moja ziemia rodzinna, która należy dziś do Polski

Urodziłem się w roku 1912 na Pomorzu, około 70 km na północny wschód od Szczecina. Wieś Jarchlin (teraz Jarchlino) leży w dawnym powiecie Naugard (Nowogard). Oba nasze dobra, Kniephof (dziś Konarczewo) oraz Jarchlin znajdowały się w posiadaniu mej rodziny od roku 1726. Pewnego dnia na mocy testamentu mego ojca ja, jako najstarszy, stałem się dziedzicem tych majątków.

Pomorskie korzenie

Mój osobisty stosunek do ziemi rodzinnej, do miejsca mych narodzin, do przepięknej pomorskiej okolicy zakorzeniony jest bardzo głęboko, choć nie w umyśle. I przede wszystkim: dla mnie nie ma on nic wspólnego z dziedzictwem; moje uczucie do *Heimat* wyrasta raczej z tego, co jako dziecko chłonałem wszystkimi zmysłami. Chodzi przede wszystkim o piękno tamtego krajobrazu, o drzewa, zapachy, jeziora i stawy. Albo o typowy, pomorski dialekt tamtejszej wsi. A może o sposób w jaki świętowano w tych wsiach Boże Narodzenie, Wielkanoc, dożynki, jak urządzano festyn myśliwski.

Korzenie moje to także związki z poszczególnymi ludźmi, z których każdy był na swój sposób charakterystyczny i wrył się w moją dziecięcą pamięć. Do dziś pamiętam pasterza Andre, albo starego Pauscha, który troszczył się o karmniki dla zwierząt w lesie. Moja *Heimat* to wspomnienie twarzy matki, gdy czytała psalm, albo ojca, stojącego na kościelnym chórze i improwizującego chorały. To także to miejsce, do którego wracałem jako żołnierz na krótkie, frontowe urlopy, i gdzie poczęły się nasze pierwsze dzieci. Moją *Heimat* wlokłem za sobą przez życie nie tylko jako bolesne wspomnienie, chociaż politycznie i geograficznie była już i jest stracona. Moja mała ojczyzna niosła mnie również na swój sposób i dodawała sił.

Przypuszczam, że wielu Polaków, którzy dziś żyją tam, na Pomorzu, czuje coś podobnego jak ja, kiedy wspominam miejsce swojego urodzenia i pozostawione gdzieś, daleko krajobrazy dzieciństwa.

Kiedy zastanawiałem się nad „zadaniem“ mi tematem, nad moją *Heimat*, po raz kolejny już przyszło mi głowy, co właściwie sprawiło, że w 1954 roku podczas Kirchentagu – zjazdu ewangelików z całych Niemiec, który odbywał się wówczas w Lipsku – zdecydowałem się powiedzieć publicznie rzecz tak bardzo osobistą: że „bez nowej wojny i wielkich cierpień, jakie musieliby znosić ludzie mieszkający na kiedyś niemieckich terenach (a to przede wszystkim Polacy!) nie widzę żadnej możliwości powrotu na starą ziemię ojczystą“.

Dziś jest dla mnie jasne, że do wypowiedzi tej nie popchnęła mnie polityczna kalkulacja; nie, na pewno nie było to, przynajmniej nie w pierwszym rzędzie, chłodne rozważenie możliwości politycznych. W znacznie większym stopniu o wystąpieniu moim zdecydował szok, jakiego doświadczyłem po 1945 r., gdy z czasem zacząłem fragment po fragmencie dostrzegać, co uczyniono narodowi polskiemu w imię narodu niemieckiego – poprzez napaść Hitlera w 1939 r. i niemiecką okupację. Poważną rolę odegrało rodzące się wtedy we mnie odczucie solidarności z ofiarami oraz – u mnie, jako chrześcijanina – poczucie winy. A to dlatego, że my – mimo że nie należeliśmy do zwolenników Hitlera – byliśmy za słabi, aby zapobiec brutalnemu gwałtowi, zadanemu tylu narodom w Europie.

Moja rodzina, to znaczy moja młoda żona z dwójką dzieci (trzecie było w drodze) uciekła w ostatniej chwili wraz z niezliczonymi tłumami uchodźców przed zbliżającym się walcem woj-

¹² Zob. przypis 10.

ny. Była wiosna 1945 roku. Pozostałych jeszcze na Pomorzu Niemców, na podstawie postanowień z Jałty i Poczdamu wypędzono później za Odrę. A ja, poprzez utratę mojej ziemi rodzinnej jeszcze mocniej uświadomiłem sobie, jak ważne były dla mnie – i są do dzisiaj – me korzenie i pomorska ziemia, z której wyrosły.

Ale od kiedy w 1945 r. dawne Pommern na wschód od Odry stało się Pomorzem, od kiedy osiedlili się tam Polacy, sami w znacznej części zmuszeni do tego, przez realizatorów postanowień jałtańskich i poczdamskich, nie mogła pozostać niezmienną i moja *Heimat*.

Pytania bez odpowiedzi

Niemieckie organizacje, zrzeszające wypędzonych, przez wiele lat podtrzymywały u swych członków „wiarę“ w to, iż któregoś dnia będą oni mogli wrócić na rodziną ziemię. Głosząc hasło, że „prawo musi pozostać prawem“, organizacje wypędzonych dążyły w gruncie rzeczy do rewizji granicy na Odrze i Nysie. Twierdziły, że w myśl prawa międzynarodowego wypędzeni mogą domagać się swego „prawa do ziemi ojczystej“. Słyszając taką argumentację zadawałem moim rozmówcom pytanie, jak wygląda więc ich rozumieniu „prawo do ziemi ojczystej“ tych Polaków, którzy mieszkają w naszej dawnej *Heimat* od dobrych dwóch pokoleń. I nigdy nie otrzymałem jasnej i jednoznacznej odpowiedzi.

Moi rozmówcy albo przypominali mi wtedy (z dumą i pewnością siebie), że już w 1950 r. zgromadzeni w Stuttgarcie wypędzeni wydali oświadczenie, w którym „rezygnują z zemsty i odwetu“. Miał to być dowód, że wypędzeni nie mają wobec Polaków żadnych złych zamiarów. Kiedy indziej słyszałem znów wypowiedziane z naciskiem uwagi, że Niemiec chcą mieć przecież tylko „prawo do swojej ojczyzny“ (z wyraźnym podkreśleniem słowa „swojej“). A Polacy – pytałem? – „Polacy – odpowiadało mi – mogą w końcu albo zostać tam, gdzie teraz mieszkają, albo wrócić do swojej niegdysiejszej *Heimat* (czyli gdzie? Za obecną wschodnią granicę Polski?); po prostu mogą zrobić co zechcą“. Wtedy pytałem dalej: – cóż więc Polacy mieliby ze sobą począć? I o ile moi rozmówcy – a bywali wśród nich profesjonalni politycy, już wcześniej nie zdążyli się pogubić, to przy tym moim pytaniu kolejne ich odpowiedzi stawały się coraz bardziej mętne i niekonkretne. Żadnej logicznej odpowiedzi być przecież nie mogło. Bo gdyby mieszkający od 1945 r. na Śląsku, Pomorzu czy w dawnych Prusach Wschodnich Polacy zechcieliby tam jednak pozostać, to jak miałby wyglądać powrót potomków dawnych niemieckich mieszkańców? Czy osiedlałoby się ich „odgórnie“ w jakichś osobnych koloniach, czy też utworzono by jakąś etniczną mieszankę Polaków i Niemców, w której ci ostatni mieliby może na dodatek odgrywać rolę dobrego przykładu niemieckiej pracowitości? Zbyt wiele wiedziałem już wtedy o religijnej i narodowej mentalności Polaków, o socjologii tego narodu, aby móc podzielać pogląd, iż taka mieszanka etniczna urzeczywistniałaby wizję nowej Europy Środkowej bez granic, do której powinniśmy dzisiaj dążyć w ramach integracji europejskiej.

Niebezpieczne pojęcie

Niezależnie już od stosunków polsko-niemieckich chciałbym podkreślić, że samo pojęcie *Heimat* (tak bardzo niemieckie i tak naładowane emocjami) w warunkach nowoczesnego społeczeństwa przemysłowego wydaje mi się dzisiaj coraz bardziej rozmyte. Dzisiaj wielkich niemieckich miast, jak Hamburg, Berlin czy Monachium, nie zamieszkują już w większości Hamburgczycy, Berlińczycy czy Bawarczycy z dziada pradziada. Swoboda przemieszczania się człowieka i jego mobilność w nowoczesnych, rządzonych demokratycznie społeczeństwach przemysłowych, przyczyniły się do wytworzenia się daleko zaawansowanej struktury mieszanej, łączącej ludzi pochodzących z najróżniejszych miejsc. Wysuwanie w takich warunkach na pierwszy plan pojęcia *Heimat* nie musi wprawdzie, ale zawsze może doprowadzić do tego, że

w niektórych umysłach powróci czkawką pomysł zachowania „czystości rasowej“ grup wywodzących się z określonego regionu czy narodu. Gdziekolwiek, także i w Niemczech czają się jeszcze takie wyobrażenia. Czają się one w „zakamarkach“ umysłów ograniczonych, które nie potrafią dostrzec nic ponad tym, co narodowe czy regionalne, albo unoszą się nad knajpianymi stolikami, gdzie nad kolejnym kuflem piwa deliberuje się o wielkiej i małej polityce. I nie trzeba koniecznie mieszkać od wielu lat w Monachium (jak ja właśnie), aby wciąż jeszcze odczuć istnienie takich upiorów.

O ile więc pojęcie *Heimat*, wydaje mi się bardzo problematyczne, o tyle, patrząc w przyszłość, trzeba powiedzieć, że wszelkie masowe wypędzenia czy przesiedlenia ludzi, dokonywane pod przymusem, były i są w każdym przypadku sprzeczne z prawem międzynarodowym – niezależnie od tego, kto by ich dokonywał. Chciałem w tym miejscu przypomnieć pewne bardzo udane wspólne spotkanie, do jakiego doszło w 1991 r. w Pradze z inicjatywy tamtejszego Instytutu Kultury Polskiej, Instytutu Goethego oraz Uniwersytetu w Pradze (uczestniczył w nim m.in. przyszły minister spraw zagranicznych Polski, Władysław Bartoszewski). Rozmawialiśmy o przymusowych wypędzeniach i wysiedleniach w Europie i zgodziliśmy się, że masowych wysiedleń dokonywali w sposób bardzo brutalny i narodowi socjaliści, jak i Sowieci pod Stalinem, a wreszcie i alianci realizując postanowienia z Jałty i Poczdamu. Spotkanie w Pradze pokazało też, że wszyscy jesteśmy zdania, iż Narody Zjednoczone i KBWE, patrząc na bolesne doświadczenia wielu krajów, powinny zapobiegać w przyszłości – o ile to możliwe – takim akcjom...

Drogi wypędzonych

Jak postrzegałem – w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat – rozwój sytuacji wokół wypędzonych i ich związków z partiami politycznymi w RFN? Otóż według niemieckich danych urzędowych tereny, będące do 1945 r. wschodnimi prowincjami Niemiec, opuściło 14 milionów ludzi, uciekinierów i wypędzonych. Cztery miliony z nich zatrzymały się początkowo w sowieckiej strefie okupacyjnej, czyli późniejszej NRD, a ponad dziewięć milionów wylądowało na terenie powstałej w 1949 r. Republiki Federalnej Niemiec. Dodatkowo, wśród tych kilku milionów, które uciekły z NRD na Zachód znajdowało się sporo osób, które wcześniej musiały opuścić Prusy, Pomorze czy Śląsk.

Integrację tych ludzi w zachodniemieckim społeczeństwie uważam za piękną kartę naszej polityki i powód do chwały. Podobnie jak wielkim i godnym docenienia osiągnięciem ich samych jest fakt, że poprzez swój wysiłek i pracę przyczynili się wydatnie do tzw. niemieckiego cudu gospodarczego. Ludzie ci, którzy utracili i ziemię rodzinną i cały dobytek, musieli budować swoją egzystencję od nowa; mimo to pokazali, że także na tym raczej ubogim, dawnym Wschodzie Niemiec nauczyli się twardo i solidnie pracować. Czy wielu z nich byłoby dziś gotowych do powrotu? Wydaje mi się to bardzo wątpliwe. Ale...

Przez ostatnie kilkadziesiąt lat organizacje wypędzonych w RFN świadomie i celowo podtrzymywały wśród swoich członków nadzieję, że rzekomo może czy nawet musi dojść kiedyś (wprawdzie w odległej przyszłości), do rewizji granicy na Odrze i Nysie, względnie do ponownego osiedlenia się Niemców, i tym samym do ich powrotu do dawnej *Heimat*. Dzięki temu prawie wszystkim związkom wypędzonych udało się utrzymać przy sobie znaczną część swych „owieczek“. Naturalnie istotnym czynnikiem były tu również silne związki emocjonalne, przez te organizacje skutecznie pielęgnowane. Dla nowych pokoleń – urodzonych już w RFN – były więc i pieśni, i tańce ludowe w tradycyjnych strojach. Każdego roku, gdy – około Zielonych Świątek – wypędzeni zbierali się na wielotysięcznych zjazdach, z odpowiednimi przemówieniami występowali tam również niektórzy politycy z wielkich partii RFN. Zadawali sobie wiele trudu, aby zadowolić wyobrażenia i oczekiwania wypędzonych, używając przy tym języka dyplomatycznego, pełnego wieloznaczności. Na samym początku, po powstaniu RFN,

w związkach wypędzonych znalazło się kilku prominentnych polityków socjaldemokratycznych (SPD). Gdy jednak nie otrzymali we własnej partii dostatecznego wsparcia, przenieśli się do ugrupowań chadeckich, które przyjęły ich z otwartymi ramionami. W końcu chodziło o wcale pokaźną liczbę głosów potencjalnych wyborców.

Trzeźwi Pomorzanie

Według moich informacji, w ten panujący trend nie wpasowała się całkowicie tylko jedna regionalna organizacja wypędzonych, mianowicie Ziomkostwo Pomorzan. Pomorzanie są (inaczej niż Ślązacy i Niemcy sudeccy) ludźmi myślącymi dość trzeźwo. Pomorzanie i ich polityczni przywódcy wcześniej zrozumieli zmiany, jakie zaszły po 1945 r. w polityce światowej. Poza tym, istotną rolę w Ziomkostwie Pomorzan odgrywał mój brat Philipp, poseł CDU do Bundestagu, zaangażowany w sprawach integracji europejskiej, polityk uparty i myślący samodzielnie, a przy tym dobry dyplomata. Philipp – jako reprezentant interesów Niemców z Pomorza, ale również jako przekonany Europejczyk – głosił ideę pojednania z Polską i Polakami. Balansującemu na cienkiej linii Philippowi udało się dokonać dyplomatycznego majstersztyku: pozostał wiarygodny zarówno dla „swoich Pomorzan“, jak i dla polskich partnerów.

Dzisiaj można już stwierdzić, że założona w 1988 r. w miejscowości Travemuende pod Lubeką Ostsee–Akademie (Akademia Morza Bałtyckiego), powstała w ramach szerszego Pomern–Zentrum (Centrum Pomorskiego), wywarła zbawienny wpływ także w aspekcie budowania polsko-niemieckich mostów. I to właśnie dlatego, że stosunków polsko-niemieckich nie traktuje ona jako wyłącznie bilateralne, lecz multilateralne, w ramach współpracy państw basenu Morza Bałtyckiego. Wszystkie kraje tego regionu muszą być przecież zainteresowane – przy poszanowaniu i wspólnych, i sprzecznych interesów – dążeniem do ściślejszej współpracy.

Dzisiaj z kolei mój brat jest zaangażowany – przy współpracy z Polakami i znacznym wsparciu finansowym ze strony rządu w Bonn – w tworzenie i rozruch Centrum Spotkań dla Polaków i Niemców. Centrum ma służyć szkoleniu i informacji w Polsce, w celu wspierania polskiej gospodarki i ułatwianiu jej integracji z Europą. Centrum to powstaje w miejscowości Kuli-ce (dawniej Kuelz) w powiecie Nowogard (Philipp został w dzieciństwie adoptowany przez bezdzietnego brata naszego dziadka, właściciela Kuelz, i był dziedzicem tej posiadłości).

Triumf realizmu i mrzonki

Nasuwa się tu pytanie, czy i na ile dzisiaj, w zjednoczonych Niemczech, zmieniło się nastawienie organizacji wypędzonych oraz partii politycznych wobec utraconej ojczyzny na dawnym niemieckim Wschodzie?

Gdy również i kanclerz Helmut Kohl uznał granicę na Odrze i Nysie, i podpisał z Tadeuszem Mazowieckim stosowny traktat, w Niemczech skończył się podatny grunt dla nacisków politycznych ze strony organizacji wypędzonych. Kanclerz Kohl uznał w końcu tę granicę publicznie (wiele lat wcześniej uczynił to już inny kanclerz Willy Brandt; choć nie mógł on zabierać głosu w imieniu całych, wówczas podzielonych Niemiec). Akt ten był nieodzowny, aby oba supermocarstwa, USA i ZSRR, zgodziły się na zjednoczenie Niemiec. Teraz, po zjednoczeniu, Kohl próbował jeszcze stawać po stronie organizacji wypędzonych, kalkulując, iż w ten sposób pozyska dla CDU trochę głosów.

Tymczasem jednak w Niemczech coraz powszechniejsze stały się trzeźwe, realistyczne poglądy, i to także pośród wielu wypędzonych. I jeżeli nawet są dziś jeszcze w RFN grupy o mentalności podobnej do przywódcy Republikanów Franza Schoenhubera, to jednak zdecydowana większość znaków na niebie i na ziemi wskazuje, że do przeszłości należą zapiekłe spory o granicę, a przyszłość kształtować się będzie w pożądanym przez nas kierunku europejskim.

Na koniec kilka uwag na temat przyszłości.

Są w dzisiejszych Niemczech siły polityczne oraz wybitne osobowości (zarówno politycy jak i autorytety intelektualne, którzy doskonale zdają sobie sprawę ze wszystkich uwarunkowań stosunków polsko-niemieckich, którzy – w pewnym sensie przeciwieństwie do większości społeczeństwa zjednoczonych Niemiec – doskonale znają historię wschodniego sąsiada, a także obraz Polski w Niemczech. Problematyka utraconej ojczyzny nie tylko obciążała stosunki polsko-niemieckie; była ona świadomie podtrzymywana i wywoływana przez niemieckie organizacje wypędzonych. Dzisiaj te same siły pokładają nadzieje w tym, że po integracji Polski z Europą zachodnią, po przystąpieniu Polski do struktur europejskich, każdy obywatel – czy to Niemiec, czy Polski – będzie mógł podobno wybrać sobie miejsce zamieszkania w zintegrowanej Europie, gdzie tylko zapragnie. A więc na przykład Niemcy będą mogli powrócić na dawną ziemię ojczyzną, Pomorze, Śląsk czy Prusy Wschodnie – argumentują dziś niektórzy politycy z szeregów wypędzonych. Tak... a Polacy? Odpowiem: jakżeby inaczej, Polacy zapewne także będą mogli zamieszkać tam, gdzie tylko uznają to za stosowne, na przykład w Lille, Turynie, czy którymś z niemieckich miast.

Piszę te słowa ironicznie, gdyż dzięki mojej wiedzy na temat Polski uważam, że zrealizowanie idei całkowitego zniesienia granic wcale nie jest takie proste! W tym interesującym nas aspekcie „nowej *Heimat*“, nowej ziemi ojczystej, nawet po zintegrowaniu Polski z Europą zachodnią (integracji, która jest konieczna) dla Polaków pozostanie nadal bardzo ważne, aby na wschód od granicy na Odrze i Nysie czuli się po prostu jak u siebie w domu.

Czas dojrzewania

Także i ja uważam, że po wszystkich bolesnych doświadczeniach polsko-niemieckich (wystarczy przypomnieć, co działo się po obu stronach Góry św. Anny!) mieszane struktury etniczne, polsko-niemieckie, nie tylko są możliwe i pożądane, ale też że mogą powoli stawać się szansą dobrego współżycia obu narodów – tak jak dzieje się to już dziś np. na granicy niemieckodnińskiej w Szlezwiku czy między Freiburgiem a Strasburgiem na granicy niemieckofrancuskiej). Ale na to potrzeba czasu i jeszcze jednego, niezbędnego warunku: że jakieś siły polityczne nie zechcą w przyszłości – dla własnej gry politycznej – rozdmuchać emocji związanych z problematyką *Heimat*. To rozdmuchiwanie, podżeganie, przez bardzo długi okres czasu kładło się cieniem na stosunkach polsko-niemieckich, i to nie tylko po stronie niemieckiej. Także w Polsce były przecież siły, które głosiły, że wypędzając Niemców (agresorów!) z dawnych niemieckich prowincji wschodnich Polacy jakoby nie uczynili nic innego, jak tylko wrócili na swoje dawne tereny – ziemie odzyskane. Tymczasem teza ta jest historycznie błędna, utożsamia bowiem Polaków z całą zachodnią Słowiańszczyzną i podczas wspomnianego wyżej spotkania w Pradze Władysław Bartoszewski nazwał ją historycznym kłamstwem, od którego Polska powinna się dziś zdystansować.

Sądzę jednak, że w Polsce także i teraz są siły, które wcale nie byłyby – wtedy i dziś – szczęśliwe, słysząc takie słowa w ustach przyszłego ministra spraw zagranicznych RP. Zatem i my, Niemcy, i Polacy, musimy wspólnie nastawić się na to, że potrzeba będzie jeszcze trochę czasu (jednej, może dwóch generacji?), aby Polacy i Niemcy mogli żyć obok siebie w Europie jak prawdziwi przyjaciele i dobrzy sąsiedzi nie tylko po obu stronach granicy na Odrze i Nysie. Mimo to muszę z radością stwierdzić, że najwyraźniej sąsiedztwo takie już dziś jest często faktem (choć nie wszędzie), po obu stronach granicznych rzek. Ale, trzeba jeszcze czasu, by rzeczywistością stała się ta piękna, wymarzona wizja Europy, w której ludzie różnych narodowości potrafią żyć obok siebie bez żadnych zadrażnień i sporów na tle etnicznym. Nie muszę dodawać, że aby wizja ta kiedykolwiek stała się faktem, potrzebujemy – także właśnie my, Niemcy – w tej Europie Polaków, którzy będą pewni siebie i świadomi swej wartości.

Byłem kiedyś rolnikiem i myślę tak, jak myśli rolnik: że wszystko ma swój czas i porządek, nie wszystko dojrzewa równocześnie – kiedy indziej żyto, kiedy indziej kartofle, a kiedy indziej owies. Gdy patrzę na stosunki polsko-niemieckie, świadomość ta jest dla mnie źródłem trzeźwej nadziei.

„Tygodnik Powszechny“, 5 listopada 1995
tłumaczył Wojciech Pięciak

Jan Baranowski

Ten wspólny los

Przed wojną mieszkałem w powiecie złoczowskim. W lutym 1945 r. moja rodzina (ja, żona oraz dwoje małych dzieci) otrzymała tzw. kartę ewakuacyjną (data pokrywa się z okresem konferencji w Jałcie). Z chwilą wystawienia karty utraciłem wraz z rodziną obywatelstwo radzieckie, nadane w 1939 r. (oczywiście wbrew naszej woli). Aż do chwili przekroczenia Sanu stałem się bezpaństwowcem – dopiero wtedy zostałem automatycznie objęty obywatelstwem polskim (znowu bez pytania mnie o zdanie). W ciągu tych kilku miesięcy między wydaniem karty a wyjazdem nasza sytuacja była godna pożałowania. Grożono mi wywózką na „białe niedźwiedzie“ jeżeli tylko wejdę do mojego dawnego domu po trochę opału, by ogrzać mieszkanie. Marzliśmy niemiłosiernie; mieliśmy wtedy dwutygodniowe dziecko. Żaden urząd, w tym i pełnomocnik PKWN, nie był w stanie określić, kiedy podstawiony zostanie pociąg ewakuacyjny. Tłumy wygnańców codziennie oblegały dworzec kolejowy, by dowiedzieć się czegoś o przybliżonym dniu odjazdu.

W tym czasie po wsiach grasowali banderowcy. Moja najbliższa rodzina mieszkała w miejscowości odległej o 24 km. Wioska ta była pod względem narodowościowym czysto polską, ale przedostanie się do niej równało się śmierci z rąk banderowców. Wówczas nie było już żadnej miejscowości o ludności mieszanej polsko-ukraińskiej, która by nie doznała co najmniej jednego napadu. Twierdzę, że w tym czasie władzy radzieckiej zależało na tym, aby banderowcy nadal mordowali Polaków i terrorem zmuszali bezbronną ludność polską do opuszczania swych od wieków zamieszkałych stron ojczyznych. W miastach natomiast – pod pretekstem sprawdzania dokumentów – niepokoił nas żołnierz NKWD. Weszli również do mojego tymczasowego mieszkania. Karta ewakuacyjna nie była dla nich żadnym dokumentem i – szantażowany – musiałem oddać ostatnie oszczędności oraz skromną żywność. Prokurator, u którego interweniowałem poradził, abym unikał NKWD, bo to się może dla mnie źle skończyć. Wobec braku jakiegokolwiek ochrony musiałem zmienić mieszkanie. Z duszą na ramieniu i z ocalałą resztką dobytku umieściliśmy się w przeżartej wilgocią izdebce (żona nabawiła się tam ciężkich reumatycznych zmian kostno-stawowych; była wówczas w ostatnim miesiącu ciąży).

Do pociągu załadowano nas 1 maja 1945 r. Do karty ewakuacyjnej dołączono dowód pozostawionego mienia (przedmiotowy opis oraz jego wartość w rublach). Nie miałem żadnego wpływu na oszacowanie swego majątku; było ono ostateczne, dokonane w urzędzie gminy. W składzie pociągu znajdował się tylko jeden kryty wagon, pozostałe były odkryte – takie, w jakich transportuje się bydło, bez ławek i prycz. Rozpadał się deszcz i towarzyszył nam aż do Katowic. Warunki były straszne, nie było żadnej opieki medycznej (a w transporcie jechały osoby starsze, chorzy, niemowlęta). Ludzie byli nerwowo wyczerpani – w końcu niedawno cudem udało im się ocalić spod banderowskiego pogromu.

Po ośmiu dniach drogi dojechaliśmy do Katowic, które jawiły się nam jak inny, wystrojony świat, oczekujący dnia zwycięstwa, jeszcze świeży po manifestacji pierwszomajowej. Po przepychankach zepchnięto nasz pociąg na stację w Tarnowskich Górach. Przedstawiciel Państwowego Urzędu Repatriacyjnego poinformował, że kto chce, może wysiąść i osiedlić się na miejsce usuniętych Niemców. Wkrótce okazało się, że wysiedlano właśnie Ślązaków, którzy przez hitlerowców zostali zaliczeni do pierwszej lub drugiej „grupy narodowościowej“ (*Volksgruppe*).

Mojej rodzinie przydzielono po takim pseudo-Niemcu parterowy dom z ogrodem. Właściciela z braku mieszkań nie wysiedlono, a „jedynie“ pozbawiono własności. Miejscowa ludność była nam życzliwa. Być może dzięki temu, że zorganizowałem wspólnie z pozostałymi

wysiedleńcami ze Wschodu spotkanie z władzami gminy i proboszczem. Na tym spotkaniu opowiedziałem o naszej sytuacji; że nie jesteśmy uzurpatorami czy szabrownikami. Przyczyniło się to do polepszenia atmosfery. Potem uczyliśmy z żoną w szkole, do której uczęszczały również dzieci z różnych rodzin, także wysiedleńców. Pochodziliśmy z Kresów, gdzie współżyła ze sobą ludność różna pod względem etnicznym i religijnym. Tę tolerancję przywieźliśmy na Śląsk i dlatego rozumiałem dramat Ślązaków – mieszkańców pogranicza. Grusza stojąca na między rodzi na dwie strony...

Tryb naszego przesiedlenia oparty był na umowie międzypaństwowej, ale sposób i atmosfera nosiły znamiona wypędzenia. Odbywało się ono w atmosferze terroru UPA i przy biernej postawie władz radzieckich. Dziś znane jest pojęcie czystek etnicznych, stosowanych w Bośni czy Rwandzie. O to także chodziło Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), a Związek Radziecki wyciągał z ognia kasztany rękami ukraińskich nacjonalistów. Na terenach, z których nas wypędzono nie było wprawdzie Łambinowic, ale były pogorzelska, przerażający strach i trupy.

Z uwagi na ten wspólny los mam pełne współczucie dla przesiedlonych Niemców. Zostaliśmy – i my, i oni – moralnie skrzywdzeni, czego może nie rozumieli i nie rozumieją ci, którzy korzystają z łaski „późno urodzonych“.

„Tygodnik Powszechny“, 14 stycznia 1996

Krzysztof Karwat

Pociągi pod (sowieckim) nadzorem

Gruba jak cegła księga, którą rozkładałam przed sobą, sporządzona została zapewne w roku 1946. Przez całe dziesięciolecie nie była jednak ujawniana. Dwujęzyczny tytuł wyjaśnia: „*Spis polskich obywateli–górników wywiezionych do ZSRR z początkiem 1945 r. z terytorium Górnego Śląska*“.

Litania nazwisk kończy się na numerze 9877. Ale nie jest to pełna lista. Szacunki mówią o nie mniej niż 25 tys. Ślązaków, którzy zostali internowani – jak to wtedy eufemistycznie określano – i wywiezieni w głąb Imperium.

W przygotowanym prawdopodobnie przez Generalnego Pełnomocnika Rzeczypospolitej Polskiej ds. Repatriacji „słowie wstępny“ czytamy:

Niniejsza książka zawiera nazwiska górników polskich, zatrudnionych w chwili obecnej w radzieckim przemyśle. Na początku 1945 roku zostali oni – w okresie działań wojennych – przez władze radzieckie ewakuowani do ZSRR (...). Górnicy ci pozostawili swoje rodziny w kraju. Rodziny, posiadające obywatelstwo polskie, czekają na powrót swoich żywicieli. Władze radzieckie proszone są o udzielenie pomocy w poszukiwaniu i repatriowaniu wymienionych w książce obywateli polskich do kraju. (...) Część poszukiwanych górników znajduje się na terenie Zachodniej Ukrainy. Rząd polski daje wyraz nadziei, że władze radzieckie odniosą się do tej sprawy przychylnie.

O dziwo, prośba – w taki sposób i w takim szczególnym miejscu wyrażona – została do pewnego stopnia wysłuchana. Niektórzy Ślązacy zdołali powrócić do kraju już w roku 1946. Inni po roku 1948 – bądź później. Ale tysiące nie powróciły do domów: zginęli z głodu i wycieńczenia. Pozbawieni elementarnej opieki medycznej, umierali na choroby zakaźne, przede wszystkim śmiertelny tyfus.

Względy ekonomiczne, nie polityczne

Tak wyglądała oczekiwana przez polski rząd „przychyłość“ władz radzieckich, traktujących Ślązaków jak niewolników. Do obsługi i ponownego montażu maszyn i urządzeń przemysłowych – masowo wywożonych z Górnego Śląska już na początku roku 1945 – potrzebni byli fachowcy. Relacje świadków tamtych zdarzeń potwierdzają, że bywało, iż do danej maszyny dosłownie „przypisywano“ obsługującego ją człowieka. Był to więc swoisty „import“ ludzi wraz z ich miejscami pracy. Wbrew temu, co się na ogół sądzi, nie względy narodowe decydowały o wywózkach. Owszem, wśród czerwonoarmistów i sowieckich politruków na początku panowało przekonanie, że Górny Śląsk to po prostu Rzesza, więc ludzie go zamieszkujący są niemieckimi faszystami, zasługującymi na karę. Trudno jednak uwierzyć, że był to motyw główny. W każdym razie już pierwsze kontakty z miejscową ludnością musiały uświadomić Rosjanom, że zdobyczny kraj zamieszkują również ludzie posługujący się jakąś tajemniczą odmianą języka polskiego. Wywózki nie były zatem próbą spacyfikowania „wroga“, lecz formą kradzieży polskiego i niemieckiego majątku narodowego. Decydowały względy ekonomiczne, a nie polityczne. Cytowana prośba rządu polskiego jest dowodem na to, że komunistyczna administracja polska od samego początku próbowała tłumaczyć radzieckim towarzyszom, że Górny Śląsk jest mozaiką etniczną i narodową, którą należałoby potraktować inaczej.

Na niewiele się to zdało. Górnośląski przemysł był kąskiem zbyt łakomym, a ludzie w nim pracujący nadawali się do roli ubezwłasnowolnionych katorżników. Nie chodziło wyłącznie – a z taką opinią często można się spotkać – o zapełnienie kopalń Donbasu górnikami ze Śląska. Chociaż nikt jeszcze nie zdołał opracować precyzyjnej i szczegółowej mapy deportacji, to jednak

ze zgromadzonych świadectw wynika, że Ślązacy trafiali nie tylko na Ukrainę czy do europejskiej części Rosji, ale również na Syberię, do Kazachstanu i wielu innych republik azjatyckich. Owszem, przeważali górnicy, ale tysiące rekrutowały się spośród innych zawodów. Wśród wywożonych były również kobiety.

Jako się rzekło, przy selekcjonowaniu Ślązaków na ogół nie stosowano narodowościowego klucza, choć zdarzało się, że wyłuskiwano ludzi z domów, często za sprawą sąsiedzkiego donosu. Poza tym raczej nieprzypadkowo „akcja ewakuacyjna“ – by pozostać przy określeniu używanym przez ówczesne władze polskie – skupiła się głównie w kopalniach i fabrykach leżących w tej części regionu przemysłowego, który przed wojną należał do Niemiec. Stąd wśród wywożonych najwięcej było mieszkańców Gliwic, Zabrze czy Bytomia. Niemniej nie sprawdzano ich lojalności, a tym bardziej narodowej tożsamości.

Ocalić pamięć

Najsukuteczniejszą metodą okazały się pojawiające się w śląskich miastach i miasteczkach obwieszczenia uliczne, nakazujące mężczyznom w wieku od 17 lat do 50 lat zgłaszać się w punktach zbornych. Pretekstem były publiczne prace porządkowe. W rzeczywistości zgłaszających się ludzi umieszczano w obozach przejściowych i – nie dając szansy na pożegnanie się z rodzinami – załadowywano do wagonów, zwanych na Śląsku „krowiakami“.

Bywało też inaczej. Nieraz robotników zabierano wprost z ich zakładów pracy albo nawet – wtedy działał już tylko ślepy los – wręcz z ulicy. Znam przypadek, że pewnego młodego człowieka wywleczono z tramwaju.

Przed paroma laty dzieci i wnuki „internowanych“ założyły w Knurowie Stowarzyszenie Pamięci Tragedii Śląskiej w roku 1945. Niedawno byłem na okolicznościowym spotkaniu, zorganizowanym przez to środowisko. Niestety, wśród kilkudziesięciu uczestników tej swoistej biesiady śląskiej – na której wspomniano najbliższych i zastanawiano się, w jaki sposób ocalić pamięć o nich – znalazło się już tylko dwoje starych ludzi, – *“którzy byli i przeżyli”*.

Ocenia się, że jest ich jednak więcej. Według szefów stowarzyszenia, Henryka Stawiarskiego i Joachima Kozioła, żyje dziś na Śląsku (bądź w Niemczech, dokąd wielu wemigrowało) ok. 60 byłych łagierników. Niektórzy z nich pozostawili dokumenty, pamiątki, świadectwa, listy, wspomnienia.

Ale niewiele tego. Przez całe dziesięciolecia nie wolno było o tych sprawach mówić. Poza tym szlachetne intencje przyświecające założycielom stowarzyszenia, rozbijają się dziś nie tylko o bezlitosny czas. Nadal nie sposób dotrzeć do rosyjskich archiwów. I kto miałby to zrobić? Za czyje pieniądze? Ludzie ze stowarzyszenia nie są do tego przygotowani. Oni mogą jedynie starać się być razem, czując, że napiętnowała ich wspólna historia. To łączy ich, jakby w jedną rodzinę. Mogą starać się, aby w Zabrzu postawić obelisk, rodzaj skromnego pomnika „ku pamięci i przestrodze“. Ostatnio pojawiła się szansa, że pomnik ten powstanie.

I to wszystko. Niestety.

Dwóch ze stu dwudziestu

Nie wierzę, by ci, co przeżyli, otrzymali kiedykolwiek odszkodowania. Bo od kogo? Od rządu rosyjskiego? Czas, który spędzili w kopalniach i w kołchozach, stanowi czarną dziurę w ich biografii. Nie liczy się nawet do emerytury czy renty. – A katyńscy jednak swoje osiągnęli... – słyszę nutę żalu w głosie jednego z uczestników biesiady. – Czy naszych było mniej? Czy nie ginęli na tej samej „niehumanitarnej ziemi“? Jedyne, co można dziś zrobić na pewno, to przywołać okruchy tamtych zdarzeń, strzępy biografii. Sięgnijmy do wspomnień i relacji,

zachowując anonimowość głównych bohaterów. Bo często jest tak, że ani oni, ani ich dzieci nie chcą, by nazwiska trafiały do gazet.

Obóz, w którym przebywał mój ojciec był silnie strzeżony – to wspomnienie Renaty P. z Bytomia. – Wokół znajdowały się wieże obserwacyjne i druty kolczaste. Strażnicy byli uzbrojeni. Towarzyszyły im psy. Ucieczki kolegów z reguły kończyły się niepowodzeniem, a po schwytaniu, uciekinierów sprowadzano z powrotem do łagru. Potem dla odstraszania torturowano ich nieludzko na oczach kolegów. Pokład, w którym pracował ojciec, miał 60 cm wysokości. Głód i choroby wykańczały internowanych. Z wywiezionych 120 współtowarzyszy z kopalni „Bytom“ prawie nikt nie ocalał. Do roku 1947 ojciec był świadkiem ich śmierci. Brał też udział w ich „pogrzebach“: zwłoki umieszczano w bunkrze pełnym wody. Gdy nastąpił rozkład ciał, kazano mojemu ojcu usunąć zmarłych. Musiał to zrobić gołymi rękami. Trupy zostały załadowane na wóz i następnie wrzucone do wykopanego dołu.

– Ojciec ocalał, bo zdołał w roku 1947 w pojedynkę uciec – wspomina dalej Renata P. – Trasę 2 tys. kilometrów pokonał po dwóch miesiącach. Do Polski przybył wraz z transportem lwowskich emigrantów. Nie miał żadnych dokumentów, toteż granicę przebył nielegalnie, leżąc na osiach pod wagonem, kolejowym. Gdy powrócił do rodziny – a zostawił w Polsce żonę i trójkę dzieci – nikt go nie poznał. Był chory, opuchnięty, zawszony. Rodzina podczas jego nieobecności też wiele wycierpiała. Matka została wyrzucona wraz z dziećmi z kopalnianego mieszkania, które przydzielono przybyszom ze wschodu. Ojciec po długim leczeniu nadal pracował na dole w kopalni „Rozbark“, lecz nie trwało to długo. Po pewnym czasie musiał pójść na rentę inwalidzką. Zmarł w roku 1962. Z Donbasu po pięciu latach wrócił tylko jeden z górników.

Czerwony sztandar KPD

Równie dramatycznie brzmią wspomnienia Heleny M., które potwierdzają, że wśród Ślązaków nie dokonywano selekcji.

Ojca widziałyśmy ostatni raz 16 lutego 1945 roku w Gliwicach, w dużym strzeżonym obozie przejściowym – mówi Helena M. – Wtedy zaczęła się nasza walka o przetrwanie. Matka chorowała i długo pozostawałyśmy bez środków do życia. Minął rok, potem drugi, a my ciągle czekałyśmy na ojca. Pierwsza wiadomość z roku 1947 była tragiczna. Z „internowania“ powrócił nasz dawny sąsiad, pan S., który pochował mego ojca 8 września 1945 r. w miejscowości Stalino–Rudniki (to podobno dzisiejszy Donieck). Dzięki temu świadkowi moja matka została sądownie uznana wdową i przez półtora roku, do ukończenia przeze mnie 18 roku życia, otrzymywała rentę sierocą w wysokości 1800 złotych, za co wtedy można było kupić 18 bochenków chleba. Gdyby nie ten świadek, to do tej pory nie wiedziałybyśmy, co się stało z ojcem. Wiem, że robotnicy masowo ginęli. Mój ojciec nie był faszystą... Prawdziwi faszyci zdążyli uciec przed frontem. Ojciec nie chciał należeć do partii faszystowskiej i podczas wojny musiał więc pracować po 12 godzin dziennie i trzy niedziele pod rząd (czwarta była wolna). Miał do wyboru: front albo niewolniczą pracę. Wybrał to drugie.

– W Rosji zginęli także ludzie o zapatrywaniach lewicowych, którzy wcześniej cudem ocaleli przed obozem koncentracyjnym, a przez cały okres wojny w piwnicy, pod węglem, przechowywali czerwony sztandar Komunistycznej Partii Niemiec (*Kommunistische Partei Deutschlands*, KPD) – kontynuuje Helena M. – Sama znałam takiego człowieka. Zginęli Ślązacy, zgermanizowani Polacy i spolszczeni Niemcy, bo i tacy byli; nazwiska na Śląsku nie świadczą o niczym. Z naszej kamienicy, w której mieszkało 18 rodzin, „internowano“ 9 mężczyzn, a powrócił tylko jeden. Tak było w całym mieście. Mówiono o 17 tysiącach internowanych w samym Zabrze. Ilu było naprawdę, tego się nikt już chyba nie dowie.

„Dlaczego brat musiał umrzeć?”

Do Stowarzyszenia Pamięci Tragedii Śląskiej w roku 1945 i Muzeum w Zabrze (które podjęło się gromadzić wszelkie dokumenty dotyczące tamtych wydarzeń), a także do redakcji śląskich dzienników przychodzą listy. Świadczą o tym, jak trwale są rany zadane przed półwieczem. Ludzie pytają o miejsce pochówku najbliższych, o okoliczności śmierci; rzadziej – o finansowe rekompensaty. Przez zwierzenia przebija ból, najczęściej wyrażający się serią dramatycznych znaków zapytania.

Stefan H. z Mikołowa napisał:

18 marca 1945 roku, kiedy wojna miała się ku końcowi, do naszego mieszkania przyszedł żołnierz radziecki, aby starszy brat, który miał wówczas 18 lat, ubrał się i poszedł z nim na posterunek. Brat był naszą podporą i jedynym żywicielem rodziny (ojciec zmarł w roku 1943, osierocając czworo dzieci). Nigdyśmy go już nie zobaczyli. Matka dowiedziała się później w sztabie radzieckim w Mikołowie, że brat wraz z innymi mężczyznami został bez wyroku sądowego deportowany w głąb ZSRR, do miejscowości Kandałaksza (obwód Murmańsk). W czerwcu roku 1945 zmarł z głodu i wycieńczenia. Był chory na malarię i bardzo tęsknił do rodziny i ojczyzny. Wiemy o tym wszystkim, bo kilka osób przeżyło i było świadkami śmierci brata. Później ci ludzie udokumentowali to przed Sądem Rejonowym w Mikołowie. Do dziś nurtują nas pytania, co było powodem jego uwięzienia i deportacji. Przecież nie było żadnego wyroku. Moja staruszka matka do dziś czeka na powrót syna. Jak jej wytłumaczyć, że zginął i nigdy już nie powróci? Pomóżcie. Gdzie rozpocząć poszukiwania? Chcę dowiedzieć się całej prawdy, bo to należy się jemu i mojej matce. Za co go oskarżono? Dlaczego musiał umrzeć? Chciałbym oddać mu cześć, ale nie stać mnie na to, by pojechać do Rosji. I czy w ogóle znalazłbym tam jakieś ślady?

Działacze Stowarzyszenia czynią starania, by w Zabrzu stanął wspomniany powyżej pomnik. Choćby najskromniejszy, mówią, bo na inny ich nie stać.

„Tygodnik Powszechny“, 14 stycznia 1996

Magdalena Bajer

Proszę porównać...

Dwa razy pytano mnie o to na sali obrad, z naciskiem: czy można porównać los Niemców wypędzonych ze wschodnich obszarów ich przedwojennej ojczyzny, z losem Polaków, którzy na tych nowych polskich Ziemiach Zachodnich zajęli niemieckie gospodarstwa, domy i mieszkania? Odpowiadałam z wahaniem, ale jednak twierdząco: tak, można porównywać indywidualne ludzkie losy przesiedleńców. Polaków razi termin „wypędzenie“, używany przez Niemców w odniesieniu do Niemców, ale sądzę, że zgodzimy się nań, jeśli – właśnie porównując niedole – przyjmujemy ten termin dla jednych i drugich.

Odpowiadałam, że można porównać, choć mój współreferent Johannes Dorn (obecnie z Karlsruhe) przeżył oblężenie rodzinnego Wrocławia, grzebał własnymi rękami zabitych kolegów szkolnych, trafił do obozu przejściowego w Wołowie i uciekł stamtąd do domu dziadków, gdzie nie znalazł już nikogo. Pierwszy raz mówił o tym wszystkim publicznie – młodym ludziom, głównie z Niemiec, zebranych we Wrocławiu, u jezuitów, na seminarium poświęconym problemom wypędzenia.

Johannes Dorn za namową przyjaciół odwiedził w 1988 r. Chocianów, gdzie był kiedyś jego dom. Zastał polską rodzinę, która przyjechała tam prosto z Sybiru i powitała go pytaniem: co zrobisz, jak on tu wróci? Na pożegnanie usłyszał: „musisz tutaj przyjeżdżać, do swego domu“. Pan Dorn po naszych obradach śpieszył się do swojej „polskiej córki“ – we Wrocławiu. Wręczając mi wizytówkę, powiedział ze łzami w oczach: „*Frau Bajer*, do nas należy mówić o tym i porównywać losy, bo pamiętamy“.

Domek dla lalki

Nad większością uczestników spotkania miałam przewagę wieku, polegającą na tym, że pamiętam i to, jak opuszczaliśmy rodzinny Lwów ponad pół wieku temu, i to, jak z Wrocławia wyjeżdżali Niemcy w kolejności wyznaczonej różnego koloru kartkami z wypisanym nakazem wyjazdu. „Naszej“ Gabi moja Mama wystarała się o możliwie najdalszy termin, a Gabi i tak została jeszcze ponad pół roku, o czym dalej.

Mnie ze Lwowa nie wypędzali Sowieci stojąc na progu mieszkania i pokazując bagnetem, co wolno zabrać, a co trzeba zostawić. Rodzice wyjechali ciężarówką załadowaną tym, co się mieściło, w 1943 roku, do rodziny w rzeszowskie (niedaleko, może sto kilometrów od Lwowa, do którego żadne z nich nigdy więcej nie pojechało). Uczyniliśmy to, gdyż ojciec bał się drugiego wkroczenia Armii Czerwonej. Po pierwszym, w 1939 r., przez parę tygodni nie nocował w domu.

15 grudnia 1945 r. jechałam z Matką przez Kraków do Wrocławia, gdzie prof. Ludwik Hirszfeld, pierwszy dziekan Wydziału Lekarskiego na polskim uniwersytecie, zaproponował Ojcu Katedrę Chorób Wewnętrznych a Matce adiunkturę na neurologii. Pod plandeką ciasno zasznurowaną (PKS miał wtedy tylko auta ciężarowe), w zaduchu, pasażerowie straszili się wzajemnie opowieściami o stolicy „dzikiego zachodu“, ku której się zbliżyliśmy w zimowych ciemnościach.

Gabi Krems w tych ciemnościach lęklonie wзираła z piwnicy swojej willi, gdzie sama, pochowawszy ojca i pożegnawszy matkę jadącą do Austrii, przeżyła oblężenie. Przed wojną zaczęła studiować medycynę. Miałyśmy się poznać dopiero za dwa miesiące, kiedy moi rodzice odkupili ten dom na Biskupinie od pierwszego właściciela, któremu przestał odpowiadać i przeprowadzili się doń z pokoju w dziekanacie Wydziału Lekarskiego, dając miejsce innym „repatriantom“.

Kiedy weszłam do mojego pokoju na piętrze, pierwszą rzeczą jaką zobaczyłam był ustawiony na stoliku domek dla lalki – z malowaną na beżowo podłogą, ze ścianami w kwiatki, umeblowany, jak pamiętam, pięknie i bogato. Odwróciłam się, za mną stała Gabi i powiedziała: „*fuer Dich, Makda*“. Pierwszy raz chyba pomyślałam wtedy wdzięcznie o nauce niemieckiego, którą mi aplikowano w dzieciństwie.

Gabi zaczęła jadać z nami obiady – wieczorem, jako że zła komunikacja nie pozwalała moim rodzicom na przerwy w ciągu pracowitego dnia. Odrobinę mnie to gorszyło i napomykałam coś o „niepatriotycznym spoufalaniu się z Niemką“, ale Mama to bagatelizowała, na szczęście.

Ponad rok później po Gabi przyjechał jej przedwojenny narzeczony, wzięli ślub we Wrocławiu – jak to zaplanowali ich rodzice. Mój ojciec był świadkiem. Potem wyjechali z ciężarówką rzeczy, a ja przeprowadziłam się do pokoju Gabi, która zamieszkała w Austrii i kilka razy w roku stamtąd do Mamy zapragnęła przyjechać. Była we Wrocławiu tydzień, nie oddalając się poza obręb paru uliczek najbliższych jej rodzinnego domu. Jeszcze kilka lat później odwiedziła nas w Warszawie pokonując odległość kilkuset kilometrów pociągiem, żeby przesiedzieć cztery dni w moim, znów nowym, domu i rozmawiać z Mamą, która się doń przeprowadziła. W tamtym wrocławskim mieszka teraz ktoś, też ze Lwowa.

W ostatnie Boże Narodzenie nie przyszedł list od Gabi. Nie wiem, czy żyje.

Objaśnienia

Mnie proszono o opowieść biograficzną, czyli to, co wyżej zapisałam – zdając sobie sprawę, iż sytuacja Gabi Krems była jakościowo innym zjawiskiem niż sytuacja Niemców usiłujących dostać się na statek płynący do Hamburga przez Zatokę Gdańską, ostrzeliwaną z dział sowieckich; albo mieszkańców mazurskich wsi, gdzie wkraczający żołnierze sowieccy krzyżowali kobiety na wrotach stodół; albo tych, co dostali się do obozów przejściowych w Łambinowicach czy Potulicach. Powiedziałam tylko, że w tych dzielnicach Wrocławia (tak samo było gdzie indziej), gdzie mieszkali przesiedleńcy ze wschodniej Polski, a także Warszawiacy – którzy stracili swoje miasto w sensie dosłownym, fizycznym – tam nierzadko siadano razem do stołu i nowi mieszkańcy pomagali opuszczającym swoje domy Niemcom pakować dobytek.

To jedno objaśnienie. Okazało się także, że młodzi uczestnicy seminarium nie zdają sobie sprawy z tego jak duża część społeczeństwa polskiego nie utożsamiała się z powojenną władzą ani nie akceptowała terytorialnych rozstrzygnięć zwycięskich mocarstw – wobec czego nie mogła i nie może poczuwać się do winy za wysiedlenie Niemców. Przybyli na Ziemię Zachodnie Polacy – wyjąwszy szabrowników nie zamierzających tam żyć – byli bezdomni. Poczucie bezdomności może niekiedy stawało się usprawiedliwieniem odbierania Niemcom ich domów i rzeczy, przede wszystkim jednak wzmagало tęsknotę za własną utraconą małą ojczyzną. Przysłowiowe już późniejsze ociąganie się z odnawianiem mieszkań, bo „wrócimy do Lwowa (Wilna, Pińska, Stanisławowa...)“ odzwierciedlało utrzymujący się długo stan ducha. Każda rodzinna czy towarzyska uroczystość w powojennym Wrocławiu stawała się okazją mniej do wspomnień – tak jest teraz w wielopokoleniowych rodzinach – a bardziej do marzenia o tym, jak to się będzie wracało... Kto to pamięta, ten wie, że ci ludzie pojmowali paralelność losu cywilnej ludności niemieckiej z własnym losem.

Domy i mieszkania na Ziemiach Zachodnich były nowocześniejsze wyposażone niż te, któreśmy zostawili. Jednakże konstatacja tego faktu nie umniejszała żalu za tamtymi. O tym trzeba powiedzieć, gdyż przez długie lata przekonywano i nas, i przesiedlonych Niemców (którzy takich opinii nie mogli weryfikować), że pozostawiliśmy za sobą jedynie poleskie błota i kurne chaty, przenosząc się na ciaśniejsze wprawdzie, ale znacznie wyższe piętro cywilizacji.

Że nowe nasze ziemie przedtem doszczętnie wyrabowali Sowietci, o tym pamiętają tylko wymierający pionierzy ich zagospodarowywania.

I jeszcze jedno przypomnienie. Polacy, którzy przyszedli nad Odrę i Nysę, mimo tego, co wymieniałam: poczucia bezdomności, żalu, tęsknoty i długo pielęgnowanej nadziei powrotu, bez ociągania się, gorliwie przystąpili do wszelkich koniecznych, a zwykle bardzo ciężkich prac nad organizacją życia społecznego w nowych warunkach, do tworzenia instytucji wspólnie potrzebnych – od tramwajów po uniwersytet. Opisywano w pamiętnikach profesorów, noszących na grzbiecie rozrzucone wybuchami bomb książki z niezwykle cennego zbioru biblioteki uniwersyteckiej. Grupa pracowników Uniwersytetu Jana Kazimierza przeniosła do Wrocławia właściwe sobie cechy: oddanie sprawom publicznym, ofiarność, rzetelność, poczucie odpowiedzialności za to, co im powierzono. Ludzie ci pracowali z całych sił długo nie rozpakowując walizek, które przywieźli.

Piastowie – my – dialog

W drugiej połowie lat 70. usiłowałam – prowadząc wtedy serię wydawniczą „Biblioteka Myśli Współczesnej“ w PIW-ie – opublikować zbiór szkiców małżeństwa niemieckich psychologów społecznych, państwa Mitscherlichów, o przemianach w mentalności ich rodaków, zwłaszcza stosunku do faszystowskiej i tuż powojennej przeszłości. Nie udało się, mimo zaangażowania wysoko wtedy postawionych osób, ponieważ cenzura nie chciała przepuścić zawartej tam tezy, iż Niemcy nie mogą przyjąć i zaakceptować argumentu na rzecz utraty swoich wschodnich terenów, polegającego na wmawianiu, że były one prapolskie, a prawo do ich zamieszkiwania uzurpowali sobie przez stulecia. Książka *Niezdolni do żalu* nie ukazała się po polsku; dzisiaj jest już tekstem historycznym.

Członkowie Schlesische Jugend – ludzie nieźle znający własną historię – znów o tym mówili. Nie natrafili jednak na sprzeciw Polaków (z reguły sporo starszych), gdyż Polakom również ten argument wmawiano, każąc miłować Piastów i nie interesować się tym, co było pomiędzy epoką Piastów a rokiem 1945. Znalazło to wyraz w pielęgnowaniu zabytków średniowiecznych i zupełnym zaniedbywaniu, nawet niszczeniu tych z okresu niemieckiej obecności. I znów należy coś objaśnić: stosunek społeczeństwa polskiego do owej „historycznej“ argumentacji. Ludzie, którzy przyjechali na zachód, gdyż alternatywą dla nich było przyjęcie sowieckiego obywatelstwa oraz represje dobrze znane z lat 1939/40, ci ludzie nie pragnęli koniecznie zagnieździć się w piastowskich pradziejach, choć z pewnością to odległe odwołanie trochę pomagało.

Ludzie ci nie dawali się też, przekonać doraźnymi argumentami o tym, jakie to dobra zyskali w zamian za to, co im zabrano. Podobnie myślą Niemcy. I dlatego sąsiedzki dialog może się zacząć dopiero po usunięciu owych kłamstw, co szybciej da się zrobić przy wzajemnym poznawaniu historii oraz pod warunkiem zgody na trwałość zmian terytorialnych, jakie nastąpiły po przegranej przez Niemcy wojnie (co, jak sądzę, istnieje), no i chęci rzeczywiście dobrego sąsiedztwa, co zapisano w traktacie.

„Tygodnik Powszechny“, 4 lutego 1996

Jerzy Kranz

Rany, prawdy i blizny

W drugiej połowie ub. roku w Polsce nasiliła się dyskusja prasowa – prowadzona na łamach „Rzeczpospolitej“ i „Tygodnika Powszechnego“ – dotycząca wysiedleń ludności niemieckiej po zakończeniu wojny. W dyskusję włączył się też pośrednio niemiecki dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung“¹³, który jesienią 1995 r. opublikował szereg (czasem bardzo emocjonalnych) listów od czytelników w odpowiedzi na list Krzysztofa Skubiszewskiego, poruszający kwestie wysiedleń.

Chciałem nawiązać do tej dyskusji.

Pozytywne zmiany w stosunkach polsko-niemieckich wydają się dziś na tyle utrwalone i spowszedniałe, że traktuje się je jak coś oczywistego. Jedną z trudniejszych kwestii społecznego dialogu między Polakami a Niemcami pozostaje natomiast ocena powojennych wysiedleń ludności niemieckiej. Niezależnie od najlepszej woli orędowników pojednania, rozdziału tego nie da się zamknąć jednorazową deklaracją lub umową.

Zmiana granic i wysiedlenia

Decyzje konferencji poczdamskiej z sierpnia 1945 r. były dziełem mocarstw, nie Polski. Władze polskie (nie tylko zresztą komuniści) popierały je jednak – w tym także, a może przede wszystkim decyzję o przesunięciu granicy polskiej na Zachód oraz o wysiedleniu ludności niemieckiej z przyznanych Polsce ziem. Prawdą jest, że na terenach objętych wówczas wojskową administracją radziecką władze polskie rozpoczęły wysiedlenie zaraz po kapitulacji wojsk niemieckich, jeszcze przed Poczdamiem. W tym samym okresie utrudniano też powrót do swych domostw tej części ludności niemieckiej, która uciekła przed frontem: Zasadnicza część wysiedleń nastąpiła jednak po Poczdamiu.

Zmiany granic po zakończonej wojnie można uzasadniać rozmaicie, odwołując się do przesłanek historycznych, albo do czynników etnicznych lub do zamiaru stworzenia nowej sytuacji geopolitycznej. W roku 1945 przeważyła geopolityka; pozostałe uzasadnienia odegrały rolę wtórną. Tymczasem w Polsce przede wszystkim powołuje się na prapolski charakter przyznanych terenów oraz na sprawiedliwość dziejową.

U źródeł decyzji poczdamskich leżał zamiar mocarstw, aby Europie zapewnić pokój i bezpieczeństwo. Drogą do tego celu miało być ustanowienie nowego kształtu politycznego naszego kontynentu i zapobieżenie hegemonialnej polityce Niemiec. Jednym z elementów tej koncepcji była zmiana granic oraz wysiedlenia ludności niemieckiej.

Z polskiego punktu widzenia dwa czynniki odegrały zasadniczą rolę dla poparcia decyzji mocarstw.

Po pierwsze, przesunięcie naszej granicy wschodniej wymagało rekompensaty na Zachodzie. Nie po to, aby uzyskać tzw. przestrzeń życiową (argument podnoszony niekiedy w Niemczech w nawiązaniu do hitlerowskiej koncepcji tzw. *Lebensraum*), ale by zapobiec zamienieniu Polski w karła politycznego, wciśniętego między zwyciężki ZSRR a pokonane Niemcy (byłoby to pośmiertnym triumfem Hitlera). Chodziło o kwestię „być albo nie być“ dla państwowości polskiej. Naturalnie, wysiedleń ludności niemieckiej nie należy traktować wyłącznie w odniesieniu do strat terytorialnych, które Polska poniosła na Wschodzie. W Poczdamiu

¹³ Zob. dyskusję w rubryce czytelniczej „Frankfurter Allgemeine Zeitung“ z 9.9.1995, 24.10.1995, 28.10.1995, 31.10.1995, 23.11.1995, 28.11.1995, 30.11.1995.

mocarstwa zdecydowały również o wysiedleniu Niemców z Węgier i Czech (nie zmieniając granicy czesko-niemieckiej).

Po drugie, pozostawienie kilkumilionowej mniejszości niemieckiej w Polsce (i w Czechach) mogłoby doprowadzić do powtórzenia się sytuacji przedwojennej – ze znanymi zagrożeniami, ale i z jeszcze większym, dodatkowym balastem. Po przesunięciu granicy Polskiej na Zachód i bez wysiedlenia mniejszości niemieckiej w Polsce znacznie by się zwiększyła. A w 1945 r. sam dźwięk mowy niemieckiej wywoływał w Polsce reakcje trudne do przezwyciężenia. 50 lat temu doprawdy trudno było by wyobrazić sobie współzycie Polaków i Niemców w ramach jednego państwa (podobnie było w Czechosłowacji).

W 1945 r. wydawało się, że dla zmiany granic i wysiedleń nie ma alternatywy, która mogłaby lepiej zagwarantować stabilność i bezpieczeństwo europejskie. Korzystał z tego Stalin, naciskając na przesunięcie granicy sowieckiej na Zachód. Ustępstwa na jego rzecz nie były jednak głównym celem polityki Londynu i Waszyngtonu, które dążyły przede wszystkim do pokonania Niemiec i uniemożliwienia im w przyszłości polityki agresji.

Zmiana granic Niemiec oraz wysiedlenia Niemców odbywały się równoległe do zmiany granic Polski i wysiedleń Polaków z ze Wschodu. Był to skutek rozpetanej przez Niemcy wojny. Będąc ofiarą napaści Niemiec i ZSRR w 1939 r., w roku 1945 Polska stała się ponownie przedmiotem decyzji terytorialnych. Już w początkowej fazie wojny doszło do masowych deportacji ludności polskiej z terenów anektowanych przez Rzeszę, a także – o czym warto pamiętać – do wysiedlania Niemców np. z krajów bałtyckich (na mocy uzgodnień między Hitlerem i Stalinem o podziale stref wpływów).

Kto mieczem wojuje...

W przypadku Niemiec mamy natomiast do czynienia z ich odpowiedzialnością polityczną i prawnomiędzynarodową jako agresora. Wielu prawników i polityków z RFN poświęciło sporo wysiłku dla udowodnienia tezy, iż zwycięska koalicja naruszyła w 1945 r. różne normy prawne, zaś Niemcy padły ofiarą odwetu i całego szeregu zbrodni.

Czy zmiany granic Niemiec, wysiedlenia, a także procesy norymberskie traktować można jako odwet i bezprawie – czy też raczej była to część trudnego procesu wymierzania sprawiedliwości i tworzenia nowej konstelacji geopolitycznej?

W niemieckiej opinii publicznej utrwaliło się przekonanie, że państwo, które rozpoczęło wojnę (nie będąc zresztą w najmniejszym stopniu zagrożone ze strony innego państwa), które pierwsze zmieniało granice siłą (samodzielnie lub w porozumieniu ze Stalinem), które już zimą 1939/40 r. rozpoczęło pierwsze masowe wysiedlenia ludności polskiej, które przeprowadziło eksterminację Żydów, które doprowadziło do zaniku całej epoki i formacji kulturowej w Europie Środkowej – że państwo to utrzyma w nietkniętym kształcie swe przedwojenne granice (przynajmniej te z 1937 r.), unikając m.in. wysiedleń ludzi i konfiskat majątku.

Przyznając się do popełnionych zbrodni, w powojennych Niemczech podtrzymywano pogląd, że niemiecka *Heimat* na Wschodzie jest nietykalna. Dziś jeszcze część Niemców odbiera zmianę granic, wysiedlenie oraz konfiskaty mienia jako *Unrecht*. W terminologii niemieckiej słowo to oznacza zarówno „krzywdę moralną“, jak i „bezprawie“. Nagminne jest powoływanie się przy tym na normy prawnomiędzynarodowe, które nie obowiązywały w 1945 r. lub nie były dla koalicji wiążące (zgodnie z utrwaloną w prawie międzynarodowym zasadą, iż pewne działania, normalnie bezprawne, tracą ten charakter jeśli podjęto je przeciw agresorowi).

Nie jest tak, by po przegranej wojnie agresor mógł w pełni korzystać z ochrony politycznej i prawnomiędzynarodowej. Oznaczałoby to, iż agresor byłby premiowany, zaś sankcje międzynarodowe i traktaty pokojowe uzależnione byłyby od jego dobrej woli. Klóci się to nie tylko z prawem, ale i ze zdrowym rozsądkiem.

Rozumiejąc ból, jaki rodzi utrata stron ojczystych przez wielu Niemców oraz związane z tym ich indywidualne cierpienia (przez co przeszli zresztą również Polacy, niektórzy wysiedlani przez Niemców, inni przez Sowietów), trzeba sobie zdać sprawę z tego, iż powrót do stanu przedwojennego nie był możliwy w 1945 r. i nie jest możliwy dziś. Świat podpalili sami Niemcy, zaś pożar rozszerzał się stopniowo, ale nieubłaganie. Patrząc z perspektywy to nie państwu niemieckiemu odebrano pewne obszary, lecz Niemcy utraciły je w wyniku swej własnej polityki.

Nie jest również możliwy powrót Polaków na dawne ziemie wschodnie Rzeczypospolitej. Tak samo nie da się ponownie osiedlić Żydów na ziemiach, które zamieszkiwali przez wieki. Rozpoczęcie wojny przez Niemcy było początkiem końca pewnej epoki. Było wydarzeniem o skutkach nieodwracalnych.

Nie znaczy to, iż Niemcy i Polacy mają wyrzec się, zapomnieć lub wstydzić przenikania się ich kultur oraz dziedzictwa historycznego na ziemiach, których dziś nie posiadają.

Decyzje mocarstw i ich skutki

Wbrew niektórym twierdzeniom pojawiającym się w Niemczech, decyzje poczdamskie nie były wyrazem zasady „biada zwyciężonym“ (*vae victis*). Tę zasadę stosowały Niemcy w czasie II wojny światowej wobec pokonanych państw i ich ludności. Decyzje te wyrażają jednak inną, słuszną chyba zasadę: biada pokonanemu państwu–agresorowi. To rozróżnienie wydaje się konieczne.

Środki zastosowane w 1945 r. przez koalicję wobec Niemiec były dotkliwe. Czy i jak surowe były lub być powinny, zależy w znacznym stopniu od oceny polityki pokonanych Niemiec oraz od celów, jakie stawiały sobie zwycięskie mocarstwa. Można się zastanawiać, jak zmieniać granice lub czy dokonywać wysiedleń? Szukając odpowiedzi na to pytanie należy wyważyć elementy polityczne, prawne i moralne.

Celem politycznym mocarstw było zapewnienie pokoju w Europie, w tym uniemożliwienie Niemcom wywołania nowego konfliktu (na tle wcześniejszych dążeń terytorialnych Niemiec i wykorzystywania w związku z tym mniejszości niemieckiej). Mocarstwa podjęły więc w Poczdamie próbę nowego ułożenia stosunków w Europie, a obejmując przejściowo władzę najwyższą w Niemczech ustanawiały dla tego państwa różne prawa.

Czy podjęte środki były odpowiednie? Czy tylko one mogły doprowadzić do zamierzonego celu? Czy przyniosły pożądane skutki? To jeden z głównych tematów spornych w debacie polsko-niemieckiej. Nie wiadomo, czy uda się tu dojść do wspólnej oceny, gdyż perspektywy historyczne każdej strony są zasadniczo różne. Ważny jest jednak czasem nie rezultat, ale sama wola otwartej dyskusji, co pozwoli lepiej zrozumieć wrażliwość drugiej strony.

W Polsce panuje przekonanie, iż decyzje poczdamskie, aczkolwiek dotkliwe dla państwa niemieckiego i jego ludności, były niezbędne. Przesunięcie terytorialne Polski i Niemiec na Zachód oraz towarzyszące temu wysiedlenia stanowić miały przesłankę – chociaż nie od razu gwarancję – zniknięcia pewnego rodzaju konfliktów (np. na tle mniejszości narodowych) w tym regionie Europy. Celem Stalina było wprawdzie przy tym trzymanie w szachu Polaków poprzez gwarantowanie ich granicy zachodniej i utrzymywanie tym samym napięcia polsko-niemieckiego. Rozwój wydarzeń po 1989 r. udaremnił tę długofalową strategię polityczną ZSRR.

Z prawnomiędzynarodowego punktu widzenia wysiedlenia po 1945 r. oceniać należy w świetle obowiązującego wówczas prawa – a nie prawa późniejszego, jak to często czyni się w Niemczech. Decyzje poczdamskie, w tym wysiedlenia, wydają się zgodnie z prawem międzynarodowym obowiązującym w 1945 r. Pogląd ten jest kwestionowany jest w Niemczech,

gdzie przeważa opinia o bezprawności decyzji wysiedleniowych (skrajne głosy wspominają nawet o ludobójstwie na Niemczech).

Polityki nie da się prowadzić jedynie na podstawie norm moralnych, ale nie da się jej prowadzić również bez moralności. Normy moralne muszą być z jednej strony obecne w dłuższej perspektywie. Z drugiej strony prawo i polityka polegają na stałym wyważaniu norm moralnych, zasad sprawiedliwości oraz wartości społecznych w kontekście obranych celów politycznych.

Istotną kwestią jest w tym kontekście rozróżnienie między złem moralnym nad losem ludzi, którzy w wyniku wysiedlenia utracili swe strony ojczyste, a pośrednim lub bezpośrednim kwalifikowaniem decyzji politycznej mocarstw o wysiedleniach Niemców z Polski, Czechosłowacji i Węgier. Jest to rodzaj szarej strefy, w której ubolewanie moralne łatwo można przemienić w potępienie samej decyzji politycznej i prawnej. Tak samo można ubolewać nad losem cywilnych ofiar bombardowań i innych działań wojennych, lecz czy podczas wojny da się zawsze uniknąć bombardowań i ofiar wśród ludności cywilnej? Ważnym, choć nie jedynym kryterium w tej sprawie jest rozróżnienie między sprawcą a ofiarą wojny. W tej dziedzinie dostrzec można jedną ze znaczących różnic w postrzeganiu historii najnowszej przez Polaków i Niemców.

Decyzję mocarstw o wysiedleniach należy oceniać również w kontekście celów polityki międzynarodowej (pokoju i bezpieczeństwa), gdzie normy moralne przydatne są przy wyważaniu celów politycznych i środków ich realizacji – nie będąc jednak jedynymi kryteriami podejmowanych decyzji. Nie da się uciec od pytania, czy i w jakim stopniu cel uświęca środki?

W Polsce przeważa przekonanie, że decyzje poczdamskie przyniosły w sumie pozytywny efekt dla stabilności i pokoju w Europie. Trzeba mieć jednak świadomość ich wyjątkowego charakteru oraz uwzględnić pomyślny dla powyższego celu rozwój sytuacji międzynarodowej, zwłaszcza w latach 1989/90. Nie należy wyciągać stąd wniosku, że wysiedlenia i zmiany granic gwarantują stabilizację danego regionu. Nie można ich też traktować jako panaceum na rozwiązywanie konfliktów (niezależnie od legalności wysiedleń w świetle aktualnego prawa międzynarodowego). Co najwyżej mogą to być decyzje wyjątkowe, podejmowane w sytuacji wyjątkowej przez kompetentne instytucje lub konferencje międzynarodowe (a nie arbitralnie przez strony konfliktu).

Niepopularne przypomnienia

Odpowiedzialność za wybuch wojny ponoszą Niemcy. W przypadku poczdamskich decyzji o zmianie granicy i wysiedleniu Niemców mamy do czynienia ze współodpowiedzialnością polityczną Polski (popierała ona decyzje mocarstw, jednak nie należała do grona sygnatariuszy umowy poczdamskiej). Sposób przeprowadzenia wysiedleń ludności niemieckiej leży natomiast głównie w zakresie odpowiedzialności Polski i Polaków.

Pozbawiona realizmu i celowo tendencyjna jest jednak teza – głoszona niekiedy w Niemczech – że wysiedlenia były rodzajem spisku polsko-sowieckiego, narzuconego w Poczdamie bezwolnym Brytyjczykom i Amerykanom. W Niemczech niechętnie przypomina się o tym, że Amerykanie i Brytyjczycy już w pierwszych latach wojny planowali wysiedlenia ludności niemieckiej. Przecież gdyby nie wola mocarstw w 1945 r., nacisk Polski lub Czechosłowacji nie miałby żadnego znaczenia.

To, że wysiedlenie łączy się z cierpieniem jednostkowym, rodzinnym i ludzkim nie ulega wątpliwości. Sporna jest natomiast kwestia, czy decyzja o wysiedleniu była zgodna z ówczesnym prawem międzynarodowym? Pojawia się też pytanie, czy można w tym kontekście mówić o złu koniecznym?

Niezależnie od różnic w ocenie nie wydaje się, by dialog w kategoriach prawnych był dziś najlepszą gwarancją porozumienia i pojednania. Przyjęcie koncepcji o rzekomej bezprawności wysiedleń stawia jednak siłą rzeczy na porządku dziennym pytanie o to, które państwa miałyby być winne tego przestępstwa, a także o ukaranie winnych oraz ewentualne odwrócenie jego skutków.

Decyzje polityczne mocarstw były surowe. Podjęła je zwycięska koalicja (tak z reguły bywa po zakończeniu wojen), zgodnie z prawem międzynarodowym i w interesie pokoju europejskiego. Deklaracją z 5 czerwca 1945 r. mocarstwa objęły najwyższą władzę w Niemczech. Zgodnie z postanowieniami konferencji poczdamskiej zawarcie regulacji pokojowej z Niemcami odłożono do momentu powstania odpowiedniego rządu niemieckiego. To rozwiązanie polityczne i prawne wynikało nie tylko z bezwarunkowej kapitulacji Rzeszy i bezmiaru zbrodni niemieckich, ale również z braku w Niemczech zorganizowanych i demokratycznych sił politycznych, które mogłyby zapewnić odbudowę państwa zgodnie z postanowieniami mocarstw.

Pytanie o zło trzeba uzupełnić: zło w jakim kontekście i dla kogo? Z punktu widzenia bezpieczeństwa i stabilności europejskiej, decyzje poczdamskie można traktować jako niezbędne. Natomiast z punktu widzenia Niemiec i konkretnych Niemców będą one postrzegane jako źródło cierpienia i indywidualnej niesprawiedliwości. W tym sensie uprawniony wydaje się termin „zło konieczne“. Inaczej mówiąc: tylko klęska mogła wyzwolić Niemcy od nich samych, a problemem pozostawało kiedy i na jakich warunkach miała ona nastąpić.

Kryteria moralne są pomocne w aktach wybaczenia i pojednania między ludźmi. Nie są one jedynym elementem oceny decyzji politycznych państw zwycięskiej koalicji. Kryteria takie można wszakże zachować w dwóch istotnych sprawach: po pierwsze, dla oceny celu politycznego mocarstw; po drugie, dla oceny sposobu przeprowadzenia wysiedleń. Rzeczywistość polityczna Europy lat 90. wydaje się potwierdzać słuszność celu. Nie wydaje się też, by cel ten mógł zostać osiągnięty przy pomocy innych środków, mniej dotkliwych dla Niemców. Inaczej rzecz wygląda w kwestii przeprowadzenia wysiedleń, gdzie wobec Polaków sformułowano sporo zarzutów, w tym o popełnienie licznych przestępstw na konkretnych ludziach.

Wysiedleńców spotkała krzywda. Jest jednak kwestią do dyskusji, czy sytuację tę oceniać należy wyłącznie z perspektywy indywidualnej i w kontekście moralnym – czy też uwzględniać jeszcze kwestie polityczne, związane z odpowiedzialnością Niemiec za wojnę oraz kształtowaniem przez mocarstwa nowego układu geopolitycznego.

Z taką – hipotetyczną – prośbą do Niemców o wybaczenie decyzji o wysiedleniach musiałyby zwrócić się przede wszystkim mocarstwa: USA, Wielka Brytania, Rosja i Francja. O tym się w Niemczech nie mówiło i nie mówi (przy czym dostrzec można wyraźną wolę pomijania tej okoliczności milczeniem). Jest w tym sporo hipokryzji – bowiem równocześnie wyrazów ubolewania oczekuje się wyłącznie od Polski i Czech.

W odniesieniu do części b. Prus Wschodnich, należącej po 1945 r. do ZSRR (a obecnie Rosji) Niemcy nigdy nie domagały się jakichkolwiek wyrazów ubolewania czy przeprosin. Nigdy też nie podnosiły kwestii skonfiskowanej tam własności. Poza odpowiedzialnością ZSRR za decyzje o zmianie granic i wysiedleniu, znane są przecież liczne przypadki odwetu, jaki żołnierze Armii Czerwonej brali na niemieckiej ludności cywilnej. Nie jest to bynajmniej argument mający usprawiedliwić polskie winy. Jednak trzeba o tym pamiętać w kontekście niektórych głosów dochodzących z Niemiec.

Wspomniałem już, że w Niemczech żywa jest tendencja, która Polakom i Czechom przypisuje nie tylko większość przestępstw, które popełniono podczas przesiedleń, ale również zbrodniczość decyzji o wysiedleniach ludności. Słychać również w RFN głosy, żądające dziś od Polski czynnego zadośćuczynienia za skutki wojny związane z wysiedleniem. Jeśli ktoś chciałby

otwierać tę „puszkę Pandory“, to musi liczyć się również z tym, że równocześnie otwarta zostanie debata na temat długów niemieckich z okresu wojny. Ani rząd zachodniemiecki, ani wschodniemiecki nie chciały tego uczynić za żadną cenę w czasie rokowań nad traktatem „2 plus 4“ w 1990 r. (dotyczącym zjednoczenia Niemiec). Jeśli zaś nie chciały, to musiały dobrze wiedzieć dlaczego. M.in. z podobnych względów Niemcy nie chciały, by traktat „2 plus 4“ określał mianem traktatu pokojowego.

Historia bez skazy?

Jak już wspomniałem, niezależnie od decyzji politycznej o wysiedleniu, do rozważenia pozostaje problem winy Polaków za sposób ich przeprowadzenia. Zgodnie z decyzjami poczdamskimi wysiedlenia miały być przeprowadzone w sposób humanitarny. I tu właśnie jest wielkie pole do dyskusji w Polsce, szczególnie do ujawniania prawdy o czynach, popełnionych na wysiedlanej ludności niemieckiej (w tym w obozach utworzonych po wojnie dla Niemców), o cierpieniach ludzi, o świadomym niszczeniu zabytków kultury niemieckiej, o traktowaniu mniejszości niemieckiej w Polsce itd. Można – i trzeba – dyskutować o polskich winach, o zemście poszczególnych ludzi lub o nacjonalizmie. Jeśli nawet istnieją okoliczności łagodzące, pozwalające winę tę postrzegać jako wynik zarażenia złem i nienawiścią, które przynosi ze sobą każda wojna, to trudno te czyny moralnie usprawiedliwić.

Ludność niemiecka z byłych wschodnich terenów Rzeszy poniosła najliczniejsze ofiary w czasie ucieczki przed frontem w 1944/45 r., podczas spóźnionej i chaotycznej ewakuacji oraz w wyniku bezpośrednich działań wojennych. Fakt ten jednak – kształtując wprawdzie pewną perspektywę – nie zmienia w niczym ponurej oceny sposobu przeprowadzania wysiedleń.

Nie ulega wątpliwości, że w czasie wysiedleń Niemców Polacy (oraz Rosjanie i Czesi) dopuścili się wielu czynów niegodnych – rabunków i morderstw, że miały miejsce akty odwetu na bezbronnych i często niewinnych ludziach, w dużej mierze kobietach, dzieciach i starcach. Obciąża to przede wszystkim sprawców tych czynów. A ponieważ było ich niemało, kładzie się to cieniem na obrazie Polski i Polaków. Władze polskie w niedostateczny sposób przeciwdziałały tym zjawiskom. W ostatnim czasie ujawniono w Polsce sporo dokumentów państwowych lub partyjnych, świadczących o celowym szykanowaniu i poniżaniu ludności niemieckiej oraz próbach jej przymusowej polonizacji.

W tym kontekście można mówić nie tylko o winie poszczególnych jednostek, ale o współodpowiedzialności moralnej (choć nie zawsze o winie) wielu innych Polaków, którzy – wiedząc o istniejących nieprawościach – przymykali na nie oczy lub akceptowali je. Uwolnić się od takiego ciężaru można przede wszystkim poprzez przyznanie się do faktów i odpowiednią ich ocenę. Tymczasem prawdy te są w Polsce nadal niepopularne. Są bowiem wyłomem w dominującej nie od dziś mentalności ofiary oraz w pielęgnowanym obrazie martyrologii. Męczeństwo i ofiary polskie podczas ostatniej wojny są faktem, a skala tych faktów jest olbrzymia. Jednak niepokojące wydaje się utrwalanie wyłącznie takiego obrazu. Skutkiem tego może być bowiem utracenie z pola widzenia cierpienia innych.

Polacy – z różnych względów – odwracają się tutaj od prawdy. Widać to niestety nie tylko w kwestiach polsko-niemieckich, lecz również polsko-rosyjskich czy polsko-żydowskich. Tymczasem prawdy tej potrzebujemy. Złudzeniem jest pogląd, iż istnieją narody, których historia jest bez skazy.

Skorupa wieloletnich kłamstw pokrywa do dziś w wielu kwestiach historię stosunków polsko-niemieckich. Jest to pole dla dyskusji polskich i polsko-niemieckich. Komunistyczna i nacjonalistyczna propaganda nie może być glebą dla porozumienia z Niemcami (jak również z Rosją). Na szczęście w Polsce można o tych sprawach pisać, dyskutować publicznie i prowadzić badania naukowe. Dyskusja jest bogatsza niż się sądzi, jednak daleko nam jeszcze

do jej zakończenia. Stereotypy i zakorzenione niechęci przetrwały upadek murów w 1989 r., a w polskim odbiorze cierpienia innych są w jakimś stopniu ciągle mniej warte, niekiedy nawet podejrzane. To jedna z barier, które musimy przezwyciężyć.

Naturalne wydaje się więc wyciągnięcie rąk w geście skruchy i pojednania, przy równoczesnym pamiętaniu o krzywdach i cierpieniach (w tym także o zbrodniach popełnionych na Niemcach przez Polaków w okresie wysiedleń). Taki między innymi sens miały słowa biskupów polskich z 1965 r., (powtórzone wspólnie z biskupami niemieckimi pod koniec 1995 r.); taki cel miało ubolewanie i zrozumienie dla cierpień niemieckich wysiedleńców, wyrażone przez ministrów Skubiszewskiego i Bartoszewskiego (zob. szerzej artykuł Skubiszewskiego w „Rzeczpospolitej“ z 11 października 1995 oraz przemówienie Bartoszewskiego w Bonn z 28 kwietnia 1995).

Nie jest jednak łatwo przekonać Polaka lub Rosjanina do zadumy i współczucia nad losami Niemców. Inna będzie reakcja wobec tragicznego losu (szczególnie śmierci) tych żołnierzy i urzędników, którzy gorliwie wykonywali swą służbę na obcej, zawojowanej zbrojnie ziemi; inna zaś wobec przypadkowych i niewinnych ofiar, szczególnie wśród ludności cywilnej.

Pojednanie ma wymiar indywidualny (między sprawcą a ofiarą) oraz społeczny i polityczny, gdy grupa osób udziela symbolicznie wybaczenia w imieniu nie tylko swoim, traktując ten gest jako wyraz woli współpracy i zbliżenia ponad podziałami w przeszłości. Takie pojednanie jest w zasadzie bezwarunkowe – i dlatego tak trudne. Jego sens polega na tym, że godzimy się co do istnienia pewnych faktów, mówimy o nich publicznie i wybaczymy nie rozliczając win; wybaczymy nie tylko w imię miłosierdzia, lecz również w perspektywie współpracy i dobrego sąsiedztwa w przyszłości. Dyskusja o racjach politycznych i historycznych, o winach każdej strony jest wprawdzie możliwa, zgoda w ich ocenie nie musi być jednak warunkiem wybaczenia i pojednania.

Ten ludzki (nie tylko chrześcijański) element posiada doniosłe znaczenie moralne i psychologiczne dla dialogu polsko-niemieckiego. Niezależnie bowiem od wojny wywołanej przez Niemcy, od odpowiedzialności prawnomiedzynarodowej i politycznej państwa niemieckiego, pozostaje cierpienie i ból ludzi, ofiar tej wojny – w tym również Niemców.

Wina zbiorowa Niemców?

Podczas każdej wojny cierpią cywile, w tym również obywatele państwa–agresora – bez względu na winę lub niewinność poszczególnych jednostek. Można nad tym ubolewać, ale cierpienie wojennych nie da się podzielić sprawiedliwie. Ludność cierpi w wyniku głodu i bombardowań, a po wojnie w wyniku zmiany granic, zniszczeń, kontrybucji.

Wbrew niektórym potocznym opiniom, poczdamskie decyzje o wysiedleniu ludności niemieckiej nie miały związku z rzekomą zbiorową winą Niemców. W pewnym stopniu można by tu mówić o współodpowiedzialności Niemców (nie tylko Niemców wysiedlanych) za politykę państwa. Nie oznacza to zbiorowej winy. Wina jest bowiem pojęciem zindywidualizowanym – podobnie jak zemsta.

Wysiedlenia Niemców nie miały jednak związku z winą wysiedlanych, lecz z decyzjami mocarstw (a te z odpowiedzialnością Niemiec za wojnę). Ci w Niemczech, którzy twierdzą inaczej, budują specyficzną konstrukcję: kwestionują oni (słusznie) istnienie winy zbiorowej Niemców, ale traktując wysiedlenia jako zbiorową karę (co jest twierdzeniem bezpodstawnym) obarczają zbiorową winą za to Polaków lub inne nacje. Ten sposób rozumowania trudno zaakceptować.

W świetle tych uwag nie wydaje się trafne stosowanie terminu „wygnanie“ (*Vertreibung*). Pojęcie to zakłada naruszenie pewnych norm i w tym sensie winę wygnańca (np. biblijne wygnanie z raju to po niemiecku również *Vertreibung*). Termin ten wprowadza w błąd i sugeruje,

jakoby wysiedlenia miały coś wspólnego z karą za winę poszczególnych osób, zamieszkujących dany obszar. Chodzi tymczasem, podobnie jak w przypadku innych decyzji poczdamskich, o odpowiedzialność państwa–agresora.

Terminy „wysiedlenia“ i „wysiedlenie“ bardziej zatem odpowiadają rzeczywistości. Podkreślają one element przymusu i pomijają kwestię winy (w przeciwieństwie do „przesiedlenia“, które jest raczej dobrowolne). Odnotujmy też, iż w języku polskim (naukowym i potocznym) mówiło się i mówi wyłącznie o „wysiedleniach“ ludności polskiej (np. z Poznańskiego w 1939/40 r.). Nawiasem mówiąc, w okresie wojny Niemcy stosowali wobec Niemców bałtyckich oraz Polaków terminologię „przesiedleńcy“ lub „wysiedleńcy“. Tak się dziwnie składa, że ci przesiedleńcy niemieccy z państw bałtyckich, których na mocy umowy Hitler–Stalin w latach 1939–40 skierowano do Warthegau, po roku 1945 zmienili się nagle w „wygnańców“. Terminy „wypędzenie“ i „wypędzony“ są moim zdaniem tworem sztucznym i niezręcznym z punktu widzenia poprawności języka polskiego (argument apolityczny). Spór o nazwę jest jednak wtórny wobec całego problemu, jeśli mielibyśmy zgodzić się co do jednolitej terminologii zarówno odnośnie wysiedlanych Niemców, jak i Polaków.

Dyskusja w Polsce nad tymi nie zawsze dla nas wygodnymi tematami nabiera coraz większego znaczenia. Jest to również świadectwo naszej dojrzałości i odpowiedzialności. W stosunkach ze zjednoczonymi Niemcami osiągnęliśmy historyczny przełom. Nie oznacza to, że znika potrzeba pogłębionego dialogu Polaków i Niemców. Ocena przeszłości nie powinna jednak przesłaniać problemów przyszłości, przed którymi stoją oba państwa i narody.

„Tygodnik Powszechny“, 3 marca 1996

Piotr Madajczyk

Jest nad czym dyskutować

Pierwsza faza przymusowych przesiedleń ludności niemieckiej przez polskie władze rozpoczęła się jeszcze bez podstawy prawnej i trwała od czerwca do sierpnia 1945 r. Oddziały Wojska Polskiego usunęły wtedy z terenów przygranicznych ok. 200–250 tys. Niemców. Podobną akcję podjęli wtedy Czesi, usuwając ok. 800 tys. Niemców sudeckich. Niemcy kierowani byli wyłącznie do sowieckiej strefy okupacyjnej – zarówno z Polski, jak i Czechosłowacji. Wysiedleń dokonywano przed rozpoczęciem konferencji poczdamskiej (początek sierpnia 1945 r.) – nie byłyby więc możliwe bez akceptacji władz sowieckich.

Równocześnie dokonywał się dobrowolny ruch tej części ludności niemieckiej, która nie chciała pozostać na terenach wchodzących teraz w skład państwa polskiego. Skalę tych wyjazdów oraz stopień dobrowolności trudno ocenić. Wielu Niemców obawiało się zemsty, a polskie władze komunistyczne zalecały wspieranie wśród Niemców takich tendencji. Niekiedy wstrzymywano wydawanie kartek żywnościowych. Np. w powiecie gołdapskim na Mazurach zarządzenie starosty o noszeniu przez Niemców białej opaski z literą „N” spowodowało falę zgłoszeń do wyjazdu, także wśród tych, którzy wcześniej podawali się za Polaków.

Zarzuty wobec strony polskiej o niehumanitarne i nieludzkie traktowanie Niemców w czasie wysiedlania pojawiły się dość wcześnie. Oczywiście jest, że w tak masowym procesie były i zachowania wzorowe, i okrutne nadużycia. Przykłady można dowolnie cytować, udowadniając wybraną tezę. Chodzi jednak o ustalenie proporcji obu zjawisk – a z tym jest już kłopot. Wynika to m.in. z faktu, że poszkodowani nie zawsze zgłaszali nadużycia i rabunki, obawiając się zatrzymania w Polsce na czas dochodzenia.

Sformułowaną w Poczdamie zasadę humanitarnego przeprowadzania przesiedleń łamano zwłaszcza między grudniem 1945 a styczniem 1946 roku.

Grabieże i zabójstwa

W okresie mrozów w każdym transporcie w wyniku złego ogrzewania (lub jego braku) zamarało bądź ulegało ciężkim odmrożeniom po kilkadziesiąt osób. Strona rosyjska w ciągu dwóch zimowych miesięcy przełomu 1945/46 naliczyła 294 zmarłych i 1893 z ciężkimi odmrożeniami.

Problemem było bezpieczeństwo transportów. W relacjach przesiedlanych częste są opisy napadów i rabunków. Pamiętać należy jednak o ogólnej sytuacji na tamtych terenach. Także we wspomnieniach np. polskich nauczycielek, kierowanych na ziemie zachodnie można znaleźć takie relacje: „między Lignica a Szprotawą do wagonu, w którym jechałam, jak również i do innych wagonów wkroczyły masy bolszewików. Zaczęli torturować i bić mężczyzn, rabować walizki i gwałcić kobiety”. Wiadomo, że również milicja i ubecy napadali na ludność polską. Czy mogło być inaczej w wypadku Niemców, wobec których zahamowania były mniejsze?

Doszło do tego, że w lipcu 1946 na Dolnym Śląsku władze – z powodu licznych wykroczeń ORMO-wców – zdecydowały się zastąpić ich wojskiem. „Greuelpropaganda [propaganda strachu – red.] na ten temat rozchodzi się coraz szerszymi falami i bardzo nam szkodzi. Staramy się temu przeciwdziałać ale materiał jest zbyt jaskrawo prawdziwy, aby poza uciszaniem można było coś bardziej zdecydowanego zrobić” – pisał w styczniu 1947 r. z Berlina gen. Jakub Prawin (szef Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie).

Przy wysiedlaniu pojawiało się wiele kłopotów technicznych: brak taboru, lekarstw i żywności, zła łączność. Stąd np. mimo formalnego zakazu często przetrzymywano przesiedla-

nych w punkcie zbiorczym ponad 24 godziny. Były i inne problemy: zakaźnie choroby w transportach, kobiety ciężarne, osoby bez dokumentów. Zdarzały się wypadki rozdzielania rodzin. Wiadomo też, że wbrew oficjalnie ustalonym zasadom wysiedlający – konwojenci i policja kolejowa – starali się zrobić wszystko (także przez dezinformację), aby Niemcy pozostawili na miejscu jak największą część majątku.

Zamarznąć na śmierć

Przepisy zezwalały na wywożenie rzeczy osobistych, pościeli, używanych ubrań itd. Tymczasem w wykazach konfiskat znajdujemy: „używane prześcieradło“, „termometr“, „serwety“, „podstawki pod dzbanki“, „pończochy“, „sztućce“, „sznur do żelazka“ i „używane nożyczki“. Konfiskatę majątku przesiedlani zawsze odczuwali jako rabunek. Przy rekwizycjach pieniędzy i kosztowności dochodziło raczej do oszustw i nadużyć niż do większych malwersacji. Nadużycia dotyczyły też skonfiskowanej żywności.

Do większych afer dochodziło podczas lokalnych wysiedleń ludności, kierowanej do transportów, gdy miejscowi szabrownicy często współdziałali z władzami. Niekiedy fingowano przesiedlenie, aby w czasie nieobecności właścicieli rabować mieszkania. Członkowie Komisji Wysiedleńczych odbierali przesiedlanym część rzeczy, dokonywali samowolnych zmian na listach przesiedlanych itd. Zapewne te rozproszone, lokalne nadużycia najtrudniej było zarejestrować. Zdarzały się – i pewnie były też najrzadziej wykrywane – zorganizowane kradzieże (gdy stwierdzano na przykład brak w transportach po kilkaset kilogramów chleba).

Według Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie fatalnie działał odpowiadający za przesiedlenia Państwowy Urząd Repatriacyjny:

Na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia władze angielskie powiadomiły nas o wstrzymaniu ruchu transportów wysiedlonych Niemców na okres świąteczny tj. od 23.XII do 30.XII. Powiadomiliśmy natychmiast Warszawę zarówno depeszą jak i telefonicznie. (...) Mimo to transporty nadal wysyłano – relacjonował 23 stycznia 1947 r. w tajnym piśmie gen. Prawin do polskiego MSZ (dokument w archiwum MSZ). – Ostatni z nich przyszedł na teren Niemiec w wigilię wieczorem wioząc kilkanaście osób zamarznętych na śmierć a kilkadziesiąt o odmrożeniach I stopnia, które natychmiast umieszczono w szpitalu. Niektórych poddano amputacji. Wszystkie te wypadki stwierdzone zostały zarówno przez władze angielskie przyjmujące transport jak i przez ad hoc zwołaną komisję społeczną z miejscowym burmistrzem, sędzią i lekarzem na czele. (...) Oficerowie sowieccy, którzy stykają się z naszą akcją wysiedleńczą określają jej personel jako stado łobuzów i bradiagów, którzy swoją działalnością wyrządzają Polsce ciężką krzywdę.

Obozy

Na Ziemiach Zachodnich powstały miejsca odosobnienia dla ludności niemieckiej. Utworzyły je władze radzieckie zaraz po zajęciu tych terenów, by następnie przekazać administracji polskiej. Przez dłuższy okres równoległe istniały obozy podlegające władzom prokuratorskim, organom bezpieczeństwa i wojskom sowieckim. Według źródeł niemieckich funkcjonowało 1255 obozów i 227 więzień, z tego na ziemiach zachodnich odpowiednio 681 i 119. Obozy te nazywano różnie: izolacyjnymi, zbiorczymi, przesiedleńczymi, odosobnienia i pracy.

Na pewno nie były to obozy zagłady. W obozach zagłady transporty więźniów likwidowane były planowo, natychmiast po przybyciu, śmiertelność wynosiła ponad 70 proc., a celem była likwidacja pewnej grupy ludności. Systemem obozów dla Niemców w Polsce, niezależnie od popełnianych w nich przestępstw i zbrodni nie wykazywał tych cech (choć precyzyjnych wskaźników dotyczących śmiertelności nie sposób ustalić).

Czy odpowiednie będzie więc określenie obozy koncentracyjne? Nazwa ta stanowi w Polsce swego rodzaju tabu, a obozy takie kojarzone są wyłącznie z Niemcami. W wydanej w 1969 r. małej encyklopedii PWN różne formy obozów (w tym zagłady, koncentracyjne itd.) omówione są w zbiorczym haśle „obozy hitlerowskie“. Historyk Andrzej Friszke pisze w wydanej w 1994 r. książce, że w Polsce okresu powojennego istniały więzienia i obozy, w gruncie rzeczy koncentracyjne, prowadzone przez NKWD i UB. Np. obóz w Oświęcimiu nie został zlikwidowany po wyzwoleniu, ale najpierw służył za obóz sowiecki, głównie dla AK-owców, a potem za obóz UB. Komuniści nie mieli także moralnych zastrzeżeń wobec przejścia Majdanka czy katowni na Zamku Lubelskim.

Problem znalezienia właściwej nazwy dla określenia typu tych obozów jest problemem luk istniejących w badaniach nad historią pierwszych lat tworzenia systemu komunistycznego w Polsce. Bowiem obozy stanowiły część systemu represji – zarówno wobec Niemców, jak i wobec przeciwnika w trwającej wojnie domowej.

John Sack, autor kontrowersyjnej książki o Żydach, którzy przeszli przez obozy zagłady, a po wojnie mścili się na Niemcach osadzonych w obozach (John Sack, *Oko za oko. Przemilczana historia Żydów, którzy w 1945 r. mścili się na Niemcach*, Gliwice 1995 r.) cytuje wypowiedzi osób uważających obozy polskie za gorsze od niemieckich. Cytowani przez Sacka świadkowie twierdzą, że woleliby znaleźć się w tych drugich. Ale autor sam dodaje, że w będącym symbolem obozie dla Niemców w Świętochłowicach-Zgodzie zginęło w sumie tyle osób, ile w Oświęcimiu zabijano w ciągu kilku godzin.

Represje w obozach dla Niemców nie były integralnie włączone w ich system funkcjonowania. Zarówno obozy hitlerowskie, jak i komunistyczne prowadziły eksterminację więźniów (obozy komunistyczne znacznie bardziej przez nadmierną pracę). Obozy dla Niemców w Polsce są z nimi nieporównywalne, ponieważ mogły funkcjonować także przy ograniczonej do minimum represyjności, zależnie od zachowania załogi i lokalnych władz.

Nie tylko Łambinowice

Po przejściu przez władze polskie administracji na ziemiach zachodnich, przeprowadzona została weryfikacja uwięzionych w obozach dla Niemców, które przejmowano od Rosjan. 5 sierpnia 1945 r. wydany został rozkaz NKWD o zwalnianiu z obozów znajdujących się w nich Polaków. Później dokonywano też kontroli obozów, ponieważ praktyka odbiegała istotnie od formalnych zasad. We wszystkich znalazły się osoby mające prawo do weryfikacji. Np. w Gliwicach stanowiły one 70 proc., ale władze miejskie sprzeciwiały się kontroli, twierdząc, że w obozie są sami Niemcy (osoby te wysiedlono z gliwickich mieszkań, zyskując dobro szczególnie cenne w tamtych czasach). Nikogo z winnych tej sytuacji nie ukarano. Podobnie w powiecie opolskim ludność uprawniona do weryfikacji stanowiła w obozach 90 proc. Tak samo było w powiecie kluczborskim, gdzie majątek uwięzionych rozgrabiono.

W obozach osadzano byłych członków organizacji nazistowskich i lokalnych władz niemieckich. Przy aresztowaniach opierano się głównie na donosach. Wydaje się, że choć czołowi aktywiści nazistowscy uciekli, aresztowania te były jednak celne. Bywało, że wkrótce po aresztowaniu informowano o zgonie uwięzionych, co potwierdza relacje o biciu i torturach podczas śledztwa.

Wojewoda Zawadzki w czerwcu 1945 r. nakazywał w chwili przybycia rodziny polskiej wysiedlać dotychczasowych właścicieli – Niemców za Odrę/Nysę lub kierować do miejsc odosobnienia. W miastach Niemcy mieli być przesiedlani do gorszych dzielnic. Należało nie dopuścić także do zajmowania przez powracających Niemców ich gospodarstw i mieszkań. (cytat: „Zdrowych Niemców [mężczyzn] izolować w obozach pracy dla odbudowy kraju“).

Po stwierdzeniu niepowodzenia podjętej latem 1945 r. próby wysiedlenia ludności niemieckiej Ministerstwo Administracji Publicznej zalecało „zarejestrować wszystkich zdolnych do pracy Niemców płci obojga i wziąć do robót polnych, bądź do robót porządkowych i przy odbudowie w miastach i to nie tylko na ziemiach odzyskanych, lecz i w Polsce właściwej“. Niemców przeznaczonych do pracy „należy skoszarować“ także w celu „przecięcia możliwości utrzymywania przez pracujących Niemców kontaktów z podziemną organizacją faszystowską; (...) uwolnienia zajmowanych przez Niemców mieszkań i oddania takowych do dyspozycji osadników polskich, albowiem brak mieszkań (na razie zajmują je Niemcy) zniechęca osadników polskich do pozostawania na ziemiach zachodnich“.

Historia jednego z najsłynniejszych obozów – w Łambinowicach – wskazuje, że decyzje o ich utworzeniu podejmowały lokalne władze powiatowe, informując o tym Urząd Wojewódzki. Wiele zależało od powiązań władz z mafią szabrowniczymi, zainteresowanymi przejęciem majątku okolicznej ludności. Lokalne władze wykorzystywały bowiem obozy dla usprawnienia rabunku mienia. Zasadą było kierowanie ludności na kilka dni do obozu, rabowanie w międzyczasie jej domów, a następnie wypuszczanie z obozu.

Skazany na bicie

Aparat bezpieczeństwa wychodził z założenia (i nie bez racji), że winni działalności nazistowskiej nie przyznają się do winy. Jako główną metodę śledczą stosowano więc bicie i tortury. Praktycznie podejrzany Niemiec był skazany w śledztwie na bicie z racji samego podejrzenia, a tym była narodowość niemiecka. Wprawdzie bicie, tortury i zabójstwa to jednak nie to samo co Holocaust – eksterminacja narodu. Pozostaje jednak faktem, że los kierowanych do obozów i więzień Niemców był determinowany przez ich narodowość, a nie indywidualne zachowanie. Narodowość została utożsamiona z winą.

Więźniów podczas przesłuchań torturowano. Zaczynano od bicia trzcina, kijem, drągiem. Specjalnym narzędziem była ołowiana kula na sprężynie długości ponad pół metra, nazywana przez przesłuchiwaną Niemców „*Totschlägerem*“ [rzeczownik pochodzący od czasownika „*totschlagen*“ – zatłuc na śmierć – red.]. Przytrzaskiwano palce w drzwiach i wbijano gwoździe lub drewniane kliny pod paznokcie. Bito laską w podeszwy stóp. W niektórych obozach więźniarki były gwałcone. Odpowiedź na pytanie, na ile władze wiedziały i tolerowały to, co działo się w obozach, wymaga jeszcze badań i będzie chyba najtrudniejsza.

Fakty dotyczące zarówno warunków wysiedlenia, jak i obozów należy widzieć we właściwym wymiarze. Ukrywanie ich przez stronę polską (a później polską historiografię) jako nie pasujące do podziału na złych Niemców i dobrych Polaków nie oznacza, że były one dominujące. Przy wysiedlaniu kilku milionów ludzi trudno ich było uniknąć. Na pewno zbyt mało się nimi przejmowano, bo dotyczyły „tylko“ Niemców.

Dokumenty Ministerstwa Ziem Odzyskanych wskazują na staranie polskich władz o zapanowanie nad sytuacją i na powolne jej polepszanie się. Warto również pamiętać, że do sprawnej realizacji wielkich przemieszczeń ludności niezbędna jest armia wykwalifikowanych urzędników. Takich zaś wskutek wojny w Polsce brakowało nawet dla obsadzenia innych ważnych stanowisk.

Błędna jest też teza o tolerowaniu przez władze rabunków i napadów na Niemców. Można oczywiście postawić zarzut nie podjęcia wystarczających działań dla ich ochrony, ale jest to oskarżenie trudne do zweryfikowania. Były to przecież czasy, gdy brakowało środków dla zapewnienia jakiegokolwiek minimum bezpieczeństwa. W każdym razie w obwieszczeniach wojewodów i w okólniku ministra bezpieczeństwa (z lutego 1946) znajdujemy informacje o karach za nadużycia. A przeglądając meldunki inspektorów Ministerstwa Ziem Odzyskanych

z przebiegu przesiedleń, napotykamy na informacje o wykroczeniach, ale także o aresztowaniach, np. za kradzież zegarka przesiedlanemu.

„Tygodnik Powszechny“, 14 lipca 1996

Listy do redakcji „Tygodnika Powszechnego“

Henryk Krzyczkowski

Warszawa

Obóz

Po przeczytaniu artykułu „Ostatni prawie już wymarli“ („TP“ nr 45/1995) przesyłam informacje o dwóch niewielkich obozach dla osób pochodzenia niemieckiego: w Pruszkowie (na terenie Szpitala Tworzkowskiego) i w Fordonie, w przedwojennym więzieniu dla kobiet.

Obóz tworzkowski był utajniony, a milczenie wokół niego trwa do dziś. Utworzono go 20 stycznia 1945 r. dla Volks- i Reichsdeutschów, niemieckich jeńców wojennych, kolaborantów oraz granatowych policjantów. Przeszło przez niego 2 tys. osób, z których ponad 200 zmarło, zostało zamordowanych lub rozstrzelanych. Obóz zlikwidowano w czerwcu 1945. Informacje te zebrałem w niewydanej na razie książce „Inna Ojczyzna“ (to moja trzecia książka o Pruszkowie, moim rodzinnym mieście).

Natomiast w Fordonie sam obserwowałem, jak więźniom pomagali zarówno przechodnie jak i osoby na stanowiskach: burmistrz Sporny (jeśli dobrze zapamiętałem nazwisko) i kierowniczka szkoły podstawowej Stefaniakowa, u której jako żołnierz LWP kwaterowałem. Wielokrotnie widziałem, jak ulice sprzątają chudzi, nędznie ubrani ludzie. Mieszkańcy wręczali im dyskretnie paczki z żywnością, chleb, kilka główek cebuli czy butelkę mleka. Byli to Volksdeutsche – najczęściej Polacy, którzy podpisanie volkslisty traktowali jako wymuszoną przez wojnę konieczność, mającą zapobiec wysyłce do obozu lub deportacji do GG. Volksdeutsche z I i II grupą narodowościową raczej zdążyli uciec przed Armią Czerwoną. Ci z III i IV grupy, którzy najczęściej nie odczuwali związków z niemczyzną, pozostawali na miejscu. Teraz czekali na transport do radzieckiej strefy okupacyjnej lub – jeśli chcieli zostać w Polsce – na rozprawę sądową i ewentualną rehabilitację. Młodszych z nich od razu wywożono do obozów pracy przymusowej w ZSRR. Z kolei jeńców–Niemców zatrudniano w fabryce papieru lub kierowano do sprzątania kwater żołnierzy radzieckich. Jesienią 1945 także ich wywieziono do ZSRR.

Pewnego wieczoru przyszedł do mnie burmistrz. Powiedział, że ponieważ w każdą niedzielę widzi mnie w kościele, a od pani Stefaniakowej słyszał o mnie wiele dobrego, prosi o udostępnienie mojego pokoju więźniom–katolikom w celu umożliwienia im odbycia spowiedzi i przyjęcia Komunii. Zgodziłem się. Klucz zostawiałem u gospodyni i konspiracja ta trwała kilka tygodni. Nigdy nikogo z jej uczestników nie spotkałem, a pokój był zawsze uporządkowany.

Po kilku tygodniach burmistrz powiadomił mnie, że mój pokój będzie sprzątał jeden z jeńców. Człowiek ten był bardzo wychudzony i ledwie chodził. Opowiedział mi o swoim pobycie w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie został zamknięty w 1938 r. jako członek antyhitlerowskiej organizacji katolickiej. Gdy nie mógł już dłużej znieść ciężkich warunków obozowych, w 1944 r. zgłosił się na ochotnika do Wehrmachtu. Skierowany na front wschodni, dostał się do niewoli na Wale Pomorskim. Mimo wytatuowanego numeru obozowego nie został zwolniony, gdyż zwalniano tylko komunistów. Każdego dnia zostawiałem mu coś do zjedzenia i kilka papierosów. Niestety, po kilkunastu dniach skierowano go do innej pracy.

Komendant więzienia – były partyzant AL, znany z surowości – powiedział mi wtedy: „Niepotrzebnie rozpieszca pan tych sk..., dawno powinno się wszystkich wystrzelać!“. Więźniowie bardzo na owego komendanta narzekali. Odmieniła go osobista tragedia: skutek zatrucia grzybami zmarła mu żona i dwoje dzieci. Stał się wtedy innym człowiekiem. Zaczął dbać o więźniów, ich wyżywienie i warunki sanitarne. Wtedy jednak szybko został odwołany. Widocznie władza nie lubiła łagodnych komendantów.

„Tygodnik Powszechny“, 14 lipca 1996

Rudolf C. Kalka
Kolonia, Niemcy
Tam był mój ojciec

Tekstem Krzysztofa Karwata „Pociągi pod sowieckim nadzorem“ („TP“ nr 2 z 14 stycznia 1996) redakcja „TP“ podjęła bolesny dla Ślązaków–Niemców – i nie tylko Niemców – temat deportacji ze Śląska do ZSRR ok. 30 tys. osób. Do tej pory temat ten przedstawiano głównie jako dramat raczej polsko-śląski. Ciągle jeszcze ta część historii nie doczekała się obszernego opracowania.

Zaraz po zdobyciu Śląska przez wojska radzieckie w jednym tylko transporcie z Gliwic, Bytomia i Zabrze – wyjechał on ok. 16 lutego 1945 r. – wywieziono 2,5 tys. mężczyzn. Tym, którzy nie stawia się „na roboty do Opola“ afisze rozwieszane przez Rosjan groziły karą śmierci. Zalecano zabranie „odzieży i żywności na dwa tygodnie“, potem miano zwolnić zabranych mężczyzn do domów. Stało się inaczej.

W grupie tej był mój ojciec, Georg Kalka, śląski Niemiec – tak jak olbrzymia większość mężczyzn w tym transporcie (na tych terenach mieszkali w tym czasie w większości Niemcy, mniej śląskich Polaków). Po powrocie ojciec – który jako jeden z niewielu przeżył „internowanie“ – opowiadał, że w transporcie byli nie tylko górnicy, ale fachowcy z wszystkich dziedzin.

Wywożeni szybko zorientowali się, że nie jadą na zachód, lecz na wschód. Po kilku dniach śmierć zaczęła zbierać obfite żniwo i rosyjski komendant transportu – jeśli nie było więcej niż 20 zmarłych – stwierdzał „mało“ (te słowa ojca do dziś tkwią w mojej pamięci). Z Machaczkały droga wiodła poprzez Baku do Tbilisi, stamtąd poprzez Gori w głąb kraju. Gdzie oni w końcu trafili? Prawdopodobnie do Chalkaliki (numer obozu jest mi znany), gdzie budowali zapórę wodną i elektrownię.

Przez trzy lata mama nie miała żadnej wiadomości o ojcu. Czy żyje? – to pytanie stawiały sobie tysiące śląskich rodzin. Później nadchodziły kartki Czerwonego Krzyża, które posiadam do dziś. W Boże Narodzenie 1949 roku o siódmej nad ranem ojciec wrócił. Z 2,5 tys. mężczyzn wróciło 400, reszta nie żyła. Pamiętam, że gdy w szkole podstawowej musiałem się nagle uczyć języka polskiego, większość moich kolegów–Ślązaków – ale także późniejszych kolegów–Polaków (których przybywało coraz więcej) nie miało ojców. Dopiero wiele lat później uprzytomniłem sobie ten fakt.

Wydaje mi się, że gwoli sprawiedliwości historycznej należy uczciwie i otwarcie dyskutować ten temat, który powinien doczekać się obszernego opracowania. Można by przez to choć w części uczynić zadość tysiącom Ślązaków, pochowanych są w niewiadomych miejscach.

Przed dwoma laty zacząłem szukać świadków–ludzi, którzy byli wtedy „internowani“, zacząłem także zbierać dokumenty. Zgłosiło się wiele osób. Może po opublikowaniu tego listu w „TP“ zgłoszą się dalsi świadkowie. A może ktoś z żyjących był razem z moim Ojcem na Kaukazie?

„Tygodnik Powszechny“, 14 lipca 1996

Leszek Wołosiuk

Na wschód od Zachodu, na zachód od Wschodu

Będzie to opowieść o dwóch wsiach na Pomorzu: Gorzycy i Malechowie. A także – we wspomnieniach – o Jaźnicy Polskiej koło Kamionki Strumiłowej (dziś Kaminka Bugńska) i Ożomli Małej koło Sądowej Wiśni (dziś Sudowa Wisznia) na obecnej Ukrainie.

O Bewersdorffach, do roku 1945 właścicielach 27-hektarowego gospodarstwa w Göritz (dzisiejszej Gorzycy) i o spokrewnionych z nimi młynarzach Pagelach z *Pirbstower Mühle* (Przystawy za Gorzycą). A także o Kaliszczakach z Jaźnicy Polskiej w tarnopolskim, osiadłych w Malechowie w 1945. Oraz o spowinowaconych z nimi Motasach, przybyłych z Ożomli Małej (Iwowskie), od ponad 40 lat mieszkających w domu po Bewersdorffach w Gorzycy.

***Heimat* czyli korzenie**

Łączy ich wiele.

Wiek – wszyscy po sześćdziesiątce. Tęsknota do stron rodzinnych, z których zostali wyrzuceni, gdy mieli po kilkanaście lat. Nawyk gromadzenia latami dokumentów, map, planów miejscowości i starych fotografii, wklejanych w spisywane wspomnienia. Stare mapy jeszcze parę lat temu nie mogły się podobać: niemieckie Pommern – Polakom z Malechowa i Gorzycy, zaś Małopolska Wschodnia – Ukraińcom z okolic Kamionki i Wiszni. Dziś z takim bagażem jeżdżą w strony, gdzie spędzili dzieciństwo.

Stanisław Motas chciałby pojechać do Przemyśla, przejść granicę i pieszo dojść do Ożomli (około 40 km). – Ot, choćby ślady rodzinne zobaczyć! – mówi, choć wie, że śladu nie ma, bo polska kolonia spłonęła w 1943 roku.

I rozmawiają. Bewersdorffowie z Motasami. Kaliszczakowie ze znajomymi z Kamionki.

Pani Inge Jarkowski z domu Pagel traktuje to jako misję.

– Żeby ludzie chcieli ze sobą pogadać, to wszystko pójdzie do przodu. Najpierw bądźmy ludźmi, potem Niemcami i Polakami – mówi płynnie po polsku.

Julian Kaliszczak współczuje Ukraińcom: – Taż tam bida, choć ty siadłszy płacz. Jechać straszno.

Ale pojedzie, już po raz trzeci.

Chcą też pomagać. Na ile to możliwe i potrzebne. Bewersdorffowie przywieźli farbę, którą Stanisław Motas (rocznik 1924, emerytowany nauczyciel) pomalował dom. Jego szwagier Julian Kaliszczak (ur. 1925, też nauczyciel-emeryt) zbiera pieniądze na remont kościoła w Kamionce. Skromne te niemieckie i polskie sumy, na miarę emeryckich możliwości. Czasem celowo skromne, aby nie urazić polskich gospodarzy, albo nie wydać się podejrzanym ukraińskim mieszkańcom dawnej Kamionki Strumiłowej.

Wyciągają fotografie, porównują. Prawie wszystko nie tak, jak zostało w pamięci. Tylko drzewa, ręką ojców i dziadów sadzone, niekiedy te same. A zawsze większe i starsze. A jeśli były stare, kiedy wyjeżdżali w latach 40., to i drzew nie ma. Jak nie ma wielkiej lipy Bewersdorffów, choć była od zawsze. Lipę musiano niedawno ściąć, bo w czas jesiennych wichur była zagrożeniem dla domu Motasów.

Gdyby tu żyli, nawet nie zauważyliby braku. Ściągają po półwieczu i spostrzegają natychmiast: – *Es gibt keine Linde mehr!* (Nie ma lipy!)

Wcześniej nie jeździli albo jeździli rzadko. Nie mogli. Z powodów politycznych (zimna wojna, wizy) i życiowych (praca, rodzina). Historia zatoczyła koło, a oni są na emeryturze. Mają czas. Ich dorosłe dzieci są zajęte swoimi dziećmi. To też łączy: brak w ich wyjazdach „na

Wschód“ (dawny polski i dawny niemiecki) dzieci albo dorastających wnuków. Najwyżej opowiedzą im coś po powrocie. Jeżeli wnuki zechcą słuchać.

Kroniki rodzinne

Dzieje Bewersdorffów spisała w *Die kleine Chronik der Familie Bewersdorff* pani Inge Jarkowski, wnuczka Bertholda i Armandy – ostatnich gospodarzy w Göritz. W „Małej kronice“ pierwszym odnotowanym w roku 1659 w Göritz przodkiem jest Martin Latotzky. Sto lat później jego prawnuczka, Regina (już Latotzke), wyszła za Joachima Bewersdorffa.

Dramat wypędzenia z rodzinnej wsi dotknął Bewersdorffów dopiero w ósmym pokoleniu. Wujka autorki, 46-letniego Hugona, zabrano w marcu 1945 prosto z pola. Popędził na wschód stada krów, zarekwirowanych przez Armię Czerwoną.

Tamta wiosna kojarzy się pomorskim Niemcom ze stadami niedojonego, ryczącego, padającego z wycieńczenia bydła. Wątpliwe, czy choć co setna krasula dotarła do kolchozowego żłobu. A Hugo zmarł w obozie w Grudziądzu 30 maja 1945 roku. Z głodu.

– Żołnierze radzieccy „oczyścili“ wieś z inwentarza żywego – pisze Julian Kaliszczak w swej „Historii Malechowa 1945–1995“. – Zaczynaliśmy gospodarowanie ciężkim wysiłkiem. Osiedlona ludność miała 2 konie oraz 7 krów, które przywieziono z sobą. Jesienią rolnicy z płachty siali żyto i pszenicę, sami ciągnęli brony. Zaczęto produkować bimber, za który można było nabyć od żołdatów krowy, konie i świnie.

Nie zdążył spisać dziejów rodu Kaliszczaków. Wprawia się, pisząc o Malechowie. Jest żywą – polską – historią wsi.

Tak jak Inge (ur. 1927) jest żywą – niemiecką – historią Göritz. Bardziej obecną, niż pochodzący stąd Walter Mielke (dziś w Münster), autor książki *Gartz bliwt Gartz* (w miejscowym dialekcie: Gorzyca zostanie Gorzycą). Te wspomnienia o wsi i jej obyczajach są w sporej części pisane gwarą, jaką mówiono na wsi w *Hinterpommern*. Dialekt środkowopomorski, w którym nie mówiono „Göritz“, lecz „Gartz“, co fonetycznie należałoby zapisać jeszcze inaczej: „Gaac“, z długim „a“ i zanikającym „r“.

Frau Inge czuje się dziesiątą spadkobierczynią rodu matki. Może dlatego, że więcej kuzynów i kuzynek z rodziny Bewersdorffów ocalało i większość z nich żyje, jak i ona, w Schlezwiku–Holsztynie? Ważny jest i inny powód: na każde lato zjeżdżała do dziadków. Ojciec Inge, Georg Pagel, syn młynarza ze wspomnianego młyna pod Przystawami, w Köslin (Koszalin) kształcony na nauczyciela, potem nauczyciel w Ramelow (Ramlewo koło Kołobrzegu), zmarł jako oficer Wehrmachtu w 1945 r. w niewoli, w obozie za Uralem. Matka, Wanda Pagel *geborene* Bewersdorff, podzieliła z córką i synem Horstem losy wojenne i powojenne. Zmarła niedawno, zdążyła więc opowiedzieć więcej.

Tęsknota za rajem dzieciństwa utraconym na zawsze sprawiała, że opowieści upiększani. Nie było w nich już gorzyckiego błota, obecnego przy lada deszczu wszędzie, poza przykrytą dziś asfaltem szosą z kocich łbów.

Wątek cmentarny

Podobnie jak tęsknota Teofilii i Jana Kaliszczaków, rodziców Juliana, kazała zapomnieć, że biały dom na Wschodzie był niewielki i drewniany.

– Żeb tak Jezus Milatyński dopuścił choć umrzeć, gdzie się urodziła – mawiała Teofila. A że obraz Ukrzyżowanego też został wypędzony z Milatyna – opuszczający po 1945 r. sanktuarium księża misjonarze zabrali go z sobą do Krakowa – Teofila Kaliszczak zmarła w Malechowie.

Pochowaną ją wraz z mężem na parafialnym cmentarzu katolickim, założonym na terenie ewangelickiego, już nieistniejącego.

Te poniemieckie cmentarze! Na Pomorzu wyznaniem powszechnym był luteranizm. Protestanci są praktyczni. Niemal każda wieś miała swój *Friedhof*.

Polska katolicka wieś to cmentarze parafialne. Parafia malechowska ma dziś dwa kościoły (drugi we wsi Ryszczewo) oraz dwa cmentarze. Do parafii należy dziewięć wsi. W sześciu były cmentarze poniemieckie. Marniały, zaniedbywane, do lat 70. Marmurowe, granitowe i żelazne części nagrobków kamieniarze rozkradli, na odwrocie płyt ryli polskie epitafia.

Po polsko-niemieckim układzie z 1970 r. pierwsi Niemcy zaczęli odwiedzać *Heimat*. Wstyd było za te *Friedhofs*, często leżały przy szosach, więc je „uporządkowano“. To znaczy zrównano z ziemią.

Zarosły też mogiłki pod Kamionką Stromiłową i Sądową Wisznią. Jeśli domy nie istnieją, tym bardziej nie ma grobów. Cmentarze miały trwać dłużej, niż żywi. Może dlatego w wieku „wędrowek narodów“ budziły niechęć tych, co przychodzili „na nowe“. Były świadectwem obecności tych, których wygnano.

A poniemiecki cmentarz w Gorzycy się ocalał. Właściwie przypadkiem – Gorzyca leży z boku ważnych tras. Na uboczu wsi, pięknie położony na lesistym wzgórzu.

Idziemy z panią Inge do sołtysa Marka Kruczyńskiego. Obiecuje postarać się w urzędzie gminy i w nadleśnictwie (teren włączono do Lasów Państwowych), aby miejsce pochówku uporządkowano. Może niech powstanie park? Wystarczy wyciąć samosiejny młodnik, zachować starodrzew, czyli kasztany i świerki okalające cmentarz od stu lat, posiać trawę, posadzić kwiaty. Niemcy zadbają o płytę pamiątkową. Może da się odtworzyć na tablicy plan grobowców rodzinnych?

Można oczywiście powiedzieć, że brakuje w Polsce pieniędzy na pilniejsze cele. Ale trudno wtedy wołać o mogiłki na Wschodzie.

„Ojciec nasz“, „Vaterunser“, „Ojczy nasz“

Małą kronikę rodziny Bewersdorffów otwiera tytuł: „*Pommern? Das ist Pommern!*“ (Pomorze? To jest Pomorze!). I mapka, na której w *Reg. Bez. Köslin, Kreis Schlawe* (w polskich realiach: województwo Koszalin, powiat Sławno) wielkimi literami zaznaczono: Göritz.

Gdy pan Julian zacznie spisywać „Dzieje rodu Kaliszczaków“, także zamieści mapę z Jaźnicą Polską w jej centrum. Bo już ma dwie. Starą, jeszcze z czasów c.k. Austrii, drugą, współczesną, „mapę organizacji kościelnej rzymsko-katolickiej“, opracowana przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Przy niektórych miejscowościach naniesie kółka z krzyżykiem, co będzie znaczyło, że były tam kościoły. Przy innych postawi kółka z krzyżykiem greckim – tam były cerkwie unickie. I będzie ich więcej. Starzy Zabuzanie wspominali, że kościoły były w miastach i większych wsiach, zaś cerkwie niemal w każdej. I często katolicy – na których mówiono Lachi lub Mazuri – chodzili na nabożeństwa do Rusinów, bo było bliżej.

20 maja tego roku, odbyła się w Malechowie Msza.

Katolickie nabożeństwo za dusze pochowanych tu przed 1945 r. mieszkańców zamówili pochodzący z Göritz ewangelicy. Proboszcz, ks. Zygmunt Petrański, zanim zaczął je – po niemiecku – sprawować, zwrócił się do parafian: – Wy jeździcie na Wschód, by odwiedzać rodzime strony i groby przodków. Rozumiecie zatem, że tu urodzeni Niemcy także odwiedzają miejsca swych zmarłych. *Im Namen des Vaters und des Sohnes und des Heiligen Geistes...*

Nie zapomnę tego „Ojciec nasz“ przemieszanego z „Vaterunser“ kilkunastu Niemców. I bardzo chciałbym uczestniczyć w „Ojciec nasz“ przemieszanym z „Ojczy nasz, iże jesy na

niebiesiech“ gdzieś koło Kamionki, w stronach rodzinnych ojca. Albo na ojczystej ziemi matki pod Sokalem.

Bo czy Ojciec Niebieski pyta o narodowość?

Wczoraj czyli dziś

Druga część *Die kleine Chronik* nosi tytuł: *Göritz, ein Dorf in Hinterpommern*. Na planie wsi, według stanu na maj 1945, autorka zaznaczyła zabudowania z nazwiskami gospodarzy. Pół stulecia później, w maju 1995, pani Inge zakreśliła czerwonym pisakiem te z nich, które już nie istnieją. Na planie czerwono, nie ma połowy spośród 90 domów, istniejących 50 lat temu. Dziś Gorzyca liczy 45 numerów.

Ta czerwień wymaga komentarza. Stare wsie Pomorza wyglądały tak: kilka lub kilkanaście gospodarstw z wielkimi domami, rozległymi zabudowaniami gospodarczymi (stajnie, obory, chlewy, stodoły, spichrze) – a do tego kilkadziesiąt mniejszych, zamieszkałych przez robotników rolnych i rzemieślników wiejskich.

W Göritz w roku 1945 było 25 gospodarstw rolnych (ponad 20 ha). W pozostałych 65 domach żyli robotnicy, zatrudnieni u wielkich gospodarzy i rzemieślnicy. Wieś była samowystarczalna. Roczniki statystyczne wymieniają krawców, szewców, dekarzy, murarzy, stolarzy itp. Zagrody rolników były zasobne, murowane. Pracownicy i rzemieślnicy mieszkali natomiast skromnie, a ich domy były mniejsze, uboższe, budowane z pruskiego muru, kryte strzechą lub papą.

I one się nie zachowały. Do dziś za to można podziwiać 12 domów największych właścicieli rolnych.

Dom Bewersdorffów z roku 1866 wygląda wspanialej niż niejeden dwór z tego czasu na Mazowszu czy w Galicji. Urodzona w nim Rita Wetzel z domu Bewersdorff, obecnie przełożona pielęgniarek, może dumnie wieszać widok *Familienhaus in Göritz* na ścianach mieszkania w Kilonii. I rozpłakać się u Motasów nad wielką kuchnią obłożoną kafelkami, na której gotowały matka i babcia.

Te dwanaście wielkich poniemieckich gospodarstw zajmują dziś rolnicy z prawdziwego zdarzenia. Powiększają arealy, modernizują, kupują nowoczesne maszyny. Tak powstają polskie gospodarstwa farmerskie. Z trudem, obawami i narzekaniem, ale jednak.

I tu po półwieczu historia także zatoczyła koło: gospodarzy jest 25, a reszta powinna – jak „za Niemca“ – przejść w usługi. Nie przechodzi, bo reszta to emeryci.

I *Gastarbeiterzy*. Co piąty młody człowiek wyjeżdża pracować do Niemiec. Bywa, że zatrudnia go dawny mieszkaniec domu, w którym dziś żyje zatrudniony.

Tak na Pomorzu „wczoraj“ miesza się z „dziś“. Nie ma co ukrywać: pół wieku temu więcej Polacy przenieśli się na Zachód z drewnianych domów „na lepsze“. Dziś nie sposób porównać chałup na Wschodzie z murowańcami na Pomorzu także z innego powodu: większość polskich domów na Wołyniu i Podolu spłonęła w latach 1943–44. Podpalano je, by przymusić Polaków do ucieczki. Nikt z moich bliskich nie widział po wojnie domu ojczystego. Bywa, że i wsi nie ma.

Te 42 rodziny, o których pisze Julian Kaliszczak, uciekły przed „ogniem i mieczem“ do krewnych w Polsce Centralnej jeszcze za okupacji niemieckiej.

– Rodzice moi posiadali w okolicach Lwowa gospodarstwo rolne – pisała w pamiętniku zmarła niedawno żona Juliana, Adela Kaliszczak z domu Gazdecka. – Od 1944 r. koleje losu rzuciły nas jako wygnańców na półtoraroczną tułaczkę i zamieszkiwanie u obcych, biednych ludzi koło Tarnobrzegu. Wraz z rodzicami przyjechałam na Pomorze jako 18-letnia dziewczyna.

Jej ojciec, Stanisław Gazdecki we wniosku do Urzędu Repatriacyjnego podał takie „wyszczególnienie straconego majątku w Jażnicy Ruskiej (koło Jażnicy Polskiej, skąd pochodził zięć – L.W.): dom mieszkalny wraz z umeblowaniem, stodoła i 2 stajnie, sieczkarnia, warsztat stolarski i inny sprzęt rolniczy i gospodarski, a w inwentarzu żywym 2 krowy, 1 cielę, 2 świnie, 10 kóz, 20 pni pszczoł“. Za co „aktem nadania“ z 7 marca 1947 r. otrzymał w Malechowie: „działkę rolną około 7 ha, około 5 ha ornej i około 2 ha łąki (...) dom mieszkalny–cegła–dachówka 10x9 stan dobry, stajnia 10x6 cegła dachówka, stan dobry, drewnitnia 4x2,5 drzewo–papa, stan zły“.

Takie „akty notarialne“ wystawiało Ministerstwo Ziemi Odzyskanych.

Czapka lotnika, albo *guten Appetit*

– Był piątek 14 września 1945 r. Po wyładowaniu się z wagonów towarowych w Sławnie przywieziono nas do Starego Malchowa – Alt Malchow – tak nazywała się nasza wieś. – zaczyna swą *Historię Malechowa* Julian Kaliszczak. Wieś ładna, gospodarstwa rolne, jak po wojnie, utrzymane w nieładzie, ale jest kościół, mleczarnia, sala wiejska, szkoła w starym budynku z XIX wieku, młyn wodny na skraju wsi, za wsią cmentarz, stacja–rozdzielnia energii elektrycznej.

– W każdym domu Niemcy: starcy, kobiety, dzieci. – pisze dalej autor. – Przydzielili nam po kolei gospodarstwa, w których Niemcy odstępowali Polakom jeden pokój z dostępem do kuchni. Stosunki międzyludzkie nie zawsze i wszędzie układały się dobrze.

Wiele nieporozumień brało się z nieznaności języka. Pastora Ottona Nitschalka pobili przybyli Polacy za znalezionej na plebanii białą czapkę lotnika *Luftwaffe*. Tenże pastor wcześniej naraził się władzy niemieckiej uwagą, iż chrześcijanin nie powinien chodzić na pasku NSDAP, (za co był nawet w obozie). Zwolniono go z uwagi na syna Joachima, służącego w lotnictwie. Znalezionej czapka była pamiątką po nim. Stąd pewnie uwaga w zapoczątkowanej przez franciszkanina, o. Tomasza Lacha, polskiej kronice kościoła w Malechowie, iż pastor był zwolennikiem nazizmu. Czas tę nieprawdę sprostować.

Natomiast Justyna Motyka pamięta świeże pachnące ciasto, podane przez niemiecką gospodynię w dniu zamieszkania ze słowami: – *Guten Appetit!*

Niemcy opuścili Malechowo w listopadzie i grudniu 1945. Czyli, co dziś wiadomo, w najgorszym okresie *Vertreibung* (wypędzenia, wygnania).

– *Pięć minut i nie ma was!* – Reinhold Köntop jeszcze dziś pamięta to polskie zdanie. Gorzycy Niemcy wyjechali w roku 1947.

Wygnanie i wygnańcy

Historyk Zenon Romanow wyszczególnia kilka etapów wysiedlenia. Z jego referatu *Transfer ludności niemieckiej z Pomorza Zachodniego w latach 1945–1948*, ogłoszonego w 1994 r. na sesji naukowej w Ustce, pochodzą poniższe dane i cytaty.

Najpierw, w czerwcu i lipcu 1945, Wojsko Polskie wysiedlało ludność z pasa przygranicznego nad Odrą; szacuje się, że ok. 110 tys. osób. Niemców z Alt Malchow dotknął drugi, jesienny etap wysiedleń. Towarzyszył im chaos organizacyjny, napady na pociągi i grabieże – zarówno w punktach etapowych, jak i w Szczecinie-Gumieńcach, gdzie Niemcy z Pomorza oczekiwali na pociągi do Niemiec. „Na obóz ten regularnie napadały niezidentyfikowane uzbrojone bandy w wojskowych mundurach niemieckich, polskich i rosyjskich, rabując i gwałcąc“. – pisze Romanow. Na dworcu Szczecin-Niebuszewo wychodźców ograbiono z bagaży, „a w trakcie podróży oddział żołnierzy, który miał stanowić

ochronę pociągu, kontynuował rabunek razem z dowódcą“. W Sławnie „wysiedlani zostali obrabowani przez przeprowadzających tę akcję funkcjonariuszy MO i Wiejską Straż Porządkową“.

Najbardziej ponury transport z Pomorza przybył do niemieckiego miasta Stendal 20 grudnia 1945 r. Pisze Romanow:

W trakcie podróży zmarło 470 osób. Na stacji wyładowano dalszych 23 zmarłych, a do końca dnia zmarły następne 103 osoby. Wśród tych, którzy przeżyli, 150 osób było chorych, w tym 8 na tyfus plamisty, 61 na tyfus brzuszny i 40 na czerwonkę bakteryjną. Wszyscy byli zawszeni.

Grabienie Niemców w 1945 – twierdzi dalej Romanow – miało charakter powszechny. Było dziełem Polaków, którzy przybywając na Pomorze pamiętali doskonale o zakończonej zaledwie przed kilkoma tygodniami brutalnej okupacji niemieckiej ziem polskich. Pierwszymi osadnikami byli Polacy z Pomorza Gdańskiego i Wielkopolski, czyli z ziem włączonych do Rzeszy w 1939 r. (kiedy to) niemiecka administracja przeprowadziła w niezwykle brutalny sposób wysiedlenie do Generalnego Gubernatorstwa setek tysięcy Polaków, (którzy) tracili prawie wszystko w ciągu kilku godzin. (...) Straty Niemców w transportach z 1945 r. były wynikiem powojennego chaosu, niedbalstwa, braku wyobraźni czy zwyczajnej głupoty oraz chęci pozbycia się ich w jak najbliższym czasie.

W drugim etapie wyjechało z Pomorza około 180 tys. Niemców.

Według spisu ludności z lutego 1946 zostało ich jeszcze na Zachodnim Pomorzu niemal pół miliona, czyli 53 proc. ówczesnych mieszkańców. Dane te są zaniżone o ok. 15 proc. (70 tys.) ponieważ nie obejmują Niemców mieszkających na terenach podległych administracji wojsk sowieckich, jak pani Inge Pagel. Od 1946 r. wysiedlenie miało charakter zorganizowany i w porównaniu z 1945 względnie łagodny. W latach 1946–47 wysiedlono z Pomorza ok. 528 tys. Niemców, z czego 469 tys. pochodziło z Pomorza, a reszta z innych regionów Polski.

Dziś czyli jutro

Niemcy z Pomorza są zorganizowani od lat w swoim ziomkostwie. Spotykają się w kręgu znajomych z miejscowości, z których pochodzą. Od lat mają swoją prasę, wydawnictwa, zebrania, imprezy. Przez lata odczytywaliśmy to w Polsce jako chęć powrotu *do status quo ante* i w latach powojennych nie bez racji. Dziś wydaje się, że są to bardziej organizacje towarzyskie, niż polityczne.

Polakom z kresów nie wolno się było organizować. W dowodach osobistych mieli wpisane, iż urodzili się w ZSRR. Kiedy w 1989 r. przyszła wolność, zorganizowali się. Ale widać półwieczne opóźnienie. Stąd w wydawanej dziś we Wrocławiu „Gazecie Lwowskiej“ jest wszystko naraz: Liczenie pomordowanych w powiecie Kamionka Strumiłowa (zginęło ponad 3 tys.), jak i relacje o działaniach NKWD i UPA na podstawie nadsyłanych po półwieczu zeznań świadków. Opis obchodów świąt kościelnych przez nielicznych tam Polaków i katolików, jak i pozdrowienia dla rodaków w Polsce. Dopiero teraz pochodzący z Podola mieszkańcy Kłodobka w Opolskiem odsłaniają we wsi „Kamień Golgoty“ upamiętniający „ponad 190 mieszkańców wsi Głębocek, powiatu Borsuczów, zamordowanych przez ukraińskich terrorystów“. W „Gazecie“ najwięcej jest doniesień o życiu religijnym i apeli o pomoc w odnawianiu miejsc kultu.

Niemieccy wypędzeni dawno już mają to za sobą. Dziś krajanie z *Pommern* zbierają się – jak w ubiegłym roku w Ustce – na polsko-niemieckiej sesji naukowej o *Vertreibung*.

A gdy przyjeżdżają do wsi rodzinnej, zatrzymują się u zaprzyjaźnionych polskich gospodarzy domu rodzinnego (jeśli istnieje). Jak Bewersdorffowie u Motasów. Przez łyzy patrzą na kąty z dzieciństwa, jak pani Erika Stark u Chruszczów. Polacy goszczą ich życzliwie. Jedyną barierą jest język. Rita Wetzel opowiada o koleżance źle przyjętej przez polską rodzinę w dawnym *Familienhaus*. Kiedy jednak poszła tam ponownie z tłumaczem, polska gospodyni

przyniosła nawet ze strychu stare obrazy. Dziś landszaft z Chrystusem idącym z uczniami przez złoty łąk zboża, który wisiał nad łóżkiem dziecinny, jest cenną pamiątką Niemki, wyściskanej na odjezdne ze słowami: – Niech cię Bóg prowadzi.

Zusammen do kupy i będzie richtig

Wieczorem odbywa się u Motasów przyjęcie dla kilkunastu osób. Tym razem z panią Inge przyjechało 14 Niemców. Większość, to *geborene in Göriz* (urodzeni w Gorzycy). Mniejszość, to ich małżonkowie. Prezentacja, oglądanie fotografii dawnej Gartz i zdjęć rodzinnych Motasów i Kaliszczków, bo pani Urszula Motas jest z domu Kaliszczak.

– To jest *meine Tochter*, to tutaj *meine Mutter und Vater*, a to *mein Bruder* – objaśnia i wypija *bruderschaft* z Alfredem Bewersdorffem, który – gdyby nie Hitler, wojna i to wszystko – byłby tu gospodarzem. W 1944 r. wzięto go jako 17-latkę do wojska i wysłano na front wschodni, gdzie dostał się do niewoli. Do 1949 r. budował szosę Moskwa–Leningrad i kopał węgiel w Rostowie nad Donem. Gdy wrócił do Niemiec, gwara z Gartz sprawiła, że od razu uwierzono w jego kwalifikacje rolnicze. Ożenił się córką *bauera*, gdzie pracował jako parobek. Dziś gospodarzy na 30 własnych i 70 dzierżawionych hektarach.

Czy tęsknią?

– Ot, jak za dzieciństwem.

– Ale rodzice, *mein Gott*, jak tęsknili. Ojciec bardzo często wspominał, a matka wołała tu nawet nie jechać,... – Erika Stark urywa. – Gdyby nie Hitler, nie byłoby wojny i wypędzenia. – dodaje Lothar Wetzel: – Dwaj panowie z wąsem urządzili nas i was.

Duszą spotkania są Inge i Stanisław. Inge spędziła wśród Polaków wiele lat, miała męża Polaka i troje z nim dzieci. Tak naprawdę pogmatwali jej życie Rosjanie, bo wraz z matką i bratem wzięli do niewoli, zapędzili do pracy, najpierw pod Szczecinkiem, potem w Bornem-Sulimowie, a wreszcie w Tychowie, gdzie uczyła swoich niemieckiego i przez pierwsze lata po wojnie nawet obywatelstwa nie dali. Potem rodzina mogła je otrzymać tylko od NRD. Dopiero pod koniec lat 1950 pozwolono tam wyjechać matce z synem Kurtem. Powiedziała, że wyjeżdża na stałe do rodziny za Berlinem, a wysiadła w Berlinie Zachodnim i stamtąd dostała się do RFN. Inge została, bo wyszła za Polaka, którego poznała na kursach kierowców. Bo były dzieci. Dopiero w 1964 uciekła z nimi przez Szwecję. Mąż dołączył dopiero w 1971 r., w ramach łączenia rodzin. Wkrótce potem zmarł.

– Nic to. Bylebyśmy chcieli z sobą gadać – powiada uśmiechając się do gospodarza.

– Nie takiej historii mnie uczyli – kręci głową Stanisław.

Uczono go w początku lat czterdziestych w szkole ukraińskiej. Do dziś przepowiada sobie przed snem ukraińską prozę i poezję Szewczenki, Franki, Łesi Ukrainki. Jako młody Polak musiał znać je na blachę, żeby zaliczyć obowiązkowy ukraiński, zaprowadzony w roku 1941 w gimnazjum w Sudowej Wiszni.

– Nic to – uśmiecha się i wznosi toast: – Moi drodzy Niemcy! *Zusammen do kupy i będzie richtig*.

Inge nie musi tłumaczyć. Śmiech znaczy, że rozumieją.

„Tygodnik Powszechny“, 21 lipca 1996

Listy do redakcji „Tygodnika Powszechnego“

Michał Siera

Warszawa

Winne są mocarstwa

Dla każdego uczciwego człowieka jest dziś rzeczą oczywistą, że wysiedlenie z naszych obecnie terenów po II wojnie światowej kilku milionów Niemców było wielką tragedią dla tych ludzi, tragedią pod każdym względem. Uważam jednak, że my, Polacy, za mało eksponujemy co najmniej dwie ważne sprawy.

Po pierwsze, w polskich publikacjach na ten temat za mały nacisk kładziemy na fakt, że to nie Polacy wymyślili masowe i przymusowe wysiedlanie ludzi. Jak wiadomo wymyślił to Stalin, a Roosevelt i Churchill zaakceptowali jego żądania w Jałcie i Poczdamie. Polacy nie mieli tu nic do powiedzenia. Tak samo zresztą jak Niemcy. Z tą tylko różnicą, że Polska należała do zwycięskiej koalicji. Do nas Niemcy mogą mieć jedynie pretensje – i odczuwać żal – o sposób przeprowadzania akcji przesiedleńczej. Bo prawdą jest, że akcja ta nie zawsze była przeprowadzona w sposób humanitarny, po ludzku. Miałem wtedy 21 lat i oglądałem to na własne oczy we Wrocławiu. W tym miejscu można jednak przypomnieć, że hitlerowcy w latach 1939–40 wysiedlali Polaków z polskich terenów przyłączonych do Rzeszy do tzw. Generalnej Guberni w sposób barbarzyński (przy czym była to decyzja władz niemieckich, a nie kogoś trzeciego).

Po drugie: rzadko mówimy o tym, że Stalin – również za zgodą Roosevelta i Churchilla – zabrał Polsce 48 proc. przedwojennego terytorium (Polska jako jedyny kraj zwycięskiej koalicji z wojny wyszła mniejsza o 76 tys. km kw.) i kazał przesiedlić 5–6 mln Polaków na tereny zachodnie, wcześniej niemieckie. Ci ludzie, tak samo jak Niemcy, musieli opuścić własne domy i dobytek gromadzony przez wiele pokoleń. Tak samo przeżywali tragedię „wypędzenia“ z własnej małej ojczyzny (niemiecka *Heimat*).

Wspominam o tym, gdyż w Niemczech świadomość tego, że polskie przeżycia po wojnie były podobne do niemieckich jest bardzo słaba. W mej pracy zawodowej (handel zagraniczny) przez ponad 35 lat miałem częste kontakty z Niemcami, z niemiecką inteligencją. Mam tam też wielu dobrych przyjaciół. Ale stosunkowo rzadko spotykałem się z elementarną choćby znajomością tego, co spotkało Polaków mieszkających na terenach wschodnich dawnej Polski. Dopiero po moich wyjaśnieniach wyczuwałem, że moi niemieccy rozmówcy jakby przestawali winić Polaków za wysiedlenie Niemców z naszych obecnie terenów zachodnich (w „TP“ z 5 listopada ub. r. z zainteresowaniem przeczytałem na ten temat artykuł Klausa von Bismarcka, ale niestety także i on problem przymusowego wysiedlenia Polaków porusza mimochodem – choć może nie można mu się dziwić, zważywszy, że naświetla problem z punktu widzenia strony niemieckiej).

Mamy teraz coraz lepsze stosunki z Niemcami, lepsze nawet niż z innymi sąsiadami. Tym bardziej więc media i ludzie zajmujący się problematyką polsko-niemiecką powinni te sprawy akcentować w znacznie większym stopniu, aby trafiło to do świadomości Niemców, zwłaszcza młodych. Wydaje mi się, że miałyby to znaczący wpływ na stosunek przeciętnego Niemca do Polaków.

„Tygodnik Powszechny“, 19 stycznia 1997

Maria Staniek (Katowice)

Nie tylko Niemcy

Na początku II wojny światowej mieszkałam w Wielkopolsce, na terenie, który jeszcze w 1939 r. został włączony do Trzeciej Rzeszy. I jak wielu, znalazłam się wśród Polaków wysiedlonych przez Niemców. W powiecie kolskim, gdzie mieszkała moja rodzina, wysiedlenia rozpoczęły się na początku grudnia 1939 r. Objęły ludzi niewygodnych dla okupantów, przede wszystkim inteligencję, z nauczycielami na czele, oraz tych, których mienie przedstawiało znaczącą wartość – ziemian, zamożniejszych chłopów, właścicieli zakładów przemysłowych i warsztatów rzemieślniczych.

8 grudnia 1939 roku, w południe, moja Matka została wezwana do Niemca–zarządcy (wszystkie wielkopolskie majątki ziemskie otrzymały w pierwszych tygodniach okupacji takich zarządców). Tam oznajmiono jej, że w ciągu godziny ma przygotować się z dziećmi do wyjazdu, zabierając tylko niezbędne rzeczy osobiste oraz jedzenie na trzy dni. Żadnych informacji ani o celu, ani o miejscu deportacji nie udzielono. Ponieważ znaleźliśmy się w pierwszej grupie wysiedlanych, wiadomość ta była gromem z jasnego nieba. Jak w takiej sytuacji i w tak krótkim czasie sensownie przygotować się do podróży w nieznane? A mimo wszystko, my i tak byliśmy w pewnym sensie uprzywilejowani: dano nam całą godzinę, bo żandarmi akurat u nas jedli obiad. Moja ciotka w sąsiednim folwarku miała na spakowanie się tylko pół godziny (bywało też inaczej: zarządca majątku naszych sąsiadów okazał się przyzwoitym człowiekiem i powiadomił o przygotowywanym wysiedleniu dzień wcześniej).

Pierwszym etapem naszej podróży była szkoła w sąsiedniej wsi. Zwieziono tam wysiedlonych z całej okolicy i trzymano pod strażą. I znów moja rodzina miała trochę szczęścia: w naszym domu mieszkała nauczycielka, która mogła nam przywieźć wskazane przez Mamę rzeczy. W znacznie gorszej sytuacji byli ci, którym nie miał kto pomóc.

Po dwóch czy trzech dniach przewieziono nas do najbliższej stacji kolejowej i załadowano do bydłowych wagonów, których całym wyposażeniem była niewielka ilość słomy. A zaczynała się właśnie wyjątkowo ostra zima 1939/40 r. W transporcie przeważali ludzie starsi i matki z dziećmi (ojcowie tych dzieci w większości przebywali w obozach jenieckich – jak mój Ojciec – lub poległ w wrześnieowych walkach).

W zaryglowanych wagonach ruszyliśmy w drogę, nie znając w dalszym ciągu celu podróży. Było bardzo zimno. Pamiętam, jak leżąc na słomie, ubrana we wszystko, co miałam, obserwowałam w nikłym świetle świece oszronione ściany wagonu. Jediną możliwość zagrzania posiłku dawały maszynki spirytusowe, zabrane przez co bardziej przytomne matki. Jedinym urządzeniem sanitarnym był nocniczek mojej małej kuzynki, który krążył po całym wagonie. Podróż trwała trzy doby, w czasie których nikt nie mógł opuścić wagonu. Wreszcie dojechalismy do Gorlic. Tam otwarto wagony, żandarmi kazali nam wysiąść i przestali się nami interesować. Zajęli się nami bardzo życzliwie mieszkańcy Gorlic. Wszyscy znaleźli dach nad głową i przetrwali zimowe miesiące.

Jeśli chodzi o nasz dom, z którego usunięto nas tak brutalnie (i do którego nigdy nie wróciliśmy, bo uniemożliwiła to reforma rolna po 45 r.) – to gospodarujący w nim Niemcy, uciekając przed wojskami rosyjskimi, zabrali z wyposażenia mieszkania wszystko, co cenniejsze. Książki, zdjęcia, pamiątki – jako nieprzydatne – zostały zniszczone już wcześniej. Wszystko to ocalałoby, gdybyśmy opuścili dwór dopiero w 1945 roku.

Nie piszę o tym wszystkim, aby podsycić antyniemieckie nastroje, ale aby przypomnieć, że wypędzeni – to nie tylko Polacy ze wschodu i Niemcy z naszych zachodnich województw, ale także mieszkańcy tej części Polski, która miała to nieszczęście, że w 1939 r. została włączona do Rzeszy. A dziś już mało kto o tym pamięta.

„Tygodnik Powszechny“, 19 stycznia 1997

Małgorzata Ruchniewicz

„Oni też płakali“

Niemcy i przesiedleńcy Polacy z kresów po roku 1945

Od roku w „Tygodniku“ ukazują się artykuły poświęcone powojennym wysiedleniom ludności niemieckiej. Ich lektura zachęciła mnie do przedstawienia stosunków po 1945 r. między Niemcami a jedną z grup polskich osadników – przesiedleńcami z utraconych przez Polskę ziem wschodnich.

Tematem zainteresowałam się, gdy zbierałam relacje Sybiraków, osiedlonych na terenie byłego powiatu Bystrzyca Kłodzka (woj. wałbrzyskie). Z ust naocznych świadków dowiedziałam się, jak ciężkie było położenie Niemców przed wysiedleniem. Było to dla mnie duże przeżycie, gdyż dotyczyło znanych mi miejscowości (pochodzę z okolic Bystrzycy), niemal mojego środowiska. W czasie rozmów z Sybirakami zdałam sobie sprawę, że ich stosunek do Niemców, których zastali na nowych miejscach osiedlenia, odbiega od negatywnego obrazu kontaktów między Polakami i Niemcami w tym czasie. Zebrany materiał uzupełniłam wspomnieniami przesiedleńców z kresów wschodnich, które nadesłano na konkurs „Repatrianci. Osadnictwo polskie na ziemiach zachodnich i północnych“ (organizatorem była Fundacja Krzyżowa dla Porozumienia Europejskiego z Wrocławia).

„Mamusia powiedziała, że nic nie chce“

Przesiedleńcy zza Buga i Sybiracy przybywali do wałbrzyskiego już w czasie trwania na „ziemiach odzyskanych“ ożywionych ruchów migracyjnych. Spotkali niemiecką ludność, która przeżyła nie tylko przejście frontu, ale też pierwszą falę osadników i szabrowników.

Zdarzało się, że już w czasie drogi na zachód dochodziło do pierwszych spotkań. Na tych samych stacjach kolejowych zatrzymywały się pociągi wiozące Polaków z kresów i transporty, którymi wywożono w głąb ZSRR Niemców – jeńców i ludność cywilną. Polacy czynili przerażające obserwacje.

Pewnego razu szłyśmy po wodę i zobaczyłyśmy wagon, z którego wyładowali się bardzo starzy ludzie, byli to Niemcy. Patrzymy i oczom nie wierzymy, czy to przywieźli ludzi z domu starców czy inwalidów. Niektórych wynosili i sadzali na bruk, a niektórych na wózkach inwalidzkich. Przez drzwi widać było leżące na podłodze trupy. Czyżby to byli aktywni hitlerowcy? Przy jednej z kobiet siedzącej na wózku stała mała dziewczynka, śliczna i bardzo smutna, obok dziadek układał kilka pakunków z rzeczami. Pobiegłyśmy do swego wagonu i przyniosłyśmy litr mleka i pół bochenka chleba. Dziewczynka stała obojętnie, nie zainteresowała jej jedzenie, więc oddałyśmy je babci. Nazajutrz poszłyśmy znów z mlekiem, ale ich już nie było. Prawdopodobnie wywieziono ich dalej na wschód (S. Karpińska).

Pierwsze kontakty w miejscach osiedlenia wymuszało wspólne życie w jednym gospodarstwie czy domu. Bywało, że Polacy – nowi mieszkańcy – sąsiadowali przez ścianę z Niemcami, dotychczasowymi gospodarzami. Często przybyli ze wschodu byli już kolejnymi przydzielonymi przez polskie urzędy osadnikami. Po poprzednikach pozostawało zwykle ograbione mieszkanie i zastraszona rodzina niemiecka. Po nowych przybyszach Niemcy spodziewali się podobnego traktowania. Zaskoczeniem było więc takie zachowanie nowych osadników:

Niemka zaczęła płakać. Mamusia zapytała o co chodzi. Bo w kredensie miała zapasy, różne weki a jej powiedzieli, że to wszystko teraz kapitana (ojca autorki relacji – MR). Mamusia powiedziała, że nie. Ją Rosjanie wywozili z jej domu, więc ona nic nie chce, co należy do tej kobiety. Poprosiła, żeby jej przetłumaczyć, że wróciła z Syberii z dziećmi, goła i bosa, co jej łaska i mamusi da, to będziemy jej wdzięczni (I. Wojtyła).

Pierwsze były dzieci

Obie grupy miały duże kłopoty z porozumieniem się. Czasem jednak wystarczyło kilka gestów – np. muzyka:

Lody pękły między nami, gdy znowu ojciec zaczął wygrywać na skrzypcach, a ten profesor niemiecki również miał skrzypce, o wiele lepsze od naszych, pozwalał ojcu zagrać na nich“ (H. Tyszkiewicz).

Dużą rolę odgrywały kontakty na polu religijnym:

W Pucharowie Górnym większość Niemców była wyznania katolickiego. (...) Przez pierwsze trzy lata proboszczem był Niemiec, ksiądz Paul Klaetz. W niedzielę poranną mszę odprawiał dla Niemców, a sumę dla nas. Autochton, Rudolf Rakowski (...) pisał księdzu Klaetzowi kazania po polsku, a ten je odczytywał (F. Sikorski).

Czasem dochodziło do rozmów z Niemcami znającymi język polski lub czeski. Interesowali się oni wojennymi losami rozmówców: „Ten Niemiec niby był pochodzenia polskiego. Tak mówił mamie. Troszkę znał polski. Prosił mamę, aby opowiedziała, jak to wszystko było“ (S. Cybula). Z biegiem czasu obie strony poznawały kilka zwrotów i tworzył się jakby nowy język: „Z czasem mama nauczyła się kilku słów po niemiecku, a Niemcy po polsku. Już dialogi w rodzaju <Frau, borgen mir sznur do bielizny. Bitte sehr, ich dacz> – pozwalały na sąsiedzkie kontakty“ (H. Stosio).

Najszybciej porozumiewały się dzieci, poprzez wspólne zabawy:

Czułem jakąś bojaźń. Wojan zrobiła swoje. Tamte dzieci również się bały. Dostyc prędko połączyła nas chyba wspólna, straszliwa początkowa bieda. (...) zacząłem się oswajać z dziwnie brzmiącymi imionami: Ginter, Hans, Achim,(Joachim), Adi (Adolf), Greta, Hilda, Truda. Nasze imiona dla tamtych dzieci również były dziwne i czasami śmieszne. Bardzo wiele dzieci mówiło w gwarze śląskiej, którą bardzo szybko można było pojąć i zrozumieć, bo to przecież był język polski. Sporo jednak dzieci mówiło tylko po niemiecku. Po jakimś czasie i z tymi dziećmi można było się dogadać. One szybko uczyły się słów polskich, my niemieckich czy śląskiej, pięknej gwary. (...) Bezwiednie zbliżyliśmy do siebie naszych rodziców (Z. Zelmański).

„Wyśmiali nas ubowce“

Najmocniej w pamięć świadków, szczególnie Sybiraków, zapadły przypadki udzielenia im pomocy przez Niemców, którzy, widząc ubóstwo przybyszów, darowali im ubrania, jedzenie:

Zaraz na drugi dzień przysła siostra Ishilda, franciszkanka (...). Przesłała lekarza, który dał zastrzyki dla dzieci i lekarstwa dla mnie, byłam bowiem bardzo wycieńczona. Siostra przychodziła często, rozmawiała trochę gwarą śląską, trochę po niemiecku (M. Piszczek).

Zamieszkiwanie w tym samym domu wymuszało wypracowanie jakiegoś modus vivendi. Najżywiej stosunki układały się na wsi. Tam współżycie trwało dłużej niż w mieście, skąd Niemców wysiedlono w pierwszej kolejności. A poza tym roboty polowe nie mogły czekać. Niektórzy autorzy wspomnień niemal idealizują ten okres: „wspólnie pracowano, wspólnie uprawiano ziemię, wspólnie zbierano plony i wspólnie się nimi dzielono“ (Z. Sobolewski).

W niektórych sytuacjach dochodziło do dużej zażyłości między rodziną polską a niemiecką:

Wigilię świętujemy razem z Teisterami. Dzielimy się z nimi opłatkiem, tego zwyczaju nie znają, ale im się podoba. My śpiewamy polskie kolędy, oni swoje. Gdy zaczęli śpiewać Cichą Noc dołączyliśmy do nich. My po polsku, oni po niemiecku.(...) Przez dwa lata wspólnie świętowaliśmy, ojciec swe imieniny, Josef swój Geburtstag. Wspólnie oblewaliśmy włączenie prądu i zapalenie się żarówek (Z. Sobolewski).

Jednak „norma“ zachowania była wtedy inna:

Przyjechał na urlop syn naszej znajomej, pani P. i przyszli nas odwiedzić. Mówi: Jak państwo mieszkają?! Chodźmy, wypędzimy Niemców i pan sobie wypatrzy jakieś mieszkanie. Mąż się na to nie zgodził. Ani na żadne meble, ani na mieszkanie (S. Pilna).

A Polacy, którzy odmawiali, narażali się na kpiny:

Przyszło dwóch z UB i powiedzieli do męża: Pan jest frontowym żołnierzem, nie ma Pan nic, niech Pan sobie weźmie co chce. Kazał Niemcowi otworzyć walizkę <Bierz co potrzeba!> Ale mąż powiedział <Nie wezmę nic. To jest ich praca i niech ją sobie zabierają.> Ja również powiedziałam, że nas wysiedlali i wszystko pozostało, ale nie wezmę nic, co do mnie nie należy. Wyśmiali nas ubowce, zwłaszcza z męża się wyśmiewali (A. Jakubowska).

Polacy zdawali sobie sprawę z popełnianych na Niemcach przestępstw. W małych społecznościach nie można było zataić pobić, rabunków czy nawet morderstw. Często polscy sąsiedzi nieśli pomoc. Było to ważne, gdy norm praworządności nie przestrzegały powołane do tego instytucje:

Obok nas mieszkała staruszka, wraz ze swoim synem. Pewnej nocy moja mama krzyk w domu owej Niemki. Obudziła wujka i poszli sprawdzić co tam się dzieje. Oto Milicja Obywatelska biła jej syna i żądała od niego okupu w złocie. Pobili go strasznie. Nasz wujek był sołtysem i zgłosił sprawę gdzie trzeba (B. Świrska).

Napaść czy ograbienie groziło nieraz tak Polakom, jak i Niemcom. Władze nie były w stanie zapewnić bezpieczeństwa ludziom ani ich mieniu (nie mówiąc o tzw. majątku ponemieckim, który za pośrednictwem szabrowników trafiał na targowiska w całej Polsce).

„Jak my drzwi całowali“

W 1946 r. nastąpiło organizowane wysiedlanie Niemców z terenów na wschód od Odry i Nysy. Przez wsie i miasteczka ciągnęły się sznury ludzi z walizkami i tobołkami, ciągnących znane z fotografii nieduże wózki. Tam mieściło się wszystko, co pozwolono im zabrać.

Jak przyjęli to przesiedleńcy?

Jak Polacy z Pucharowa Górnego zareagowali na wyjazd Niemców? Różnie. Byli tacy, zwłaszcza ci z Kieleckiego i Rzeszowskiego, którzy nie kryli swego zadowolenia (...) Inni, a tych było najwięcej, przyjęli to obojętnie. Wreszcie byli i tacy, którzy widząc Niemców opuszczających Pucharowo Górne smucili się, bowiem prysła ich nadzieja na powrót w ojczyste strony i w pełni uświadomili sobie, że tu już na zawsze pozostaną. Do tych ostatnich należeli moi rodzice, starszy brat i ja (F. Sikorski).

Ci z osadników, którzy weszli w bliższą zażyłość z niemieckimi sąsiadami, współczuli im, pomagali w przygotowaniach do wyjazdu, odwozili na miejsca zbiórek (wysiedlani mieli się tam udawać zwykle piechotą). Podczas przeprowadzania wysiedleń dochodziło do nieprawidłowości i przestępstw. Najczęstsze były rabunki:

Cały swój majątek ładowali na wózek i szli do Międzyzlesia na stację do formowanego pociągu. (...) Często młodzi po prostu chuligani, zabierali im co cenniejsze rzeczy, jak zegarki, pierścionki itp. Następnie te trójki porządkowe odbierały Niemcom z mieszkań pościel i większe walizki z ubraniami i załadowali całą ogromną salę świetlicową tym szabrem (H. Tyszkiewicz).

Dlaczego przesiedleńcy z kresów i repatrianci z ZSRR potrafili nawiązać przynajmniej neutralne stosunki z Niemcami? Można wymienić kilka przyczyn.

Najważniejszą, akcentowaną w prawie wszystkich relacjach, było poczucie podobieństwa losów: przymusowego opuszczenia domu, utraty majątku, czego Polacy doświadczali wcześniej: „A gdy się już ze swoją wioską żegnali, to jak my, kościoła drzwi całowali“ (L. Gabryluk). Ci, którzy mieli za sobą deportację, porównywali ze sobą wysiedlanie Niemców z własnymi wspomnieniami: „I też się tak trochę z nimi obeszli, jak z nami Rosjanie. Co było dobre, to im nie dali brać. Tylko pięćdziesiąt kilo na osobę. Oni też płakali“ (S. Dzienis).

Następna przyczyna ma charakter moralny. Ci Niemcy, których napotkali polscy przybysze, były to kobiety z dziećmi, starcy, ludzie ograbieni, zastraszeni i często aż za bardzo pokorni (co irytowało niektórych Polaków). Nie przypominali dumnych i okrutnych „nadludzi“ z lat wojny. Byli zwykłymi, skrzywdzonymi ludźmi, raczej ofiarami wojny niż jej sprawcami.

W tych okolicznościach stwierdziłem, że nagromadzona przez lata okupacji żądza odwetu na Niemcach za doznane krzywdy i upokorzenia, nagle gdzieś rozplynęła się. Widząc bezbronne kobiety, sponiewierane ciągłym strachem przed rozbojami i gwałtami i wygłodzone dzieci, często zastanawiałem się nad zmiennością losu (A. Jaguszewski).

„Będziemy tu tylko zimę“

Argumentem przeciw braniu odwetu na Niemcach była także niechęć do stosowania metod niedawnych prześladowców“.

Zaalarmowani raz, wpadliśmy do pewnego mieszkania, które jakiś Polak zajmował dla siebie, kazać się Niemcom natychmiast wynosić. Na naszą interwencję odpowiedział, że jego Niemcy tak samo wyrzucili (...). My na to, że musimy czymś różnić się od hitlerowców (Z. Zieliński).

W dobytku Niemców nie widziano wojennej zdobyczy, lecz własność człowieka, której nie można mu było odbierać, „bo jeszcze nikt na cudzej krzywdzie się nie dorobił“ (F. Sikorski). Inna osoba pisze: „Nie chcieliśmy, by nas Niemcy pomawiali o rabunek. Chcieliśmy mieć czyste sumienie“ A. Jakubowska).

W tym kontekście warto wspomnieć o szerzących się wśród osadników nastrojach niepewności i tymczasowości. Wielu miało nadzieję, że pobyt na zachodzie nie będzie długi, że za jakiś czas możliwy będzie powrót do dawnych siedzib:

Ojciec powiedział, że to mimo wszystko ich własność i nie możemy się tak panoszyć. Zresztą, dodał po namyśle, ile tu będziemy? Najwyżej przez zimę. Czy warto zadzierać z Niemcami? (F. Sikorski).

Zaakceptowanie tego, co się stało – a co wydawało się nienormalne – jako sytuacji trwałej nie przychodziło łatwo. Obecność Niemców na przyznanych osadnikom obiektach, która trwała nieraz dość długo, także umacniała niepewność i oczekiwanie na kolejną zmianę.

Nie bez znaczenia była też pamięć okupacji radzieckiej na kresach. To ZSRR można było obciążać odpowiedzialnością za przymusowy wyjazd z ziemi rodzinnej, za terror i cierpienia na zesłaniu. Bardzo widoczne jest to w przypadku Sybiraków:

Miałem okazję poznać się nad nimi (Niemcami – MR), ale zachowałem jeszcze w świeżej pamięci to, co robili z nami Polakami na zesłaniu NKWDziści i czułem obrzydzenie przed takim naśladownictwem. Nie miałem też do tych Niemców żadnej urazy, tym bardziej, że nie widziałem nigdy uzbrojonego hitlerowca i obca mi była chęć odwetu (J. Rudenko).

Dziś, po 50 latach, możemy już chyba spokojnie rozmawiać o bolesnych sprawach z przeszłości polsko-niemieckiej, bez obawy, że rozmowa zamieni się jedynie w wyliczanie win drugiej strony.

Nie dziwię się ani nie oburzam na Niemców, którzy podczas zwiedzania dolnośląskich miast i miasteczek usiłują odnaleźć groby bliskich, a nie znajdując ich, płaczą – napisał jeden z polskich przesiedleńców. – Wielki to dramat narodów i pokoleń, które zmuszone były opuścić rodzinne strony i szukać dla siebie miejsca gdzie indziej.

„Tygodnik Powszechny“, 19 stycznia 1997

Klaus Bachmann

Życie w „trójkacie“

Już dawno zniknął w tyle ostatni drogowskaz na Zgorzelec. Droga jest wyboista. W zapadającym zmroku mrugają światełka sygnalizujące, że gdzieś tutaj znajduje się teren kopalni. Ogromne konstrukcje ze stali giną w ciemniejącym niebie. Kiedy pojawia się tablica „Bogatynia“, jest już ciemno i cicho. Reflektory oświetlają niskie domy z „pruskiego muru“. Ładnie otynkowane na biało prostokąty odbijają światło, brązowe drewno między nimi jest bejcowane, a dachy pokryte zzieleniałymi, kiedyś czerwonymi dachówkami. Trudno znaleźć w Polsce drugą miejscowość z taką ilością dobrze utrzymanych domów z „pruskiego muru“.

W nocy miasteczko wydaje się wymarłe. Gdyby nie dwa nocne sklepy, przed którymi siedzi grupa młodzieńców z butelkami piwa w rękę, można by pomyśleć, że Armia Czerwona wkroczyła tu wczoraj, wprowadzając godzinę policyjną.

1. O pożytkach, wynikających z unikania statusu ofiary

Przed rokiem 1945 Bogatynia nazywała się Reichenau. W oddalonym od wydarzeń wojennych miasteczku Niemcy byli w większości, ale pracowali tu też czescy rzemieślnicy i krawcy. Granica – w Mauersdorf, odległej o kilka kilometrów od centrum dzielnicy Reichenau – przebiegała przez środek knajpy. Takich dziwactw było więcej w tym regionie. Sąsiedowali w nim Niemcy i Austriacy, a po obu stronach granicy mieszkała mieszanina narodowości, kultur i obyczajów. Szmuglowano, co się dało, głównie żywność.

Zanim Hitler doszedł do władzy, ojciec pani Christine Richter był pracownikiem miejskim, sympatykiem socjaldemokratów. Dlatego po 1933 roku został natychmiast zwolniony – i do 1946 roku był bez pracy.

Miał znajomego, który był bardziej sprytny: Paula Posselta, miejscowego cwaniaka, producenta podkładek gumowych, które wytwarzał ze zużytych opon samochodowych. O Posselcie mówiło się, że potrafi nawet ze śmieci robić pieniądze. Zapobiegliwość, którą posługiwał się w interesach, Posselt wykazał też w polityce: był „niedzielny“ hitlerowcem. Paradował w galowym mundurze NSDAP. Nigdy nikomu nie odmawiał. Partii też nie, kiedy chodziło o finansowanie kampanii wyborczych czy drobne wydatki na bieżącą działalność. Nie pchał się do przodu, nie zabrudził sobie rąk, nie pełnił żadnych funkcji. Zawsze umiał się ustawić.

Ludzie z Reichenau dopiero w maju 1945 roku zauważyli, że zbliża się wojna.

Armia Czerwona wkroczyła tu bez walki i wkrótce potem Christine Richter wróciła do domu. Wróciła, bo została ewakuowana przez władze hitlerowskie tuż przed kapitulacją Rzeszy i nie zdołała uciec daleko. Krążyły wprawdzie pogłoski o wysiedleniu, ale nikt w to nie wierzył. W ich domu przy Bergstrasse tylko okno było wybite. Gorsze skutki miał fakt, że w Reichenau była fabryka wódek „BG Rolle“ – jej pełne magazyny wpadły w ręce czerwonoarmistów.

– Prawie wszystkie kobiety w okolicach fabryki popełniły samobójstwo – wspomina Christine Richter.

Trwało to do czerwca 1945 roku, kiedy władzę w mieście przejęli Polacy. – Dopiero wtedy można było spokojnie wyjść na ulicę – mówi Richter.

Ale i to się skończyło. 22 czerwca polscy kawalerzyści ze szpicrutami w rękach zaczęli wyganiać z domów niemieckich mieszkańców Bogatyni na plac za miastem. Wśród nich znaleźli się i Richterowie. Kolumna wysiedleńców dotarła do miasteczka Zittau, już po stronie niemieckiej. Przenocowali w jakiejś sali, pod strażą Rosjan. Rano Rosjanie poszli – wysiedlonych pozostawiono samych sobie.

Pomógł im Posselt, ten stary cwaniak z Reichenau. Szybko się dostosował: już w 1946 roku zaczął odbudowywać swoją fabrykę, którą zostawił w Reichenau. Wprowadził się do pustego budynku kina przy ulicy, która dziś nazywa się Friedensstrasse – ulicą Pokoju i prowadzi do przejścia granicznego. Richterowie wprowadzili się pustego mieszkania na piętrze dawnego kina. A Posselt zatrudnił ojca Christine i zaczął produkcję. Tacy jak on nie miewają kłopotów... A że był hitlerowcem? Zanim NRD-owska władza zdążyła się do niego dobrać – o ile miała taki zamiar – Posselt zdążył wyjechać na Zachód.

2. O pożytkach, wynikających z wcześniejszej utraty nadziei

I tak mieszkańcy Bogatyni podzielili los, który latem 1945 – jeszcze przed konferencją poczdamską – stał się udziałem Niemców wzdłuż dzisiejszej granicy polsko-niemieckiej. W trójkącie pomiędzy niemieckim Zittau, polską teraz Bogatynią a znowu czeskim Libercem spotkało to wszystkich Niemców. Droga, którą musieli odbyć, nie była długa: maszerowali po kilkanaście–kilkadziesiąt kilometrów na północ lub zachód – i często zostali tam na zawsze. Wielu przez lornetki mogło oglądać dawne domy

W 1946 roku w zachodniej części Goerlitz aż 40 proc. ludności stanowili wysiedleńcy. Większość pochodziła ze wschodniej części Goerlitz – dzisiejszego Zgorzelca. Najpierw jeszcze czekali – na możliwość przedostania się z powrotem, do swoich wiosek i miast. Bo na początku nikt nie wierzył, że za Nysą na zawsze będzie Polska. Nie wierzyli ani prości ludzie, ani wschodnioniemieccy komuniści, którzy na początku kazali burzyć domy i zrywać bruk, a materiał transportować do odbudowywanej Warszawy.

Już w 1950 roku, rząd NRD zawarł układ z rządem PRL o uznaniu granicy, od miejsca podpisania nazwany zgorzeleckim. A że zawieranie takiego układu akurat tutaj wydawało się – wobec tak dużej liczby wysiedleńców – ryzykowne, w dniu podpisania miasto obległy siły bezpieczeństwa. Władze bały się manifestacji.

– Wszędzie słyhać było wtedy szeptu ludzi, którzy krytykowali komunistów za przypieczenie utraty ojczyzny – mówił jeden z ówczesnych mieszkańców Goerlitz.

– Ulbricht (szef partii komunistycznej NRD) nie miał prawa zrzekać się tych terenów, szep-tano wśród znajomych.

A mimo to układ stanowił pewien punkt zwrotny: wielu ludzi w NRD zaczęło przyzwyczajać się do gorzkiego, ale jednak faktu, że biegu historii nie da się odwrócić.

– W 1950 roku straciłam ostatecznie nadzieję, że kiedykolwiek wrócę do Bogatyni – wspomina Christine Richter. Jest to najczęstsza odpowiedź, którą można usłyszeć od tych wysiedleńców, którzy osiedli we wschodnich Niemczech.

Teza o „zamrożeniu“ sympatii rewanżystowskich, które – pod płaszczykiem oficjalnego antyfasyzmu – miały tlić się w NRD bardziej niż w RFN, była po wojnie popularna nawet w kręgach polskich władz komunistycznych. Także po 1990 roku polska opinia publiczna z uwagą odnotowywała próby stworzenia ruchu „wypędzonych“ w b. NRD, podjęte przez zachodnioniemieckie ziomkostwa. Faktycznie, środowiska te rozszerzyły działalność na wschód. Lecz w wielu miasteczkach wzdłuż granicy struktury ziomkowskie nie powstały. Są za to stowarzyszenie regionalne (Heimatverein). Zajmują się zbieraniem wiadomości historycznych o swojej „małej ojczyźnie“, organizują spotkania – także z polskimi mieszkańcami po drugiej stronie granicy. Ale nie są zorganizowane w strukturach Związku Wypędzonych; niektóre wręcz się od nich dystansują.

Tak jak Irene Wielkisch, przewodnicząca Heimatverein w Guben, ok. 100 km na północ od Goerlitz. Pochodzi ze wschodniej strony miasta, które podzieliła granica.

Kiedy w 1945 roku zbliżył się front, rodzina przeszła na zachodnią stronę rzeki, a po ustaniu walk wróciła na wschodni brzeg – który odtąd miał nazywać się Gubinem, o czym nie wiedzieli.

Wielkisch wspomina, że ojciec kończył porządkować ogród, a ona wróciła właśnie z mlekiem z zakupów, kiedy z góry (wówczas znanej jako park, a dziś nazywanej się potocznie „górami śmierci“) zeszli uzbrojeni Polacy.

– Mieliliśmy 10 minut na spakowanie się – mówi Irene Wielkisch. – Myśleliśmy, że alianci dali Polakom parę dni na pładrowanie, a potem będziemy mogli wrócić. Ale mijały kolejne dni, a most był zamknięty.

Wzdłuż Nysy powstały zasieki. Na słynnej parkowej wyspie – która została strefą zamkniętą – dziczały niespotykane w tych rejonach kwiaty, chwasty obrastały szczątki pomnika Goethego. Wyburzano ulice, cegły wywożąc do Warszawy.

Przez 40 lat NRD wysiedleńcy w Gubien tworzyli nieformalny krąg towarzyski. Gdy na początku lat 70. NRD otworzyła granicę z PRL, stali w długich kolejkach na granicy, aby zobaczyć, co się stało z ich domami.

3. O pożytkach, wynikających z tęsknoty.

Tadeusz Firlej pochodzi z Podhala. Do Gubien przyjechał w 1946 roku z nakazem pracy.

– Wtedy w naszym domu gnieździły się trzy rodziny – wspomina. – A w tych pięknych wioskach wzdłuż rzeki nikt nie zamieszkał, bo wszyscy się bali, że Niemcy wrócą albo przyjdą mordercy czy bandyci i wezmą mieszkańców za bogactw.

Wille wzdłuż rzeki zasiedlili kilka lat później miejscowi aparatczycy, pewni politycznie.

Wiele lat później Firlej mógł wrócić do swoich gór. Ale nie chciał. Zafascynowało go to, co byłym niemieckim mieszkańcom nie dawało spać po nocach. Bo przed wojną Gubien słynął z egzotycznej roślinności i z rzadkich owoców. Mogły one rozwinąć się w łagodnym klimacie, który tworzy dolina Nysy, chroniona przez zalesione pagórki wokół miasta. Przed 1945 rokiem na stokach tych pagórków corocznie odbywało się „Święto kwitnienia owoców“ – *Obstbluetenfest*. Na to święto przyjeżdżali turyści z Berlina.

– *To była perła Dolnych Łużyc* – mówi Tadeusz Firlej z nostalgią, jakby spędził tu dzieciństwo. Za cichym pozwoleniem Straży Granicznej może przeprowić się na dawną parkową wyspę. O swych roślinach może mówić godzinami. Marzy o tym, żeby wyspę uporządkować i otworzyć dla publiczności. Niestety jest ona częścią strefy granicznej. Ale może uda się w przyszłości, kiedy Polska będzie w Unii Europejskiej?

– Jak chcemy do Europy, to z czymś, prawda? – uśmiecha się Firlej, który chciałby do Europy z gubińską wyspą na Nysie: piękną jak w tych książkach o dawnym Gubien, które pozbił, i dostępną dla wszystkich.

Do Gubien więcej polskich przesiedleńców napłynęło dopiero po 1956 roku. Rozniosła się wieść, że na terenach zachodnich można zbierać kokosy. Ale choć zasieki nad rzeką zniknęły, pozostała ona granicą dwóch światów. Kto zapomniał, jak granica powstawała, temu przypominały o tym wzgórza za miastem i parkowa „górami śmierci“, gdzie po wojnie pozostały niewypały. Na starym cmentarzu, między rozrzuconymi grobowcami niemieckimi można znaleźć dziś miejsca spoczynku polskich saperów – ofiar góry.

O przeszłości w Gubien mało kto jednak pamięta. „Góra śmierci“ jest ulubionym miejscem spotkań zakochanych, groby niemieckie i saperskie porosły trawą. Któż jeszcze wie, że przy dworcu była kiedyś filia obozu w Oświęcimiu? Dziś ważniejszy od odległej stacji PKP jest dworzec autobusowy, naprzeciw wielkiego bazaru. Ale w Gubien przeszłość przestała już być tak ważna chyba gdzieś na początku lat 70. Wtedy coraz więcej Niemców zgłaszało się do Firleja. Pomagał im odnaleźć dawne domy.

O tym, że zamieszkali w nich Polacy z Wołynia oraz Ukraińcy wysiedleni w akcji „Wisła“ wie też Irene Wielkisch. *Heimatverein* organizuje niedzielne wycieczki rowerowe za granicę.

Odwiedzają polskich znajomych, rozmawiają (najczęściej po niemiecku; Polacy trochę umieją; Irene nauczyła się polskiego, ale poddała się gramatyce i wymowie).

W 1990r., kiedy w okolicy pokazali się wysłannicy Związku Wypędzonych, Irene przyszła na zorganizowane przez nich zebranie. – Pytali, dlaczego w 1945 r. zostawiliśmy Guben Polakom. A mieliśmy bronić nożami kuchennymi? – pyta. – Nie podobało mi się, że oni cały czas tak gadali, jakby chcieli wracać za Nysę. Powiedziałam, że już nigdy do nich nie pójde.

Christine Richter nie ma tak dobrych wspomnień o Polakach jak Wielkisch.

– Z mojego miasteczka zrobili wielką dziurę – narzeka. Chodzi o kopalnię odkrywkową Turów, która zagarniała jedną wioskę po drugiej. A kiedyś między Zittau a Bogatynią było ich 26. To jeszcze jeden powód, że Richter nie chciałyby wracać.

– Ale nikt z członków naszego *Heimatvereinu* nie należy do ziomkostwa Nie jesteśmy rewanżystami – zapewnia Richter, która czasami, gdy chwyci ją tęsknota, zabiera kilku przyjaciół, wsiada do samochodu i jedzie. Dom rodziców stoi. Choć nigdy nie zadzwoniła do drzwi.

– Nie należy uogólniać – zastrzega. – Mój szwagier zaprzyjaźnił się z Polakiem z Bogatyni i zawsze u niego kupuje ziemniaki.

4. O pożytkach wynikających z braku kontaktów ze Słowianami

W gminach przygranicznych dawnej NRD łatwiej jest znaleźć dziś przedstawicieli *Heimatverein* niż ziomkostw. W Guben jednak istnieje małe koło ziomkostwa sudeckiego, z przewodniczącym Herbertem Fechterem.

Za NRD Fechtner był dyrektorem działu w fabryce włókien sztucznych, która upadła po zjednoczeniu. W tej samej fabryce pracował Richard Tasler.

Obaj pochodzą z niemieckich kiedyś Sudetów, obaj należą do Ziomkostwa Niemców Sudeckich (*Sudetendeutsche Landsmannschaft*). Obaj pochlebnie wyrażają się o Polakach, którzy po zjednoczeniu pracowali w ich fabryce, i o Polsce, która ich zdaniem sumiennie rozliczyła się ze swoimi historycznymi winami wobec wypędzanych Niemców. Polskę stawiają za wzór Czechom, którzy starają się – jak twierdzą – zakłamać przeszłość i uciec od odpowiedzialności.

Dla Herberta Fechtnera nie ulega wątpliwości, że Czesi nie mieli powodu narzekać na warunki życia pod niemiecką okupacją: mieli dobre kartki żywnościowe, szkoły i pracę. A po roku 1945 niewdzięcznie wbili Niemcom nóż w plecy. To ich stłumione wyrzuty sumienia nie pozwalają teraz przyznać, że przywłaszczali majątki sudeckie nielegalnie i niemoralnie, uważa Fechtner.

Jego ojciec przed wysiedleniem został umieszczony przez Czechów w osławionym „obozie pracy przymusowej“ w Rabstein, który przed 1945 r. służył hitlerowcom jako obóz koncentracyjny. Czeskie władze zamknęły Fechtnera-ojca za członkostwo w SA.

– Ale tak naprawdę to nic złego nie robił – zapewnia Fechtner-syn.

Niemcy z *Heimatverein* nie chcą z powrotem dawnych majątków, bo przyznają Czechom prawo do ich nowej ojczyzny, a żądanie wyrównania krzywd uważają za niemoralne. Fechtner i Tasler też nie chcą wrócić do swojej wioski pod Deczynem, ale zupełnie z innych powodów.

– Kiedy zostaliśmy wypędzeni, zdaliśmy sobie sprawę, że nie ma powrotu. Było jasne, że tego systemu nie da obalić się siłą. Gorbaczow to był cud – mówi Herbert Fechtner. – Teraz też nie chcemy wracać, bo *Heimat* [mała ojczyzna] to ludzie, a nie tylko budynki.

– Po tym, co Czesi nam zrobili, nie chcemy absolutnie wracać – dodaje żona Taslera, również urodzona w sudeckiej wiosce. – Sami wśród Czechów? Oni by nam podpalili dom, przecież to Słowianie.

5. O pożytkach wynikających z mieszkania w „trójkącie“

Niemcy z obecnej Polski nie byli jedynymi, którzy zostali tuż nad graniczną rzeką. Heinz Lange mieszka tak blisko granicy, że mógłby dorzucić kamieniem na polski brzeg. Wysziedlono go z okolic Liberca, który przed 1945 r. nazywał się Reichenberg.

W dzisiejszym Libercu stoi stary hotel „Złoty Lev“. Od innych wyróżnia się tym, że ma przestrzenne pokoje. W „Złotym Lwie“ w 1918 r. mieścił się sztab *Landeshauptmanna* Rittera von Lodgman-Reichenberg, w którym przeważali Niemcy, miał być stolicą „niemieckiej Boheimii“. Ale co dla Niemców było samostanowieniem, dla Czechów stanowiło okrojenie ich kraju. 45 dni po powstaniu Czechosłowacji niemieckie władze miasta poddały się wojskom czeskim. Wielu sudeckich Niemców do dziś uważa, że dopiero rok 1938 przywrócił im to prawo do samostanowienia. Gdy władze hitlerowskie po przyłączeniu Sudetów do Rzeszy obsadzały stanowiska urzędnikami z Rzeszy, Liberec pozostał wyjątkiem. Tu rządził Konrad Henlein, szef „V kolumny“ w Czechosłowacji: przed 1938 r. szef Niemieckosudeckiej Partii Ludowej, a po 1938 r. *Gauleiter* (szef *Gau* – jednostki terytorialnej z siedzibą w Libercu).

Henlein uciekł, gdy zbliżał się koniec III Rzeszy. A kiedy władzę przejęli Czesi, już po tygodniu przyjechali pierwsi czescy koloniści. 1 czerwca pierwszych 2 tysiące Niemców musiało stawić się na centralnym placu miasta; cel: wysiedlenie do Zittau. Pozostałym nakazano noszenie białych opasek i zakazano zawierania mieszanych małżeństw. Zamknięto niemieckie szkoły. Oficjalny „odsun“ (wysiedlenie) zaczął się w 1946 r. W tym czasie w mieście na 50 tys. mieszkańców, Niemców było już tylko 24 tys.

Heinz Lange znalazł się wśród tych, których wysiedlono jeszcze przed Poczdamem. W rodzinnych Hodkovicach (dawnym Liebenau) pod Libercem miał półtorej godziny na spakowanie się. W Zittau, gdzie z rodziną spędził 6 tygodni w prowizorycznych budach, współżycie miejscowych było ograniczone: nikt nic już nie miał, nie było się czym dzielić.

Trafił do Halle. Nawet tam dawni mieszkańcy z okolic Liberca spotykali się regularnie, w ogrodzie zoologicznym. Otwarte spotkania były ryzykowne, przesiedleńców inwigilowała policja „Stasi“. Ale Lange wrócił do Zittau. – Chciałem żyć w moich górach na Górnych Łużycach – mówi. I zanim w 1958 r. otwarto granicę, jechał rowerem w Góry Żytawskie. Przy dobrej pogodzie widać stamtąd odległy o kilkanaście kilometrów Jeschken – górę na przedmieściach Liberca.

Po polskiej stronie „trójkąta“ nie znajdzie się dziś ludzi, którzy mieszkali tu przed 1945 r. Po stronie czeskiej zostało kilkuset Niemców. Ich ojcowie pochodzili z rodzin mieszanych albo zostali po 1945 r. uznani za potrzebnych państwu fachowców lub antyfaszystów. Natomiast wioski pod Bogatynią zapełnili polscy przesiedleńcy z Syberii, deportowani tam po 1939 r. A do Liberca przyjechali osadnicy z centralnych Czech, Cyganie ze Słowacji i – mniej liczni – czescy przesiedleńcy z Wołynia (ich przodkowie wyemigrowali tam po klęsce czeskiej szlachty pod Białą Górą w 1620 r.)

W 1990 r., kiedy otwierały się granice, większości ankietowanych Czechów „pogranicze“ kojarzyło się z kiepską kondycją ekonomiczną i zaściankiem. Dziś inwestycje między Hradkiem a Libercem w turystyce i gastronomii dorównują infrastrukturze turystycznej na polskich Mazurach. W Hradku, małym miasteczku przy granicy, jest kilka hoteli, pensjonaty, kilkadziesiąt restauracji – więcej niż dużo większym Zittau.

Ale czy świadczy to o poczuciu stabilności? Tak jak na całym pograniczu, w powiecie libereckim największe sukcesy w ostatnich wyborach parlamentarnych odnieśli komuniści (ci prawdziwi, nie socjaldemokraci) i republikanie (skrajna prawica, antyniemiecka, antycygańska i populistyczna). Na dalszych miejscach znaleźli się konserwatyści Vaclava Klausea i socjaldemokraci Milosa Zemana.

Heinz Lange nie ma jednak wątpliwości: – To jest dziś ojczyzna Czechów, którzy tam przyjechali po wojnie i musimy to respektować – mówi.

Lange jest dziś przewodniczącym *Heimatverein* w Zittau. Nadzieję na powrót odebrała mu już konferencja poczdamska. Nie chce mieć nic wspólnego z ziomkostwem sudeckim. – My tu na dole jesteśmy bardziej do przodu niż politycy w Bonn i Pradze – mówi.

Tutaj, „na dole“, są codzienne kontakty między czeskimi a niemieckimi urzędami i samorządami. Jeśli trzeba, strażacy z Zittau jadą na drugą stronę granicy. Burmistrzowie przygranicznych gmin współpracują w polsko-czesko-niemieckim euroregionie „Nysa“, jednym z najlepiej funkcjonujących euroregionów we wschodniej Europie. W górach jest mnóstwo małych przejść granicznych dla turystów i narciarzy. Nad zalew na terenie zlikwidowanej kopalni, do której w 1945 r. Czesi zsyłali na przymusowe roboty ludność niemiecką, dziś zjeżdżają Czesi, Polacy i Niemcy.

Tutaj, „na dole“, nie czuje się napięcia, które w Bonn i Pradze elektryzuje polityków i dziennikarzy.

„Tygodnik Powszechny“, 5 stycznia 1997

Zamiast posłowania

Fritz Stern

Utracona ojczyzna¹⁴

Ojczyzna jest nam potrzebna jak powietrze. Jednak jej utrata może też być wygraną, gdy krzywda wypędzenia zrodzi obowiązek przeciwstawiania się każdej nieprawości. Wiedzą o tym i Niemcy i Polacy, wygnani ze swych domów po II wojnie światowej.

Nie zapomnę łez ojca, gdy we wrześniu 1938 r. opuszczaliśmy rodzinne miasto Wrocław. Był to niepowtarzalny wybuch uczuć – żalu nad zniszczoną przeszłością i troski o przyszłość pełną niepewności. Ja jednak, dwunastolatek, nie odczuwałem niczego poza radością, że uciekam przed niegodziwościami tamtych czasów.

Zapytany przed kilkoma laty w jednym z wywiadów: „O czym Pan myśli, słysząc słowo ojczyzna?” odpowiedziałem natychmiast: „Brak ojczyzny“.

„Utracona ojczyzna“ – los, który dotykał ludzi raz za razem. Jest częścią historii świata, podobnie jak wojny – i często jedno było następstwem drugiego. W naszym stuleciu straciło życie bądź ojczyznę ponad sto milionów ludzi.

Wypędzenie i utrata: na początku było Słowo i pierwsze wypędzenie – wygnanie z raju. Ale utrata raju, niewinności – czyż nie doświadcza jej każde dziecko, tracąc poczucie bezpieczeństwa? Jak często ludzie tęsknią za wyidealizowanym dzieciństwem? Być może w naszym stuleciu dzieciństwo zostało wyidealizowane z powodu przeżytych urazów. Wypędzeni, podobnie jak dzieci, często żyją złudnie wyidealizowanym wspomnieniem – na dobre i na złe.

Nienawiść, zazdrość, strach i żądza władzy – oto powody, które spowodowały, że wypędzenie ludzi z ich ojczyzn weszło do historii świata. W dawnej Europie często dochodziło do prześladowań i wypędzania tych, których uważano za innych: najpierw Żydów, a po reformacji także chrześcijan innych wyznań. Później wypędzano ludzi z przyczyn polityczno-ideologicznych: wygnanie było ważnym epizodem w historii Niemiec i Polski. W XIX w. na skutek uprzemysłowienia miliony ludzi wyrwano z korzeniami z roli i przeniesiono do wielkomijskich czynszowych koszar. Nasz wiek był jeszcze bardziej okrutny: myślę o Ormianach i Grekach, o Hiszpanach, którzy musieli uciekać po zakończeniu wojny domowej, o ofiarach II wojny światowej, o Żydach, Polakach i Rosjanach, o Niemcach, którzy od 1933 r. byli sprawcami i ofiarami wypędzeń. Nie zapominajmy także o milionach muzułmanów, którzy musieli uciekać z Indii, o Palestyńczykach, o „czarnych stopach“ – uchodźcach z Algierii.

Bodźcem do prześladowań był agresywny nacjonalizm, a w czasie II wojny światowej – nienawiść rasowa i obłęd. Uprawdowano i zniszczono miliony tzw. wrogów klasowych. Tragedią dnia dzisiejszego są czystki etniczne.

Idee tolerancji i godności człowieka, które wiążemy z Oświeceniem, zostały w naszym stuleciu zanegowane i wyśmiane przez narodowy socjalizm, a przez wielu brutalnie zdeptane. A mimo to nie zostały pogrzebane: Albert Camus, uczestnik francuskiego ruchu oporu, pisał do

¹⁴ Zamieszczony w tym zbiorze tekst polski jest nieco skróconą wersją wykładu opublikowanego w broszurze pt. *Verlorene Heimat* (Labskaus Nummer 5, Landeszentrale für politische Bildung Schleswig-Holstein, 1995). Wykład prof. Sterna wygłoszony został w ramach spotkania zorganizowanego w 1995 r. w Berlinie przez Janusza Reitera, Ambasadora RP w Niemczech, oraz Gerda Waltera, ministra do spraw europejskich w rządzie Szlezewiku-Holsztyna. Oprócz prof. Sterna uczestnikami tego spotkania były inne znane osoby, które w wyniku ostatniej wojny utraciły swe strony ojczyste: hrabina Marion Dönhoff (współwydawczyni „Die Zeit“), Andrzej Milczanowski (minister spraw wewnętrznych rządu RP), Manfred Kanther (minister spraw wewnętrznych rządu RFN), Konstanty Kalinowski (dyrektor Muzeum Narodowego w Poznaniu).

wymyślonego niemieckiego przyjaciela, że zbyt kocha swój kraj, by stać się nacjonalistą. Również polski opór przeciw komunizmowi świadczy, że nie zapomniano o ideach Oświecenia.

Co to znaczy: utrata ojczyzny? Ojczyzna to poczucie bezpieczeństwa, to podświadomie kształtowana tożsamość. W tym, co nazywamy ojczyzną, przeżywamy najgłębsze uczucia przywiązania. Także do przyrody: lasów i łąk, zapachów i odgłosów, do tego wszystkiego, do czego się przyzwyczailiśmy. Często łączymy ojczyznę z miejscem w domu i ogrodzie, które kojarzy się nam z rodzicami i przodkami.

Dopiero utrata pozwala nam odczuć niepowtarzalną wartość tego, do czego się przyzwyczailiśmy. Ojczyzna jest jak powietrze – z jego znaczenia zdajemy sobie sprawę dopiero wtedy, gdy go zabraknie lub zostanie zatrute. Były wypędzenia, które stawały się przyczyną śmierci.

Piszę jednak o tych, którzy przeżyli wygnanie, których wspomnienia związane są ze starą ojczyzną. Ich los i odczucia są bardzo odmienne – zależy to nie tylko od czynników zewnętrznych, lecz także od osobowości, wieku i charakteru. Utrata ojczyzny może też oznaczać wygraną, dać nowy impuls, obudzić odpowiedzialność, spowodować, że w nowym świecie czczone będzie co prawda stare dziedzictwo, jednak niesprawiedliwość wypędzenia zrodzi obowiązek przeciwstawiania się każdej niesprawiedliwości.

Na pewno są Niemcy, Polacy i Żydzi, którzy żyją przeszłością. Zgorzkniali z nienawiścią myślą o tych, którzy ich wypędzili. Można by pomyśleć, że po 50 latach ich uczucia wyblakły – wiemy jednak, że są rozpalane i wykorzystywane przez partie polityczne. Odświeżają bolesne wspomnienia i utrudniają egzystencję w teraźniejszości. Znamy zorganizowane swawole, uprawiane pod hasłem „ojczyzna“ przez tych, którzy na starej niesprawiedliwości chcą zbić nowy kapitał polityczny.

Vaclav Havel opisał „potrzebę życia w prawdzie“. Obecne, niezmiennalne granice powinny być punktem wyjścia dla nowego jej zrozumienia. Uznanie faktu, że stała się niesprawiedliwość, że utrata ojczyzny oznacza ból, jest warunkiem wstępnym pojednania. W imię tej prawdy Polacy, dbający o dawne niemieckie dziedzictwo na Śląsku wzmacniają swoją ojczyznę. Niemcy czynią to samo, dbając o popularyzację polskiego dobytku kulturowego.

Wiemy, że prawda jest pierwszą ofiarą wojny. Zamiast pluralistycznego sporu o prawdę, która nigdy nie jest absolutna, mamy wówczas do czynienia ze zorganizowanym kłamstwem. W 1945 r. dla Europy Zachodniej, a w 1989 dla całej Europy otworzyła się droga do prawdy. Dla żadnego narodu, a może i dla żadnego człowieka życie w prawdzie nie jest łatwe. Dla Niemców po 1945 r. było szczególnie trudne. Przewodnicząca Bundestagu Rita Süßmuth mówiła w znanym wystąpieniu: „Chodzi o prawdę, która przyczyni się do pojednania, i o przypomnienie tych strasznych przestępstw dokonanych przez Niemców i w imieniu Niemiec. Tej bolesnej prawdy nie trzeba by było często przypominać po imieniu, gdyby wciąż nie podejmowano prób jej relatywizowania.“

W ciągu ostatnich 50 lat Niemcy zachodni mieli możliwość rozliczenia się z przeszłości. Dla Polaków nie było to możliwe. Tym większe znaczenie miało oświadczenie Konferencji Biskupów Polskich z 1965 r. Jednak nad tym, co Polacy wycierpieli po 1945 r., nad przymusowymi wysiedleniami z Polski wschodniej, zawiśła zasłona milczenia. Adam Zagajewski opisał mistrzowsko, jak Polaków przetransportowano na ziemie zachodnie. Jak lądowali w Gliwicach, cały czas wierząc w Lwów – dla ludzi starszych istniał tylko Lwów. Może dopiero dziś, gdy w pełni poznaliśmy cierpienia Polaków, oba narody potrafią zrozumieć, jak okrutny los dotknął niegdyś ich bliźnich.

Chciałbym w tym miejscu zacytować przemówienie Władysława Bartoszewskiego w Bundestagu 28 kwietnia 1995:

Skoro wolno już mówić o losie wysiedlonych z Wilna i Lwowa, łatwiej też dostrzec ludzki wymiar dramatu wysiedlonych z Wrocławia lub Szczecina... Bolejemy nad indywidualnymi losami i cierpieniami niewinnych Niemców, dotkniętych skutkami wojny, którzy utracili swe strony ojczyste.

Wystarczająco długo trwało ostateczne uznanie granicy na Odrze i Nysie – i należy mieć nadzieję, że to, co podpisali politycy, znajdzie stałe miejsce w ludzkich sercach. Prawda historyczna umożliwi pojednanie, a pojednanie potrzebuje momentów uroczystych. Pojednanie niemiecko-francuskie miało swój symboliczny moment w postaci wspólnego nabożeństwa w Reims, w którym uczestniczyli Charles de Gaulle i Konrad Adenauer. Również niezapomnianym momentem było ukłęknięcie Willego Brandta przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie. Nowym gestem pojednania w sensie dosłownym i symbolicznym, było odważne wystąpienie ministra Bartoszewskiego w Bundestagu.

Pojednanie nie powinno się jednak skończyć na gestach symbolicznych. Wymaga codziennej pracy. Już dziś wiele wspólnych przedsięwzięć świadczy o sąsiedzkiej przyjaźni. Także historycy mogliby współdziałać w tym procesie. Do prawdziwego pojednania powinno się przyczynić niemieckie wstawiennictwo na rzecz włączenia Polski do struktur europejskich. Dopiero po zbudowaniu zaufania między Niemcami a Polską można będzie powiedzieć że Hitler i Stalin zostali ostatecznie pokonani.

Często dawałem wyraz podziwowi dla Polski. Przed 55 laty Hitler i Stalin postanowili zniszczyć polskie elity. Niemiecka okupacja spowodowała śmierć pięciu milionów Polaków, wśród nich trzech milionów polskich Żydów. Po tylu ofiarach, po powstaniu w getcie i powstaniu warszawskim, Polska znów dostała się pod okupację – Armii Czerwonej i własnych satelickich tyranów.

Mimo to, a także z powodu tych rządów strachu, powstały nowe elity. W 1979 r. dzięki pomocy pani Marion Dönhoff (wydawca „Die Zeit“) poznałem w Warszawie Adama Michnika i Bronisława Geremka, których od początku darzyłem szacunkiem. W 1980 r. przypomniałem znanemu reformatorsko nastawionemu warszawskiemu komuniście słowa Jana Jakuba Rousseau, który w 1772 r. napisał: „Ten naród Polacy zadziwi kiedyś świat“. Zapytałem owego pana, kiedy to nastąpi. Bez namysłu odpowiedział: „Nie w tym miesiącu, nie tego roku, ale w tym dziesięcioleciu“. Cztery miesiące później powstała „Solidarność“ i wszyscy podziwialiśmy odwagę i mądrość, z jaką przebyto drogę z więzień do Okrągłego Stołu.

Także Niemcy powojenne są udaną budowlą. Zbudowano trwałe demokratyczne państwo, zmieniała się mentalność ludzi. Pokonano niemieckie poczucie wyższości. W Niemczech Bismarcka, Weimaru i Hitlera istniały masowe ruchy szczycące się brakiem przynależności do Zachodu. To także minęło. To, czego dokonano w Niemczech w ramach tzw. walki z przeszłością, jest wielkim osiągnięciem, które się sprawdza mimo wciąż ponawianych prób jego zniweczenia.

Ale stawianie czoła przeszłości zaczęło się mozolnie. Chciałbym przypomnieć słowa Ernsta Reutera (w latach 1948–53 burmistrza Berlina Zachodniego) wygłoszone z okazji upamiętnienia dziesiątej rocznicy zniszczenia getta warszawskiego:

Nam, Niemcom, nie wolno zapomnieć, co haniebnego uczyniono w naszym imieniu. Czy naszemu narodowi uda się kiedykolwiek zmyć tę hańbę i czy będzie kiedykolwiek możliwe, aby ludzi, którym to zrobiono, przekonać, aby nie tyle zapomnieli, ile choć przebaczyli?

Dzisiejsze Niemcy są powiązane z Zachodem – a przez to są także obciążone słabościami Zachodu. Ludzi ogarnia strach, gdy słyszą o dzikich wystąpieniach neonazistów. Ze wstrętem oglądamy sceny, które przypominają czasy, gdy w tym kraju panował terror, a mimo to wiwatowano na cześć reżimu. Jednak to, co nazywamy neonazizmem, jest fenomenem znanym na całym świecie. Hitler jest symbolem dla wszystkich antydemokratycznych fanatyków i psychopatów, swastyka jest znakiem rozpoznawczym wszystkich, którzy służą brutalnemu rasizmowi i ksenofobicznej przemocy. Jest nim dlatego właśnie, że najgłębiej uraża wszystkich porządnymi ludźmi. Byłoby nierozsądne, gdybyśmy nie doceniali siły tych resentymentów w skali światowej.

Nasz wiek – wierzę w to i taką mam nadzieję – był krótki: rozpoczął się w roku 1914, a zakończył w 1989. Pojednanie niemiecko-polskie należy widzieć w szeroko pojętym kontek-

ście historii świata: żyjemy pod znakiem powszechnej woli przewycięzania dawnych niesprawiedliwości i szeroko rozprzestrzenionej chęci pojednania. Myślę tu o wyzwolonej Europie Wschodniej i o Rosji, które stawiają czoło prawdzie. Myślę o Afryce Południowej, o Północnej Irlandii, o wielu krajach Ameryki Łacińskiej, być może też o Izraelu i jego sąsiadach. Wiemy, że zło i zbrodnia są zaraźliwe, ale praktyczny rozsądek jest także przykładem dla innych. Przejście Hiszpanii od dyktatury do demokracji przysłużyło się także rozwojowi demokracji w Polsce.

Dla żadnego kraju nie jest proste przyznanie się do winy. Ameryka ma kłopoty z pamięcią o Hiroszimie i Wietnamie. Także Japonia po 50 latach ma duże kłopoty z uznaniem swej winy. Dużo łatwiej przychodzi uzalanie się nad własnym cierpieniem.

Pojednanie nie goi wszystkich ran i nie wymazuje z pamięci wspomnień o utraconej ojczyźnie. Ale Marion Doenhoff ujęła to chyba najlepiej, mówiąc w 1962 r.: „Być może jest to najwyższy stopień umiłowania: kochać nie posiadając“. Wielu ludzi udowodniło, że reakcją na utratę ojczyzny jest budowa nowej.

Ja miałem szczęście przyjechać do Ameryki – kraju, który był ojczyzną dla ludzi bez ojczyzny. Amerykę odkryły miliony tych, którzy szukali nowej ojczyzny. Szukali, by ująć przed prześladowaniami lub by w kraju nieograniczonych możliwości, jak nazywano Amerykę w XIX wieku, budować nowe życie. Tu stałem się obywatelem, a wcześniejsze doświadczenia wzmacniały postawę obywatelską.

Stary ideał amerykańskiego „tygla narodów“, dziś zapomniany, sprawdzał się w ograniczonym tylko stopniu. Co prawda emigranci stawali się Amerykanami, zwłaszcza w drugim pokoleniu, lecz większość pozostała wierna starym językowi i obyczajom, Buffalo i Chicago były i są miastami niemieckimi i polskimi; oba narody współżyły na ogół przyjaźnie. O tym, jak wzbogacający może być kraj, który od pokoleń jest krajem imigracyjnym niech świadczy fakt, że obecny głównodowodzący armii USA John Shalikashvili urodził się w Warszawie, a szef CIA John Deutch – w Brukseli. Czy coś takiego byłoby możliwe w innym kraju?

Jeszcze starszy przykład tego, jak dziedzictwo z utraconej ojczyzny może rozkwitnąć w nowym kraju, znajdziemy tu, w Berlinie. Jak hugenoci, których Wielki Książę Koronny Fryderyk Wilhelm przyjął jako uchodźców religijnych, wzbogacili biedne Prusy brandenburskie? Wielką pracowitością i umiejętnościami zdobyli w nowej ojczyźnie dobrobyt i uznanie. O tym zaś, czego dokonali ich potomkowie, dość mówią dwa nazwiska: Theodora Fontane, który znał lepiej swą Brandenburgię i Prusy niż inni pisarze niemieccy, oraz Lothara de Maiziere, który walczył o wolność swego kraju (był obrońcą w procesach politycznych w NRD, ostatnim premierem tego państwa). W Berlinie i wszędzie w Brandenburgii widoczne są ślady przywiązania hugenotów do własnej tradycji. A francuskie gimnazjum i katedra świadczą o bujnym ich życiu w nowej ojczyźnie.

Brakuje mi czasu i wiedzy, by opisać, jak Polacy na uchodźstwie i emigracji wzbogacali swe nowe ojczyzny. Przypomnę tylko nazwiska Marii Curie i Josepha Conrada, a także tradycję amerykańską, której początek dał Tadeusz Kościuszko, a dziś kontynuuje Shalikashvili.

Jutro jadę do mego rodzinnego Wrocławia, który odwiedziłem już w 1979 r. Zwiedziłem wówczas willę mojej babci. Z jej gospodarzem, polskim oficerem kawalerii, rozmawialiśmy po francusku. Wprowadził mnie do pokoju babci, w którym było pełno rysunków dzieci. Pokazał swój obozowy tatuaż i opowiedział o pięciu latach spędzonych w Oświęcimiu, Brzezince, Buchenwaldzie. Na stole stało popiersie Ojca Maksymiliana Kolbe, któremu kilka tygodni wcześniej w Oświęcimiu Papież złożył hołd. Pana Ostankiewicza spotkał los, przed którym udało się uciec mojej rodzinie. Uścisnęliśmy sobie dłonie i w tym momencie odniosłem wrażenie, że coś sprawiedliwego stało się na tym świecie.

„Gazeta Wyborcza”, 12 czerwca 1996
tłumaczył Tadeusz Woźniak

Bibliografia

Kompletna bibliografia tematu przekracza możliwości tej książki. Podajemy więc tylko monografie z ostatnich lat, pamiętniki zaś, starsze monografie i prace źródłowe uwzględniamy tylko, jeżeli wywołały one większe kontrowersje, jeżeli miały szczególny wpływ na ocenę samego zjawiska wysiedlenia lub jeżeli autorzy artykułów w tej książce powołują się na nie w swoich tekstach. Jeśli istnieje przekład na język polski, podajemy wydanie polskie zamiast niemieckiego oryginału.

- Bałkańska lekcja; problemy bezpieczeństwa; sąsiedzi – Rosja i Ukraina; „wypędzenie“ – ciąg dalszy, „Polska w Europie“, zeszyt osiemnasty (wrzesień–grudzień), Warszawa, 1995
- Wolfgang Benz (red.), Die Vertreibung der Deutschen aus dem Osten. Ursachen, Ereignisse, Folgen, Frankfurt/Main 1988
- Erhard Lucas Busemann, So fielen Königsberg und Breslau, Berlin 1994
- Deutschland und Polen. Kirche im Dienst der Versöhnung (hrsg. von der Pressestelle der Deutschen Bischofskonferenz), Bonn, April 1996
- Dokumentation der Vertreibung der Deutschen aus Ost-Mitteleuropa. Die Vertreibung der deutschen Bevölkerung aus den Gebieten östlich der Oder–Neiße, tom 1–3, München 1954 (Bundesministerium für Vertriebene)
- Edmund Dmitrów, Niemcy i okupacja hitlerowska w oczach Polaków – poglądy i opinie z lat 1945–1948, Warszawa 1987
- Heinz Esser, Die Hölle von Lamsdorf, Dülmen 1974
- Gdańsk–Danzig 1944. Rozmowy 50 lat później (Gespräche nach 50 Jahren), Gdańsk 1994
- Herbert Hupka, Unruhiges Gewissen, ein deutscher Lebenslauf. Erinnerungen, München 1994
- Jałta–Poczdam, proces podejmowania decyzji. Materiały z konferencji naukowej, Warszawa 11–12 czerwca 1996 (Polska Fundacja imienia Roberta Schumana, Ośrodek Studiów Międzynarodowych), Warszawa 1996
- Johannes Kaps, Die Tragödie Schlesiens, München 1962
- Krystyna Kersten, Narodziny systemu władzy. Polska 1943–1948, Poznań 1990
- Christian von Krockow, Czas kobiet, Warszawa 1990
- Piotr Lippóczy, Tadeusz Walichnowski, Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski po II wojnie światowej w świetle dokumentów, Warszawa 1982
- Jan Józef Lipski, Powiedzieć sobie wszystko. Eseje o sąsiedztwie polsko-niemieckim (Essays zur deutsch-polnischen Nachbarschaft), teksty wybrał i wstępem opatrzył Georg Ziegler, Gliwice, Warszawa 1996
- Franciszek Antoni Marek, Tragedia górnośląska, Opole 1989
- Jan Misztal, Weryfikacja narodowościowa na ziemiach odzyskanych, Warszawa 1990
- Heinz Nawratil, Vertreibungsverbrechen an Deutschen, München 1987
- Edmund Nowak, Cień Łambinowic, Opole 1991
- Beata Ocieпка, Niemcy na Dolnym Śląsku w latach 1945–1970, Wrocław 1994
- Maria Podlasek, Wypędzenie Niemców z terenów na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej – relacje świadków, Warszawa 1995
- Polen, Deutschland und die Oder–Neiße–Grenze (Dokumentation, hrsg. v. Deutschen Institut für Zeitgeschichte in Verbindung mit der Deutsch-Polnischen Historikerkommission unter Redaktion von Rudi Goguel), Berlin 1959

- Polska–Niemcy – kompleks wypędzenia – nawiązanie dialogu, „Polska w Europie“, zeszyt specjalny, Warszawa, 1995
- Zbigniew Romanów, Ludność niemiecka na ziemiach zachodnich w latach 1945–1947, Słupsk 1992
- John Sack, Oko za oko. Przemilczana historia Żydów, którzy w 1945 roku mścili się na Niemcach, Gliwice 1995
- Franz Scholz, Zwischen Staatsräson und Evangelium. Kardinal Hlond und die Tragödie der ostdeutschen Diözesen, Frankfurt/Main 1988
- Krzysztof Skubiszewski, Zachodnia granica Polski, Gdańsk 1969 (na prawach rękopisu)
- Krzysztof Skubiszewski, Zachodnia granica Polski w świetle traktatów, Poznań 1975
- Hansjakob Stehle, Deutschlands Osten – Polens Westen?, Frankfurt/Main 1965
- Stettin–Szczecin 1945–1946. Dokumente – Erinnerungen (Dokumenty – wspomnienia), Rostock 1994 [Ostsee–Akademie Lübeck–Travemünde (Akademia Bałtycka Lubeka–Travemünde), Institut Historii Uniwersytetu Szczecińskiego (Institut für Geschichte der Universität Stettin)]
- Thomas Urban, Niemcy w Polsce, Opole 1995
- Utracona ojczyzna. Przymusowe wysiedlenia, deportacje i przesiedlenia jako wspólne doświadczenie, praca zbiorowa pod redakcją Huberta Orłowskiego i Andrzeja Saksona, Poznań 1996
- Wypędzenie Polaków i Niemców, „Polska w Europie“, zeszyt specjalny (XIX), wiosna 1996 (Warszawa)
- Alfred-Maurice de Zayas. Anmerkungen zur Vertreibung der Deutschen aus dem Osten, Köln, Mainz 1986
- Alfred-Maurice de Zayas, Die Angloamerikaner und die Vertreibung der Deutschen, München 1980

Autorzy i rozmówcy

Klaus Bachmann – dziennikarz, historyk. Od 1988 korespondent prasy niemieckiej i austriackiej w Polsce, pisze między innymi dla „Stuttgarter Zeitung“, „Die Presse“, „Berliner Zeitung“, a w Polsce dla „Rzeczpospolitej“ i „Tygodnika Powszechnego”.

Magdalena Bajer – polonistka, dziennikarka prasowa i radiowa (Program I Polskiego Radia, „Tygodnik Powszechny“, przewodnicząca Rady Etyki Mediów.

Jan Baranowski – emerytowany sędzia, mieszka w Tarnowskich Górach.

Władysław Bartoszewski – historyk, więzień Oświęcimia, żołnierz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, członek Komitetu Pomocy Żydom (Żegota), więzień polityczny PRL (1946–48, 1949–54), wykładowca KUL-u Oraz niektórych uczelni niemieckich, ambasador Polski w Austrii (1990–93), minister spraw zagranicznych(1993–95).

Horst Bienek – pisarz (ur. w 1930 r. w Gliwicach, zm. w 1990 r.). Aresztowany w 1951 r. ze względów politycznych i skazany na 25 lat pracy przymusowej (cztery lata pracy w kopalni w Workucie), amnestionowany w 1955 r. Osiadł w Monachium, gdzie pracował jako redaktor literacki rozgłośni bawarskiej i lektor wydawnictwa. Autor licznych powieści – m. in. *Pierwsza polka* (1975) oraz licznych opowiadań, esejów i wierszy.

Klaus von Bismarck (1912–1997) – pochodził z rodziny pruskiej (jego dziadek był starszym bratem Ottona von Bismarcka). Podczas wojny oficer Wehrmachtu (również w Polsce). Prezes Zarządu Westdeutscher Rundfunk (1961–76), prezes Instytutu Goethego (1977–89). Przez wiele lat członek Forum Polsko-Niemieckiego. Jako jeden z pierwszych w Niemczech powieździał publicznie (w 1954 r.) za koniecznością uznania zachodniej granicy Polski. Jeden z inicjatorów tzw. memorandum Kościołów Ewangelickich Niemiec w 1965 r.

Edmund Dmitrów – doktor nauk humanistycznych, historyk, pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN (Zakład Studiów nad Niemcami), autor książki pt. *Niemcy i okupacja hitlerowska w oczach Polaków* (1987)

Józef kard. Glemp – Prymas Polski

Artur Hajnicz – doktor prawa międzynarodowego, publicysta, politolog Dyrektor Ośrodka Studiów Międzynarodowych, działającego przez pięć lat przy Senacie RP, a od 1995 roku w ramach Polskiej Fundacji Roberta Schumana

Helga Hirsch – dziennikarka niemiecka w krajach Europy Środkowej, głównie w Polsce. Autorka licznych artykułów publicystycznych i reportaży o Polsce oraz stosunkach polsko-niemieckich.

Jerzy Holzer – profesor historii w Uniwersytecie Warszawskim, kierownik Zakładu Studiów nad Niemcami w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Autor licznych prac historycznych i politologicznych. Członek Komitetu Koordynacyjnego Forum polsko-niemieckiego.

Josef Homeyer – biskup Hildesheim.

Wojciech Jaruzelski – generał armii, minister obrony (1968–83), prezes Rady Ministrów (1981–85), I sekretarz KC PZPR (1981–89), prezydent RP (1989–90).

Janusz Jasiński – profesor historii, pracownik Instytutu Historii PAN, redaktor czasopisma naukowego „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” (1971–80), autor wielu książek o historii Warmii i Mazur.

Krzysztof Karwat – publicysta, krytyk, poeta. Zajmuje się problematyką śląską. Redaktor „Dziennika Zachodniego” w Katowicach, kierownik działu kultury miesięcznika „Śląsk”. Autor książki *Ten przeklęty Ślązak*.

Krystyna Kersten – profesor historii w Instytucie Historii PAN, specjalizuje się w najnowszej historii Polski, autorka licznych prac dotyczących okresu jałtańskiego, historii PRL oraz stosunków polsko-żydowskich.

Klaus Kinkel – minister spraw zagranicznych Republiki Federalnej Niemiec.

Katarzyna Kołodziejczyk – historyk, komentatorka dziennika „Rzeczpospolita”, zajmuje się stosunkami międzynarodowymi, w tym głównie problemami środkowoeuropejskimi i niemieckimi.

Jerzy Kranz – doktor habilitowany nauk prawnych, pracownik Instytutu Nauk Prawnych PAN (1975–90), radca, a następnie radca-minister pełnomocny Ambasady RP w Niemczech (1991–95). Od 1995 r. w Centrum Stosunków Międzynarodowych Instytutu Spraw Publicznych.

Edward Krzemień – dziennikarz „Gazety Wyborczej” w Warszawie.

Adam Krzemiński – germanista i dziennikarz, od 1973 r. w redakcji tygodnika „Polityka”, od 1987 r. współredaktor magazynu polsko-niemieckiego „Dialog”, autor książki *Polen im 20. Jahrhundert* (1994).

Jan Józef Lipski (1926–1991) – polonista i krytyk literacki, żołnierz AK, współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników (KOR), orędownik praw człowieka i obywatela, przewodniczący Polskiej Partii Socjalistycznej, senator RP. Autor licznych esejów o sąsiedztwie polsko-niemieckim, w tym eseju *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*.

Piotr Madajczyk – historyk (doktor nauk humanistycznych), pracuje w Zakładzie Studiów nad Niemcami w Instytucie Studiów Politycznych PAN w Warszawie. Autor licznych prac poświęconych tematyce niemieckiej i stosunków polsko-niemieckich.

Stanisław Markowski – prawnik, publicysta, autor publikacji o rozwoju polskich Ziemi Zachodnich i Północnych.

Wojciech Pięciak – germanista, od 1989 r. w redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Redaktor tomu *Polacy i Niemcy pół wieku później. Księga pamiątkowa dla Mieczysława Pszona* (1996). Autor zbioru reportaży *Jak obalono mur. Niemcy 1988–1996*.

Maria Podlasek – germanistka, autorka książki *Wypędzenie Niemców z terenów na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej* (1995), pracuje jako tłumacz.

Dariusz Rosati – minister spraw zagranicznych RP (od 1995 r.).

Krzysztof Skubiszewski – profesor prawa, pracownik Instytutu Nauk Prawnych PAN, od 1984 r. członek Komitetu Koordynacyjnego Forum polsko-niemieckiego, minister spraw zagranicznych (1989–93), od 1995 r. prezes Międzynarodowego Trybunału Rozjemczego Iran–USA w Hadze. Autor licznych prac naukowych poświęconych problematyce niemieckiej i granicy polsko-niemieckiej.

Fritz Stern – urodzony we Wrocławiu, w 1938 r. wyemigrował z rodzicami do USA. Historyk, profesor na Uniwersytecie Columbia. Laureat Nagrody Śląską w 1996 r.

Leszek Wołosiuk – polonista i dziennikarz, urodzony w opisywanej w reportażu Gorzycy; reporter w dwutygodniku „Student” oraz w „Życiu i Nowoczesności” (1980–81), potem w miesięczniku „Zdanie” (1983). Autor słuchowisk radiowych, scenariuszy filmowych i sztuk teatralnych.

Kazimierz Wóycicki – publicysta, w początku lat 90. redaktor naczelny „Życia Warszawy”, specjalizuje się w problematyce niemieckiej, od 1996 r. dyrektor Instytutu Polskiego w Düsseldorfie.

Andrzej Ziemiński – socjolog, publicysta, żołnierz AK, autor eseju pt. Powroty do stron ojczystych („Odra”, nr 2–3/1992), ostatnio autor książki pt. *Dobry Niemiec. Opowiadania prawdziwe* (1997).